

NOWA
Fantastyka

JOHN BROSNAN

WŁADCY NIEBIOS



JOHN BROSNAN

**WŁADCY
NIEBIOS**

(The Sky Lords)

Przełożył: Ryszard D. Golianek



Prószyński i S-ka

1995

Spis treści

Karta tytułowa

CZĘŚĆ PIERWSZA WŁADCA PANGLOTH

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

CZĘŚĆ DRUGA PACHNĄCY WIETRZYK

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

CZEŚĆ PIERWSZA

WŁADCA PANGLOTH

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Powietrze przeszył okropny wrzask, jakby coś krzyczało w agonii. Jan spojrzała na strażniczkę. Ta wzruszyła opalonymi ramionami i rzekła: — Takie dźwięki, podobne do odgłosów wielkiego gada, wydaje skrzypiące drzewo batowe.

Próbując zignorować nieprzyjemny odgłos skrzeczenia, Jan znów spojrzała na panterę.

— Mówiłam ci! – zawołała do niej. – Nie potrzebujemy cię, lecz dzięki za propozycję.

Czarna pantera nie wykonała najmniejszego ruchu w jej stronę, lecz pozostała w pozycji siedzącej, spoglądając na Jan.

— Będę pracować dla was, łapać szkodniki, pilnować muru nocą – powiedziała wysokim, syczącym głosem.

Jan obejrzała zwierzę dokładniej. Była to potężnie zbudowana, zdrowo wyglądająca bestia. Warunki życia na terenach dotkniętych zarazą stały się widocznie bardzo złe, skoro takie zwierzę zdecydowało się zaproponować swoje usługi ludziom. Jan zauważyła długą bliznę poniżej prawego boku zwierzęcia, sprawiającą wrażenie świeżej.

Martha, stojąca obok Jan, powtarzała nerwowo: — Nie lubić. Niech wyjdzie. Martha nie lubić. Jan pogłaskała szympansa po głowie.

— Nie martw się. Ona cię nie zrani. Strażniczka naciągnęła kuszę i spytała Jan: — Czy mam się jej pozbyć?

Nim Jan zdążyła odpowiedzieć, pantera odwróciła głowę w kierunku strażniczki i powiedziała: — Wypal z broni, a ja wskoczyć szybko na mur. Trzymaj lepiej swe gardło daleko ode mnie. Jest niczym dla moich pazurów.

Po czym manifestując ostentacyjnie, że nic się nie stało, przewróciła się na bok, ukazując brzuch. Jan spostrzegła, że to samiec. Wyciągnęła rękę w kierunku strażniczki, która zaczerwieniła się, słysząc pogrózkę pantery. Obawiając się, że strażniczka zachowa się niewłaściwie, Jan rzekła: — Nie, Carla. Zostaw to mnie. Martha natychmiast zaczęła skomleć.

Pantera zerknęła na Jan w sposób, który miał chyba być kocią kokieterią.

— Ty zbyt młoda, by być szefem.

— Nie jestem szefem – rzekła Jan. – Jestem córką naczelniczki Melissy i w tym tygodniu pełnię obowiązki obrończyni muru.

Pantera wzruszyła potężnymi ramionami w zupełnie ludzki sposób i powiedziała: — Więc ty szef. Dlaczego ty nie pozwolić biednemu kotu na osiedlenie? – W słowie „osiedlenie” słychać było przeciągły syk.

— Mamy rozporządzenia dotyczące zwierząt, którym zezwalamy na życie wśród nas – powiedziała Jan. – Z pewnością o tym wiesz.

— Czasy są ciężkie. Coraz cięższe. Musimy działać razem. Jak dawniej, kiedy moi pradziadowie służyli twoim pradziadom.

— Prababkom – poprawiła Jan oburzona – lecz było to bardzo dawno temu. Wtedy można było jeszcze ufać wam, wielkim kotom.

— Nie ufasz mi? – pantera udała naiwną.

— Jasne, że nie. Byłabym głupia. To tak samo, jak gdyby marchewka mi wierzyła, że jej nie zjem.

— Tak – rzekła pantera. Szybko wstała. – Robisz błąd – powiedziała, odwracając się i nerwowo machając ogonem. Następnie zaczęła się czołgać, jak w czasach wypraw na pola kukurydziane przed nadejściem zarazy. Szybko zniknęła z pola

widzenia. Martha podskakiwała, wyraźnie zadowolona.

— Wstrętny kot. Wstrętny. Martha nie lubić...

Jan westchnęła i wierzchem dłoni wytarła pot z czoła. Błysk słońca uzmysłowił jej, że przed nią jeszcze przynajmniej godzina pracy. Spojrzała na Carlę, która się skrzywiła.

— Powinna mi pani była pozwolić zabić to zwierzę – powiedziała do Jan. – To arogancki stwór. Arogancki samiec.

— Myślisz, że wróci? – spytała Jan.

— Lepiej, żeby nie. To by mnie prowokowało do umieszczenia mu strzały między oczami.

Jan miała wątpliwości, czy Carla potrafiłaby zabić tego chytrego drapieżnika. Czasami jednak należało tolerować zuchwałość strażniczek muru. Jan wiedziała, że to pomaga w wykonywaniu coraz bardziej zniechęcających zadań.

— Włącz alarm, jeśli powróci – powiedziała. – Będę po wschodniej stronie.

Carla niedbale zasalutowała, a Jan w towarzystwie wciąż zdenerwowanej Marthy ruszyła na wschód wzdłuż drewnianej balustrady. W tym momencie uświadomiła sobie, iż gad, jeśli to był on, przesiał wrzeszczyć. Zdziwiła się, że spotkanie z panterą tak ją zdenerwowało. To zły znak, pomyślała i wyszeptała krótką modlitwę do Bogini Matki.

Jeszcze jedno wydarzenie miało miejsce podczas ostatniej godziny pracy Jan. Olbrzymie pnące przekroczyło barierę na wschodniej rubieży i zagrażało rozsadzeniem części muru. Jan dozorowała ekipę piętnastu strażniczek, które miotaczami ognia i siekierami zniszczyły rozrastający się powoli pęd; pnące w najszerszym miejscu miało cztery stopy średnicy. Następnie obserwowała, jak Martha i inne szympansy wspięły się na ogrodzenie i szybko zreperowały uszkodzenie spowodowane

przez pnące. Właśnie gdy kończyły, pojawiła się Alsa, która była zmienniczką Jan. Jan ucieszyła się i wręczyła Alsie złotą odznakę władzy, która była przytwierdzona do jej paska.

— To wszystko jest twoje – powiedziała do Alsy wdzięczna. – Jestem wyczerpana.

Alsa przyglądała się pracom naprawczym przy ogrodzeniu.

— Zmęczona?

— Nie bardziej niż zwykle. – Jan skinęła na Marthę, która popędziła w dół rusztowania, chowając kombinerki do torby narzędziowej zaczepionej u pasa.

— Idziemy do domu? – zapytała.

— Tak – Jan pogłaskała ją po głowie. Po czym rzekła do Alsy: – Może cię odwiedzić mówiąca pantera. Chce pracować dla nas w zamian za schronienie. Bądź ostrożna, taki kot nie przynosi szczęścia. Może się zachować desperacko.

Alsa uśmiechnęła się do niej.

— Nie martw się. Znasz mnie. Nigdy nie ryzykuję. W gruncie rzeczy jestem tchórzem do szpiku kości. – Pochyliła się, objęła Jan i pocałowała ją w usta.

— Uważaj na siebie, moja mała.

Schodząc po drabinie z balustrady, Jan wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego Alsa użyła kłopotliwego dla niej określenia. Wiedziała, że wyrażało ono coś uczuciowego, lecz była przewrażliwiona na punkcie swego wzrostu. Gdy była młodsza, wierzyła matce, kiedy ta mówiła, że w końcu dorówna swoim rówieśniczkom. Lecz teraz, kiedy osiągnęła wiek osiemnastu lat, było oczywiste, że nie będzie już ani trochę wyższa. Alsa i inne przyjaciółki przewyższały ją o około cztery do pięciu cali. Drażniło ją, że jest tego samego wzrostu, co przeciętny mężczyzna.

Niebo było bezchmurne i słońce już mocno świeciło, gdy Jan i Martha przechodziły przez ogrody warzywne, które wdzierały się w każdą wolną przestrzeń pomiędzy murem a budynkami Minervy. Jan zauważyła, że Martha wciąż spoglądała nerwowo w górę.

— To nie nastąpi w ciągu najbliższych dwu tygodni – rzekła Jan – odpręż się więc.

— Nie mogę. Władca Niebios denerwuje Marthę. Nie lubić.

— Nie jesteś tu sama – rzekła Jan ponuro.

Władca Niebios śnił się teraz Jan prawie każdej nocy. Sen ten ukazywał postać Władcy Niebios Panglotha, zapamiętaną z wczesnego dzieciństwa. Wydawało się, że zapełnia całkowicie niebo nad Minervą, kiedy obniżał swój lot nad miastem. Wbijał wtedy swe wielkie oczy w pięcioletnią Jan, skuloną ze strachu obok matki stojącej Ba podium na placu haraczu. Krzyczała wówczas ze strachu, usiłując się schować pod spódnicę matki. Jednak we śnie matka znikwała, pozostawiając ją samą.

Jan zaczęła się bezwiednie wpatrywać w puste błękitne niebo, jestem równie głupia, jak Martha – powiedziała sobie ucziwie. Panglotha cechowała zawsze punktualność. To było, jak mawiała matka, główną siłą Władcy Niebios.

Czyjeś nieprzyjemne zachowanie rozproszyło jej uwagę. Przechodziły właśnie obok klatki z szympanсами samcami, które na ich widok zaczęły wykrzykiwać obelgi. Większość tych obelg odnosiła się do Marthy, ale kilka bardziej nierozważnych szympanсів zaczęło również znieważać Jan. Martha wypięła się do nich tyłem, podskakując i machając ramionami. Jan powiedziała: – Nie trać czasu. Chodź, śpiesz się. Chcę się koniecznie wykąpać i napić czegoś zimnego.

Ruszyła. Martha, po kolejnej obeldze ze strony rozsierdzonych

szympansów, ruszyła za nią. Przykre – uświadomiła sobie Jan – że samce szympansów, w przeciwieństwie do samic, zachowują się w pewnym wieku tak dziwnie. Nie wszystkie co prawda. To jednak utwierdzało ją w przekonaniu, że każdy dorosły samiec winien być izolowany ze względów bezpieczeństwa. Wiedziała, że dawniej tak nie było. Kiedyś samcom szympansów można było ufać tak jak samicom, ale od jakichś czterdziestu czy pięćdziesięciu lat sytuacja zaczęła się zmieniać i pojawiły się pierwsze oznaki, świadczące o tym, że nie da się przewidzieć zachowania samców.

Jakże różnią się od ludzkich samców – pomyślała. Zachowanie tych ostatnich można przewidzieć w ciągu całego ich życia. Wszyscy mężczyźni, których znała, byli spokojni, łagodni i niezmiernie optymistyczni. Nawet narastający konflikt z Władcą Niebios chyba im specjalnie nie przeszkadzał. Dlaczego więc Bogini Matka stworzyła mężczyzn w Minervie jako istoty tak nieskomplikowane w porównaniu z kobietami? Skoro usunęła zło z ich dusz, to zapewne mogła przy okazji uczynić ich nieco ciekawszymi.

Jakby na potwierdzenie swego odczucia ujrzała Simona. Był jednym z grupy sześciu mężczyzn pracujących na małym zagonie ziemniaków. Spostrzegłszy ją, rzucił motykę i pośpieszył na jej powitanie. Szeroki uśmiech rozjaśniał jego sympatyczną twarz.

— Jan, świetnie, że cię widzę. Jak żyjesz?

Poczuła, że jej twarz pokrywa się rumieńcem. Simon był jedynym mężczyzną, z którym kiedykolwiek współżyła. Doświadczenie to wydało się jej interesujące, lecz niezbyt podniecające. Teraz wspomnienie dawnej intymności spowodowało pewne skrępowanie.

— Cześć, Simon – powiedziała szorstko. – Przepraszam, że nie

przystanę, by z tobą porozmawiać, ale właśnie opuściłam mur i jestem śmiertelnie zmęczona.

— W porządku. Może spotkamy się dziś wieczorem w tawernie? Spoglądał na nią z tak nieskrywanym zachwytem, iż poczuła się jeszcze bardziej zmieszana. Zmarszczyła brwi.

— Zapomniałeś, że dziś wieczorem mamy spotkanie Rady? – zapytała zirytowana. – Nie będzie czasu pomiędzy jej zakończeniem a obowiązującą ciebie godziną policyjną. Spoglądał przez moment strapiony, po czym uśmiech powrócił na jego twarz.

— Zatem jutro?

— Być może – powiedziała i odeszła. W ciągu paru tygodni Minerva mogła być zniszczona, a on myślał tylko o rozrywkach. Ech, ci mężczyźni...

Wraz z Marthą weszła do miasta, i podążyła wąskimi, krętymi, ciasnymi ulicami. Dawniej było tu dużo więcej miejsca, ale przed Czterema czy pięcioma laty ostatecznie zmuszono do osiedlenia się tu mieszkańców okolicznych osad rolniczych. Było to wtedy, gdy przegrali walkę z zarazą. Teraz nowsze i mniejsze drewniane domy stały w pobliżu starych kamiennych budynków, zakłócając subtelną harmonię architektoniczną dawnego miasta. Poza tym wszystko na pozór wyglądało normalnie. Nie było żadnych widocznych oznak przygotowań, gorączkowo czynionych w całym mieście.

Jan i Martha rozdzielili się po przybyciu do dużego, niskiego budynku, w którego licznych oknach nie było szyb. Tu znajdowała się sypialnia samic szympanów, w której żyło ich ponad czterdzieści, nie licząc kilku szympaniątek obojga płci. Pożegnały się i Jan podążyła dalej w kierunku swojego domu, mieszczącego się w pobliżu centrum Minervy. Gdy przyszła,

zastała już matkę, pochyloną nad mapą miasta, rozpostartą na kuchennym stole. Gdy Jan weszła, Melissa spojrzała na nią, odgarnęła z twarzy ufarbowane na srebrny kolor włosy i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Witaj, moja droga. Jak ci poszło dziś przy murze? Czy były problemy?

— Nic szczególnego – Jan objęła matkę i pocałowała ją w policzek. – Powiem ci później.

Najpierw muszę zrzucić z siebie te nieświeże ciuchy.

Nalała kubek wody, wypła szybko, następnie napełniła miskę i zabrała ją do łazienki. Żałowała, że wciąż nie wystarcza wody do kąpieli czy na prysznic. Od kiedy Minerva zredukowała liczbę studzien do trzech, o takich luksusach nie było mowy.

Szybko ściągnęła grube rękawice, następnie z ulgą odczepiła i zrzuciła ciężki napierśnik. Z kolei zdjęła pas z bronią, na którym umocowane były krótka szpada, sztylety i topór. W końcu ściągnęła długie do kolan buty, kamizelkę, spódnicę i bieliznę. Następnie umyła się cała, używając wilgotnej ścierki i jednego z niewielu, jakie jeszcze posiadała, kawałków drogiego mydła. Nie musiała się wycierać ręcznikiem do sucha. Było wciąż tak gorąco, że wilgoć szybko wysychała na skórze. Po chwili włożyła swój ulubiony błękitny strój bawełniany i poczuła się cudownie odświeżona.

Gdy wróciła do kuchni, matka zdążyła już odłożyć mapę, lecz ślad napięcia pozostał na jej twarzy. Gdy przygotowywała posiłek złożony z placków ziemniaczanych i surówki, Jan opowiedziała jej o wydarzeniach przy murze. Szczegółowo zrelacjonowała incydent z panterą. Matka dostrzegła jej niepokój.

— Co cię tak przestraszyło w tym zwierzęciu? Jan skrzywiła

się.

— Nie wiem. Było takie, jakby...

Przerwała. Nie chciała mówić matce, że wierzy, iż czarna pantera to zły omen. To mogłoby ją tylko zaniepokoić i zdenerwować. Znowu oskarżyłaby Jan o nadwrażliwość i o to, że zawodzi ją w trudnej chwili. Zamiast tego spytała Melisę o przebieg przygotowali.

— Zgodnie z planem. Dokładnie – potarła palcami skronie. – Jedynym problemem jest teraz uzyskanie od Rady ostatecznej decyzji. Jeżeli Rada będzie przeciwko nam dziś wieczór, wszystko okaże się stratą czasu i los Minervy będzie przesądzony. Jan rzekła niepewnie: – Wiem, masz rację, matko, ale żałuję, iż nie ma innej możliwości. Gdy pomyślę o tym, co ma się zdarzyć, czuję się tak, tak...

Przerwała, lecz za późno. Melissa zbliżyła się do niej i nerwowo potrząsnęła ją za ramiona.

— Jan, jesteś moją córką. Twoim zadaniem jest popierać mnie w Minervie. Nie możesz sobie pozwolić na jakiegokolwiek wątpliwości. I musisz udzielić mi swojego całkowitego poparcia. – Oczywiście, że będę cię popierać, matko. Wiesz przecież, że będę głosować na ciebie dziś wieczór... Oczy matki błyszczały dziko.

— Nie o to chodzi. Musisz być ze mną cały czas. Jeśli tylko wyrazisz kilka słów wątpliwości w rozmowie z którąś z przyjaciółek, te same słowa będą później użyte jako broń przeciwko mnie podczas posiedzenia Rady.

— Nie mówiłam nikomu, matko – usprawiedliwiała się Jan. Próbowwała uwolnić się z uścisku. – Matko, to boli...

Melissa zwolniła uścisk, lecz jej oczy pozostały dzikie. – Muszę wygrać głosowanie dziś wieczór; w przeciwnym razie wszystko

stracone. Czy tego nie rozumiesz? Jan bojaźliwie skinęła głową.

— Jasne, że rozumiem. Nie martw się, matko, wygrasz głosowanie. Wiem o tym.

— Jeśli nie wygram, to po powrocie ze spotkania obie przebijemy się szpadą. Dużo lepsza jest śmierć wymierzona własną ręką, co się z nami stanie, gdy Minerva podda się Władcy Panglothowi.

Jan spojrzała na matkę. Czy na serio myślała o popełnieniu samobójstwa? Chyba to niemożliwe! Ale spojrzenie w jej oczy potwierdziło obawę.

Po posiłku zjedzonym w nieprzyjemnym milczeniu Jan udała się do swego pokoju. Zamierzała pospać kilka godzin, lecz nie mogła zasnąć. W końcu wstała, włożyła lekkie ubranie i wyszła. Zapadł zmierzch. Za dwie godziny miało się rozpocząć zebranie Rady. Jan zapragnęła choć na chwilę o tym zapomnieć.

Podeszła do grupy mężczyzn. W warsztacie zobaczyła swego ojca. Lutował właśnie kawałek metalowej rury długości sześciu stóp i szerokości czterech cali. Odłożył lutownicę, gdy Jan zbliżyła się do warsztatu, i uśmiechnął się serdecznie. Był przystojnym mężczyzną o szerokiej, pełnej wyrazu twarzy, interesujących szaroniebieskich oczach i gęstych, ciemnych włosach. Jan wiedziała, że z wyglądu bardziej jest podobna do niego niż do Melissy. Matka pod oficjalną srebrną farbą skrywała blond włosy, a sylwetkę miała wysoką i szczupłą, podczas gdy Jan była niska i śniada, podobnie jak ojciec. Miała także oczy i włosy tego samego co on koloru.

— Cześć, Jan – powiedział wesoło i podszedł, by ją objąć.

Nie opierała się jego krótkiemu uściskowi, chociaż oznaki serdeczności pomiędzy ojcami a córkami nie były społecznie akceptowane. W gruncie rzeczy żaden kontakt pomiędzy nimi

nie był społecznie akceptowany. Nie zniechęcano doń otwarcie sprzeciwiałoby się to konstytucji Minervy – ale istniał subtelny, skrywany typ presji, którego Jan była świadoma od czasu swojego dzieciństwa. Wiedziała, że matka nie pochwała jej spotkań z ojcem, chociaż Melissa nigdy tego nie okazała.

Ojciec przyjrzał się jej.

— Jesteś zmęczona – powiedział tonem lekkiego upomnienia. – Nie spałaś dobrze?

— Spełniałam obowiązki przy murze. Zawsze mam potem kłopoty z odpoczynkiem. A dziś odbywa się w dodatku zebranie...

Przez parę chwil ojciec wyglądał na mocno zakłopotanego. Później uśmiechnął się rozbrajająco i rzekł: – Sądzę, że wszystko uda się jak najlepiej. Melissa i jej zwolenniczki wygrają dziś, zobaczysz.

Jan skinęła głową. Chciała mu powiedzieć o pogroźce Melissy. O tym, że obie będą musiały popełnić samobójstwo, jeśli matka przegra w głosowaniu. Nie wiedziałaby jednak, jak ma potraktować taką informację.

— Tak przypuszczam. Co później? – Jan przejechała ręką wzdłuż metalowej rury. – Sądziś, że to urządzenie będzie działało? – zapytała.

Znów wyglądał przez chwilę na strapionego, po czym powiedział z przekonaniem: – Mam zaufanie do Melissy. Wie, co robi. Skoro powiedziała, że będziemy w stanie zniszczyć Władcę Niebios, to znaczy, że zniszczymy. Ona nas uratuje.

— Tak, na pewno – powiedziała Jan, lecz bez przekonania. Wiedziała, że myśli błuźnierczo, lecz nie mogła zrozumieć, dlaczego Bogini Matka czeka tak długo na wyzwolenie Minervy spod panowania Władcy Niebios. To trwa już ponad trzy stulecia.

Ojciec położył jej rękę na ramieniu.

— Biedna Jan, jesteś taka młoda, a pracujesz, jakbyś na swych barkach dźwigała ciężary całego świata.

Udało się jej obdarzyć ojca czymś, co wyglądało na zuchwały uśmiech. Biedny ojciec – pomyślała. – Ja mam tylko osiemnaście lat, a ty ponad osiemdziesiąt, ale to ty jesteś dzieckiem. I zawsze będziesz. – Zazdrościła mu poczucia bezpieczeństwa wynikającego z ufnej naiwności i żałowała, że nie urodziła się mężczyzną.

Jan powiedział ojcu, że musi wracać do domu i przygotować się do zebrania. Objął ją znów i jeszcze raz zapewnił, że wszystko się uda.

Na dworze zrobiło się ciemno. Gdy szła w stronę domu, zafascynowało ją roziskrzone nocne niebo. Spodziewała się, że zobaczy błyski wysyłane z pokładu Władcy Niebios, który być może dowiedział się w jakiś sposób o planowanej rebelii i pojawił wcześniej, niż planowano, by ich ukarać.

W dali, gdzieś na terenach dotkniętych zarazą, coś zawyło. Nie mogła rozróżnić, czy był to krzyk bólu, czy wściekłości.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nowotwór, który zabijał powoli naczelniczkę Avedon, sprawiał na pozór wrażenie łagodnego. Była to jasnoczerwona narośl pokrywająca lewą stronę jej twarzy delikatnym puszkciem. Jan nie mogła się powstrzymać od wpatrywania w tę narośl, podczas gdy Avedon, najstarsza z naczelniczek i przywódczyni Rady, podsumowywała plan Melissy i zarzuty opozycji przeciwko niemu. Jan zmusiła się do oderwania od niej wzroku i skierowała spojrzenie na galerię obserwatorów, otaczającą pomieszczenie Rady. W sektorze męskim spostrzegła Simona. Spoglądał w dół z typowym dla niego lalkowatym uśmiechem, skierowanym ku niej. Westchnęła w duchu.

Avedon kończyła podsumowanie i wręczyła laskę oznaczającą prawo głosu naczelnicze Annie, która była główną przeciwniczką planu Melissy. Gdyby udało się jej przekonać Radę o konieczności odrzucenia planu Melissy... Jan nie chciała myśleć o konsekwencjach, tym bardziej że sama podzielała obawy naczelniczki Anny dotyczące proponowanej akcji przeciwko Władcy Niebios.

Najistotniejszą sprawą dla Jan była jednak kwestia przetrwania. Gdy teraz siedziała w znajomym pomieszczeniu Rady o ścianach ozdobionych starymi freskami, wciąż dręczyła ją straszna myśl. Czy matka poważnie traktowała konieczność samobójstwa ich obu w wypadku przegranej? Jan wyobraziła sobie, jak kieruje ostrze szpady, wiszącej teraz u jej boku, w swą pierś... Nie, nie robi tego. To niemożliwe! A jeśli odmówi, co uczyni Melissa? Chyba jej nie zabije? To było nie do pomyślenia!

Stłumiła przejmujący dreszcz i próbowała skoncentrować się

na słowach Anny. Anna stała na środku okrągłej posadzki i oskarżając wskazywała palcem na Melissę, która spoglądała na nią wrogo...

— Powtarzam, plan naczelniczki Melissy spowoduje zniszczenie Minervy – mówiła Anna podniesionym głosem. – Jest skrajnym szaleństwem przypuszczenie, iż będziemy w stanie zniszczyć Władcę Niebios albo przynajmniej go odeprzeć. Gdyby to było możliwe, zrobiłyby to już wcześniej nasze prababki albo jakieś inne społeczności. Nie, Władcy Niebios rządzą światem już prawie trzy i pół stulecia i potrzeba czegoś więcej, niż fajerwerków naczelniczki Melissy, by zmienić ten fakt. Twierdzę, że powinniśmy odrzucić jej plan natychmiast, wstrzymać przygotowania i zniszczyć rakiety, póki nie jest za późno!

Pomruk aprobaty dobiegł zarówno z wewnętrznego kręgu zajmowanego przez naczelniczki, jak i z kręgów zewnętrznych, gdzie znajdowały się miejsca ich córek. Melissa wyglądała coraz groźniej i na chwilę jej oczy zatrzymały się na Jan, siedzącej prawie naprzeciw. Jan spostrzegła siłę w tych oczach. Matka zniknęła z jej pola widzenia i na jej miejscu pojawił się ktoś inny. Ktoś przerażony.

Melissa podniosła rękę i uzyskała od Avedon prawo głosu. Wstała i powiedziała: — Nie mamy innego wyboru, jak tylko zrealizować mój plan. W przeciwnym razie wszystkie umrzemy tej zimy z głodu. Wiecie przecież, że jeśli złożymy Władcy Niebios zwykły haracz, wszystkie nasze zapasy zboża zostaną wyczerpane. I mylicie się, sądząc, że Władcy Niebios są niezwyciężeni. To po prostu mit. Wiemy wszystkie, że jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu jeden z Władców Niebios rozbił się podczas burzy w krajach północnych. Zniszczyła go błyskawica. Więc i my zniszczymy *Władcę Panglotha* naszymi

własnymi błyskawicami!

Ta przemowa wywołała szmer aprobaty i Jan spostrzegła na sali kilka głów, przytakujących planowi. Anna jednak pomachała laską, co dawało jej prawo do przerwania kiedy tylko miała na to ochotę.

— Nie wiemy na pewno, że coś takiego się zdarzyło. Była to tylko pogłoska rozpowszechniana przez podróżników. A jeśli nawet miało to miejsce, to stało się za sprawą Bogini Matki, która użyła swych sił sprawczych, by zniszczyć Władcę Niebios. Skąd wiecie, że wasze rakiety uszkodzą *Władcę Panglotha*?

Melissa zwróciła się do Avedon.

— Proszę o udzielenie głosu siostrze Helen.

Avedon wyraziła zgodę i Melissa skinęła na Helen, siedzącą w pierwszym rzędzie galerii. Helen wstała speszona. Niska, choć nie tak bardzo jak Jan, i muskularna, dowodziła odlewnią i była prawą ręką Melissy w urzeczywistnianiu jej planu. Znała dobrze różne dziedziny nauki, jak sądzono, nad wyraz dokładnie wiedziała o zakazanych i złych praktykach Starego Świata. W rezultacie nie była zbyt lubiana, lecz to jej chyba nigdy specjalnie nie przeszkadzało.

— Powtórz Radzie to, co próbowałam jej powiedzieć przy poprzednich okazjach – zarządziła Melissa. – Może gdy osoby wątpiące w mój plan usłyszą to od ciebie – eksperta, zostaną w końcu przekonane.

Helen przełknęła nerwowo ślinę i rzekła cienkim głosem: – Władcy Niebios utrzymują się w górze, jak wiecie, dzięki gazom, które są lżejsze od powietrza. Istnieją dwa takie gazy: wodór i hel. Dawniej Władcy Niebios wypełnieni byli wyłącznie helem, ponieważ jest on bezpieczniejszy. To gaz obojętny, podczas gdy wodór jest łatwopalny. Z biegiem lat Władcy Niebios stracili

większość posiadanego helu poprzez naturalny wyciek, wypadki i inne przyczyny. Nie są w stanie uzupełnić jego braku. Zostali zmuszeni do użycia wodoru jako substytutu helu w większości swoich komór z gazem.

Wodór, w przeciwieństwie do helu, można wyprodukować stosunkowo łatwo w procesie zwanym elektrolizą, polegającym na...

Melissa przerwała jej ruchem ręki.

Nie chodzi o szczegóły – powiedziała. – Chcemy wiedzieć, czy Władcy Niebios mają dużą ilość tego niebezpiecznego gazu.

Twarz Helen zarumieniła się.

— O tak, Melisso. Powiedziałabym, że Władcy Niebios mają teraz dużo więcej wodoru niż helu.

— Czy dzięki temu są podatni na zapalenie?

— Bardzo podatni.

— Tak więc nasze rakiety wyposażone w bomby ogniowe spowodowałyby poważne uszkodzenie?

Helen odchrząknęła i powiedziała głośno: – Sądzę, że istnieje duża szansa całkowitego zniszczenia *Władcy Panglotha*.

Szmer podniecenia przebiegł przez salę. Umilkł jednak, gdy Anna wtrąciła: – Czy jesteś pewna, że nie znaleźli sposobu na wyprodukowanie tego bezpiecznego gazu, helu? Skoro potrafią wytworzyć inny gaz, dlaczego nie są w stanie wytworzyć helu? A może wynaleźli jeszcze inny gaz?

— Nie – rzekła Helen stanowczo, potrząsając głową. – To jest niemożliwe. Naukowo niemożliwe. Jeśli pozwolicie mi wyjaśnić... W tym momencie przerwała jej sama Avedon.

— Dość rozmów na temat męskiej wiedzy. Wierzmy ci. Usiądź, siostrze Helen.

Helen usiadła pospiesznie, zaczerwieniona bardziej niż

kiedykolwiek. Anna wykorzystała chwilę, by oświadczyć głośno:
– Męska wiedza... Oto nasz problem. Plan Melissy jest nią skażony. Rakiety – wycedziła pogardliwie. – Taka broń jest nie tylko sprzeczna z konstytucją, ale stanowi bluźnierstwo. Bogini Matka odwróci od nas swą twarz, jeśli użyjemy męskiej broni!

— To samo mówiono, gdy zaczęłyśmy używać miotaczy ognia, lecz jak dotąd nie widać, byśmy obraziły Boginię Matkę – rzekła Melissa.

— Jeśli tak, to dlaczego nasze urodzajne pola zostały nawiedzone przez zarazę? Co dobrego uczyniła dla nas ta broń? – zapytała Anna.

— Gdybyśmy jej nie użyły, do dziś zaraza zniszczyłaby całe miasta. Miotacze ognia są jedyną skuteczną bronią przeciwko zarazie. Nie wspominam już o użyciu broni przeciwko wielkim zwierzętom, których wzrastająca liczba zagraża naszym rubieżom.

— Teraz Minerva stanęła w obliczu zagłady – dowodziła Anna. Melissa westchnęła.

— Jeżeli odeprzemy Władcę Niebios, będziemy miały wystarczającą ilość zboża, by przeżyć zimę. Myślę, że wtedy uda się nam uchronić część naszych ziem przed zarazą. Ale jeśli nie przeciwstawimy się Władcy Niebios, los nasz jest przesądzony.

— Możemy spróbować pertraktacji. Przedstawimy Władcy naszą sytuację. Może nas zrozumie! – krzyczała Anna. – Zaproponujmy mu, powiedzmy, tylko trzecią część oczekiwanego haraczu i obiecajmy przekazać resztę później. Zdajmy się na jego miłosierdzie.

Melissa wybuchnęła gorzkim śmiechem.

— Czyż kiedykolwiek ktoś doświadczył miłosierdzia od Władcy Niebios? Wiecie przecież, jak traktuje nas, mieszkańców Ziemi.

Dosłownie jak glisty. Nie uważa nas za ludzi. Po prostu stanowimy część zarazy pozostałej po Wojnach Genetycznych. Zwróćmy się już lepiej o miłosierdzie do jednego z wielkich gadów. Nie, naszą jedyną szansą jest spalenie *Władcy Panglotha* i strącenie go z niebios. Nadszedł czas, kiedy my, siostry z Minervy, uwolnimy się wreszcie całkowicie spod panowania mężczyzn!

To zrobiło wrażenie. Jan prawie fizycznie odczuła przepływ emocji, nieodwołalnie zjednujący zwolenników Melissie. Wygrała. A niedługo później potwierdziło to głosowanie. Liczba podniesionych rąk dała jej przewagę trzydziestu trzech głosów. Jan odetchnęła. Nie musi więc umrzeć. Jeszcze nie teraz. Ma przynajmniej dwa tygodnie życia przed sobą.

Te dwa tygodnie przeleciały z oszałamiającą szybkością. Jan chciała cieszyć się nimi, lecz nie miała czasu. Melissa zmusiła ją, jak i pozostałych Minervian, do wyczerpującej pracy przy końcowych przygotowaniach. Jan stanęła na czele jednej z wielu trzyosobowych załóg kobiecych, które miały odpalać rakiety. Bez końca wprawiały się w odpalaniu, umieszczając rakiety na stanowiskach, zdejmując siatkę maskującą, która skrywała pociski, markując zapalenie lontu przed wycofaniem się do pozorowanej pozycji.

Rakiety były, według Helen, dziecinnie prostymi urządzeniami. Wypełniał je proch karabinowy i, jak wykazały serie próbnych odpaleń, mogły osiągnąć pułap około tysiąca stóp. Uderzenie w jakiś przedmiot powodowało wciśnięcie zaworu uruchamiającego reakcję chemiczną. Dzięki temu z kolei zapaleniu ulegał alkohol znajdujący się w stożkowatym zakończeniu rakiety. Nikt nie zapytał, przynajmniej publicznie, skąd Helen wiedziała, w jaki sposób produkuje się proch –

substancję, znajdującą się na jednym z pierwszych miejsc wśród rzeczy zakazanych. Jan podejrzewała, że Helen musiała wynaleźć ten materiał na nowo.

Mimo że Melissa teoretycznie była teraz odpowiedzialna za Minervę, Anna nie zaprzestała swej opozycyjnej kampanii. Najostrzejsza konfrontacja miała miejsce na początku drugiego tygodnia. Anna, jej córka Taśma, naczelniczka Jean oraz Adam, rzecznik mężczyzn, zjawili się tego wieczoru w domu Melissy. Gospodyni przyjęła ich z wymuszoną uprzejmością i poleciła Jan przynieść napoje. Z bojaźni przed Anną Jan pozostała w sieni.

— Czy prawdą jest – oskarżycielsko zapytała Anna – że powiedziałaś Avedon, iż masz zamiar uzbroić mężczyzn?

— Tak, to prawda – rzekła Melissa, oczekując dalszego ciągu.

— Twoja bezczelność nie zna granic! – krzyknęła Anna. – Dźwiganie broni przez mężczyzn w granicach Minervy sprzeciwia się wszystkiemu, co uważamy za święte. Siostry, które założyły Minervę, z pewnością płaczą ze wstydu w niebiosach!

— Siostry, które założyły Minervę, były realistkami – odpowiedziała Melissa. – Ja też jestem realistką. Musimy wykorzystać w przyszły poniedziałek każdą osobę zdolną do obrony Minervy. Nawet jeśli *Władca Pangloth* stanie w ogniu, to może być dość czasu na to, by oddziały Wojowników Niebios dokonały na nas nalotu.

— To byłoby lepsze niż przeciwstawiać się Bogini Matce! – krzyczała Anna. Zwróciła się do Adama, który próbował się ukryć za Jean i Taśmą.

— Powiedz naczelniczce Melissie, jako rzecznik wszystkich mężczyzn, że odmawiacie noszenia broni.

Adam bojaźliwie wyjrzał zza Jean i Taśmy. Spojrzał wrogo na Melisę.

— Nie chodzi o to, że odmawiamy, naczelniczko Melisso. Chodzi o to, że uzbrajanie nas byłoby stratą czasu. Mężczyźni w Minervie nie są wojownikami. Tak nakazała Bogini Matka. Do czego więc moglibyśmy się przydać w bitwie z Wojownikami Niebios?

— Dowiedcie się – odpowiedziała Melissa. – Kiedy któryś z Wojowników Niebios zbliży się do was z zamiarem rozłupania wam czaszki toporem lub nadziania was na szpadę, będziecie mieli możliwość wyboru. Powstrzymacie go przed użyciem broni lub przyzwolicie na wykonanie tego, co zamierza. Nie oczekujcie, że siostry będą was bronić. Będziemy zbyt zajęte ratowaniem Minervy. Tak więc musicie zdać się na siebie. Wybór należy do was.

Adam zbladł.

— Ale... ale przez całe nasze życie wpajałyście nam, mężczyznom, że dotykanie broni bądź używanie narzędzi w sposób zagrażający życiu jest całkowicie zabronione. Nie możecie więc oczekiwać, że nagle nauczymy się posługiwać bronią.

— Ma rację – rzekła Anna. Pozostałe dwie kobiety potakująco skinęły głowami.

Melissa wzruszyła ramionami.

— Mogę dodać, że w takich okolicznościach, zgodnie z konstytucją, mam prawo do użycia wszelkich środków, które uznam za stosowne, by zapewnić przetrwanie Minervy. Dlatego zarządzam uzbrojenie wszystkich mężczyzn powyżej dwunastego roku życia. Jakiego rodzaju broni użyją, jest ich indywidualną sprawą.

Anna rzuciła gniewne spojrzenie i otworzyła usta, by zaprotestować, lecz zrezygnowała. Gwałtownie skierowała się ku

wyjściu. Pozostali z Adamem na końcu podążyli za nią. Mężczyzna był jedynym, który wymamrotał przeproszające „dobranoc”, gdy wychodzili.

Gdy wyszli, Jan powiedziała do matki: – Czy myślisz, że którykolwiek z mężczyzn będzie walczył? Melissa wzruszyła ramionami.

— Niektórzy chyba będą. Instynkt samozachowawczy jest silny. Zobaczmy. Mam jednak nadzieję, że do walki nie dojdzie. Przy odrobinie szczęścia *Władca Pangloth* zostanie zniszczony, zanim ruszą do boju Wojownicy Niebios.

— Jeżeli niektórzy z mężczyzn podejmą walkę – powiedziała Jan – mogą się w niej rozsmakować. Nie będziemy mogli im potem zaufać.

— Przesąd – rzekła Melissa. Wyszła do sąsiedniego pokoju. Usiadła zmęczona na nadmuchiwanej poduszce. Jan weszła za nią.

— Czy tylko z obawy przed obudzeniem się w nich negatywnych cech dawnych mężczyzn zakazano im noszenia broni? – zapytała. Melissa, nie patrząc na córkę, powiedziała: – Bogini Matka uszlachetniła ich. Nie są w stanie powrócić do poprzedniej postaci.

— Skąd więc zakaz noszenia broni? Po co oddzielne grupy? Po co godzina policyjna?

Dlaczego wciąż się ich obawiamy?

— Tradycja – odpowiedziała matka. – Nawet mężczyźni w Minervie, zmienieni już dzisiaj, nie są w stanie odkupić grzechów swych przodków, popełnianych przeciwko naszym prababkom przez niezliczone tysiąclecia. Nie mogą też odkupić grzechów popełnianych przeciwko nam przez Władcę Niebios Panglotha. Dlatego mężczyźni muszą udawać się każdej niedzieli do Celi

Pokutnej w katedrze. Dawno temu stracili prawo do równości z nami i nigdy go nie odzyskają. Idź teraz do swego pokoju i zostaw mnie samą. Mam wiele spraw do przemyślenia.

Jan uczyniła, jak nakazała matka. Trzeciego dnia czyszczenia broni zastanawiała się, co się stanie z mężczyznami po poniedziałku, jeśli powiedzie się plan Melissy, dotyczący zniszczenia Władcy Niebios. Czy powstanie wśród sióstr frakcja, domagająca się całkowitego usunięcia mężczyzn z Minervy? Było to wysoce prawdopodobne. Pewnie ona także poprze ową frakcję. Równocześnie nie śmiała pomyśleć o tymi że jej ojciec czy chociażby Simon będą wypędzeni z Minervy. A jaka byłaby przyszłość Minervy bez mężczyzn? Następny okres rodzenia przypadła za niecałe trzy lata...

Tej niedzieli – w dniu poprzedzającym przybycie Władcy Niebios – katedra pełna była wiernych. Nikt nie modlił się jednak żarliwiej do wizerunku Bogini Matki, wyrzeźbionego w starym pniu świętego dębu, niż Jan. Modliła się, by po jej obudzeniu następnego ranka wszystko było znów takie, jak w czasach dzieciństwa, kiedy urodzajne pola nie były zaatakowane przez zarazę, kiedy na dachach miasta nie skrywano broni, przeznaczonej do użycia przeciwko Władcy Niebios – Jednak najgoręcej modliła się o to, by ta zimna i bezwzględna kobieta, jaką stała się Melissa, zniknęła, i zastąpiła ją matka.

Jan nie spała całą noc. Najpierw niespokojnie błąkała się po pustym domu. Melissa wyszła, by przeprowadzić ostatnią inspekcję pozycji rakiet. Jan oglądała i dotykała znajomych domowych sprzętów, usiłując przekonać samą siebie, że wszystko jest w porządku i będzie w porządku także w ciągu następnych dni. Później, około drugiej nad ranem, usłyszała odległe wrzaski, po których nastąpił silny trzask. Rozlegały się

krzyki, wycia, a następnie dał się słyszeć przenikliwy odgłos jednego z urządzeń alarmowych strzegących muru. Pośpiesznie wdziała pancerz i pas z bronią, i zabierając jedną z lamp rtęciowych, wybiegła na zewnątrz.

Wąska ulica była już wypełniona. Inne siostry także wybiegły z domów i zdążyły w kierunku źródła alarmu. Jan dołączyła do nich. Biegając zastanawiała się nad rodzajem niebezpieczeństwa. Odgłosy trzasków kojarzyła z jednym z wielkich gadów. Miała nadzieję, że nie spowodowało to wyłomu w murze. Od czasu ostatniej służby nie myślała o niebezpieczeństwach drzemających poza granicami Minervy. Była zbyt zajęta innymi problemami. Bała się, by przed przybyciem Władcy Niebios Minerva nie została zaatakowana przez mieszkańców terenów dotkniętych zarazą.

Drgnęła, gdy coś dotknęło jej nagiego uda. Spojrzała i spostrzegła, że to Martha. Szympanica, ze swoją torbą narzędziową wokół pasa, dotrzymywała jej kroku.

— Martha, przestraszyłaś mnie.

— Przepraszam panią – Martha dyszała w biegu, używając wszystkich czterech kończyn. – Wie pani, dlaczego... alarm?

— Nie. Prawdopodobnie wielki jaszczur.

Jan miała rację. Kiedy przybyły w pobliże muru, zobaczyły, że potężna brama zachodnia została wyłamana, a na jej zdruzgotanych szczątkach leży potężne cielsko jednego z wielkich gadów. Był zaplątany w kłębowisko stali wyrwanej z górnej bariery, co prawdopodobnie uniemożliwiło mu wtargnięcie na teren Minervy. W ciele jego tkwiły strzały z łuku, lecz gad w dalszym ciągu szarpał się i wił. Jan spostrzegła, że należy on do stworów dwunożnych, znanych z wyjątkowej drapieżności. Przepchnęła się przez gęstniejący tłum, szukając

Alsy, która, o czym wiedziała, miała tej nocy służbę przy murze. Spostrzegła przyjaciółkę w grupie strażniczek. Stały wokół czegoś leżącego na ziemi.

Gdy Jan się zbliżyła, ujrzała ciało przykryte okrwawionym ubraniem.

— Kto to jest? – zapytała Alse przerażona.

Ta odwróciła się i spojrzała na nią. Zdawała się z początku nie poznawać Jan, później jej twarz złagodniała.

— Ach, to ty, mała! – rzekła.

Potem spojrzała znów na ciało leżące na ziemi.

Wtedy konający gad silnie uderzył ogonem, aż Jan podskoczyła, przerażona. Gdy się odwróciła, ujrzała, jak jedna ze strażniczek muru zbliża się niebezpiecznie blisko do zwierzęcia i wypuszcza strzałę w jego ślepią. Gad zawył z bólu i znieruchomiał, chociaż jego klatka piersiowa wciąż się podnosiła i opadała. Jan odwróciła się do Alsy.

— Kto to jest? – powtórzyła.

— Carla – odrzekła Alsa.

Pochyliła się i odchyliła nieco przesiąknięte krwią ubranie.

Jan poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła, gdy dojrzała kształt leżący pod płachtą. Jedyne oko, jakie pozostało Carli, zdawało się wpatrywać prosto w Jan. Dziewczyna miała irracjonalne przeświadczenie, że Carla wciąż żyje, nawet w tym okropnym stanie, i odczuwa wszystko, co dzieje się z jej ciałem. Zapragnęła pobiec do domu i schować się pod łóżkiem do czasu, aż świat powróci do normalnego stanu, takiego, jakim był w okresie jej dzieciństwa, kiedy nie musiała oglądać okrutnych scen... kiedy nie musiała wiedzieć, że takie okropieństwa istnieją. Zdążyła już nawet zrobić parę kroków, zanim udało jej się odzyskać kontrolę nad sobą. Jesteś córką naczelniczki Melissy –

powiedziała do siebie – nie możesz się skompromitować!

— Byłyśmy przy tej bramie – powiedziała Alsa, przykrywając, ku uldze Jan, szczątki Carli. – Mnie udało się zeskoczyć w odpowiednim momencie, lecz ona została na posterunku. Zmiażdżyła ją rozrywająca się brama, gdy naparł na nią jaszczur.

— Co się stało? – zapytała Jan. – Co spowodowało, że zdecydował się naprzeć na bramę w ten sposób? Wielkie jaszczury znane z prób atakowania muru, lecz żaden z nich dotychczas tak nie postąpił.

Alsa pocierała policzek. Jan zauważyła, że rozrasta się tam duża, czerwona plama.

— Nie jestem pewna... ale myślę, że jaszczur coś gonił.

— Gonił coś?

— Zdołałam rzucić okiem, ale myślę, że był to kot. Duży kot Czarny. Biegł trochę przed jaszczurem, potem skoczył w bok i zniknął.

— Duży kot? – spytała Jan. – Pantera?

— Mogła to być pantera. Mówiłam ci, że tylko zdołałam zerknąć.

Jan przypomniała sobie dzień, kiedy pantera prosiła ją o schronienie. Działo się to przecież w tym samym miejscu. Carla również wtedy z nią była.

Trzymając się z daleka od gada, Jan podeszła do dziury wyrwanej w zdewastowanej bramie i spojrzała w głąbię ciemności poza nią.

— Ostrożnie – ostrzegła najbliższa strażniczka. – Nie wiadomo, czyją uwagę mógł przyciągnąć cały ten hałas, nie mówiąc już o zapachu krwi.

Jan zlekceważyła uwagę. Zaczęła uważnie przyglądać się drzewom. Wtem spostrzegła oczy. Spoglądały na nią z wysokiej

gałęzi, świecąc zielonkawo odbitym światłem wielu lamp. Ukryte w gąszczu ciało pozostawało całkowicie niewidoczne.

— Daj mi to! – warknęła Jan, wyrywając łuk z rąk przestraszonej strażniczki.

Podniosła broń w kierunku gałęzi, gdzie widziała oczy, lecz teraz już ich nie było.

— Co się stało? Co wypatrzyłaś? – zapytała strażniczka.

Jan nie odpowiedziała.

Nasłuchiwała dźwięku – jakiegokolwiek dźwięku, który wskazywałby kryjówkę pantery, lecz usłyszała tylko odgłos odległego grzmotu. Potem ujrzała na horyzoncie światło błyskawicy.

Oddała łuk strażniczce i wymamrotała: – Burza idzie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Burza przyszła i przeszła, ale niebo wciąż pokrywały szare, ciężkie chmury. Było zimno i Jan mocniej owinęła się płaszczem. Z niepokojem spoglądała z poddasza na plac miejski. Z tego placu Władca Niebios tradycyjnie odbierał haracz i teraz, na godzinę przed południem, pokrywały go liczne worki. Różnica polegała na tym, że teraz worki zawierały nie zboże, lecz piasek i słomę.

Melissa wraz z innymi naczelniczkami przebywała w przedniej części podium, na którym w przeszłości zwykli byli zasiadać naczelniczki, by oddać grupowy pokłon przedstawicielom Władcy Niebios. Tym razem z podium ma zostać wydany sygnał do ataku. Melissa wystrzelił w powietrze czerwony płomień.

Jan rozejrzała się dookoła. Na wielu dachach pojawili się ludzie. Wizyta Władcy Niebios ściągała zwykle licznych obserwatorów. Wiele sióstr Minervy z pewnością nienawidziło Władcy Panglotha i wiele się go bało. Wszyscy jednak przyznawali, że widowisko przezeń prezentowane było imponujące. Dziewczyna spojrzała na zegarek. Władcy Niebios spodziewano się w południe. Za niecałą godzinę. Stojąca obok niej Marina zachowywała się nerwowo, manipulując przy swojej torbie narzędziowej. Nie było żadnego powodu, dla którego szympanśca miałyby przebywać na dachu, lecz po licznych prośbach o pozwolenie pozostania, Jan dała się ubłagać. Martha, przemoczona deszczem, wyglądała nieszczęśliwie i Jan pogłaskała ją pieszczotliwie za uszami. Martha wydała cichy odgłos zadowolenia, po czym powiedziała: — Martha przestraszona. Bardzo przestraszona.

— Nie martw się – odpowiedziała Jan bez namysłu. – Nie ma potrzeby. Wszystko idzie gładko.

— Samce szympansy mówią, że nie. Samce szympansy mówią, że Władca Niebios zrobi Minervę nie istnieć. Mówią, że Wojownicy Niebios przylecieć, zabić siostry... zgwałcić siostry.

— Spokój! – krzyknęła Jan. Po raz drugi tego dnia usłyszała to bluźniercze słowo. – Wiesz, że nie wolno wymawiać tego słowa, Martha!

Martha zwiesiła głowę.

— Przepraszam, pani.

Jan westchnęła.

— Nie rób tego więcej. – Wciąż nie mogła się otrząsnąć po tym bluźnierstwie.

Prawie już świtało, gdy Melissa wróciła do domu. Jan była w kuchni, zajęta śniadaniem. Próbowwała wciąż zatrzeć w swej pamięci upiorny widok zwłok Carli. Straciła całkowicie resztki apetytu, gdy zobaczyła wyraz twarzy matki. Melissa wyglądała na bardziej zmęczoną niż Jan mogła sobie wyobrazić, ale jednocześnie na jej twarzy malowała się całkowita determinacja. Był to ten typ spojrzenia, pomyślała Jan, jaki miałyby zwłoki przywrócone do życia dla jakiegoś szatańskiego celu.

Melissa spoglądała milcząco na Jan przez kilka chwil, po czym położyła przed nią na stole małą metalową rurkę. Miała ona około trzech cali długości i cal średnicy. Jan spojrzała na nią, a następnie na zaniepokojoną twarz matki.

— Co to jest?

— Bomba. Jedna z kilku wyprodukowanych przez Helen. Ona jest bardzo zdolna – powiedziała Melissa głuchym głosem. Podniosła urządzenie i pokazała Jan jeden jego koniec.

— Widzisz ten odcinek? Obracasz w kierunku wskazówek

zegara i po trzydziestu sekundach bomba wybucha.

Jan chwyciła rurkę i obejrzała ją. Chciała wyglądać na zainteresowaną, czego z pewnością oczekiwała Melissa. Dziewczyna nie mogła zrozumieć, jak przy użyciu tak małej broni można pokonać Władcę Niebios. Wyciągnęła rękę, by oddać rurkę Melissie, lecz ta potrząsnęła głową.

— Jest twoja. Od tej chwili będziesz ją nosić przy sobie.

— Lecz co mam z tym zrobić? – zdziwiła się Jan. – Czy to znaczy, że mam tym rzucić we Władcę Niebios?

Melissa spojrzała wzrokiem, który córka odczuła jak rażenie piorunem.

— Jeśli sprawy nie będą przebiegały zgodnie z naszym planem i miałybyśmy przegrać bitwę, ta mała bomba będzie naszą ostatnią szansą. Jeżeli przeżyjesz, pozwól się wziąć Wojownikom Niebios do niewoli i zabrać na pokład Władcy Niebios. Wtedy, przy pierwszej nadarzającej się okazji, umieścisz to urządzenie tam, gdzie spowoduje ono największe uszkodzenia. Umieść je jak najbliżej miejsca zawierającego łatwopalny gaz, wodór.

Usta Jan otwarły się ze zdziwienia, kiedy usłyszała słowa Melissy.

— Matko, nie mówisz tego serio!

— Oczywiście, że tak, ty głupia – warknęła Melissa, aż Jan przeszły dreszcze.

— Ależ nie mogłabym tego zrobić! – zaprotestowała, zajęta analizą ewentualnych skutków tego, co powiedziała Melissa. – Nie dam się pojmać Wojownikom Niebios! To jest nie do pomyślenia! A już sam pomysł wejścia na pokład Władcy Niebios... – Potrząsnęła głową.

— Wybór nie należy do ciebie – rzekła chłodno Melissa. – Nakazuję ci zrobić tak, jak mówię. Jeśli przeżyjesz bitwę, a chcę,

żebyś podjęła wszelkie wysiłki w tym celu, będziesz musiała się poddać. Będziesz musiała, rozumiesz?

Jan zaczęła się trząść. Spojrzała na walec, który trzymała w dłoni.

— To jest absurd – powiedziała cicho. – Nawet, gdybym została zabrana na pokład Władcy Niebios, jak mogę oczekiwać, że zniszczę go czymś tak małym jak to?

— Mam nadzieję, że nie będziesz sama. Powiedziałam ci, że Helen wyprodukowała kilka takich bomb. Zostały wręczone wybranym osobom, do których i ty należysz.

— Ale dlaczego, matko? Dlaczego ja? – krzyknęła.

— To chyba jasne. Jesteś moją córką. Jeżeli moja dzisiejsza próba zniszczenia Władcy Niebios się nie powiedzie, jest oczywiste, że moja córka musi być zaangażowana w końcowy akt zemsty. Pomścisz nie tylko Minervę, ale także honor twej matki.

Jan spojrzała w oczy matki i ujrzała, że nie ma w nich żadnej nadziei na zrozumienie. Czując, jak zaczyna ją ogarniać rozpacz, chwyciła się ostatniego argumentu.

— Matko – powiedziała powoli – nawet gdybym przeżyła zemstę Władcy Niebios, jeśli nasz dzisiejszy atak się nie powiedzie, i gdybym nawet została wzięta na pokład Władcy Niebios jako więzień, to w jaki sposób mam to ukryć przed Wojownikami Niebios? – Podniosła bombę. – Wiesz przecież, jak dokładnie Wojownicy Niebios sprawdzają nasze worki ze zbożem, zanim zabiorą je na pokład. Z pewnością znajdą bombę w moim ubraniu.

Nerwowy tik wstrząsnął lewym policzkiem Melissy. Powiedziała: — To nie będzie w twoim ubraniu, będzie w tobie.

— Czy chcesz, bym to połknęła? Ale...

— Nie bądź tępa – odburknęła Melissa. – Pomyśl chwilę, a

zgadniesz, gdzie masz to w sobie ukryć.

Jan niemalże upuściła urządzenie, lecz pamiętając, że to bomba, zacisnęła pięść.

Wstrząsnęła nią fala odrazy. Oczami wyobraźni widziała już tę chwilę.

— Nie mogłabym...

— Będziesz mogła, jak wszystkie inne, które zostały wyznaczone po to, by przemycić te urządzenia na pokład Władcy Niebios. Wątpliwe, czy Wojownicy Niebios wpadną na pomysł tak intymnego przeszukiwania. Módlmy się jedynie o to, by żaden z nich nie próbował was zgwałcić.

— Matko! – Jan zamarła, przerażona tym, że usłyszała owo najbardziej nieprzyzwoite słowo wymówione głośno. Melissa podeszła do niej i chwyciła ją mocno za ramiona.

— Jan, nie możesz sobie pozwolić na nadwrażliwość. Jest wojna. Teraz musimy stanąć oko w oko z trudnościami, o których lepiej nie mówić, a nawet nie myśleć w normalnych czasach. Nie jesteś już dzieckiem.

— A ty nie jesteś już moją matką. – Wypowiedziała te słowa, nie zastanawiając się, jakby nie powstały w jej świadomości. Nie zdziwiła się, gdy ręka Melissy wymierzyła jej bolesny policzek. Oczy Jan napełniły się łzami. Chciała przeprosić, błagać matkę o wybaczenie, lecz jej usta pozostały nieme.

— Idź do łazienki i zrób tak jak ci zaleciłam. Zaraz – powiedziała Melissa głosem drżącym z powstrzymywanej furii, a może z trudnego do ukrycia bólu. Jan bez słowa wstała do stołu i poszła do łazienki.

Stojąc niespokojnie na dachu tawerny, czuła teraz obecność bomby, która była niewygodna, ciężka i sprawiała ból. Kusiło ją, by wyrzucić tę bombę, kiedy Melissa wyszła, czuła się jednak

bezradna wobec matki i nie potrafiła się przeciwstawić jej woli. Jeszcze teraz, gdy dostrzegła odległą postać matki na podium, chciała pognać do niej i prosić o wybaczenie.

Zamiast tego rozprostowała ramiona i zwróciła twarz ku swojemu oddziałowi raketowemu, składającemu się z Pauli – strażniczki muru, Lisy – pracownicy piekarni i Petera – mężczyzny. Ten ostatni wciąż wyglądał na zakłopotanego, czego przyczyną był topór, do którego noszenia za pasem został zobowiązany. Jan miała mieszane uczucia w kwestii broni; wątpiła, czy Peter byłby zdolny do jej użycia. Trapiła ją myśl, co by się stało, gdyby topór przeszedł w ręce wroga. Przekonanie, że Peter nie byłby zdolny do użycia go, mocno ją niepokoiło. Skierowała wzrok na swój oddział. Miało to wyrażać spokój i pewność osoby dobrze się czującej w swojej odpowiedzialnej roli.

— Czy wszyscy wiemy, co zamierzamy robić, czy powinniśmy sobie to powtórzyć? – spytała.

Paula odpowiedziała za wszystkich: — Nie uważam, by było to konieczne, pani. Przy okazji, nie wydaje mi się właściwe usuwanie zamaskowania na tej platformie. Władca Niebios może się pojawić wcześniej.

Jan drgnęła. Strażniczka miała rację i przewyższała ją zdolnością logicznego myślenia. Jeszcze jedno świadectwo tego, że Jan nie nadaje się do komenderowania. Gdyby jej matką nie była Melissa, prawdopodobnie zostałaaby tkaczką lub szwaczką, zamiast maszerować dookoła w zbroi, udając wojownika.

Skinęła łagodnie na Paulę.

— Zgadzam się z tobą. Władca Pangloth zawsze był dotychczas punktualny, lecz nie zaszkodzi być bardziej ostrożnym.

Wyszła, by przejrzeć rakiety na glinianych łóżach skrytych

pod zasłoną, pomalowaną w deseń, który z góry mógł przypominać fragment dachu. Kiedy sygnał zostanie wydany, usuną siatkę maskującą, postawią w pozycji pionowej drewniane ramy podtrzymujące łoża, po czym włączą zapalnik i...

Z tyłu dobiegł ją odgłos otwierania klapy. Odwróciła się i ujrzała nadchodzącą Alse.

— Co tu robisz? – wykrzyknęła zdziwiona. – Powinnaś być na swoim stanowisku.

Jan wiedziała, że posterunek Alsy znajduje się niedaleko rośliny wytwarzającej alkohol, po drugiej stronie miasta. Alsa uśmiechnęła się. Siniak na jej twarzy był teraz purpurowy i rozciągał się od prawej skroni aż do szczęki.

— Musiałam przyjść i zobaczyć cię, moja mała. Życzyć ci szczęścia, powiedzieć, byś była ostrożna. – Objęła Jan i pocałowała ją.

Jan z rozkoszą poddała się uściskowi tak dobrze znanych sobie ramion. Alsa była jej pierwszą kochanką i pozostała najbliższą z jej przyjaciółek, mimo że później niekiedy traktowała ją z wyższością. Ale teraz, kiedy ich pocałunek się przeciągał, Jan poczuła, iż traci kontrolę nad sobą. Bała się, że wybuchnie płaczem, przylgnie do Alsy i będzie ją błagać, by nie odchodziła... W końcu uwolniła się z uścisku przyjaciółki i zrobiła krok do tyłu. Zmusiła się do uśmiechu, chociaż wyczuła, że usta kochanki drżą lekko.

— Bądź ostrożna, Alsa. A kiedy będzie po wszystkim, wpadniemy gdzieś na drinka.

— Dobry pomysł, mała. Ale tylko pod warunkiem, że będzie to drink w jednym z prywatnych pokojów. Zbyt długo nie byliśmy razem.

— Pragnę tego – powiedziała Jan szczerze.

Nie kochała się z Alszą już niemal od roku, lecz nagle wszystkie dawne odczucia seksualne Jan związane z Alszą wróciły z całą siłą. Jej pożądanie było bardzo intensywne. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy ich ciała spleją się ze sobą pod kołdrą jednego z dużych i przytulnych hotelowych łóżek. Nawet gdy chciała się pozbyć tej myśli, jakiś zimny, beznamiętny głos, pochodzący gdzieś z ciemnych głębin jej umysłu, mówił: — Już nigdy nie zobaczysz Alsy.

Ukrywając ból, jaki sprawiło jej to przeczucie, uśmiechnęła się do Alsy i powiedziała: — Do wieczora zatem. Uważaj na siebie.

Alsa pocałowała ją namiętnie w policzek.

— Ty też uważaj na siebie, moja mała.

Obserwując Alsę schodzącą na dół przez klapę, Jan zastanawiała się, czyjej przyjaciółka również nosi w sobie ów ciężki i niewygodny cylinder śmierci.

Była za minutę dwunasta. Wszyscy spoglądali na zachód w kierunku łańcucha niskich wzgórz. To od strony tych wzniesień zwykle pojawiał się *Władca Pangloth*. Tego dnia trudno było odróżnić zarysy wzgórz z powodu niskich chmur i opadów deszczu, które wystąpiły na terenach dotkniętych zarazą pomiędzy Minervą a pagórkami.

Spoglądając w kierunku wzgórz Jan nerwowo dotykała rękoności szpady.

— Łaskawa Bogini Matko – modliła się po cichu – ześlij nam cud. Nie pozwól Władcy Niebios tu przybyć. Spraw, by przepadł na zawsze, zniszcz go błyskawicą w czasie burzy – tak, jak to uczyniłaś z innym Władcą Niebios przed laty.

Dwunasta. Wciąż nie było żadnych oznak zbliżania się Władcy Niebios. I nagle Jan doznała nieprzyjemnego uczucia. Powietrze wokół niej gwałtownie zadrżało. Nie był to podmuch, lecz coś

silniejszego, jakby powietrze stało się nagle cięższe. Instynktownie spojrzała w górę.

— Bogini Matko! – wymamrotała.

Władca Niebios był dokładnie nad nimi. Podążał w dół poprzez warstwę niskich, szarych chmur. Gdy jego olbrzymia sylwetka wyłoniła się spomiędzy obłoków, te znów go otoczyły rozpędzonymi masami.

Jan poczuła się tak zagubiona i bezradna, jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyła go jako małą dziewczynka.

— Czy będziemy w stanie w ogóle zniszczyć coś tak wielkiego? – zapytała sama siebie zrozpaczona.

— Bogini Matko, ocal nas... – usłyszała słowa Lisy.

Inni również wpatrywali się w górę. Z sąsiednich dachów dochodziły podobne okrzyki nadziei i obawy. Martha schowała się w kącie dachu i lamentowała.

Dzieje się coś niedobrego – pomyślała Jan, obserwując zniżający się lot Władcy Niebios. Jego kilometrowy kształt zaczął wypełniać przestrzeń zakrywając wszystko inne. Dlaczego zmienił swą tradycyjną drogę? Dlaczego nie przybył jak zwykle z zachodu? Czy oczekiwał tego, co zamierzały uczynić?

Gdy zniżył się bardziej, Jan poczuła atawistyczny strach, który towarzyszył jej przy takich okazjach. Zdawało się, że *Władca Pangloth* ma zamiar osiąść dokładnie na budynkach miejskich, miażdżąc je swym ciężarem. Dziewczyna próbowała opanować narastające uczucie paniki, wzmagane przenikliwymi piskami Marthy.

Władca Niebios przestał się zniżać. Zawisł jakieś tysiąc pięćset stóp ponad Minervą i wielkimi oczami spoglądał w dół. Jak zwykle Jan odczuła, że wlepione są prosto w nią. Nastąpił syk, trzask, po czym głos, huczący jak grzmot. Zaczął przemawiać:

— JESTEM WŁADCA PANGLOTH, PAN NIEBIOS I WSZYSTKIEGO, CO ZNAJDUJE SIĘ PODE MNA. SPÓJRZCIE NA MNIE I DRZYJCIE! (Trzask!). JESTEŚCIE PRZEDMIOTAMI, Z KTÓRYMI ZROBIĘ TO, CO MI SIĘ PODOBA, MÓGLBYM ZNISZCZYĆ WAS JAK ROBAKI, KTÓRE PRZYPOMINACIE, ALE JESTEM ŁASKAWY. (Trzask!). W ZAMIAN ZA DANINĘ, KTÓRĄ MACIE OBOWIĄZEK MI SKŁADAĆ, OSZCZĘDZĘ WASZE ŻYCIE. DLATEGO TEŻ DAJCIE ZNAK, ŻE GOTOWI JESTEŚCIE OFIAROWAĆ MI TO, CO MI SIĘ SŁUSZNIE NALEŻY. (Trzask! Huk!). SPRÓBUJCIE TEGO NIE ZROBIĆ, A MOJA ZEMSTA BĘDZIE PRĘDKA I OKRUTNA... OKRUTNA... OKRUTNA... – Głos zamilkł nagle.

Jan zmarszczyła brwi. Ultimatum Władcy Panglotha było takie samo jak zwykle, ale trzaski i huk, jak również powtórzenie ostatniego słowa, było czymś nowym.

Odchylenia od typowego biegu wydarzeń przerażały ją. Oderwała wzrok od potwornego kształtu Władcy Niebios i spostrzegła Avedon, rozpalającą ogień na podium. Stanowiło to znak dla Władcy Panglotha, że danina została przygotowana do zabrania. Serce zaczęło jej bić szybciej. Wkrótce to nastąpi.

Gdy dym z symbolicznego stosu zaczął się unosić w górę, Jan znowu spojrzała na *Władcę Panglotha*. Próbowała przypomnieć sobie to, co matka mówiła jej za pierwszym razem, kiedy była małą dziewczynką: „Nie bój się, moja droga. To tylko sterowiec. Zabawka, która przetrwała z Wieku Męskiej Nikczemności. Wygląda potężnie, lecz w środku nie ma tam prawie nic – tylko kilku mężczyzn i mnóstwo gazu”.

To tylko sterowiec. Jan powtórzyła te słowa po cichu. Lecz na próżno. To tylko sterowiec, lecz długi na pięć tysięcy stóp i szeroki prawie na tysiąc. Znała jego rozmiary aż nadto dobrze. A wmawianie sobie, że ta przeraźliwa masa jest rodzajem iluzji –

jako że wypełnia ją głównie gaz – nie skutkowało. Skutkowało w dzieciństwie, ale teraz już nie.

Sterowiec? Nie, to było szybujące miasto. Szybujące uzbrojone miasto. Mogła dostrzec lufy śmiertelnych urządzeń zwanych armatami. Wystawały z różnych miejsc kadłuba jak kępki zarostu na jakiejś olbrzymiej brodzie. Widziała rzędy okien, pokłady, włazy i silniki w kształcie rur, każdy o wielkości silosu pszenicy. Wydawały potężny, dokuczliwy warkot, podobny do huku odległego grzmotu. Ilu niebiańskich ludzi żyło w tym olbrzymim latającym urządzeniu? Nikt nie wiedział dokładnie. Może tysiąc. Może nawet dwa tysiące.

Dźwięk dobiegający z silników sterowca Władcy Panglotha zmienił częstotliwość. Jan ujrzała te silniki, zawieszane poniżej wielkich płetw stabilizacyjnych, mogących się obracać wokół osi.

Władca Niebios przestał się obniżać. Jan oceniła, że znajduje się teraz na wysokości około sześciuset stóp. Z pewnością w zasięgu raket Spojrzała znów na podium. Już za chwilę to nastąpi.

— Przygotować się! – powiedziała do swojej drużyny. Głos jej brzmiał obco. – Martha, przestań płakać!

— Zaczyna się! – krzyknęła Lisa.

Jan spojrzała w górę. Duża część korpusu Władcy Niebios odłączyła się od reszty i obniżyła się za pomocą lin przytwierdzonych do jej boków. Wiedziała, że jest to „wózek” do danin. Wiedziała również, że znajduje się w nim oddział uzbrojonych Wojowników Niebios, których zadaniem było sprawdzanie wszystkich worków ze zbożem przed wciągnięciem ich na pokład. Spozrzegła jednego z nich, opartego o balustradę i spoglądającego w dół. Wózek pojawił się dokładnie nad celem w centrum placu, chociaż kołysały nim silne prądy powietrza. Jan

miała nadzieję, że wiatr nie przeszkodzi rakietom. Z pewnością nie miał żadnego wpływu na Władcę Niebios, który jak skała wisiał bez ruchu nad miastem. Domyśliła się, że jego liczne silniki pracują, kompensując działanie nawet najsilniejszego wiatru.

Obniżający się wózek znajdował się już teraz na wysokości około stu pięćdziesięciu stóp nad ziemią. Wojownicy Niebios, wyglądający jak wielkie skorupiaki w przestronnych, podobnych do skorup czarnych zbrojach, byli doskonale widoczni. Jan spojrzała z niepokojem na podium.

— Na co czeka matka? Czy straciła panowanie nad sytuacją?

Na podium pojawił się błysk, po czym coś zaczęło się unosić w powietrze, pozostawiając za sobą czerwoną łunę. Przez kilka sekund Jan wpatrywała się w to jak sparaliżowana, po czym zdołała się odwrócić i krzyknąć do załogi: – Teraz! Teraz!...

Ściągnęli siatkę maskującą i postawili pionowo łoże wyrzutni, podczas gdy Jan mocowała się szaleńczo ze swą zapalniczką, próbując uzyskać odpowiednią iskrę.

— Gotowe, pani! – krzyknęła Paula.

Jan udało się, ku jej wielkiej radości, zapalić świeczkę. Osłaniając płomień dłonią, przyklękała przy łożu i przytknęła świeczkę do każdego zapalnika po kolei. Kiedy była pewna, że wszystkie trzy się zajęły, wrzasnęła: – Cofnąć się!

Inni, w tym Martha, zdążyli się już odsunąć do drewnianej bariery na samym końcu dachu, kiedy Jan pomknęła w ich kierunku i położyła się płasko na ziemi. Przez kilka dłuższych chwil nic się nie działo, po czym nastąpił ogłuszający wybuch. Gdy huk przebrzmiał, dziewczyna, lekceważąc iskry migoczące na dachu, wstała i spojrzała w górę. Powietrze wypełnione było rakietami lecącymi ze wszystkich stron Minervy. Setki, setki

rakiet, a każda z nich wymierzona prosto we Władcę Niebios. Ujrzała, jak dwie rakiety uderzyły o spód wózka z ładunkiem. Wybuchły i nagle wózek stanął w ogniu.

— Wygramy! – powiedziała do siebie radośnie. – Na pewno wygramy!

ROZDZIAŁ CZWARTY

W końcu zajęli pozycję przy szpitalu. Był to jedyny nie tknięty atakiem większy budynek w Minende i dlatego właśnie tam schronili się od razu wszyscy, którzy przeżyli bombardowanie. Ze strategicznego punktu widzenia było to idealne miejsce, mogące zapewnić bezpieczeństwo w takich okolicznościach. Szpital postawiono na nie zabudowanym terenie – co stanowiło rzadki luksus w Minervie – i otoczono niewysokim murem. Wszystko to pochodziło jeszcze z dawnych lat, kiedy konieczna była co jakiś czas kwarantanna.

W szpitalu i na jego dziedzińcu przebywało osiemdziesięciu sześciu Minervian. Czterdzieści siedem osób spośród nich było poważnie rannych i nie nadawało się do walki. Wśród pozostałych trzydziestu dziewięciu, z których wszyscy odnieśli jakieś rany, znajdowało się jedenastu mężczyzn, a na nich oczywiście nie można było polegać w czasie wojny. Pozostawało dwadzieścia osiem kobiet, z których tylko osiemnaście nadawało się do walki. Między nimi Jan.

Stała na murze przyszpitalnym, obserwując zbliżających się Wojowników Niebios. Trzymała w dłoniach ciężki luk. Po twarzy spływała jej krew ze zranionej głowy, a ramiona i nogi były pokryte licznymi skaleczeniami. Uszy miała jeszcze pełne odgłosów eksplozji, która spowodowała, iż obsunęła się wraz z kawałkami dachu tawerny. Była ogłuszona i nie dosłyszała ostrzeżenia, wykrzyczanego przez kobietę znajdującą się obok niej. Dopiero gdy kobieta silnie schwyciła ją za łokieć, Jan odwróciła się i spostrzegła jakąś osobę skradającą się wzdłuż niewysokiego muru. Powoli osunęła się na kolana, pozostawiając

łuk na szczycie muru. Wszystko wydawało się nierzeczywiste. Tak wiele wydarzyło się w ciągu ostatniej godziny, że jej zdolności percepcyjne zostały znacznie osłabione. Stan ciągłego szoku sparaliżował ją i wywołał poczucie oderwania od rzeczywistości. Nie czuła strachu, gdy Wojownicy Niebios z przedniej linii zatrzymali się i skierowali jednostrzałowe karabiny na obrońców Minervy. Jan wiedziała o istnieniu karabinów i była doskonale świadoma ich siły rażenia, ale zreflektowała się i schowała głowę za mur dopiero wtedy, gdy kobieta obok ponownie szarpnęła ją za ramię.

Huk strzałów napełnił jej uszy. Kamienne odłamki spadały ze szczytu muru. Zatrzymywały się w niewielkiej odległości od Jan. Ujrzała, jak kobieta znajdująca się w dalszej części muru kurczowo przycisnęła ręce do twarzy i upadła.

— Teraz! – wykrzyknął ktoś z bliska. Jan wiedziała, co ma robić. Wychyliła głowę nad mur i schwyciła łuk. Wojownicy Niebios zbliżali się w szybkim tempie. Wielu z nich miało bagnety na karabinach. Nadchodzili krzycząc. Jan złożyła się do strzału. Zbroje Wojowników Niebios nie były metalowe, lecz miały wystarczającą twardość, by nie przebiła ich strzała, wypuszczona ze zbyt dużej odległości.

Kiedy żołnierz, wybrany przez Jan jako cel, znajdował się w odległości dwudziestu stóp, wypuściła strzałę. Łuk zabrzączał, a żołnierz upadł na ziemię. Właśnie zabiłam pierwszy raz w życiu człowieka – pomyślała, lecz świadomość tego faktu nie wywołała w niej żadnej reakcji emocjonalnej. Naraz spostrzegła, że jej ofiara nie jest martwa. Żołnierz wił się na ziemi, a zakończony lotką odcinek strzały wystawał z jego lewego ramienia. Krew wyglądała bardzo jasno na tle czarnej zbroi.

Kilku Wojowników Niebios leżało na ziemi obok powalonego

żołnierza. Wielu z nich już się nie poruszało. Ich towarzysze wycofali się. Kobiety za murem wydały krótki okrzyk. Ktoś wykrzyknął jakiś arogancki komentarz pod adresem Wojowników, chociaż Jan nie mogła rozróżnić słów. Kilka kobiet roześmiało się.

Jan uznała, że śmiech nie jest reakcją stosowną, i machinalnie naciągnęła ponownie łuk. Coraz więcej Wojowników Niebios wypełniało drogę, więc wiedziała, że nie ma co marzyć o powstrzymaniu ich ponownego ataku. Rozejrzała się za Władcą Niebios. Znajdował się teraz dwie czy trzy mile na wschód od miasta. Wisiał nisko na niebie jak ogromna ryba. Prześwit wśród chmur oświetlał srebrne, podobne do łusek blachy, które pokrywały górną połowę jego kadłuba, nadając mu wygląd ryby. Jedno wielkie oko, które dojrzała w przedniej części, zdawało się błyszczeć wyczekująco. Żałowała, że nie może posłać strzały w kierunku tego okropnego oka i oślepić go na zawsze. Nawet gdyby miała tak potężną broń, strzała nigdy nie dosięgłaby Władcy Niebios. Nie uczyniła tego także żadna z rakiet.

Kiedy zaczęło się bombardowanie i Jan próbowała na placu znaleźć Melisę, natknęła się na Helen, która chodziła w kółko bez celu. Straciła prawe ramię poniżej łokcia i choć ktoś założył jej opaskę uciskową, z kikuta wciąż sączyła się krew. Helen z pewnością była w stanie szoku, lecz Jan nie zważając na to pochwyciła ją za ramiona i gwałtownie potrząsnęła.

— Co się stało? – wykrzyknęła zachłystując się, gdyż kolejna chmura ciężkiego czarnego dymu przepłynęła przez plac. Budynki wokół płonęły, a gdy tylko dym zniknął, pojawiały się fale trzaskającego ognia. Jan odzyskała oddech i znów potrząsnęła Helen.

— Co się stało, ogłuchłaś?

Jedyną odpowiedzią Helen było puste spojrzenie. Jan zostawiła ją i chwiejnym krokiem wycofała się z zadymionego obszaru. Zaszlochała w poczuciu bezsilności. To nie był strach.

Chciała wiedzieć, co się stało, skoro zwycięstwo wydawało się tak pewne... Rakiety działały przecież doskonale, z wyjątkiem kilku, które wyrwały się spod kontroli krótko po odpaleniu. Ale bez wątpienia nie chodziło o tych kilka nieudanych, przewidzianych przez Helen jako niewypały. Większość rakiet dążyła dokładnie do celu. I wtedy, gdy pierwsze rakiety znajdowały się w odległości mniejszej niż sto stóp od kadłuba Władcy Niebios, wszystko zaczęło się psuć. Strumienie światła – bardzo jasne strumienie turkusowego światła – wytrysnęły z różnych punktów kadłuba Władcy Niebios i każdy z nich sięgnął rakiety. Kim byli ci, którzy potrafili wycelować w poruszające się obiekty broń – gdyż wkrótce okazało się, że strumienie światła stanowiły broń – z tak wielką dokładnością? Właśnie wtedy, gdy Jan zadawała sobie to pytanie, rakiety zaczęły eksplodować. Jedna po drugiej. Świetlista kula ognia określała pozycję każdej z rakiet. Wkrótce Jan ujrzała, jak ta płonąca lawina zaczęła spadać z nieba. W tym czasie Władca Niebios wzniósł się. Wózek załadunkowy, wciąż gwałtownie płonący, nie został wciągnięty w górę. Zauważyła, jak wyskakuje z niego jeden z Wojowników Niebios, cały w płomieniach.

— Co się stało? Co to było za światło? – zapytał ktoś oszołomiony. Była to Paula. Pytanie pomogło Jan otrząsnąć się z niemocy.

— Załaduj lufy! – zażądała energicznie. – Szybko, dopóki *Władca Pangloth* jest blisko.

Podczas gdy jej drużyna spieszenie przygotowywała kolejne trzy rakiety do odpalenia, dolatujący zewsząd szum uświadomił

Jan, że inni zareagowali szybciej niż ona. Spojrzała na dół w kierunku podium, lecz po odpaleniu rakiet pozostało tyle dymu, że niczego nie mogła dostrzec. Zastanawiała się, o czym myśli w tej chwili jej matka.

Coś uderzyło w dach obok niej i Jan odskoczyła z okrzykiem bólu, gdyż na jej lewą nogę prysnęły iskry. Zauważyła, że był to płonący ogon rakiety. Wykorzystała go do zapalenia świeczki i nakazała pozostałym, by się odsunęli. Sama tymczasem zapalała lont... Za chwilę uświadomiła sobie ze zgrozą, że wszystko to jest stratą czasu. Znowu turkusowe promienie światła pomknęły z pokładu sterowca Władcy Panglotha. Rakiety, tym razem mniej liczne, przekształciły się w ogniste kule zbyt daleko od celu, by wyrządzić mu jakąś szkodę.

Władca Niebios wciąż się wznosił. Płonący wózek transportowy oderwał się, gdyż albo został odcięty, albo przepaliły się liny utrzymujące go w powietrzu. Spadł na ziemię, rozbijając się na kawałki. Jan obserwowała jego upadek z odległości kilku domów po drugiej stronie placu.

Przez pewien czas, około pięciu minut, nic się nie działo, Władca Niebios osiągnął wysokość mniej więcej czterech tysięcy stóp i przestał się wznosić. Częściowo zasłonięty przez niską chmurę, wisiał jedynie nieruchomo w złowrogim milczeniu.

— Co robić? – spytała Paula ze strachem w głosie. Jan zadała sobie już wcześniej to pytanie. Spojrzała w stronę podium z nadzieją, że matka wynajdzie jakiś cudowny sposób, choć wiedziała, że taki sposób nie istnieje. Martha wyłoniła się ze swego ukrycia pod niepotrzebną już siatką maskującą i objęła ramionami nogi Jan.

— Pani, pani – lamentowała, wciskając twarz w spódnicę Jan.

Zirytowana Jan próbowała się uwolnić od silnego uchwytu

szympansicy. Czuła się zbyt przestraszona, by tracić czas na uspokajanie Marthy.

— Patrzcie! – krzyknął Peter. Wskazywał w górę na Władcę Niebios. Jan spojrzała i dostrzegła kilka spadających małych obiektów. Gdy się zbliżyły, usłyszała syczący odgłos...

Gdy pierwszy z nich wylądował na placu dokładnie naprzeciw tawerny, wypuszczając strumień dymu i wyrzucając ziemię wysoko w powietrze, Jan zorientowała się, że te obiekty to bomby. Słyszała o tej broni Władcy Niebios, gdy była dzieckiem. Za jej pomocą Władca Niebios podbił mieszkańców Ziemi po Wojnach Genetycznych.

Coraz więcej bomb spadało na ziemię i nagle cały świat wydał się Jan wypełniony hałaśliwym i oślepiającym światłem. Przeszyła ją fala przerażenia. Czuła, że miażdży ją ogromna, niewidzialna poduszka. Leżała oszołomiona na plecach przez dłuższy czas, zanim zdołała przewrócić się na brzuch i popęznąć do balustrady na skraju dachu. Spojrzała i jej oczy wypełniły się łzami. Minerva była w stadium niszczenia. Ogień szalał w całym mieście, a bomby wciąż spadały. Spostrzegła wielką ognistą kulę unoszącą się nad drugą stroną miasta i zrozumiała, że bomba uderzyła w roślinę alkoholową.

— Alsa – wyszeptała do siebie. Plac stał się skupiskiem kraterów. Tam, gdzie mieściło się podium, teraz znajdowała się sterta czerniałego, dymiącego drewna. Musiała zejść na dół, musiała znaleźć matkę.

— Ty cholerny tchórze! – wykrzyknął ktoś za nią. Odwróciła się i ujrzała Lisę, strażniczkę muru, stojącą i wymachującą szpadą w kierunku czarnego kształtu Władcy Niebios. – Zbliżcie się, męscy idioci! Zbliżcie się i walczcie z nami jak kobiety!

Wobec tego, co się stało później, widok potężnej, złotowłosej

wojowniczką, wykonującą odważne, acz daremne gesty w kierunku olbrzyma znajdującego się nad jej głową, mocno wbił się w pamięć Jan.

Ujrzała, jak bomba uderza w dach. Trwało to tylko mgnienie oka, po czym w miejscu, gdzie stała Lisa, powstała dziura w dachu. Bomba nie wybuchła natychmiast. Widocznie zdołała przelecieć przez całą konstrukcję tawerny, zanim uderzyła w kamienną posadzkę na dole i eksplodowała. Jan spostrzegła, jak tylna część dachu wylatuje w powietrze i znika. Lisa znikła również. Z kolei Jan zaczęła spadać, gdyż fragment dachu zapadł się pod nią. Spadając, usłyszała głos Marthy wydzierającej się ze strachu. Nigdy nie zobaczyła już szympanscy ani nikogo spomiędzy tych, którzy byli z nią na dachu.

Nagle przestała spadać, wylądowała bowiem na czymś miękkim. Było to łóżko. Jedno z dobrze jej znanych, wygodnych łóżek tawerny. Chyba to samo łóżko, na którym chciały się kochać z Alsą tego wieczoru, gdyby dzień ten przebiegł tak, jak pragnęła tego Jan. Znacznie później, kiedy Milo, podczas jednego z licznych swoich wykładów na dziwaczne tematy, powiedział Jan o koncepcji alternatywnych kosmosów, często myślała o tym, że gdzieś, w jednym z tych pobliskich światów, mogłaby odbyć tego wieczoru ową romantyczną randkę z Alsą.

Nie pozostała w łóżku zbyt długo; zaczęło się przechylać na zapadającej się podłodze. Wskoczyła z niego i przyłgnęła do framugi okiennej. Wyglądając stąd, dostrzegła, że cały tył tawerny przestał istnieć. Zdawało się, jakby jakieś wielkie ostrze przekroiło budynek na połowę. Łóżko nabrało prędkości, ześlizgnęło się na zwisający skraj podłogi i znikło. Usłyszała, jak roztrzaskuje się o fundament. Wyrzała i spostrzegła, że spada z wysokości dwóch pięter. Gruz sypał się ciągle przez dziurę nad

głową. Musiała się stąd wydostać.

Wdrapała się na parapet i spojrzała w dół. Dach werandy rozciągającej się przed tawerną znajdował się w odległości kilku stóp niżej. Zeszła tam, spuściła się po rynnie na balkon werandy, po czym zeskoczyła. I znów została zdmuchnięta falą uderzeniową wybuchającej bomby. Leżała w dolnej części werandy, zatykając rękami uszy, do momentu, aż bomby przestały spadać. Dopiero wtedy, gdy była pewna, że bombardowanie rzeczywiście się skończyło, wstała i udała się na zrujnowany plac, by poszukać matki. To tu właśnie natknęła się na oszołomioną i błędzącą Helen.

Nie znalazła już ciała Melissy. Nie byłaby w stanie jej rozpoznać, jeśli zginęła. Otaczały ją porozrzucane fragmenty ciała, lecz nie miała tyle odwagi, by oglądać je zbyt dokładnie. Jednak znalazła ciało naczelniczki Avedon. Pomimo potwornie spalonej twarzy, guz na jej skroni był wciąż wyraźnie widoczny. Lepiej zginąć w ten sposób, pomyślała Jan, niż powoli i w męczarniach umierać z powodu guza. Przynajmniej jedna z nas otrzymała coś dobrego w tym koszmarnym dniu.

Plac wypełniał się znów ludźmi, którzy musieli się ratować ucieczką z płonącego miasta.

Jan dostrzegła naczelniczkę Annę i ucieszyła się, że widzi kogoś, kogo dobrze zna. Chociaż była to główna rywalka matki, popędziła w jej stronę.

— Anno! – krzyknęła w biegu.

Usłyszawszy swe imię, Anna odwróciła się. Skrzywiła się, gdy zobaczyła Jan, wyjęła szablę i ruszyła w jej kierunku.

— Ścierwo! – krzyknęła. – Pomocie diabelskiej matki, która zamordowała nas wszystkie.

Być może twoja matka nie żyje, lecz chcę mieć satysfakcję, że

nadziałam cię na szablę!...

Pełna przerażenia Jan cofnęła się i wydobyła własną szablę akurat w porę, by zdążyć odparować pierwszy podstępny cios Anny.

— Anno, nie! Nie chcę z tobą walczyć! – błagała Jan, lecz bez skutku.

Do Anny nic nie docierało. Jan odparowała kolejny cios, który silnie wstrząsnął jej ramieniem. Postanowiła się wycofać. Bała się, że Anna ją zabije. Histeryczna nienawiść naczelniczki dodawała jej nadnaturalnej siły.

— Rzucają następne bomby! – wrzasnął ktoś obok.

Fakt ten, jak i alarmujące okrzyki innych spowodowały, że Anna zaprzestała ataku i spojrzała w górę. Jan poczuła się na tyle bezpieczna, że zrobiła to samo. Władca Niebios poruszał się, pozostawiając za sobą w powietrzu chmurę małych, czarnych obiektów, jak samica żaby składająca skrzek w wodzie. Jan również myślała najpierw, że to kolejne bomby, lecz wkrótce ujrzała dziwne kształty wykwitające nad każdym z obiektów. Gdy obiekty zbliżyły się do ziemi, Jan ujrzała, że są to Wojownicy Niebios. Setki Wojowników. Sądziła, że większość wyląduje w ogniu wywołanym bombami Władcy Niebios i zostanie spalona. Oni jednak byli bardzo sprawni w obsłudze czarnych szmacianych baldachimów falujących nad ich głowami. Żaden nie wylądował w płonącym mieście, lecz obok niego, w przestrzeni pomiędzy skrajem miasta a murem. Potem szybko zaczęli się zbiegać z różnych stron i gromadzić w jednym miejscu.

— Są tu znowu!

Tłum uzbrojonych na czarno Wojowników ruszył pełną drogą w kierunku szpitalnego muru. Jan wiedziała, że to koniec, lecz

wciąż nie czuła strachu. Wiedziała, iż wkrótce będzie to wszystko miała za sobą i umrze. Wycelowała znowu i czekała. Czarnych postaci przybywało. Wystrzeliła, zobaczyła, jak jej ofiara pada, jak padają inni, lecz i to nie powstrzymało zbliżania się Wojowników Niebios. Kilku z nich w biegu wypaliło z karabinów. Jan słyszała świst lecących pocisków. Jeden przeleciał bardzo blisko jej głowy. Nie było czasu na to, by powtórnie naciągnąć łuk. Porzuciła go więc, schwyciła szablę i topór, i zaczęła się wycofywać. Inni robili to samo. Kobieta znajdująca się z prawej strony Jan nagle zacharczała i upadła na plecy. Jan zerknęła na nią i dostrzegła okrągłą dziurę w jej czole. Zazdrościła jej szybkiej śmierci.

Wojownicy Niebios przekraczali mur. Byli bliżej niż kiedykolwiek przedtem. Mogła nawet dostrzec ich oczy patrzące zza wąskich szpar wyciętych w błyszczących, czarnych maskach. Nadchodząc, wykrzykiwali coś głośno. Jan, z toporem w lewej ręce i szablą w prawej, ruszyła im na spotkanie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Leżała w odrętwieniu. Wtem czyjś trzewik uderzył ją w lewy bok. Jęknęła i próbowała otworzyć oczy, lecz powieki miała sklejone. Pulsujący ból rozsadzał jej głowę. Odczuwała silne pragnienie.

— Ta jedna jeszcze żyje – powiedział jakiś męski głos.

— Sądząc po jej wyglądzie, nie będzie to trwało zbyt długo. Mogę zresztą wyświadczyc przysługę tej gliście i poderznąć jej gardło – dodał inny głos, także męski.

Jęknęła znowu, tym razem głośniejsze, i próbowała usiąść, lecz jej ciało odmówiło wykonania jakiegokolwiek ruchu. Usłyszała zgrzyt i poczuła, że ktoś dotyka jej policzka i obraca gwałtownie głowę. Czekwała na ostrze noża, które poderźnie jej obnażone gardło. Jednak ręka puściła policzek, a czyjeś palce zaczęły szarpać jej ciało w okolicach piersi.

— Nie widać niczego poważnego. Krew nie jest chyba jej – powiedział pierwszy z głosów, teraz już z bliska.

— Widocznie to krew tamtego biednego kretyna – powiedział drugi głos. – Spójrz, wygląda, jakby przypadkowo zadała mu cios w pachę.

To nie było przypadkowe – pomyślała Jan urażona. Dokuczliwy ból wypełniał jej głowę. Kiedy Wojownik Niebios podniósł ramiona, by roztrzaskać mi głowę kolbą karabinu, zadałam mu wyjątkowo silny cios.

— Więc jak myślisz? – zapytał pierwszy głos.

— Jestem za tym, byśmy poderznięli jej gardło.

— Zarządzenie mówiło, żebyśmy zabierali jeńców, a jak dotąd poszukiwania są mało owocne.

— Zarządzenie mówiło, byśmy zabrali kilku ważnych jeńców, tak, by Aryści mogli ukarać ich za zdradę. Czy ta suka wygląda na ważną? Przede wszystkim jest zbyt młoda.

— Tak – powiedział pierwszy głos powoli. – Ona może być ważna. Sądzę, że pomimo skorupy krwi, jaką ją pokrywa, może być księżniczką wśród tych glist Jej zbroja wygląda na kosztowną.

Nastąpiła długa przerwa, zanim drugi głos powiedział: — Jeśli ona jest księżniczką, to ja jestem Władcą Panglothem, ale myślę, że mimo wszystko możemy ją zabrać. Jeśli się okaże, że nie jest na tyle ważna dla Arystów, by się nią zajmowali, będziemy mogli ją zabrać jako niewolnicę.

Mężczyzna w rękawiczkach chwycił Jan za rękę i postawił gwałtownie na nogi. Nagły ruch spowodował jeszcze silniejszy ból głowy, więc zaczęła krzyczeć. Wciąż nie była w stanie otworzyć oczu. Byłaby upadła, gdyby niewidoczni zdobywcy nie podtrzymali jej.

Nagle ktoś schwycił ją za nadgarstki i poczuła, jak owija się wokół nich lina.

— Chodźmy – zarządził drugi głos, po czym nastąpiło szarpnięcie za linę. Ślepa, nieprzytomna z bólu i szoku, Jan nie była w stanie się przeciwstawić. Z ogromnym trudem próbowała stawiać kroki.

Dopiero, gdy doszli do placu, udało jej się otworzyć oczy. Zaczęło padać, dość mocno nawet. Zimna woda zmywała zastygłą krew, zalepiającą jej powieki. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła czarną zbroję Wojownika Niebios. Lina krępująca jej rękę zwisała z jego ramienia.

Obok Jan, po prawej stronie, szedł inny wojownik. Odwrócił głowę w jej kierunku, gdy na niego spojrzała.

— Widzisz już? – zapytał chłodno. – Dostrzegła niebieskie oczy, wyzierające spod brzydkiego hełmu. – Świetnie. Ślepy niewolnik nie jest wart nawet dwóch centów – usłyszała.

Chciała odpowiedzieć, ale gardło miała zbyt zaschnięte. Odchyliła więc głowę do tyłu i otworzyła usta, by schwytać nieco deszczówki. Zimna woda smakowała tak wspaniale, iż wkrótce poczuła się zadowolona, że wciąż jeszcze żyje. Gdy się jednak rozejrzała, powróciło uczucie rozpacz. To, co pozostało z Minervy, było prawie nie do rozpoznania. Deszcz wygasił ogień, lecz zanim to nastąpiło, płomienie zdążyły już wykonać swe niszczycielskie dzieło. To, co nie zostało zdruzgotane przez bomby, spłonęło później.

Dostrzegła Wojowników Niebios przetrząsających ruiny w poszukiwaniu jakichś nie zniszczonych łupów. Sądząc po stosie różnych rzeczy na placu, mieli dość dużo szczęścia. Zobaczyła nawet kilka leżących dookoła worków ze zbożem, co oznaczało, iż natknęli się na podziemne spiżarnie. Wojownicy Niebios załadowywali łupy na dwa wózki, takie same jak ten, który został wcześniej zniszczony. Jan domyślała się, iż Władca Niebios znajduje się dokładnie nad jej głową, lecz nie można go było dostrzec. Liny wózków ładowniczych niknęły jakieś pięćdziesiąt stóp ponad ziemią.

Jan skierowano do dużej, solidnie wyglądającej, plecionej klatki. Doczepiona była do niej pojedyncza lina, która podobnie jak liny wózków zniknęła w górze wśród chmur. W klatce znajdowało się około dwudziestu ludzi. Gdy podeszła, zauważyła, że nie ma tam nikogo z jej krewnych lub bliskich przyjaciół. Udało się jej rozpoznać tylko kilka osób. Jeśli to prawda, że są to wszyscy mieszkańcy Minervy, jacy przetrwali, znaczyło to, że wszyscy, których kiedykolwiek kochała czy lubiła, zginęli. Matka,

ojciec, Alsa, wszystkie jej przyjaciółki... a nawet Simon. To nie mieściło się jej w głowie. Do tej pory straciła tylko jedną bliską osobę z rodziny. Była to Pola, jej starsza siostra, która przyszła na świat w okresie urodzeń poprzedzającym narodziny Jan. Pola zginęła w bitwie z bandą rabusiów podczas służby przy murze na jednej z odległych rubieży, jakieś sześć lat temu. Wiele czasu zajęło Jan pogodzenie się ze śmiercią Poli. Teraz stanęła w obliczu zagłady całego swojego świata.

— Kogo tu macie? – pytał Wojownik Niebios stojący przy klatce, gdy prowadzący ją dwaj mężczyźni zatrzymali się. Ten, który trzymał linę, zaczął uwalniać nadgarstki Jan.

— Nie jestem pewien, panie – powiedział drugi wojownik, ten, którego określiła mianem „pierwszego głosu” i który wydał jej się sympatyczniejszy. – Sądząc po jej zbroi może mieć wysoką rangę. Może być nawet księżniczką, panie.

Trzeci wojownik zachichotał i podszedł bliżej, by się jej lepiej przyjrzeć.

— Amazonki nie mają księżniczek, żołnierzu. Lub raczej nie miały. Usiłowały być bardzo demokratyczne. Choć istniało tam coś w rodzaju klasy rządzącej.

Gdy się zbliżył, Jan zauważyła, że ma odmienny ubiór niż pozostali dwaj i jest z pewnością oficerem.

— No, co ty na to, amazonko? – rzucił. – Czy byłaś kimś ważnym w tym mieście glist?

Krople deszczu złagodziły suchość w jej gardle, mogła więc odpowiedzieć: — Nie – rzekła chrapliwie. – Byłam zwykłym żołnierzem.

Nagle przypomniała sobie, że ma na szyi łańcuch i medalion, insygnia oznaczające, iż jest córką naczelniczki. Nosiła to pod zbroją.

— Zwykłym żołnierzem – powtórzył drwiąco. Nagle chwycił ją za ramię i popchnął w stronę klatki. – Ej, wy! – wrzasnął. – Czy ktoś z was wie, kim jest ta dziewczyna?

Mieszkańcy Minervy, siedzący po bokach dużej klatki, spojrzeli na Jan. Ich twarze były szare od szoku i zmęczenia. Dostrzegła, że ponad połowę pojmanych stanowią mężczyźni.

— Więc? – domagał się odpowiedzi Wojownik Niebios.

Więźniowie potrząsnęli przecząco głowami. Jan poczuła się raźniej. Nie martwiła się, czy będzie żyć, lecz usłyszawszy, co mówili dwaj wojownicy, zaczęła się obawiać, że dostanie się w ręce Arystów. Myśl o torturach przerażała ją.

— Tak czy owak – wymamrotał oficer ze złością w głosie – zdejmijcie z niej zbroję i umieśćcie ją w klatce wraz z resztą tych glist. – Popchnął Jan w stronę dwóch pozostałych.

Odpięli jej napierśnik. Dreszcz paniki ścisnął jej żołądek. Oficer z pewnością dostrzeże medalion na jej szyi. Gdy zbroja została zdjęta, podszedł bliżej i pochwycił medalion rękawicą.

— O, to jest interesujące – powiedział. – Wygląda jak czyste złoto. Co oznacza?

Przełknęła ślinę.

— To jest... to jest medal. Otrzymałam go za odwagę. Przy murze. Zatrzymałam jednego z wielkich jaszczurów, który usiłował wkroczyć... – Mówiąc to, czuła do siebie wstręt. Kłamie im teraz bezczelnie dla swego ocalenia. Gdyby matka mogła to słyszeć... Oficer nieoczekiwanie zdjął medalion z jej szyi, zrywając łańcuch, i wsunął go sobie do sakiewki przy pasku.

— Całkiem odważna z ciebie amazonka. Ale jesteś mała jak na amazonkę. Mniej więcej tego samego wzrostu, co wasze eunuchy.

— Ech, myśleliśmy, że weźmiemy ją dla siebie, jeśli nikt jej nie Zechce – powiedział „drugi głos” niepewnie. – Zobaczymy, czy

uda się ją sprzedać jednemu z cechów niewolniczych.

— Nie widzę problemu – rzekł oficer. – Ale oczekiwałbym procentu.

— Oczywiście, panie – powiedział „drugi głos”. – To się rozumie samo przez się.

— Miło mi to słyszeć – powiedział oschle oficer. – Kończmy z nią i zbierzmy naszą grupę. Wkrótce wyruszamy.

— Tak jest!

Zdjęli jej rękawice, trzewiki i pas z bronią, po czym „drugi głos” przetrząsnął jej ubranie, prawdopodobnie poszukując ukrytej broni. Cofnęła się, gdy jej dotknął, bała się bowiem, że to może być początek gwałtu. Bombę wciąż miała w sobie. Czula ją wyraźnie, owiniętą w szmatę. Żałowała, że nie pozbyła się jej w czasie bitwy. Przegląd skończył się jednak szybko i teraz została pchnięta w kierunku wejścia do klatki, którą otworzył jeden z Wojowników Niebios. Wepchnięto ją do środka, po czym usłyszała, jak drzwi za nią się zatrzasują.

— Usiądź wygodnie wśród swoich przyjaciół, jeśli chcesz. Wkrótce będziesz uczestniczyć w bardzo interesującej wycieczce – powiedział oficer i zaśmiał się. Na szczęście Jan usiadła pomiędzy dwiema kobietami. Czula się kiepsko, a jej głowa wciąż pulsowała z bólu. Gdy oficer i dwaj wojownicy odeszli, zabierając jej napierśnik i pozostały sprzęt, kobieta po jej prawej stronie powiedziała: — To ty jesteś córką naczelniczki Melissy, prawda? Tej, która spowodowała to wszystko?

Jan spojrzała na nią. Wydała się jej znajoma, choć nie znała jej imienia. Postanowiła zaprzeczyć i przeciwstawić się temu oskarżeniu.

— Moja matka nie spowodowała tego sama. Większość Rady głosowała za nią podczas dwóch posiedzeń.

— Wszystko jedno. Przeciwwstawienie się Władcy Niebios było jej pomysłem. I zobacz, do czego to doprowadziło. – Kobieta z wysiłkiem podniosła dłoń, by wskazać wypalone ruiny miasta.

Jan spojrzała. Nie miała dość siły, by się sprzeczać.

— Dlaczego nie powiedziałaś Wojownikom Niebios, kim jestem?

Błyszczące oczy kobiety spojrzały na Jan z zimną pogardą. Wtedy przypomniała sobie, jak patrzyła na nią Anna. Gdyby nie przybycie Władcy Niebios, Anna z pewnością byłaby ją zabiła. Jan poczuła, jak wzbiera w niej fala rozpacz. Nie dość, że znajduje się w rękach wrogów, jest także znienawidzona przez swych własnych ludzi. Rozejrzała się po klatce. Ci, którzy dosłyszeli słowa kobiety, spoglądali na nią z pogardą, nawet mężczyźni. Zamknęła oczy. Niech robią, na co mają ochotę. Los był dla mnie łaskawy – pomyślała gorzko. Przeżyła, choć nie powinna. Sądziła, że zginie w ostatniej bitwie przy szpitalu. Obrona szybko została zdławiona i wkrótce Jan znalazła się sama w morzu Wojowników Niebios. Jeden podniósł kolbę karabinu, by ją ogłuszyć, lecz wyprzedziła go. Potem nie pamiętała już niczego. Przypuszczała, że kolba jednak jej dosięgła, pozbawiając przytomności. Jej ciało pokryte krwią sprawiało widocznie wrażenie martwego do czasu zakończenia bitwy, kiedy to Wojownicy Niebios zaczęli myśleć o wzięciu jeńców. Zastanawiała się, co się stało ze wszystkimi rannymi w szpitalu, teraz uprzytomniła sobie, jaka musiała to być rzeź...

Po pół godzinie deszcz się skończył. Otworzyła oczy i spojrzała w górę. Władca Niebios przesłonięty był wciąż szarą chmurą, lecz czuła, że unosi się bardzo nisko nad nimi. Zdawało jej się, że słyszy odgłos jego licznych silników. Na placu znajdowało się teraz już niewielu Wojowników Niebios i pozostał tylko jeden

wózek towarowy. Przypuszczała, że wkrótce wyruszą. Zastanawiała się, dlaczego klatka nie została jeszcze zabrana na pokład sterowca Władcy Niebios. Spojrzała znowu na pojedynczą linę przyczepioną do szczytu klatki. Była gruba, lecz wystrzępiona. Jan nie sądziła, by taka lina mogła utrzymać dwadzieścia jeden osób, nawet w czasie krótkiej podróży na pokład statku Władcy Niebios.

W chwilę później ostatni wózek towarowy wzniósł się w górę, zabierając resztę Wojowników Niebios i ich łup. Klatka jednak wciąż pozostawała na zbombardowanym placu. Jan zaczęła się martwić. Co ich czekało?

Klatka wreszcie uniosła się w powietrze. Jan wraz z innymi musiała uchwycić się prętów, gdyż klatka zaczęła się obracać w kółko na końcu liny. Lina wydawała skrzypiące odgłosy. Jeden z mężczyzn zaczął krzyczeć. Jan nie potępiała go za to.

Bardzo szybko zostali wciągnięci w szarą przestrzeń niskiej chmury. Jan nie była nawet w stanie dojrzeć kobiety siedzącej obok. Uchwyciła się mocniej prętów, gdyż kołysanie stało się intensywniejsze. Miała zawroty głowy i zamykała oczy. Obawiała się wejścia na pokład Władcy Niebios i modliła się gorąco do Bogini Matki, by ta podróż w górę trwała jak najdłużej.

Po pewnym czasie klatka wyłoniła się z chmury. Jan otworzyła oczy i spojrzała w górę. Nad jej głową wisiał *Władca Pangloth*, straszliwy w swym ogromie. Znajdował się jakieś dwieście do trzystu stóp nad nimi. Lina doczepiona do klatki sprawiała wrażenie tak delikatnej jak kawałek nitki bawełnianej wystającej z brzucha olbrzymiego sterowca. Nagle Jan uświadomiła sobie coś, co sprawiło, że zdrętwiała z przerażenia.

Klatka unosiła się, lecz nie była wciągana. Po prostu zwisała na końcu liny. Spojrzenie w dół na oddalającą się płaszczyznę

chmury leżącej poniżej klatki budziło grozę. Wznosili się gwałtownie ponad chmurę, lecz nie zbliżało ich to do Władcy Niebios. Inni zaczęli to również spostrzegać.

— Co się dzieje? – lamentowała jedna z kobiet. – Dlaczego nas nie wciągają?

Klatka, obracając się w jedną i drugą stronę, wciąż nie przestawała wydawać zgrzytliwych odgłosów. Jan nie byłaby zdziwiona, gdyby wszystko roztrzaskało się wokół nich w kawałki. Pleciona podłoga, poprzez którą mogła widzieć chmury poniżej, wyglądała szczególnie niesolidnie. Postanowiła wspiąć się na jedną ze ścian klatki i zahaczyć ręce i nogi o otwory w siatce. Nie było to wygodne, lecz czuła się bezpieczniej.

— Wciąż się nie poruszamy – krzyknął ktoś. – O co chodzi tym draniom?

— Będą odcinać linę. Wiem o tym! – krzyknęła jakaś kobieta. Ktoś inny, jakiś mężczyzna, zaczął szlochać. Jan pomyślała o tym samym. Drugą możliwością było pozostawienie ich przez Wojowników Niebios tu w klatce do czasu, aż pomrą z pragnienia, głodu lub zimna, albo jednocześnie z tych trzech przyczyn. Ale wobec tego dlaczego mówili o wysłaniu jej do niewolniczej pracy?

Zęby zaczęły jej szcząkać. Robiło się coraz zimniej i wilgotniej, im wyżej się wznosili.

O tak, powiedziała do siebie. Pragnę jednej rzeczy. Chcę umrzeć... Lecz kiedy parę minut później kobieta, która ją rozpoznała, powiedziała: – Ktoś z nas powinien się wspiąć i odciąć linę. Lepiej zadać sobie śmierć własnymi rękami niż umrzeć z rąk tych męskich potworów. – Jan szybko zaprotestowała.

Wciąż chciała umrzeć, lecz nie w ten sposób. Nie mogła sobie

wyobrazić długiego spadania poprzez chmury i straszliwego końcowego wstrząsu w dole.

Kobieta zadrwiła:

— Córka Melissy jest tchórzem.

— Nie jestem, rozumiesz! Założeniem Minery i mojej matki jest to, że muszę wejść na pokład Władcy Niebios żywa.

— Tak? – powiedziała kobieta, uśmiechając się sceptycznie. – A po co?

Jan żałowała swych słów, lecz nie miała innego wyboru, jak kontynuować.

— Moją misją jest... zniszczenie *Władcy Panglotha*.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie, jak absurdalnie zabrzmiały. Nie zdziwiła się, gdy kobieta zaśmiała się, tak jak i kilka innych osób w zasięgu głosu.

— Masz zamiar zniszczyć Władcę Niebios? A w jaki sposób uda ci się dokonać tego drobnego wyczynu, córko Melissy?

— Mam do tego pewien środek ukryty... w sobie. Broń zrobioną przez Helen... – Poczuli się głupawo.

Wiedziała, że mówi to wszystko po to, by przeżyć choć chwilę dłużej. Nie sądziła, że istnieje jakakolwiek szansa pokonania Władcy Niebios za pomocą tej małej bomby ogniowej. Nigdy tak nie myślała. Zresztą plan zakładał, że na pokład *Władcy Panglotha* dostanie się kilka kobiet z Minery noszących takie bomby.

Kobieta zaśmiała się znowu.

— Broń? Jaką broń? Gdzie ją masz? Być może jest nią szpilka w twych włosach, a twoim planem ma być przekłucie Panglotha i wypuszczenie z niego gazu? Jesteś równie szalona jak twoja matka.

Zanim Jan zdążyła się zastanowić nad właściwą odpowiedzią,

jeden z mężczyzn krzyknął: – Przystajemy się wznosić!

Była to prawda. Władca Niebios jął się poruszać naprzód ze wzrastającą prędkością. Wkrótce klatką zaczął szarpać silny wiatr, który spowodował, że rozmowa stała się niemożliwa. A nad Władcą Niebios Jan ujrzała coś, co upewniło ją, że krucha klatka nie będzie już zbyt długo połączona z niebiańskim olbrzymem. Była to wielka czarna chmura burzowa, w której kierunku zdążał Władca Niebios.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przelot przez strefę burzy był najbardziej przerażającym doświadczeniem, jakie kiedykolwiek Jan przeżyła. Było już prawie ciemno, gdy Władca Niebios zbliżył się do skłębionego skupiska chmur burzowych. Gdy się w nich zanurzył, wszystko stało się całkowicie czarne. Silne i wciąż przybierające na sile podmuchy wichru smagały klatkę i uwięzionych w niej ludzi. Czasem gwałtowny prąd powietrza unosił klatkę w górę, by za chwilę zepchnąć ją w dół z nagłym przechyłem, który wywoływał mdłości. W takich momentach Jan myślała, że urwała się przetarta lina, i zaczynała krzyczeć. Przerażającym trzaskom piorunów towarzyszyły oślepiające błyskawice. Jan sądziła, iż znajdują się w samym sercu burzy i oczekiwała, że piorun uderzy w nich lada moment. Nigdy w życiu nie czuła się tak bezradna i bezbronna. Z ramionami i nogami wciśniętymi pomiędzy pręty klatki, z zamkniętymi oczami, miotana wiatrami, moczona deszczem, ogłuszana grzmotami i oślepiana błyskawicami – modliła się wciąż do Bogini Matki o wybawienie.

Kiedy sądziła już, że lina się dawno urwała, a klatka nie spada na ziemię tylko dlatego, że unoszą ją podmuchy huraganu, kołysanie nagle ustało. Otworzyła oczy i zobaczyła, że klatka zwisa w czystym, spokojnym powietrzu i znów słycać potężny ryk silników sterowca Władcy Niebios. Spojrzała w górę i zobaczyła, iż dolna część pojazdu lśni w promieniach światła. Uwolniła ręce i nogi z otworów klatki i opuściła się na podłogę. Było mroźno i wargi jej drżały. Czuła się zmęczona i zasnęła.

Obudziła się w jasnych promieniach słońca. Poprzez podłogę klatki dojrzała, że ziemia jest już bardzo blisko. Przekraczali

właśnie tereny dotknięte zarazą. Szczyty drzew i większych krzewów rysowały się zaledwie parę stóp poniżej.

Usiadła czując, że wszystkie mięśnie ma sztywne i obolałe, lecz promienie słońca przyniosły jej ulgę. Uświadomiła sobie, że jest bardzo głodna. Jak długo nie jadła? Przynajmniej dwadzieścia cztery godziny.

Otaczały ją śpiące ciała, tak jej się przynajmniej zdawało na początku. Kiedy dotknęła ramienia leżącego najbliżej mężczyzny, by go obudzić, stwierdziła przerażona, że jest zimny i sztywny. Przez chwilę miała wrażenie, że jest jedyną osobą, która pozostała przy życiu, lecz uspokoiła się, gdy dotknęła ramienia jakiejś kobiety i poczuła, że jest ciepłe. Kobieta poruszyła się i jęknęła, po czym otworzyła oczy.

— Ach, to ty – powiedziała. – Szalona córka Melissy. Zostaw mnie w spokoju i daj mi spać, głupia.

Jan prawie nie rozpoznała swej oskarżycielki. Twarz kobiety wyglądała tak, jakby skurczyła się przez noc. Wychudła, a oczy miała silnie podkrążone. Jan zastanawiała się, czy sama wygląda lepiej.

— Ten mężczyzna jest martwy – powiedziała. Kobieta podniosła się z trudem do pozycji siedzącej i popatrzyła przez chwilę na martwego człowieka.

— Jest szczęśliwy – rzekła. – Zazdroszczę mu. Przebywa teraz z Boginią Matką. Jeśli wiódł porządne życie, to teraz pozwoli mu ona odrodzić się jako kobieta i znaleźć o krok bliżej do raju.

Jan wiedziała, że to prawda. Sąsiedztwo zwłok budziło jednak grozę. Wyciągnęła rękę ponad zmarłym mężczyzną i ostrożnie dotknęła nogi kobiety leżącej obok niego. Cofnęła ją natychmiast. Kobieta również była martwa.

Klatka nagle się przechyliła. Jan zaczerpnęła powietrza i

złapała za pręty. Przechył się powtórzył. Spojrzała w górę.

— Poruszamy się! – krzyknęła. – Wznosimy się!

Gdy klatkę podciągano pod wielki brzuch pojazdu Władcy Niebios, kilka pozostałych osób poruszyło się i usiadło. Jan zobaczyła, że siedmioro z nich nie drgnęło. Domyśliła się, że zabiła ich niska temperatura, a może szok. Raz jeszcze znalazła się wśród żywych. Może rzeczywiście miało to znaczenie? Może naprawdę ma spełnić swą misję? Czy Bogini Matka zachowała ją przy życiu po to, by wypełniła instrukcje Melissy? Nie była przekonana.

Ci, którzy przeżyli, wpatrywali się z trwogą, jak olbrzymia sylwetka sterowca wypełnia niebo nad nimi. Jan dostrzegła, że ciągną ich w stronę kwadratowego otworu w kadłubie. Jej serce uderzało boleśnie. Co ich oczekiwało w krainie Władcy Niebios? Jakie okropności przygotowali im słudzy Władcy Panglotha?

Klatkę wciągnięto poprzez otwór w kadłubie i znaleźli się w obszernym, skąpo oświetlonym pomieszczeniu o wysokim stropie, z którego zwisało kilka mechanicznych urządzeń, między innymi kołowrót wciągający klatkę. Gdy oczy Jan przyzwyczyły się do ciemności, spostrzegła w pomieszczeniu sporo osób. Otwór w kadłubie zamknął się cicho i powoli. Następnie klatkę opuszczono na podłogę. Ciemne postaci skupiły się wokół klatki i Jan ujrzała samych mężczyzn. Kilku z nich nosiło czarne ubrania i miało broń. Z pewnością byli to Wojownicy Niebios bez zbroi. Inni ubrani byli w workowate jednoczęściowe kombinezony o różnych odcieniach brązu. Pełna strachu Jan nie mogła opanować drżenia. Wiedziała przecież już wcześniej, że Wojownicy Niebios są mężczyznami. Gdy byli skryci za zbrojami i szyszakami, nie musiała o tym myśleć, lecz uświadomiła sobie, że jest otoczona przez mężczyzn zupełnie innych niż ci z

Minervy.

Przypominali mężczyzn będących potomkami potworów ujarzmiających kobiety i znęcających się nad nimi od tysięcy lat. Zawładnęli światem dzięki chciwości, agresji i śmiertelnej technice, i w końcu zniszczyli go w Wojnach Genetycznych. Całe życie uczono ją bać się ich i lżyć te kreatury, a teraz znalazła się na ich łasce.

Wojownicy Niebios i inni mężczyźni traktowali osoby w klatce z mieszaniną pogardy i zdziwienia.

— Hej, amazonki! – krzyknął jeden z nich. – Czyście już straciły, ochotę do walki?

— Wypuście nas stąd, a pokażemy wam! – odpowiedziała kobieta, która oskarżała Jan.

Wtem spośród Wojowników Niebios wyłoniło się dwoje ludzi, którzy wyglądem wyraźnie różnili się od reszty. Jan zdziwiła się, widząc, że jedno z nich to kobieta.

Mężczyzna, który postępował za nią, miał na sobie czerwoną kurtkę z rękawami, które przy każdym kroku wypełniały się powietrzem. Kurtka kończyła się zaraz poniżej talii, a zamiast spodni nosił coś, co wydawało się bardzo cienkie i dopasowane – białe pończochy, które ukazywały mięśnie jego nóg. Jan była pewna, że zdradzałyby również wielkość jego narządów płciowych, gdyby te nie były przykryte eleganckim czerwonym woreczkiem z twardej skóry. Jego czarne włosy sięgały ramion, a długa arogancka twarz zdawała się pokryta białym pudrem, podczas gdy usta były tego samego koloru, co kurtka.

Kobieta wyglądała jeszcze dziwniej. Ubrana była na czerwono, lecz takiego stroju Jan nie widziała nigdy przedtem. Suknia przylegała w talii tak, iż Jan dziwiła się, w jaki sposób ta kobieta może oddychać. Nienaturalna smukłość jej kibici

podkreślała biodra i górną część sylwetki, której ozdobą były okazały biust. Ku swemu zdziwieniu Jan spostrzegła, iż pod suknią kobieta nosi pewien rodzaj pasa, który podnosił piersi do góry i zbliżał je ku sobie.

Podobnie jak mężczyzna, kobieta również miała twarz pokrytą białym pudrem, a usta umalowane na czerwono. Jej jasne włosy ułożone były wysoko i podpięte szpilkami wyglądającymi na klejnoty.

Dopiero, gdy mężczyzna zaczął mówić, Jan udało się odwrócić oczy od tego dziwadła.

— Jestem księżę Magid, Wysoki Szambelan Władcy Panglotha – obwieścił cienkim, piskliwym głosem. – Przybyłem tu po to, by poinformować was o decyzji Władcy Panglotha odnośnie do waszego losu. Przeciwwstawiając się nakazom Władcy Panglotha utraciliście wszelkie prawa, jakie łaskawie nadał wam Władca Pangloth. Wasza społeczność najpierw złamała pierwsze prawo Władcy Niebios. Wyprodukowaliście bowiem urządzenia zdolne do lotu, chociaż wiedzieliście, że niebo jest wyłączną domeną Władców Niebios, niedostępną wam, istotom ziemskim. A później próbowaliście użyć waszych urządzeń przeciwko *Władcy Paglothowi* w zdradzieckim zamiarze zniszczenia naszego monarchy. To, że zamiar ten z góry skazany był na klęskę, w niczym nie umniejsza waszej zbrodni. Inni członkowie waszej społeczności ponieśli już karę, teraz na was kolej. Macie dwie możliwości: śmierć lub niewolnictwo do końca waszych dni.

Daję wam minutę na podjęcie decyzji.

Zapadła cisza. Jan odwróciła się i spojrzała na innych. Z początkowej liczby dwudziestu tylko trzynaście osób pozostało przy życiu. Dziewięć kobiet i czterech mężczyzn. Wśród siedmiorga zmarłych w ciągu tej nocy było pięciu mężczyzn.

Zgodnie z przewidywaniami Jan jako pierwsza wystąpiła jej oskarżycielka. Jan wiedziała, co kobieta zamierza powiedzieć, jeszcze zanim ta zdążyła otworzyć usta.

— Wybieramy śmierć – powiedziała. – W hołdzie pamięci Minervy i naszych zmarłych sióstr.

— Tak, niech będzie śmierć – zgodziła się głośno inna kobieta.

Trzy inne przytaknęły z mniejszym entuzjazmem. Czterej mężczyźni spojrzeli nieśmiało.

— A co powie na to córka Melissy? – spytała z naciskiem pierwsza kobieta, odwróciwszy się w stronę Jan.

Jan nie wiedziała, co robić. Jej pragnienie śmierci zniknęło, kiedy obudził ją tego ranka pocałunek słońca na skórze, ale w tym samym momencie przeraziła ją konieczność podporządkowania się mężczyznom i Władcy Niebios choćby na minutę, a co dopiero na całe życie. Musiała jednak wziąć pod uwagę swoją misję. Wątpiła, czy ma jakiegokolwiek szansę na sukces, lecz teraz poczuła, że próba ta jest kwestią honoru.

— Tak, jak myślałam – powiedziała kobieta, gdy Jan milczała.

— Wasz czas się kończy – rzekł mężczyzna w czerwieni. Dwaj Wojownicy Niebios podążyli naprzód i otworzyli drzwi klatki. Pozostali wyjęli szable. – Wychodźcie i oznajmijcie waszą decyzję.

Powoli wynurzyli się z klatki i popędzani przez Wojowników ustawili się przed nią w szeregu. Jan rzuciła okiem na siedem żalosznych kształtów leżących w klatce.

— No więc, jak będzie? – zapytał Wysoki Szambelan swym cienkim, skrzeczącym głosem. Dawało się wyczuć, że nie przywykł do tak głośnego mówienia. – Ci, którzy wybrali śmierć, niech zrobią krok naprzód.

Oskarżycielka Jan postąpiła do przodu bez chwili wahania.

Cztery inne kobiety ruszyły za nią po krótkiej chwili. Po czym, jedna za drugą, z wyraźną niechęcią, pozostałe cztery kobiety dołączyły do poprzednich, pozostawiając samą Jan i czterech mężczyzn stojących w tylnym szeregu. Jan poczuła się upokorzona. Chciała zrobić ten decydujący krok naprzód, lecz nie mogła. Jej oskarżycielka spojrzała na nią spode łba. Nie powiedziała nic, lecz pogarda w jej oczach była oczywista. Jan opuściła głowę.

— Więc ilu z was pragnie umrzeć? – spytał Wysoki Szambelan. Wydawał się zdziwiony.

Pośród Wojowników Niebios rozległ się szmer rozczarowania. Jan domyśliła się, że od ich decyzji uzależniony jest dochód Wojowników. Skoro Wojownikom Niebios zależało na tym, by zostali niewolnikami, to dlaczego nie troszczyli się o ich życie w klatce?

— Lepsza śmierć niż dozgonna hańba – powiedziała oskarżycielka Jan. Jan zazdrościła jej. Gdyby ona sama wypowiedziała te słowa, z pewnością zabrzmiałyby po prostu głupio.

— Chcemy zapytać, czy nasza śmierć będzie czysta i czy nasze ciała nie zostaną uprzednio zbrukane waszym dotykiem.

— Wasza śmierć będzie czysta – powiedział z irytacją Wysoki Szambelan. – I nie będziecie przez nikogo molestowane. Ale co z tą jedną? Dlaczego nie podziela waszej irracjonalnej żądzy samozniszczenia?

Jan podniosła głowę i zobaczyła, że wskazuje na nią. Jej oskarżycielka obejrzała się i powiedziała chłodno: – Ona jest naszą tajemną bronią. Ma zamiar zniszczyć was wszystkich i waszego Władcę Niebios własnymi rękami. Przynajmniej tak nam mówiła...

Wysoki Szambelan, towarzysząca mu kobieta i wszyscy pozostali niebiańscy mężczyźni zaśmiali się i Jan poczuła, że płoną jej policzki. Chciała umrzeć, ale uświadomiła sobie ze wstydem, że nie pragnie tego na tyle silnie, by zrobić krok naprzód i dołączyć do reszty. Uciekła wzrokiem od dziewięciu kobiet, które powróciły do klatki. Czterej mężczyźni pozostali na zewnątrz ze zwieszonymi głowami. Wtem jakiś Wojownik pchnął Jan silnie w bok. Miał długą, czarną brodę, jakiej Jan nigdy przedtem nie widziała. Mężczyźni w Minervie rzadko nosili brody.

Maszyna nad ich głowami zgrzytnęła i klatkę podniesiono kilka stóp nad podłogę. Gdy już kołysała się na linie, otwarto z hukiem włącz. Jan poczuła się jeszcze gorzej.

Wiedziała, co teraz nastąpi. Również kobiety w klatce o tym wiedziały. Kilka z nich zaczęło się głośno modlić do Bogini Matki. Jan zacisnęła powieki.

— Cóрко Melissy!

Otworzyła oczy i zobaczyła oskarżycielkę, spoglądającą na nią poprzez pręty w klatce.

— Cóрко Melissy! Dlaczego jesteś taka skromna? Jestem pewna, że twoim panom pochlebi, gdy się dowiedzą, że ty...

Klatka spadła. Bez ostrzeżenia. Po prostu znikła. Jan domyśliła się, że ktoś odciął przetartą linę. Zakręciło jej się w głowie i przez chwilę myślała, że zemdleje. Nagle znalazła się twarzą w twarz z Wysokim Szambelanem. Fala bardzo silnych i oszałamiająco słodkich perfum uderzyła ją w nozdrza, wywołując nudności. Kobieta stała obok Szambelana, spoglądając na Jan z za jego ramienia z wyraźną ciekawością.

— Jak się nazywasz, dziewczyno? – zapytał.

— Jan. Jan Dorvin.

— O czym mówiła ta kobieta przed chwilą?

Jan potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Nie lubiła mnie. Uważa... Uważała, że jestem tchórzem.

Wysoki Szambelan dotknął w zamyśleniu swej małej spiczastej bródki i rzekł: – Lepiej, gdybyś była tchórzem. W ten sposób miałabyś szansę przeżycia. Jeśli jednak w jakikolwiek sposób okażesz nieposłuszeństwo, natychmiast podzielisz los swoich rodaczek. Zrozumiano?

— Tak – powiedziała Jan prawie szeptem.

— Dobrze. – Wysoki Szambelan zwrócił się z kolei do czterech mężczyzn z Minervy. – To samo dotyczy was, choć z tego, co wiem o was, eunuchach, nieposłuszeństwo nie leży w waszej naturze. Mimo wszystko zostaliście ostrzeżeni. Zrozumiano?

Wszyscy przytaknęli. Jan wstydziła się za nich, lecz postanowiła tego nie okazywać. Nie wypadało jej oskarżać innych o tchórzostwo. Nie była też całkiem pewna, czy rzeczywiście są tchórzami. Widziała poprzedniego dnia kilku mężczyzn z Minervy walczących ramię w ramię z siostrami podczas bitwy. Nie walczyli zbyt dobrze i zostali z łatwością pobici przez Wojowników Niebios, lecz podjęli wysiłek i Jan potrafiła to docenić. Jednak widok mężczyzn minerviańskich władających szablą napełnił ją głębokim niepokojem... tak jak przewidywała.

Wysoki Szambelan rozglądał się wokół badawczo.

— Przypuszczam, że niektórzy z was będą się domagać prawa rozporządzania niewolnikami. Jeśli tak, określcie wasze żądania!

— Ja, Gregory Tanith z trzeciego batalionu w imieniu swoim i Martina Sundina, również z trzeciego batalionu, domagamy się prawa do tej kobiety z Minervy – powiedział Wojownik Niebios z

czarną brodą, wciąż trzymając Jan za ramię. Jan, zdziwiona, uświadomiła sobie, że jest to „pierwszy głos”.

— Czy masz oficjalne potwierdzenie tego żądania?

— Tak. Oficer Kapłan trzeciego batalionu potwierdzi moje żądanie.

— Bardzo dobrze, żądanie zostanie uwzględnione. Komu zamierzacie ją sprzedać?

— Myśleliśmy o cechu mistrza Banniona. Miał kilka ofiar wśród czyścicieli szkła.

Wysoki Szambelan skinął przyzwalająco głową.

— Dobrze. Jeżeli tej amazonce pozostała jakakolwiek wola walki, to ją szybko straci podczas pracy w grupie Banniona.

— Ależ Basil, szkoda, by się marnowała wśród prostaków Banniona. Jest taka sympatyczna. Dlaczego nie sprzedacie jej mnie? Zrobiłabym z niej moją pokojówkę.

Powiedziała to kobieta, która dotychczas milczała. Mówiła bardzo rozważnie. Jan wydało się, że próbuje udawać małą zagubioną dziewczynkę.

— Nie bądź śmieszna – z irytacją powiedział Wysoki Szambelan. – Nie mogę pozwolić, byś miała amazonkę za pokojówkę. Na razie nie wiemy nawet, czy nie przenosi jakichś zarazków. Jeżeli tak, to niech te szumowiny od Banniona się pozarządzają.

Kobieta potulnie skinęła głową i nic już nie powiedziała. Wysoki Szambelan zwrócił z kolei uwagę na osoby, roszczące pretensje do czterech mężczyzn z Minervy. Jan zmartwiła się, słysząc, że sprzedano ich do innych „cechów”, mimo że ich nie znała. Nie chciała, by ją rozdzielono z jedy innymi mieszkańcami Minervy, którzy przeżyli, nawet jeśli to byli mężczyźni. Lecz oto nagle czarnobrody „właściciel” popchnął ją przez tłum i od razu

poczuła się bardzo samotna. Zaprowadził ją do dużego wejścia, nad którym umieszczony był napis *DEZYNFEKcja*. W pomieszczeniu, do którego weszli, siedział przy stole mężczyzna o bardzo jasnej cerze. Wyglądał na znużonego. Po jednej stronie stołu leżał stos odzieży. Iskierka zainteresowania pojawiła się w jego oczach, gdy ujrzał Jan. Łypnął na nią.

— Co my tu mamy? Jedną z amazonek z Minervy?

— Jedyną – powiedział Tanith. – Pozostałe kobiety wybrały śmierć. Poza nią żyje tylko czterech mężczyzn.

— Szkoda – powiedział mężczyzna przy stole z ubolewaniem potrząsając głową. – Kto ją dostanie?

— Bannion. Wejdzie w skład jednego z jego oddziałów czyszczących.

Mężczyzna o jasnej cerze uśmiechnął się na te słowa. Nie był to miły uśmiech. Im więcej Jan słyszała o Bannionie i jego ludziach, tym bardziej wzrastał jej niepokój.

— Jak ci na imię? – zapytał mężczyzna.

— Jan.

— Aha, Jan, zdejmij odzież. Całą.

To było to, czego się obawiała.

— Chcecie... chcecie... – zmusiła się do wypowiedzenia zniechęconego słowa – mnie zgwałcić.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia i roześmiali się.

— Nie obawiaj się, glisto. Myślisz, że jesteśmy szaleni? Bóg wie, co za robactwo roi się w twoim wnętrzu – powiedział pogardliwie mężczyzna siedzący przy stole. – Moim zadaniem jest upewnienie się, że przynajmniej na zewnątrz jesteś czysta. Ściągaj ubranie!

Powoli i niechętnie Jan zdjęła spódnicę, podkoszulek i bieliznę. Czowała nie tylko wstyd, ale i przerażenie na myśl o tym, że zechcą

przeprowadzić intymne badanie. Potwornie obawiała się o bombę. Zdawało się jej, że bomba nabrała większych rozmiarów.

— Jeez, popatrz na te mięśnie – powiedział mężczyzna przy stole i wstał.

— Wszystkie amazonki są... były... tak zbudowane – odparł Tanith, nie okazując zdziwienia – Ale ta jest niższa od przeciętnej amazonki.

Mężczyzna przy stole wciąż przebiegał oczami po jej ciele. Jan pragnęła uczynić dwie rzeczy – uderzyć go z całej siły w twarz i zwymiotować.

— Szkoda, żeby się marnowała wśród tych ropuch Banniona – powiedział mężczyzna do Tanitha.

— Jasne. Słuchaj, muszę zaraz wracać do roboty, więc czy nie mógłbyś się pospieszyć?

— Tak. Nie chce mi się, ale zrobię to, żołnierzu.

Skinął na Jan, po czym wziął kij z hakiem na końcu, pozbierał jej rzeczy i wyrzucił je do otworu zsykowego w ścianie obok stołu. Pociągnął za dźwignię. Jan domyśliła się, że jej odzież została zrzucona na ziemię.

— Wyjdź tymi drzwiami, dziewczyno, no już – zażądał, wskazując wąskie przejście w końcu małego pomieszczenia. Gdy Jan się zawahała, dodał: – No idź, nic ci się nie stanie. W każdym razie nie tam. – Zaśmiał się.

Jan zbliżyła się do drzwi i otworzyła je. Prowadziły do długiego pomieszczenia z natryskami. Odprężyła się, gdyż nie próbowali jej rewidować. Fakt, że wzięto ją za dzikuskę roznoszącą choroby, pomógł jej tym razem. Weszła i stanęła pod jednym z pryszniców. Spojrzała w górę i twarz jej nagle zalał strumień białej cieczy, która wywołała pieczenie oczu i miała obrzydliwy smak. Jan oddychając ciężko i przecierając oczy

ruszyła na oślep w kierunku drzwi. Ze wszystkich pryszniców w pomieszczeniu leciała ohydna ciecz, która dostała się jej do ust. Jan poczuła mdłości. Dotarła do drzwi i nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte. Załomotała w nie.

— Pozwólcie mi wyjść! – krzyknęła. – Pomocy!

Opary stały się jeszcze bardziej dokuczliwe. Jan nie mogła złapać oddechu. Opadła na kolana, kaszłąc i wymiotując.

Syczenie w prysznicach ucichło. Jan rozejrzała się załzawionymi oczami. Biała ciecz spływała poprzez kratę w podłodze, lecz jej ciało wciąż było pokryte tym paskudztwem. Wstała i spróbowała otworzyć drzwi, lecz pozostały zamknięte. Prysznic znów zaczęły działać, co ją przeraziło, ale tym razem okazało się, że leje się z nich zwykła woda.

Jan najpierw podsunęła rękę pod najbliższy prysznic, potem spróbowała się napić. Ciecz miała stęchły smak, ale z pewnością była to woda. Jan weszła pod prysznic i dokładnie zmyła piekącą, śmierdzącą, białą substancję. Gdy skończyła, woda przestała lecieć i drzwi się otworzyły.

Wróciła do pierwszego pomieszczenia. Obaj mężczyźni traktowali ją ze złośliwym rozbawieniem. Splunęła na ziemię, częściowo po to, by oczyścić gardło z dokuczliwego smaku, a częściowo po to, by wyrazić swoją złość.

— Dranie – powiedziała. – Nie ostrzeżliście mnie. Co to było za paskudztwo?

Tanith podszedł i niedbale uderzył ją w twarz ręką w rękawicy. Jan upadła na ziemię.

— Zasada numer jeden – powiedział spoglądając na nią. – Nie wolno ci nigdy być zuchwałą wobec Wojownika Niebios czy jakiegokolwiek Wolnego Człowieka. Możesz się zachowywać jak chcesz wobec swoich kolegów niewolników, lecz jeśli świadomie

zdarzy ci się ponownie zlekceważyć Wolnego Człowieka, karą dla ciebie będzie śmierć. Zrozumiano?

Jan skinęła w milczeniu głową, trzymając się kurczowo za bolący policzek. Krew kapłała z rozciętej wargi.

— Ta biała ciecz to silny środek dezynfekujący – dokończył Tanith. – Skóra i oczy będą podrażnione przez kilka dni, ale poza tym nic ci nie będzie. – Schylił się i pomógł jej wstać.

Mężczyzna, który przedtem siedział przy stole, zbliżył się ze śmiechem i wręczył Jan tobołek z odzieżą.

— Włóż to – powiedział.

Rozwinęła ubranie i spostrzegła, że jest to workowaty, jednoczęściowy kombinezon, taki, jakie widziała wcześniej. Gdy go włożyła, podziwiając dziwne zapięcie z przodu, Tanith zapytał: – Ile masz lat, Jan?

— Osiemnaście.

Położył jej rękę na ramieniu.

— Tylko tyle? No dobrze. Czas, byś zobaczyła swój nowy świat; miejsce, gdzie spędzisz pozostałe jakieś sto osiemdziesiąt dwa lata – jeśli ci się uda.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Początkowo największe wrażenie wywarł na Jan specyficzny odór. Nigdy przedtem nie spotkała się z tak dużym nagromadzeniem niemytych ciał ludzkich. Były i inne zapachy – wszystkie niemile. Zauważyła stosy zwierzęcych odchodów zmieszanych ze słomą, zalegające na powierzchni i zastanowiło ją dlaczego nie zbiorą tego i nie wyrzucą poza sterowiec.

Gdy podążała za Tanithem wzdłuż drogi, nie mogła uwierzyć, że znajduje się na pokładzie statku Władcy Niebios. Gdyby nie niski sufit z jasnymi jak światło dzienne lampami, mogłaby sądzić, że porusza się po głównej ulicy jakiegoś zatłoczonego i brudnego miasta. Po obu stronach tego, co jej wydawało się szerokim korytarzem, znajdowały się fasady sklepów i innych budynków z drzwiami i oknami. Był to jednak bardzo długi korytarz. Jan zdawało się, że wędruje już godzinami, choć wiedziała, że minęło zaledwie piętnaście minut od chwili, gdy ona i Tanith opuścili małą ruchomą komorę, która wyniosła ich w górę z oddziału dezynfekcji.

Pierwsze bliższe zetknięcie z ludźmi żyjącymi na pokładzie sterowca zupełnie ją zaszokowało. W żadnej z zasłyszanych w dzieciństwie opowieści o olbrzymim pojeździe nie wspomniano o takiej nędzy i brudzie, na jakie się natknęła, przemierzając tę „ulicę”. Tłumy ludzi ubrane były na brązowo. Niektóre z ubiorów były tylko trochę lepsze od brudnych łachmanów. Znajdowały się tu liczne zwierzęta: kozy, świnie, kury, a nawet owce. Wokół kręciło się też wiele dzieci i, co ciekawe, w różnym wieku. Oznaczało to, że niebiańscy ludzie nie mieli ściśle określonego czasu rozrodu...

Po drodze Jan przyciągała uwagę innych. Mężczyźni, a zapewne i kilka kobiet, krzyczeli za nią, wyzywając ją od „amazonek”, „glist”, „mętów” i jeszcze gorzej. W jednym miejscu wściekły mężczyzna zastąpił drogę Tanithowi i zapytał, jakim prawem przyprawdza roznoszącą zarazki glistę do centrum miasta. Tanith natychmiast sięgnął do szabli i zażądał, by mężczyzna ustąpił mu z drogi. Mężczyzna uczynił to, nie omieszkawszy uprzednio splunąć na Jan. Dziewczyna dopiero po jakimś czasie odzyskała równowagę. Jakaś kobieta podeszła i powiedziała do Tanitha: — To dziecko wygląda na zagłodzone. Czy mogę jej to dać?

Podawała jej duże czerwone jabłko. Żołądek Jan natychmiast zaburczał, chociaż w tym samym momencie zaczęła podejrzewać kobietę o złe intencje. Czy to zwykłe jabłko? Czy nie jest zatrute?

Tanith wzruszył ramionami. Jan wzięła jabłko i wymamrotała podziękowanie. Obejrzała podejrzliwie owoc, lecz jej żołądek zlekceważył podejrzenia i wygłodniała Jan ugryzła jabłko. Było smakowite i wspaniale pachniało. W tym momencie pomyślała, że nie żałowałaby nawet, gdyby miało się okazać zatrute.

Prawie kończyła jeść, gdy Tanith zatrzymał się przed nią i Jan zderzyła się z jego plecami. Chwycił ją za rękę i powiedział ochryple: — Tędy...

Zatrzymali się przed otwartymi drzwiami, nad którymi widniał napis: *CECH CZYŚCICIELI SZKŁA*. Jan uświadomiła sobie, że ma ostatnią szansę na ucieczkę przed Tanithem. Pomimo osłabienia z głodu, była przeświadczona, że wciąż potrafiłaby go ogłuszyć szybkim, nagłym ciosem. Problem stanowiło tylko to, dokąd miałaby potem uciekać. Szybko by ją schwytano, a wtedy zostałaby wyrzucona ze sterowca... Pozwoliła więc Tanithowi, by przepchnął ją przez wejście i ciemno oświetlony korytarz. Dwaj

mężczyźni spoczywali na niskiej ławce pod ścianą, a trzeci siedział przy dużym biurku z wikliny. Wszyscy trzej byli silnie zbudowani i nosili czarne jednoczęściowe kombinezony. W przeciwieństwie do innych niebiańskich ludzi, których Jan dotychczas widziała, ci byli mocno opaleni.

Ten siedzący przy biurku odstawił filiżankę, z której coś pił, i powiedział z radością w głosie: – Czy to jest nasza nowa glista, Wojowniku Tanith? Tanith popchnął ją naprzód.

— Tak, to ona.

Mężczyzna obejrzał Jan od góry do dołu w ten sam dokładny sposób, w jaki to robił mężczyzna w pomieszczeniu dezynfekcyjnym. Tym razem przynajmniej nie była naga, lecz czuła, jakby jego oczy miały zdolność widzenia przez ubranie i jej skóra znowu zareagowała dreszczem.

— Benny – powiedział mężczyzna. – Zabierz ich do szefa.

Jeden z mężczyzn siedzących na ławce wstał i skinął, by podążyli za nim. Jan zauważyła, że jego jedyną bronią był krótki pręt zawieszony na szerokim pasie. Mężczyzna poprowadził ich przez korytarz, po czym weszli do dużego pokoju wypełnionego silnym zapachem perfum. Ściany wyłożone były szorstkimi tkaninami, liczne poduszki pokrywały większą część podłogi. Pośrodku, na stosie poduszek, siedział najtęższy mężczyzna, jakiego Jan widziała w życiu. Mówiąc dokładniej, Jan pierwszy raz zobaczyła tłustego mężczyznę, gdyż otyłość nie zdarzała się wśród mieszkańców Minervy. Przypuszczała, że ten grubas waży przynajmniej dwieście pięćdziesiąt funtów. Jego jednoczęściowy ubiór, ozdobiony kolorowym deseniem, ujawniał obfite wałki tłuszczu na brzuchu, piersiach i udach, a szyja była tak gruba, że wyglądało, jakby wcale nie miał podbródka.

Grubas nie był jednak jedyną dziwną postacią. Na stosie

poduszek obok niego Jan dostrzegła młodą dziewczynę, masującą jego olbrzymie plecy; na pierwszy rzut oka robiła wrażenie nagiej. Jednak okazało się, że ma na sobie skąpy ubiór z paru strzępków skóry. Ten strój i służalczy sposób, w jaki się dziewczyna zachowywała, klęcząc przy karku mężczyzny, sprawiły, że Jan poczuła zawstydzenie i niesmak.

— Ach, amazonka! – wykrzyknął grubas niskim głosem, gdy Tanith wypchnął ją naprzód. – Wygląda na smakowity kąsek!

Gdy tak się w nią wpatrywał, Jan przyszła do głowy straszliwa myśl, że oto zechce, by i ona się rozebrała. Ale grubas tylko zachichotał i powiedział do Tanitha: – Będzie niezłym czyścicielem szkła. Czy były też inne amazonki do wzięcia?

Tanith wyjaśnił, co się stało. Gruby mężczyzna stęknął zawiedziony, po czym sięgnął pod jedną z poduszek i wydobyl małą skórzaną sakiewkę, która zabrzęczała metalicznie, gdy nią potrząsnął.

— Oto twoja nagroda, żołnierzu – powiedział i cisnął sakiewkę w kierunku Tanitha. – Możesz już iść.

Tanith bez sprawdzania zawartości wsunął sakiewkę do torby zawieszanej u pasa.

— Dziękuję, Mistrzu Cechu – powiedział, po czym odwrócił się i szybko opuścił pomieszczenie.

Jan poczuła żal, że wychodzi. Jakkolwiek obawiała się, że Tanith zechce ją napastować, to jego osoba stanowiła jednak cienkie ogniwo łączące ją z dawnym życiem. Spoglądała z niepokojem na grubasa, który wydobyl jakiś drewniany przyrząd ze stojącej przed nim czary i zaczął go ssać. Ku zdziwieniu Jan, na końcu przyrządu pojawił się ogień.

— No, amazonko – powiedział. – Myślę, że znasz sytuację, w jakiej się znalazłaś, tnie będziesz przejawiać żadnych oznak

nieposłuszeństwa. Mam nadzieję, że wytłumaczono ci, jakie są konsekwencje takiego zachowania? – Skinęła głową i próbowała przybrać pokorną minę. – Dobrze. Wyglądasz na wartościowego robotnika. Nie chciałbym cię zbyt szybko utracić. Ale jeśli sprzeciwisz się któremukolwiek z moich podwładnych, będzie to oznaczało twój koniec. Jeśli usłyszę, że próbujesz zachować jakąkolwiek z twych minerviańskich fanaberii, to będę musiał cię wychłostać. Żyjesz teraz, amazonko, w świecie mężczyzn, w którym kobiety nie mają żadnej władzy. – Roześmiał się. – Choć nie sądzę, by moja poprzednia żona kiedykolwiek zaakceptowała ten fakt.

Pozostali mężczyźni zaśmiali się również, lecz natychmiast zamilkli, kiedy twarz grubasa przybrała wyraz powagi.

— Hm, obawiam się, że ten pikantny kąsek może spowodować tarcia pomiędzy niewolnikami. Benny, gdy zabierzesz ją na kwaterę, lepiej pozostań tam przez chwilę i wycisz kłótnię pomiędzy tymi, którzy mieliby ochotę ją wziąć. Spróbuj podjąć taką decyzję, która wywoła najmniejsze spory.

— Rozumiem, szefie.

Jan żałowała teraz, że nie pozostała wraz z innymi kobietami w klatce. Wyglądało na to, że nieodwołalnie stanie się obiektem pożądania kilku rozbestwionych mężczyzn niewolników. Nie miała innego wyboru, jak tylko się bronić, lecz takie działanie mogło się, prędzej czy później, skończyć śmiercią. Im wcześniej pojawi się możliwość rzucenia bomby, tym lepiej.

Grubas sięgnął ponownie do miski, z której przedtem wydobyl przyrząd do palenia. Tym razem wyjął mały metalowy pręt z gwiazdką na końcu. Gwiazdka świeciła czerwono. Westchnął.

— Obawiam się, że musisz doświadczyć małej nieprzyjemności, zanim będziesz mogła odejść, amazonko.

Proszę, podejdz tu i uklęknij przede mną.

Jan domyśliła się od razu, co zamierza z nią zrobić, choć nie wiedziała, gdzie ją naznaczy. Instynktownie cofnęła się o krok. Nagle czyjaś silna dłoń schwyciła ją za kark i unieruchomiła. Grubas potrząsnął głową, aż cały tłuszcz poniżej jego twarzy zadrżał obrzydliwie, po czym powiedział smutno: – Nie wolno ci się nigdy mi sprzeciwiać, dziewczyno. Ale ponieważ dopiero się pojawiłaś, przeto będę wyrozumiały. Benny, potraktuj ją lekko prętem!

Zanim Jan zorientowała się, co się dzieje, zobaczyła kątem oka, że mężczyzna dotyka jej prawego ramienia czymś, co uznała za kij. I wtedy zrozumiała, że to nie kij. Każda komórka nerwowa jej ciała zdawała się płonąć. Jan oczekiwała końca swego istnienia. Sądziła jednak, że Bogini Matka nie wyraziłaby na to zgody. Krzyknęła...

Nagle ból ustąpił, a ona klęczała na ziemi i wymiotowała. Jak się zorientowała, oddała też mocz. Po chwili nieznośny ból ustąpił. A gdy Benny popchnął ją w kierunku grubasa, który zręcznie przytknął do jej prawego policzka czerwony, gorący kawałek żelaza w kształcie gwiazdy, nie wydała nawet jęku. Spoglądała tylko w puste oczy drugiej dziewczyny, która nie przerywała masażu szyi grubasa nawet wtedy, gdy ów dotykał Jan żelazem. Jan nie czuła już dla niej pogardy. By uniknąć ponownego dotknięcia czarnym prętem, gotowa była w tej chwili zająć miejsce dziewczyny i robić dokładnie to samo.

Grubas odłożył świecący metalowy pręt do miski i rzekł: – Jesteś teraz oznakowana jak niewolnik. Na całe życie. Jak ona. Spójrz. – Wskazał na twarz nagiej dziewczyny. Po raz pierwszy Jan zauważyła małą, czarną gwiazdkę na jej prawym policzku. Pomyślała, że wygląda to nawet dość ładnie. – Możesz wchodzić i

poruszać się tylko w tych częściach Władcy Niebios, które są oznaczone podobnymi gwiazdkami – kontynuował grubas. – Jeśli kiedykolwiek spotka się ciebie poza tymi oznaczonymi rejonami, zostaniesz natychmiast wydalona z księstwa Władcy Niebios. Zrozumiałaś mnie, amazonko?

Powiedziała, że tak. Bała się go znowu rozdrażnić.

— Dobrze. Benny, możesz ją teraz zabrać do rejonu zakwaterowania niewolników.

Gdy Benny pomagał jej wstać, grubas dodał: – Mam nadzieję, że jeśli okażesz się czysta, będziemy mogli poznać się lepiej. Czy masz na to ochotę? Jan przełknęła ślinę i rzekła: – Tak, mam.

Dziewczyna wykonująca masaż skrzywiła się. Grubas zachichotał i odprawił ją gestem tłustej dłoni. Jan opuszczała pomieszczenie popędzana przez Benny'ego. Spojrzała w dół i ujrziała, że czarny pręt, na szczęście, znów zwisa u jego paska.

Poprowadził ją bardzo wąskim korytarzem, który wyglądał jak tunel. Był źle oświetlony i śmierdzący, a Jan musiała się pochylić, by uniknąć uderzenia głową w sufit. Nie zdążyli odejść daleko, gdy dostrzegła wielkiego szczura. Gryzoń obserwował ich nie okazując trwogi i nagle, gdy Jan znajdowała się w odległości kilku zaledwie stóp od niego, zniknął niespodziewanie w dziurze w podłodze.

W końcu tunel rozszerzył się i rozjaśnił. Kończył się czymś w rodzaju skrzyżowania różnych korytarzy prowadzących w rozmaitych kierunkach, z których jeden wiódł prosto w dół. Z niego też dolatywały dźwięki ochrypłych męskich głosów i okropne zapachy kuchenne.

— Idź, zejź na dół – zażądał Benny, wskazując drabinę prowadzącą do tunelu. Jan zeszła, a za nią Benny. Drabina doprowadziła ich do wąskiego, ale bardzo długiego

pomieszczenia. Jan zawahała się i rozejrzała po twarzach spoglądających na nią osób. Cisza zapadła w pomieszczeniu, gdy dostrzeżono jej przybycie, lecz po chwili ktoś, jakiś mężczyzna, wykrzyknął głośno: – Nie bój się, skarbie! Zejdź na dół!

Nastąpiła salwa śmiechu, której towarzyszyły drwiny i gwizdy. Pierwszą reakcją Jan było wycofanie się w górę, lecz gdy Benny uderzył ją silnie w głowę obcasem, nie pozostało jej nic innego, jak zejść na dół. Znowu zapadła cisza. Znajdujący się w pomieszczeniu dostrzegli Benny'ego, wyłaniającego się z otworu w suficie za Jan. Gdy Jan znalazła się na końcu drabiny, drwiny i śmiech wybuchły z nową siłą i została natychmiast wciągnięta w kłębowisko męskich ciał. Przez chwilę myślała, że w pomieszczeniu znajdują się wyłącznie mężczyźni, lecz później spostrzegła kilka kobiet na skraju tłumu. Z ich wyglądu wywnioskowała, że są zdecydowanie mniej zadowolone z jej przybycia niż mężczyźni.

Uwolniono ją, gdy Benny zdjął czarny pręt z paska i nacisnął włącznik, co wytworzyło swobodną przestrzeń wokół nich. Drwiny i śmiech umilkły. Jeden z mężczyzn krzyknął: – Hej, Benny, kim jest twoja ładna mała przyjaciółka?

— Pochodzi z tego miasta amazonek, które rozwaliliśmy wczoraj – powiedział Benny zadowolony. – Zostanie tu z wami.

Nastąpił wybuch śmiechu, który przejął Jan dreszczem. Benny podniósł czarny pręt, by się uciszyli.

— Problem polega na tym, grupo czyścicieli kadłuba, iż szef nie chce, byście walczyli o tę małą amazonkę. Zbyt wielu z was zginęło lub zostało zranionych w kłótniach w ciągu ostatniego roku i to mu się nie podoba. Jesteście dlań wartościowi, a on nie lubi tracić swej własności bez powodu. Czy mnie rozumiecie?

Rozejrzał się wokół. Kilka głosów przytaknęło, Benny ciągnął:

– W porządku. Wobec tego zrobmy to sensownie. Ręce w górę ci, którzy sądzą, że zasługują na tę małą.

Wiele rąk podniosło się w górę i znów zaczęto się śmiać. Benny spojrzał groźnie.

— Nie mam zamiaru siedzieć tu wiecznie, idioci, więc uspokójcie się. – Wskazał końcem pręta na mężczyznę znajdującego się prawie dokładnie naprzeciw niego. – Ty, Barth! Dlaczego podniosłeś rękę? Wiem, że masz dwie kobiety. Chyba niepotrzebna ci jeszcze jedna?

Barth, wysoki mężczyzna z ogromną brodą, wyszczerzył zęby i powiedział: – Dlaczego tak sądzisz?

Salwa śmiechu. Nawet Benny uśmiechnął się lekko, lecz po chwili znów przybrał groźną minę.

— Opuść rękę, Barth – rozkazał. – Również pozostali, którzy posiadają kobiety, mają opuścić ręce, choćby naprawdę im się wydawało, że zasługują na jeszcze jedną.

Niechętnie i powoli sporo rąk opuszczono, lecz wciąż jeszcze pozostawało wiele. Było jasne, że w dzielnicy niewolników żyło dużo więcej mężczyzn niż kobiet. To wtedy właśnie Jan zauważyła mężczyznę stojącego oddzielnie. Opierał się o ścianę obok dwóch kobiet, które spoglądały na Jan i szeptały do siebie. Ręce miał założone i patrzył na nią pozornie bez zainteresowania. Zauważyła go, gdyż w przeciwieństwie do innych mężczyzn nie tylko nie miał brody, ale był całkowicie łyсы.

Nagle jeden z mężczyzn uszczypnął ją boleśnie w pośladek.

— Tylko sprawdzam towar – zaprotestował, gdy Benny odsunął go prętem. – Trudno dostrzec, co ma pod tym kombinezonem. Może byśmy ją rozebrali, Benny?

Otoczający ich mężczyźni wydali ryk aprobaty. Benny nie

wyglądał na rozbawionego. Pokręcił przecząco głową i rozejrzał się, co oznaczało, że podjął już decyzję. Wskazał prętem na jednego i wykrzyknął: – Ej ty, Buncher! Chodź tu!

Tłum rozstąpił się, gdy potężny mężczyzna podszedł bliżej. Miał nienaturalnie długą dolną szczękę, a sposób, w jaki patrzył i poruszał się, przypominał Jan szympansa.

— Co, Benny? – powiedział cichym głosem.

— Nie masz już kobiety, prawda? Od czasu, gdy kilka miesięcy temu poślizgnęła się, kiedy jej lina zabezpieczająca pękła...

— Stary Buncher sam przeciął liny – powiedział ktoś i zaśmiał się.

— Nie, nie zrobiłem tego – powiedział Buncher wściekle, odwracając się, by zobaczyć, kto go oskarża.

— Nieważne – rzekł Benny. – Powiedziałem wam, że nie mam zamiaru spędzać tu całego dnia. Buncher, chcesz ją?

Rozległy się okrzyki protestu. Benny potrząsnął prętem i powiedział: – Wam, idioci, wieczność zająłby problem jej przydziału, więc podjąłem decyzję za was. Amazonkę dostaje Buncher. Jeśli macie jakieś pretensje, to udajcie się do szefa. – Zwrócił się ponownie do Bunchera. – Przypuszczam, że chcesz ją, Buncher?

Jan spojrzała na potężnego mężczyznę z przerażeniem. Gapił się na nią. Miał małe i nieinteligentne oczy. Jan uświadomiła sobie, że więcej inteligencji można było się dopatrzeć w oczach przeciętnego szympansa. Skinął głową.

— Tak, chcę ją.

— Dobrze – rzekł Benny.

Popchnął Jan w jego kierunku. Buncher schwycił ją swą wielką łapą i uśmiechnął się. Rozległy się okrzyki aplauzu, dalsze drwiny i kilka wulgarnych propozycji.

— Pozostali mają dać spokój tej parze – nakazał Benny. – Jeśli usłyszę, że są jakieś kłopoty, wrócę tu, by tych, którzy zawinili, potraktować czymś więcej, niż tylko dotknięciem znanej wam pałki.

Po czym szybko wspiął się w górę po drabinie. Jan poczuła się osamotniona, chociaż bała się Benny'ego i jego pręta nawet bardziej niż Tanitha.

— Chodź, wychodzimy stąd – powiedział mężczyzna zwany Buncherem.

Popchnął ją przez rozbawiony tłum. Przechodząc, dojrzała rząd czegoś, co sprawiało wrażenie pieców. Na większości z nich stały parujące garnki, a nad jednym wisiało wbite na rożen prosię. Żołądek podszedł jej do gardła. Sprawdziły się jej obawy. Niebiańscy ludzie byli mięsożerni.

— Odsunąć się, słyszycie?! – krzyknął Buncher nagle, odwracając się i prawie wykręcając jej ramię.

Krzyczał na grupę podążającą za nimi. Śmiali się i obrzucali ich wyzwiskami, lecz Buncher popchnął Jan i prześladowcy pozostali z tyłu.

Po dłuższym czasie Jan zauważyła, że korytarz gwałtownie się zwęża, gdyż po obu jego stronach ciągną się prymitywne budy, sklecone z różnych materiałów, na ogół jednak z kawałków farbowanej odzieży przypadkowo ze sobą połączonych. Domyśliła się, że są to mieszkania, a jej domysł potwierdził się, gdy Buncher zatrzymał się przy jednym z nich i odsunął koc zasłaniający wejście.

— Wejdz – rozkazał i popchnął ją tak silnie, że upadła na brudną słomianą matę.

Jakiś kurczak z przeraźliwym piskiem wybiegł z kąta. Jan rozejrzała się. Izba miała wymiary około ośmiu stóp na dziesięć.

Pod jedną ścianą leżał brudny materac. Drugim i ostatnim większym meblem w tym pomieszczeniu był wyplatany z wikliny kosz, zamykany na kłódkę. Podłogę pokrywały resztki jedzenia, poplamione ubrania, kości i inne odpadki. Smród był okropny.

Buncher opuścił koc, zakrywając wejście. Nasłuchiwał podejrzliwie przez chwilę odgłosów z zewnątrz, po czym podszedł i stanął przy Jan.

— Ładna jesteś. Podobasz mi się – powiedział miękkim obojętnym głosem.

Jan wstała. Spostrzegła błysk w jego oczach i wiedziała, o czym to świadczy. Tym razem nie miała żadnej możliwości uniknięcia tego, co musi się wydarzyć.

— Chcesz się ze mną kochać? – zapytała lękliwie.

— Kochać się...? – Jego twarz wy pogodziła się. – O tak, będziemy się kochać. – Wyciągnął rękę.

Cofnęła się.

— A co będzie, gdy powiem, że nie mam ochoty?

Teraz wyglądał na całkowicie zaskoczonego.

— Co? Nie rozumiem...

Znów wyciągnął do niej rękę. Tym razem nie cofnęła się. Buncher jedną ręką schwycił ją za ramię, drugą zaczął rozpinąć jej ubranie. Zbliżyła się doń i prawym kolaniem uderzyła go silnie w pachwinę. Zawył i skulił się z twarzą wykrzywioną bólem. Gdy się zgiął, uderzyła go pięścią w pierś powyżej serca, co ją uwolniło z jego słabnącego uścisku. Upadł na rękę i kolana charcząc i jęcząc. Jan uderzyła go w brzuch, po czym podniosła ramię, chcąc zadać śmiertelny cios w odsłonięty kark. Zamachnęła się, ale wtedy ktoś z tyłu schwycił ją za nadgarstek. Wesoły głos powiedział: – Bardzo to imponujące, ale niezbyt eleganckie, mała amazonko.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Odwróciła się gwałtownie. Był to łysy mężczyzna, którego zauważyła wcześniej. Uśmiechał się do niej, wciąż trzymając ją za nadgarstek. Pomimo szoku i strachu związanego z nagłym pojawieniem się nieznanego spostrzegła, że jego oczy różnią się kolorem. Jedno było niebieskie, a drugie zielone.

Wolną ręką schwyciła go za gardło, on jednak bez trudu złapał ją za oba nadgarstki. Był szczupłej budowy i niewiele wyższy od niej, lecz o wiele silniejszy niż się zdawało.

— Uspokój się, mała amazonko, i pomyśl trochę – powiedział uprzejmie. – Tak, byś mogła to zrozumieć. Ufasz mi?

— Czy ci ufam? – syknęła wzgardliwie. – A czemuż miałabym ci ufać?

— Ponieważ jestem twoją jedyną nadzieją. Mogę ci ocalić życie. – Uwolnił jej lewą rękę. – Puszczę drugą rękę, jeśli obiecasz, że nie będziesz próbowała mnie uderzyć ani zrobić nic złośliwego.

Po chwili zgodziła się niechętnie. W tej sytuacji nie miała niestety wyboru.

— Dobrze – powiedział i puścił ją.

Podszedł do Bunchera, który klęczał, podpierając się rękami i jęcząc. Pomógł mu wstać. Pełen bólu wzrok Bunchera padł na Jan i jego twarz wykrzywiła się wściekłością.

— Zabiję ją! – warknął i chciał się na nią rzucić, lecz łysy mężczyzna przytrzymał go w miejscu bez większego wysiłku.

To potwierdziło pierwsze wrażenie Jan. Był silniejszy niż wyglądał.

— Spokojnie, Buncher – ostrzegł łysy, doprowadzając go do

materaca i sadzając na nim. – Zabij ją, a Bannion cię załatwi.

Buncher, trzymając się za pachwinę, spojrział na Jan wzrokiem pełnym wściekłości.

— W porządku, nie zabiję jej... pogruchoczę jej tylko kości, powolutku...

— Dobrze, cieszę się, że masz wyobraźnię, Buncher – powiedział spokojnie łysy mężczyzna. – Ale gdy się zastanowisz trochę lepiej, zrozumiesz, że rezultat będzie taki sam. Czyściciel szkła, który nie może się poruszać, nie jest przydatny Bannionowi. Wiesz, mam dużo lepszy pomysł. Oddaj mi amazonkę.

— Co? – Buncher odwrócił się i spojrział na łysego mężczyznę wzrokiem pełnym podejrzliwości. – Dlaczego?

— Tak, nie sędzę, byś o tym wiedział, lecz ja, w przeciwieństwie do ciebie, miałem do czynienia z takimi kobietami w przeszłości. Nie bój się, wkrótce ją wytresuję, nie robiąc jej krzywdy. Będzie zdolna do wykonywania swej pracy dla Banniona.

— Spróbuj mnie tresować, a zabiję cię – powiedziała ze złością Jan.

— Zamknij się – rzekł, nie patrząc na nią. – Więc, Buncher, co ty na to?

Buncher potrząsnął głową.

— W żadnym razie, Milo. Dał miją Benny. I zatrzymam ją.

Mężczyzna nazwany Milem westchnął.

— Przykro mi, ale zabieram ją, Buncher. I chcę ją zabrać z twoim błogosławieństwem.

Usiadł obok niego na brudnym materacu i chwycił go za ramiona. Buncher próbował się uwolnić. Wyglądał na przerażonego.

— Nie stosuj żadnej ze swych sztuczek, Milo. Znam cię...

Milo uśmiechnął się smutno.

— Nie sądzę. Lecz nie bój się, Buncher, nie będzie sztuczek. Po prostu powiesz każdemu, kto cię zapyta, że amazonka była dla ciebie zbyt kłopotliwa i oddałś mija.

— Nie – powiedział Buncher.

Wciąż bezskutecznie próbował się uwolnić z uścisku mniejszego mężczyzny.

— Bądź rozsądny – powiedział Milo tym samym spokojnym głosem. – Zrób, co ci mówię, a wyświadczę ci parę uprzejmości. Wiesz przecież, jak przydatne są moje uprzejmości, prawda Buncher? Zresztą... – Uchwyt Mila zacisnął się.

Buncher drgnął z bólu. Jan spostrzegła, że robi się biały na twarzy i żyły występują mu na szyi.

— Jesteś czarownikiem, Milo! – wyszeptał. – Wszyscy cię nienawidzą... Zabijemy cię kiedyś, zobaczysz...

— Ile razy próbowaliście? Już trzy razy odcięliście mi linę ratunkową, a ja wciąż jestem tutaj, prawda Buncher? Nawet trucizna w jedzeniu nie działa na mnie, jak w przypadku tej nieudanej próby Bronskiego w latrynie. – Milo potrząsnął głową z udawanym smutkiem. – Chciałbym wiedzieć, co przydarzyło się staremu dobremu Bronskiemu.

Zacisnął uchwyt. Jan usłyszała, jak w brzuchu Bunchera coś pęka. Wydał przenikliwy pisk, po czym skinął głową. Milo puścił go. Buncher cofnął się i owinął ramionami, jakby mu było zimno.

— Bierz ją, bierz ją... – wymamrotał, nie patrząc na Mila, który uśmiechnął się do niego tak złowieszczo, że Jan poczuła dreszcz grozy.

Buncher miał chyba rację; Milo był prawdopodobnie czarownikiem. Milo powiedział: — Buncher, czy jeśli ktokolwiek

cię zapyta, powiesz, że podarowałaś mi tę dziewczynę z własnej i nieprzymuszonej woli?

— Tak, powiem. Przysięgam.

— Równy z ciebie facet – Milo poklepał go po ramieniu.

Buncher cofnął się gwałtownie. Milo wstał i uśmiechnął się do Jan.

— Możemy teraz iść.

— Nie mam zamiaru nigdzie z tobą iść – powiedziała Jan.

— Chcesz zostać tutaj, z nim? – Milo wskazał na oszołomionego Bunchera, który wciąż wpatrywał się w podłogę z ramionami owiniętymi wokół ciała.

— Nie – przyznała Jan. – Lecz z pewnością nie chcę nigdzie iść z tobą.

Westchnął i zapytał ją o imię. Powiedziała mu.

— Jan, bądź rozsądna. Nie masz innej możliwości, jak tylko mi zaufać. Jestem twoją jedyną szansą przetrwania. Już raz ocaliłem ci życie. Gdybyś zabiła Bunchera, inni rozerwaliby cię na strzępy. Dosłownie.

— Dlaczego chcesz mi pomóc?

— Ponieważ ty możesz wesprzeć mnie.

— Jak?

— O tym porozmawiamy w warunkach bardziej prywatnych. Chodźmy.

Wyciągnął do niej rękę. Po dłuższym wahaniu powiedziała: — W porządku, pójdę z tobą, lecz ostrzegam cię, że jeśli spróbujesz mnie dotknąć, to cię zabiję.

Uśmiechnął się.

— Zdarzały się długotrwałe związki, zawierane nawet w mniej romantycznych okolicznościach. – Miał minę, jakby powiedział coś zabawnego, lecz Jan nie pojęła dowcipu.

Jego izba znajdowała się prawie na końcu długiego pomieszczenia. W porównaniu z norą Bunchera wydawała się wręcz sterylna. Były tu również meble: łóżko, mały stół i krzesło. Wszystko zrobione z wikliny. Słoma wyściełająca podłogę była stosunkowo czysta i nie leżały na niej żadne odpadki. Na jednej ze „ścian” znajdował się nawet obraz.

Zawieszony był na pręcie, oddzielając pomieszczenie od garderoby. Był to dziwny obraz, na którym wirująca gęstwina kolorów zdawała się tworzyć jakiś specjalny wzór. Jan nie mogła się zorientować, co przedstawia.

Milo usiadł na wiklinowym krześle, które głośno zaskrzypiało, i wskazał na łóżko. Usiadła ostrożnie, wciąż z oczami podejrzliwie utkwionymi w jego twarzy.

— Odpręż się – powiedział. – Nie mam zamiaru rzucać się na ciebie i zrywać z ciebie ubrania.

— Wiem, że nie. Wkrótce byłbyś martwy, gdybyś tylko spróbował – powiedziała czując, że wcale nie jest tego pewna.

Po tym, co zdarzyło się w izbie Bunchera, uświadomiła sobie, że dysponuje mniejszą siłą niż on. Milo był chyba tego samego zdania, wyglądał bowiem na rozbawionego.

— Biedna mała amazonko – powiedział. – Wojny cię z pewnością doświadczyły. Ta szrama na głowie nie wygląda zbyt dobrze. Podobnie jak rana na policzku. Kto ci ją zadał? Jest świeża, prawda?

Powiedziała mu o Wojownikach Niebios. Cmoknął ze współczuciem.

— Czy masz jakieś inne skaleczenia poza tymi widocznymi? – zapytał.

— Tylko kilka zadraśnień na rękach i nogach, lecz te już przestały krwawić.

— A wewnątrz? Jakies bóle lub inne objawy?

— Boli mnie brzuch – przyznała. – Boli od chwili, gdy wymiotowałam po dotknięciu prętem Benny’ego.

Milo skrzywił się.

— Użył pałki?

— Tak. To było okropne. Jak to działa? Czy to coś magicznego?

— Ależ skąd. – Zrobił gest, jakby odgarniał włosy z czoła. – Słuchaj – powiedział – znam się dość dobrze na medycynie. Jeśli chcesz, mogę cię zbadać.

Czujność Jan, która znacznie osłabła, odkąd Milo okazał jej współczucie, natychmiast gwałtownie wzrosła.

— Powiedziałaś mi, byś nie próbował mnie dotykać. Pod żadnym pozorem.

— W porządku, w porządku – powiedział spieszenie, osłaniając się dłońmi przed wyimaginowanym ciosem. – Zapomnij, co powiedziałem, dobrze? Zmieńmy lepiej temat. Kiedy jadłaś po raz ostatni? Czy chce ci się pić?

Była spragniona i bardzo głodna. Niechętnie wyznała to Milowi. Podszedł do wiklinowej skrzynki podobnej do tej, która znajdowała się w izbie Bunchera, i otworzył ją. Wyjął manierkę i podsunął Jan. Manierka była pełna wody. Dziewczyna piła łapczywie.

— Nie mam niestety nic świeżego do jedzenia – powiedział, przetrząsnąwszy skrzynię. – Co powiesz na kawał słonej suszonej wołowiny?

Zajrzała do menażki.

— Czy to mięso?

Popatrzył na nią kpiąco.

— Czyżbyś była wegetarianką?

— Oczywiście. Tak jak wszyscy Minervianie.

Urwała. Na chwilę zapomniała, że Minerva już nie istnieje. Milo powiedział uprzejmie: — Mam tu kilka sucharów. Są dość pożywne, choć nie ma w nich mięsa.

Podetknął jej małą paczkę. Oczy Jan napełniły się łzami, gdy rozerwała opakowanie i wyjęła kawałek suchara. Był strasznie twardy, lecz smakował wybornie. Gdy zabrała się do drugiego suchara, Milo zapytał: — Nie masz nic przeciwko rozmowie o tym, co się stało?

Potrząsnęła głową.

— Chciałabym porozmawiać.

— To powiedz mi najpierw coś o Minervie. Przyznaję, że nie orientuję się specjalnie w jej nowszych dziejach. Znam tylko jej początkową historię. Dziwi mnie nawet, że wciąż mówicie po amerykańsku. Myślałem, że zdążyłyście już wytworzyć swój własny, kobiecy język.

Spojrzała nań niepewnie. Większości tego, co mówił, nie rozumiała. Dopiero nadchodzące miesiące miały jej pozwolić na bliższe zaznajomienie się ze wszystkim.

— Początkowa historia Minervy? Co masz na myśli?

— Nie wiesz, jak powstała Minerva?

— Oczywiście, że wiem. Bogini Matka ukarała Dawnych Ludzi za zniszczenie Ziemi, po czym stworzyła Minervę, by kobiety mogły się poczuć całkowicie wolne.

Milo spojrzał na nią i rzekł cicho: — O Jezu!

— Kto?

— Nieważne. Powiem ci o tym innym razem. Słuchaj, czy nie mieliście żadnych ksiąg o historii w tym waszym mieście?

— Ksiąg? – powtórzyła, nie rozumiejąc.

Westchnął.

— Tak, trudna sprawa. Zaraza zniszczyła cały papier przed

wiekami. Ale co z innymi formami zapisu? Dane elektroniczne. Komputery. Czy mieliście tam komputery?

— Nie wiem, co to jest komputer, ale nie mieliśmy tam żadnych złych ludzkich urządzeń.

— Więc nie wiesz nic. – Potrząsnął głową zaskoczony. – O Boże, jesteś nawet większą ignorantką, niż sądziłem.

Nie była pewna, co to znaczy, lecz poczuła się obrażona.

— A według ciebie jak powstała Minerva? – zapytała z irytacją.

— Nie wiem dokładnie. Był taki stan w dawnej Ameryce. Dokładniej mówiąc, było to jedno z głównych państw podbitych przez dawną Amerykę w okresie poprzedzającym Wojny Genetyczne. Chyba słyszałaś o Wojnach Genetycznych?

— Tak, słyszałam.

— Ale nie słyszałaś o Stanach Zjednoczonych Ameryki?

Przyznała, że nie.

— Ameryka – zaczął – była kiedyś wielkim imperium. Razem z innym olbrzymim imperium – Związkiem Radzieckim – stworzyła potężny sojusz, Sojusz Radziecko–Amerykański, który praktycznie sprawował kontrolę nad całym światem przez ponad pięćdziesiąt lat w dwudziestym pierwszym wieku. – Przerwał i spojrzał na nią. – Rozumiesz coś z tego?

— Nie – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Westchnął, lecz ciągnął dalej.

— Jednak Sojusz wreszcie się skończył i dwa imperia zaczęły się rozpadać na wiele oddzielnych państw. Minerva była jednym z nich, dość dużym. W obrębie Minervy utworzono mniejsze państwo zdominowane przez kobiety, lecz Minerva dopuszczała również istnienie mężczyzn. Mężczyźni jednak mogli się stać obywatelami wtedy, gdy zgodzili się na pewne warunki – musieli wyrazić zgodę na całkowitą modyfikację genetyczną ich ciał i

mózgów. To „przekształcenie” genetyczne sprawiło, że złagodnieli, co polegało między innymi na całkowitym zaniku pewnych niepożądanych cech męskich. Inna zmiana wpłynęła na zmniejszenie ich wzrostu, podczas gdy jednocześnie kobiety minerviańskie stały się wyższe. Tym samym naturalna przewaga fizyczna mężczyzn, dzięki której mężczyźni przez całe wieki wykorzystywali kobiety i podporządkowywali je sobie, została zli... – Przerwał.

Jan ziewnęła.

— Nie interesują cię początki Minervy?

— To nie tak zaczęła się historia Minervy. Mówisz głupstwa.

— A czy twierdzenie, że Bogini Matka stworzyła Minervę, nie jest głupotą? – zapytał rozbawiony.

— Nie, z pewnością nie jest.

— Jeśli tak, jeśli Bogini Matka stworzyła Minervę, by kobiety były całkowicie wolne, to jak wyjaśnisz to? – powiódł ręką dokoła siebie. – Przez setki lat Minerva wraz z wszystkimi innymi sąsiednimi społecznościami świata znajduje się pod panowaniem Władców Niebios. Nie nazwałbym tego wolnością. Wasza bogini chyba sobie z was zadrwiła.

— Nie jest tylko naszą boginią – zaprotestowała Jan zdenerwowana. – Jest jedyną prawdziwą Boginią Matką, stworzycielką wszystkiego. Nie dała całkowitej wolności Minervie: pozostawiła Władców Niebios jako symbol ludzkiego zła, byśmy nigdy nie byli zbyt pewne siebie.

— Niezły symbol – wymamrotał Milo. – Wczoraj stał na proszek wasze miasto.

Skrzywiła się.

— Nie musisz mi o tym przypominać.

— Przepraszam, lecz próbuję bronić swego stanowiska. Wasza

Bogini Matka posunęła się chyba zbyt daleko w doświadczaniu was złem ludzkim. Szacuję, że niewiele z was przetrwało.

Jan pochyliła głowę.

— Nie – powiedziała zgnębiona. – Jestem jedyną kobietą. Na pokładzie znajduje się jeszcze czterech mężczyzn z Minervy... – Zakryła twarz rękami i zaczęła płakać.

Milo odczekał uprzejmie przez chwilę, po czym powiedział: — Nie wiesz na pewno, czy jesteś jedyną kobietą z waszego miasta, która przetrwała. Wojownicy Niebios nie są nieomylni. Mogli przeoczyć kilka kobiet podczas przetrząsania ruin.

Odjęła ręce od twarzy i spojrzała na niego.

— Naprawdę tak myślisz? – zapytała z nadzieją.

— Wierzę, że istnieje duże prawdopodobieństwo. I jeszcze jedna rzecz: nie tylko Minerva była w tej sytuacji.

Jan spojrzała nań zmieszana.

— O czym mówisz?

— Nie wiesz? Istnieje coś więcej niż Minerva. Wiem o istnieniu przynajmniej jednego miasta tej samej wielkości, co twoje, które również podlega Władcy Panglothowi. Zwie się także Minerva i leży w odległości mniejszej niż ćwierć dnia lotu stąd na wschód. Słyszałem, że tam również żyją takie społeczności minerviańskie. – Opadł na krzesło i uśmiechnął się, widząc jej zdziwienie. – Jak widzisz, nie jesteś tak samotna, jak myślałaś.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wspólna ubikacja była tak brudna, jak Milo ostrzegał. Stanowiło ją długie, okropnie śmierdzące miejsce z rzędem brudnych zlewów, pisuarów i dziur klozetowych w kabinach bez drzwi. Na szczęście, gdy weszła, w ubikacji znajdowała się tylko jedna osoba. Była to kobieta, która zresztą opuszczała już jedną z kabin. Spojrzała na Jan, mijając ją. Gdy wyszła, Jan podążyła do kabiny. Była zdenerwowana i miała nadzieję, że Milo dotrzyma słowa i przypilnuje wejścia do latryny. Powiedziała, że nie chce, by jakikolwiek mężczyzna widział ją nagą. Bardziej jednak zależało jej na wyjęciu bomby zapalającej. Nie mogła już nosić jej w sobie. Stało się to zbyt niewygodne.

Szybko zrzuciła jednoczęściowy uniform i wyjęła bombę zawiniętą w szmatkę. Gdy bomba znajdowała się w niej, czuła, że jest olbrzymia, lecz teraz, gdy mieściła się w dłoni, wydała się jej stanowczo zbyt mała, jak na zadanie, które miała spełnić. Jan westchnęła i włożyła ją do jednej z licznych kieszeni.

Pomimo lęku o swój los na statku Władcy Niebios poczuła się teraz lepiej. Informacja Miła o istnieniu innych Minerv zmieniła wszystko. Istnienie innych społeczności minerviańskich zdawało się niemożliwe. Milo był jednak przekonany, że istnieją.

— Mówiłem ci, że Minerva początkowo rozpościerała się na dużym terytorium. Gdy zaraza rozpoczęła inwazję na kraj, państwo minerviańskie, jak wiele innych państw, podzieliło się na odrębne części. Ponieważ wy, Minervianie, nie uznawaliście takich „złych” urządzeń jak radio, wyobrażam sobie, że kontakt pomiędzy poszczególnymi waszymi społecznościami urwał się przed wiekami.

Myśl o tym, że gdzieś istniała inna Minerva, nawet jeśli żyli tam obcy, zmieniała wszystko. W jakiś sposób może uda się tam dotrzeć... kiedyś. Lecz najpierw musi zrealizować proste zadanie zniszczenia *Władcy Panglotha*, nie mówiąc już o tym, że powinna starać się przeżyć, by móc wykonać to zadanie.

Obok sedesu znajdowała się wystająca z podłogi dźwignia. Gdy Jan się załatwiła, pociągnęła ją, sądząc, że popłynie strumień wody. Nie była to jednak woda; zamiast tego rozległ się syk powietrza. Okazało się, że dźwignia uruchamia sprężarkę, za pomocą której wypompowywano odchody poza rejon statku *Władcy Niebios*, tak, że spadały gdzieś na ziemię. Ubrała się szybko i opuściłaabinę. Latryna była wciąż pusta. Podeszła do jednego z brudnych kranów i odkręciła kurek. Kapnęło parę kropel brązowej wody. Milo powiedział jej, że na sterowcu brakuje wody i wydziela się ją skąpo. Ta woda nadawała się tylko do mycia. Zateśniła za prysznicem. Tanith ostrzegł ją, że biała ciecz spowoduje swędzenie skóry i kiepskie samopoczucie. Dlatego musiała się zadowolić tylko umyciem rąk i twarzy.

Zbliżając się do wyjścia z latryny, usłyszała zgiełk podniesionych głosów. Przy drzwiach ujrzała Mila dyskutującego z trzema mężczyznami. Wyglądali na zdenerwowanych, lecz Jan zauważyła, że trzymają się od Mila w pewnej odległości.

— Słyszałeś przecież zarządzenie Benny'ego, Milo! – mówił jeden z nich. – Amazonka miała należeć do Bunchera. Co ty z nią zrobisz?

— Powiedziałem wam – rzekł Milo swym spokojnym głosem. – Buncher przekazał mi ją.

Zmienił zamiar. Wydaje mi się, że obawiał się zarażenia.

— Bzdura! – krzyknął inny mężczyzna. – Zmusiłeś go do tego, przyznaj się!

— Dlaczego nie zapytaliście Bunchera, skoro mi nie wierzycie?

— Zapytaliśmy. Powiedział to samo, co ty.

— Więc nie ma problemu.

— Coś niedobrego z nim się dzieje, Milo. Nie wygląda dobrze. Uważamy, że go zraniłeś. – Ja? Zraniłem Bunchera? – Milo zaśmiał się. – Nonsens.

— Wiemy, co potrafisz, Milo. Musisz mu ją oddać. Milo rozłożył ręce.

— Nie. Pozostanie ze mną. A jeśli ktokolwiek zechce mi ją odebrać, będę niezadowolony. A tego byśmy nie chcieli, prawda, chłopcy?

Każdy z trojki mężczyzn był wyższy niż Milo, lecz żaden z nich nie wykonał ani kroku w jego stronę. Nastąpiła długa, pełna napięcia cisza, po czym jeden z nich rzekł wściekły: – Prędzej czy później dostaniemy cię, Milo. Twoje szczęście nie może trwać wiecznie, wiesz o tym. A wtedy ona wróci do Bunchera – wskazał na Jan. – Gdy on sobie użyje, wtedy i my będziemy mieli z nią trochę uciechy. Nie zamierzamy trzymać tu amazonki, która nie zna swojego miejsca.

— Możecie przekazać edukację tej damy w moje zdolne ręce – rzekł Milo. – A teraz, skoro wymiana została dokonana, jesteście wolni. Chodźmy, Jan.

Przez parę minut trzech mężczyźni nawet nie drgnęli. Po chwili odwrócili się gwałtownie i opuścili krótki korytarz.

— Przestraszyli się ciebie – powiedziała Jan do Mila, gdy za trójką mężczyzn podążali do głównego pomieszczenia.

— Są przesądni – powiedział. – Ignoranci. Większość tutejszych niewolników to dawni przestępcy. Mając już dość walki o życie na terenach dotkniętych zarazą, poprosili Władcę Panglotha, by wziął ich na pokład, nawet gdyby to miało

oznaczać niewolnictwo.

Wrócili do izby Mila. Jan słyszała teraz odgłosy dochodzące z sąsiednich komórek przez cienkie przepierzenia. Zdawało się, że rozmawiający specjalnie zniżali głosy. Milo znów wskazał jej łóżko, a sam usiadł na krześle.

— Wyglądasz lepiej – powiedział z uznaniem.

— Czuję się lepiej dzięki tobie – odpowiedziała. Nagle łóżko przechyliło się nieco i musiała uchwycić się jego krawędzi, by nie spaść.

— Co się dzieje? – spytała przestraszona.

— Wszystko w porządku; po prostu następuje zmiana kursu – zapewnił ją.

Podłoga znów znalazła się w pozycji horyzontalnej. Jan odetchnęła.

— To jest niesamowite. Aż do tej chwili wcale sobie nie uświadamiałam, że znajdujemy się w powietrzu...

— Na ogół Władca Niebios porusza się płynnie, nawet w dość trudnych warunkach atmosferycznych. Oczywiście, jeśli ktoś wpadnie na głupi pomysł lotu w samym centrum burzy, jak to zdarzyło się ostatniej nocy, lot staje się nieco utrudniony.

— To było okropne – powiedziała, wzdrygając się na samo wspomnienie.

— Urządzono to specjalnie dla was – powiedział. – Dla ciebie i twoich rodaków z Minervy.

Aryści chcieli zobaczyć, co z was pozostanie po tym wszystkim. Bardzo ufają swemu systemowi odgromników. Słyszałem, że uderzenie spowodowało uszkodzenia na całym statku. Nie będą chcieli tego powtórzyć. Ale wy, Minervianie, tak przestraszyliście ich wczoraj raketami, że rozumiem tę gwałtowną reakcję.

— Nasze rakiety – powiedziała Jan gorzko – były dobre.

— Był to podziwu godzien wysiłek i prawie poskutkowało, chociaż, jeśli chodzi o mnie, mam mieszane uczucia w kwestii ewentualnego sukcesu – dodał sceptycznie.

— Lecz nie zadziałały. Strumienie światła zniszczyły wszystkie rakiety. Nie mieliśmy szans.

— Nie mogliście wiedzieć o tym, że na pokładzie sterowca Władcy Niebios istnieje automatyczny laserowy system obrony. Ku uldze wielu ludzi na pokładzie system ten jest wciąż sprawny. Nie był uruchamiany od wielu lat.

Pokręciła głową.

— Nie rozumiem.

— Strumienie światła zwane są laserami. Jest to specjalna forma światła, nie istniejącego w naturze. Używa się go jako broni. Lasery Władcy Niebios znajdują się pod kontrolą komputera. Ten zaś zwalcza obiekty zbliżające się do terytorium Władcy Niebios.

Jan usiłowała zrozumieć to, co Milo mówił. Idea „mechanicznego mózgu” wydała się jej wyjątkowo dziwna, jak i to, że światło może być użyte jako broń. Lecz przecież widziała rakiety niszczone przez te niebieskie promienie.

— Skoro Władca Niebios dysponuje tak potężną siłą – powiedziała powoli – to dlaczego nie użył jej do zniszczenia Minery? Dlaczego zrzucił na nas bomby?

— Jak powiedziałem, system ten jest automatyczny. Nie znajduje się pod kontrolą Arystów w takim stopniu, jakby oczekiwali. Komputer, który tym kieruje, jest zaplombowany i gdzieś ukryty. Jest oddzielony od pozostałych systemów komputerowych – tych wciąż działających – co oznacza, że jeśli technikom z grupy obsługującej ten sterowiec nie uda się do niego trafić, to może się wydarzyć coś nieoczekiwanego.

Jan spoglądała na niego ogłupiała.

Zaczerpnął tchu.

— W porządku, wytłumaczę ci inaczej. Strugi światła są bronią, która działa niezależnie od Arystów. W dodatku te promienie atakują tylko obiekty nieożywione, takie jak rakiety czy inne pociski. Nie zniszczyłyby ani ptaków, ani ludzi.

— Dlaczego Władca Niebios zachowuje się w tak łaskawy sposób wobec istot żyjących? zapytała, całkowicie zdezorientowana.

— Ponieważ, moja mała, niedoświadczona amazonko, w swej początkowej formie Władcy Niebios służyli w zupełnie inny sposób społeczności męskiej... i żeńskiej – dodał pośpiesznie. – Zwano ich Aniołami Niebios, częściowo z powodu charakteru ich pracy, ale też i dlatego, że wywodzili się z niebios.

— Niebios?

Milo wskazał na niski szary sufit.

— Niebios. Ze sfery pozaziemskiej, by być dokładniejszym. Zbudowani zostali w wielkiej fabryce w przestrzeni orbitalnej prawie tysiąc mil nad powierzchnią Ziemi.

Jan spojrziała nań podejrzliwie. Żartuje z niej, czy też rzeczywiście wierzy w te bajki, które jej opowiada? W jaki sposób można wybudować fabrykę tak wysoko w niebie i co ochroniłoby ją przed upadkiem na ziemię?

Milo wywrócił oczami z wyrazem rozdrażnienia.

— Nie mam czasu na dokładne tłumaczenie ci podstawowych praw przyrody. Musisz mi uwierzyć, że w dawnych czasach mieliśmy możliwości podróżowania do sfer pozaziemskich. W powiększonych wersjach takich rakiet, jakie wstrzeliliście przeciwko nam wczoraj. Musisz mi również uwierzyć, że gdy znajdziesz się dostatecznie wysoko nad ziemią, nie będziesz

odczuwała grawitacji. To brak przyciągania zdecydował o tym, że Aniołowie Niebios zostali zbudowani w przestrzeni pozaziemskiej. Specjalne stopy i materiały użyte do wykonania szkieletu sterowca i jego wnętrza mogły być wyprodukowane tylko w warunkach nieważkości. Są niezwykle mocne, lecz nad wyraz lekkie.

— Rozumiem – powiedziała Jan, kiwając głową. Milo zachichotał i rzekł: – Rozumiesz? Wątpię. Wy, Minervianie, żyliście przez wieki w wygodnym kokonie niewiedzy. Powiem ci coś, co uznasz za bajkę.

Posiadamy nie tylko fabryki w przestrzeni, ale również miasta. Na orbicie okołoziemskiej, ale też na Księżycu i na Marsie.

— Myślę, że wypileś dziś sporo mocnego piwa. Zaśmiał się znowu.

— Ach tak, więc znasz piwo. Miło mi słyszeć, że wy, amazonki, miałyście przynajmniej jeden nałóg. Czy wielu piwoszy żyło w Minervie?

— Całkiem sporo – przyznała. – Lecz gdy zapasy zboża się skurczyły, musieliśmy zaprzestać produkcji piwa. Nie pozostało go już wiele i ograniczono przydziały. Miałyśmy roślinę produkującą alkohol, lecz produkcja okazała się niedoskonała. Używaliśmy tego produktu jako paliwa do gotowania, ogrzewania itp.

— To był propanol czy butanol? Wzruszyła ramionami.

— Nazywaliśmy go po prostu alkoholem. Wydobywało się go z dwóch zbiorników.

Wypełnione były brązową cieczą. Jeśli napełniło się je czymkolwiek: liśćmi, trawą, resztkami jedzenia, to po pewnym czasie zmieniało się to w alkohol.

Milo potaknął.

— Wiem, co to było. Bakteria syntetyczna wyprodukowana za pomocą inżynierii genetycznej, która miała za zadanie przekształcenie substancji organicznej w propanol lub butanol. Przy odrobinie zachodu mogłybyście uzyskać również alkohol etylowy. Ten, który można pić.

Jan była przerażona.

— Czy sądzisz, że popełniłybyśmy takie bluźnierstwo, nawet gdyby to było możliwe?

— Nie widzę powodu, dla którego miałybyście go nie popełnić. Wykorzystywałyście przez wiele lat „złą” wiedzę w celu hodowli tej rośliny.

— Lecz jestem pewna, że nikt na Minervie nie zdawał sobie sprawy z tego, że roślina ta jest efektem zmian genetycznych – stwierdziła Jan.

— Na początku ktoś z pewnością o tym wiedział.

— Żaden z mieszkańców Minervy nie wykorzystałby dobrowolnie czegoś stworzonego przez inżynierów genetyków. Ci mężczyźni ponoszą jednak odpowiedzialność za to, co się dziś stało ze światem.

— Co za hipokryzja! – zaśmiał się Milo. – Po pierwsze, większość tych inżynierów genetyków stanowiły kobiety. Poza tym Minerva szeroko stosowała przekształcenia genetyczne w ostatnich latach. Rezultaty tego można jeszcze dostrzec. Spójrz na waszych mężczyzn... spójrz choćby na siebie.

— Na siebie?

— Jesteś czymś, co się zowie Głównym Wzorcem, według Zasad Genetycznych Narodów Zjednoczonych z roku 2062. Pod wieloma względami jesteś lepsza niż wszystkie poprzednie pokolenia ludzkie. Po pierwsze, twoje życie trwać będzie ponad dwieście lat, a pod względem rozwoju fizycznego nigdy nie

przekroczysz lat trzydziestu pięciu – może nawet nie osiągniesz tego wieku w ciągu następnych czterdziestu lat. Tym samym oszczędzone ci zostaną wszelkie przypadłości wieku starczego, a gdyby zdarzyło ci się umrzeć, biorąc pod uwagę nieprzewidziane okoliczności, twoja śmierć będzie szybka i bezbolesna. Masz również fenomenalny system obronny – ciągnął Milo. – Jesteś chroniona przed wszystkimi typowymi zarazkami i takimi chorobami jak rak, które prześladowały ludzkość przez wieki. Trzeba przyznać, że jesteś jednak podatna na większość wirusów uznanych za zdradzieckie, które wyzwołyły się podczas ostatnich etapów Wojen Genetycznych, i na parę zmutowanych gatunków grzybów, używanych w tych czasach. Jednak są to wady, które dzielisz za wszystkimi przedstawicielami Głównego Wzorca, a poza tym jesteś bardzo udana. Posiadasz niezwykle zdolności regeneracyjne – twoje kości po złamaniu zrastają się bardzo szybko, a twój centralny układ nerwowy też jest bardzo odporny. Skaleczenia, które w przypadku ludzi z dawnych czasów doprowadziłyby do śmierci, twój organizm leczy w ciągu paru tygodni. A poza wszystkim – nie miesiączkujesz, jeśli nie zachodzisz w ciążę podczas okresu płodności. Jan zawirowało w głowie.

— Czego nie robię?

— Nie miesiączkujesz – powiedział Milo, uśmiechając się. – W czasach poprzedzających Główny Wzorzec kobiety miały menstruację co miesiąc, od okresu dojrzewania do menopauzy. – Zauważył, że Jan nie rozumie, i urwał. – Czego uczono cię w Minervie? Chodzi mi o problemy twojego ciała.

— Uczono mnie współgrać z moim ciałem – powiedziała – poprzez medytację i odczuwanie przepływu ducha Bogini Matki.

— Nie, nie – przerwał jej spieszenie. – Chodzi mi o to, czy

mówiono ci o funkcjonowaniu twego ciała.

— Tak, oczywiście.

— Co wiesz wobec tego o swoim układzie rozrodczym? O tym, że od czasu urodzin nosisz w sobie komórki jajowe?

Jan skinęła głową.

— Czy wiesz, ile jest tych jaj?

— Coś około stu, jak sędzę.

— Tak. Lecz w czasach poprzedzających Główny Wzorzec dziewczynka nosiła w jajnikach około pół miliona jaj.

— Naprawdę? – zapytała niedowierzająco.

— Tak, to prawda. Gdy taka dziewczynka osiągała wiek dojrzewania, co oznaczało wtedy wiek, w którym jej układ rozrodczy zaczynał działać, jajo było co miesiąc wprowadzane do macicy w celu zapłodnienia. Jeśli jajo nie zostało zapłodnione w czasie dwóch tygodni, było wyrzucane z macicy. To nazywano miesiączkowaniem. Kobiety różnie to znosiły. Poza krwawieniem z tym związanym, często zdarzały się też bóle, jak i złe samopoczucie. Decydowały o tym oczywiście hormony. Gdy jajo znajdowało się w macicy, zmiany hormonalne wpływały na przekształcenie powierzchni macicy w celu przygotowania jaja do zapłodnienia. Te zmiany hormonalne powodowały złe samopoczucie.

— Nie mogę w to uwierzyć. Bogini Matka nie pozwoliłaby na to, by kobiety tak cierpiały.

— Waszej Bogini Matki wtedy jeszcze nie było – powiedział Milo oschle. – Bóg Ojciec rządził światem i on to widocznie spowodował.

— Bogini Matka istniała zawsze – powiedziała Jan zdecydowanie.

— Skoro tak mówisz... W każdym razie, gdy inżynieria

genetyczna około połowy dwudziestego pierwszego wieku uporała się z problemem wyłączenia zegara molekularnego, powodującego samounicestwienie komórki, zwane procesem starzenia, oznaczało to osiągnięcie nieśmiertelności. Gdyby jednak cała ludzkość stała się nieśmiertelna, zasoby ziemskie gwałtownie by się wyczerpały. Wobec tego zdecydowano się na ustalenie limitu wieku, jakiego może dożyć każda osoba zmieniona genetycznie. Dyskusja trwała dłuższy czas, aż wreszcie Narody Zjednoczone ustaliły górną granicę na około dwieście lat. Wtedy Narody Zjednoczone odgrywały istotną rolę, gdyż miały poparcie Sojuszu Radziecko–Amerykańskiego.

— Czym były Narody Zjednoczone? – zapytała. Machnęła ręką.

— Innym razem. Istota sprawy polegała na tym, że gdy ludziom pozwolono żyć dwieście lat, nie można było im pozwolić na rozmnażanie się w tak dowolny sposób, jak poprzednio, gdyż znowu zabrakłoby zasobów naturalnych. Postanowiono wobec tego, iż kobiety przez jeden tylko rok na dwadzieścia lat będą płodne.

Jan spojrzała na niego.

— Czyżby chodziło ci o to, że kobiety były dawniej płodne cały czas? – zapytała zdziwiona.

— To właśnie usiłuję ci wytłumaczyć. A te dwa dekryty Narodów Zjednoczonych nie tylko zmieniły układ rozrodczy kobiety, lecz również cały świat.

— W jaki sposób?

— Z powodu protestów przeciw tym dekretom. Większość protestów wynikała z zasad religijnych. Narody muzułmańskie potępiły ideę stosowania genetyki wobec ludzi. To było, jak mówiono, przeciwko prawu Allacha...

— Allacha...? – zapytała Jan.

— Kolejny męski Bóg. Chyba by ci się nie podobał. W każdym razie sprzeciwiły się nie tylko narody muzułmańskie, ale protestowali również przedstawiciele religii zachodnich, katolicy i protestanci. Tylko nie pytaj mnie, kim byli. Zbyt wiele czasu zajęłoby wyjaśnianie tego. Uwierz mi, że cała ta kłótnia stała się dość zażarta i krwawa. Widzisz, kiedy Narody Zjednoczone określiły granicę życia na około dwieście lat, ustanowiły tym samym, że każdy człowiek na świecie, pod warunkiem, że nie był zbyt stary, by poddać się modyfikacji genetycznej, został upoważniony do przedłużenia życia. Możesz sobie wyobrazić rezultat: ludzie żyjący w krajach, w których zabroniono przedłużania życia ze względów religijnych, starali się z oczywistych przyczyn przenieść do krajów, gdzie to było dozwolone. Gdy cała ta sprawa wybuchła, należało zmienić całkowicie mapę świata. Większość olbrzymich narodów, w tym Związek Radziecki i Ameryka, podzieliła się na serię małych państw autonomicznych, takich jak Minerva.

— Mówisz przekonywająco – powiedziała Jan zdziwiona.

— To jest przekonywające, gdyż to prawda – powiedział. – Minerva zawdzięcza swe istnienie inżynierii genetycznej, niezależnie od tego, jakie mity dotyczące jej początków ci wpajano. Mieszkańcy Minervy nie byli zadowoleni z Głównego Wzorca. Stosowali różne modyfikacje, jakie uznali za konieczne. Pierwsze feministki niechętnie uznawały z powodów dogmatycznych fakt, że większość różnic psychologicznych pomiędzy mężczyznami a kobietami jest uwarunkowana genetycznie. Ta idea pachniała zbyt mocno „biologicznym determinizmem”, bardzo niepopularną politycznie koncepcją tego okresu. Jednak pod koniec dwudziestego wieku badania nad pracą ludzkiego mózgu wykazały, iż determinizm biologiczny

jest o wiele ważniejszy w działaniach ludzkich, niż uprzednio sądzono.

Feministki w pełni wykorzystały te odkrycia, gdy kilkadziesiąt lat później zakładały Minervę.

Jan potrząsnęła głową.

— Przepraszam. Kompletnie się w tym pogubiłam. Nie rozumiem nawet połowy słów, których używasz. Kim były, na przykład, owe feministki, o których mówisz?

Pytanie to rozbawiło go szalenie. Odrzucił głowę do tyłu i śmiał się tak głośno, że w sąsiednich komórkach odezwały się gniewne szepty. W końcu powiedział: – Bardzo dobrze, starczy na dziś. Później będę kontynuował twą opóźnioną edukację w zakresie historii waszej nieszczęśliwej planety. Teraz porozmawiajmy o czymś innym – o nagrodzie za moją opiekę i pomoc.

— Nagrodzie? – zapytała zaskoczona.

— Tak, nagrodzie, moja mała amazonko. Powiedziałem ci wcześniej, że zawrzemy umowę.

W zamian za moją pomoc pomożesz mi. Dasz mi coś, czego potrzebuję.

— Przecież nie mam niczego, co bym mogła ci dać.

— Przeciwnie. Masz siebie – powiedział Milo i uśmiechnął się do niej tak, jak uśmiechał się do Bunchera.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

— Czy chcesz powiedzieć, że twoja pomoc uzależniona jest od tego, czy będę z tobą współżyła? – zapytała Jan wściekła.

Poczuła się zła i zdradzona. Po tym, jak okazał jej współczucie, zaczynała mu już ufać.

Wzruszył ramionami.

— Musisz być realistką, Jan. Nie dostaje się niczego za darmo. Szczególnie w tym świecie, tu w górze. Niezależnie od tego, jak wiele współczucia mam dla ciebie, nie jestem z natury altruistą. Widzę teraz twą atrakcyjność i urok i czuję, że pomimo potwornej ignorancji mogłabyś być podniecającą partnerką. Uczciwie mówiąc, potrzebuję kobiety. Jestem jednak w tych kwestiach wybredny, a jak widziałas, kobiety na pokładzie tego fruującego zoo nie są zbyt ponętne – westchnął i dodał: – Od czasu, gdy trzy lata temu stałem się niewolnikiem, miałem tylko kilka krótkich i niezadowolających stosunków. Potrzebuję czegoś więcej i wierzę, że jesteś w stanie mi to dać. Podskoczyła na łóżku.

— Zamierzasz współżyć ze mną, mimo że ja nie chcę – rzekła z oburzeniem.

— Mówiąc bez osłonek, hm, tak...

— To gwałt.

— Nie, nie całkiem – zaprotestował. – Nie zamierzam cię zmuszać siłą do miłości ze mną. To nie będzie gwałt.

— Jak więc to nazwiesz? Mówiąc, że przekażesz mnie reszcie tej tutejszej dziczy, jeśli nie zgodzę się na to, byś we mnie wszedł. Sądzę, że to jest gwałt. Spojrzał na nią chłodno.

— Bądź pewna, że w seksie chodzi mi o coś więcej, niż o

zwykłą kopulację, młoda kobieto. Jednak chcę podkreślić, że nie wezmę cię siłą.

— To, że nie użyjesz siły fizycznej, nie oznacza, że nie będzie to gwałt – powiedziała.

Podrapał się po głowie i powiedział: — Dobrze, pomyśl o tym, jakby chodziło o interes. Musisz zrobić coś, czego nie chcesz, po to, by uzyskać coś, czego potrzebujesz.

— Ach, tak. Mam pozwolić ci na zgwałcenie mnie, a ty zostawisz mnie przy życiu. Czy to nazywasz interesem? Spojrzał gniewnie.

— Nie mam zamiaru cię gwałcić, a sprzedawanie ciała, owszem, jest interesem. Zwie się prostytutką i stanowi jeden z najstarszych zawodów świata. Kobiety, a i mężczyźni, od najdawniejszych czasów sprzedają swe ciała za pieniądze lub żywność czy inne dobra.

— Jeśli ktoś nie chce współżyć z kimś innym, lecz musi to zrobić dla swego przetrwania, to jest to gwałt – powiedziała stanowczo.

— Nie, jesteś zbyt pedantyczna – odparł. – Pomyśl, na przykład, o kobiecie, która pragnie wygodniejszego życia i dlatego śpi z mężczyzną, nawet gdy nie czuje do niego żadnego pożądanego. Czy nazwiesz to gwałtem?

Jan się stropiła.

— Może nie, lecz powiedziałam „dla swego przetrwania”, a to nie to samo. Kobieta zmuszona do sprzedawania swojego ciała w celu przeżycia, gwałcona jest przez mężczyzn wykorzystujących jej sytuację i niezależnie od tego, ile pieniędzy i żywności mogą jej dać, są gwałcicielami w najczystszej postaci.

— Nie sądzę... – powiedział, zająknąwszy się.

— To, co mi proponujesz, wiąże się z kwestią przetrwania –

powiedziała szybko.

Wykorzystujesz swą przewagę: seks lub śmierć. Innymi słowy, to gwałt. Spojrzał na nią.

— Dość już tych minerviańskich dogmatów – powiedział nerwowo. – Jest to kwestia interpretacji i dalsza kłótnia nie ma sensu. Postawię ci ultimatum. Masz dokładnie tydzień czasu na decyzję, czy akceptujesz moją propozycję, czy nie. Jeśli zdecydujesz się na nią, oddasz mi się dobrowolnie, bez słowa. Jeśli po tygodniu nie zaakceptujesz mojej propozycji, pozbawię cię swojej opieki i będziesz wolna. Wiesz, co to znaczy. Zgadzasz się na te warunki?

Przez chwilę Jan milczała, po czym rzekła: — Mam tydzień na podjęcie decyzji?

— Tak, gwarantuję ci to.

— Bardzo dobrze. Powiem ci za tydzień. – Znow oparła się o ścianę i rozprostowała ramiona.

Milo wydawał się zadowolony.

— Dobrze – powiedział i uśmiechnął się do niej.

Nie odwzajemniła uśmiechu.

Podjęła decyzję i poczuła się lepiej. Zanim upłynie tydzień, umieści bombę ogniową tam, gdzie spowoduje ona największe uszkodzenia i zmiecie Władcę Niebios z horyzontu. Z chwilą gdy wyraziła zgodę na szantaż seksualny, Milo znow stał się współczujący i przynajmniej pozornie uroczy. zaproponował jej kolejnego suchara, mówiąc, że zjedzą coś konkretniejszego, gdy się wyśpią. Po czym zdjął cienki materac z wiklinowego łóżka i położył go na podłodze.

— Będziesz spała na tym. Jest wygodniejszy niż łóżko. Podziękowała mu zmęczonym głosem i rozciągnęła się na materacu. Czuła się przemęczona, lecz jednocześnie niezbyt

śpiąca.

Uświadomiła sobie, że boi się zasnąć. Obawiała się tego, co może się jej przyśnić. Stał nad nią i powiedział: — Możesz zdjąć ubranie, jeśli chcesz. Nie będę cię dotykał. Obiecałem ci.

— Pozostanę w ubraniu.

Wzruszył ramionami i rozpiął zamek w swoim obszernym kombinezonie. Gdy zdejmował kombinezon, spojrzała na niego szybko, po czym odwróciła się na bok i zamknęła oczy. To ciało nie było interesujące, jak i inne męskie ciała. Nie było owłosione, lecz również mężczyźni w Minervie mieli ciała skąpo owłosione. Jego narządy płciowe wydawały się normalne, choć wiedziała, że jej znajomość męskich narządów płciowych ogranicza się do jednego tylko doświadczenia z Simonem. Jediną ciekawszą rzeczą w ciele Mila było to, że nie wyglądało ono potężnie. Z pewnością nie na tyle potężnie, by zdziałać to, czego była świadkiem, z mocno zbudowanym Buncherem.

Dobiegło ją skrzypienie łóżka, gdy Milo się położył. Poprzez cienkie ściany słychać było szmery rozmów. Gdzieś dalej zaszlochała kobieta. Jan chciała wiedzieć, czy wyłączają tu kiedykolwiek światło. Jego blask wciskał się poprzez zaciśnięte powieki.

Światło na suficie stało się czerwone. Spostrzegła płomienie, jakby znów płonęła Minerva. Słyszała krzyki, odgłosy bomb, ujrzała ponownie Helen, oszołomioną i zataczającą się, trzymającą się za ramię zakończone krwawym kikutem... i Jan otworzyła oczy. Przestraszyła się, że koszmary nocne ostatnich dwóch dni czekają w jej podświadomości. Jeszcze zanim zasnęła, obrazy takie kołatały jej się po głowie. Gdy zaśnie, będzie musiała przeżyć je ponownie. Ale poczuła się senna. Dokuczało jej nieprzyjemne swędzenie skóry spowodowane białą ciecżą.

Wbrew jej woli oczy znów się zamknęły.

Kto krzyczy? To ten okropny dźwięk, wysoki i przenikliwy, działa na nerwy. Jan rozejrzała się dookoła, lecz dym już się rozwiewał.

Wrzask narastał. Nagle zza dymu wyłoniła się biegnąca ku niej Martha. Sierść szympansicy płonęła. Gdy się zbliżyła, Jan dosłyszała skwierczenie palącego się ciała.

Nie! – krzyknęła, gdy Martha, pełna paniki i strachu przyskoczyła do niej. Zaczęła krzyczeć, gdy potężne, płonące ramię szympansicy uścisnęło ją w desperacji... Jan wciąż krzyczała, chcąc się uwolnić z tych ramion, lecz nie mogła, były zbyt silne.

— Spokojnie, amazonko – powiedział jej czyjś głos do ucha. – Uspokój się, to tylko sen.

Wszystko w porządku...

Dotyk płomieni na jej ciele ustąpił, chociaż potężne ramiona wciąż ją ścisnęły. Uświadomiła sobie, gdzie jest – w komórce Milo, chociaż było tu coraz ciemniej. Przestała krzyczeć.

— Na litość boską, niech ta suka się zamknie! – krzyknął jakiś mężczyzna z sąsiedniej komórki.

— Lepiej? – zapytał Milo uprzejmie.

— Nie, nie wiem, co się ze mną stało? – Jej ciało drżało gwałtownie, usta poruszały się konwulsyjnie. Wypełniał ją nieokreślony strach, tak, jakby miała spaść w przepaść.

— To jest opóźniona reakcja po twoich przeżyciach – powiedział Milo, trzymając ją silnie. Przywarła do niego. Czowała, że gdyby się do niego przytuliła, strach przepadłby na zawsze.

— Odpręż się – szepnął. – Oddychaj głęboko i powoli. Raz... dwa... Raz... dwa...

Stopniowo okropne uczucie paniki i strachu zmniejszyło się, a

drzenie ustało. Milo puścił ją. Była wyczerpana i czuła się niedobrze. W ciemności ujrzała, jak podchodzi do swej skrzyni i wyjmuje małe pudełko i menażkę. Klęcząc nad nią na materacu poprosił, by wyciągnęła rękę. Kiedy to zrobiła, wcisnął jej w dłoń tabletkę i powiedział: — Połknij to. Poczujesz się lepiej.

— Co to jest? – spytała podejrzliwie.

Dojrzała błysk jego zębów w ciemności.

— Zaczynasz się już zachowywać normalnie. Nie bój się. To tylko syntetyczny hormon stymulujący twój mózg do zwiększonej produkcji pewnego typu encefaliny. To cię uspokoi i pozwoli zasnąć. Lepiej weź to, zanim się rozmyślę. Takie środki są dziś tak rzadkie jak zęby u kury.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Przecież wszystkie kury mają zęby.

— Zapomnij o tym. Stara bajka. Zażyj lepiej lekarstwo. Nieufnie wzięła lekarstwo do ust. Podał jej menażkę i popiła tabletkę kilkoma łykami wody.

— Nie czuję różnicy – powiedziała, oddając menażkę.

— Poczujesz.

Włożył menażkę i pudełko do skrzyni. Po czym odwrócił się i spojrzał na nią.

— Jan – zapytał cicho – co ty masz w kieszeni?

— Co? – spytała. Przez moment nie wiedziała, o czym mówi. Po chwili przypomniała sobie o bombie. Zaniemówiła.

— To, to... Nie wiem – zająknęła się.

— Nie wiesz, co nosisz w kieszeni? – zapytał. Pochylił się nad nią i sięgnął ręką. Nie protestowała, gdy wy dobył bombę z jej górnej kieszeni. Widziała, jak oglądają w skąpym świetle.

— To jest ciężkie – powiedział. – Więc mówisz, że nie wiesz, co to jest, tak, amazonko? O Bogini Matko – pomyślała, obserwując

go, jak trzyma bombę. Jeśli otworzy wieko...

— Oddaj mi to – zażądała, wyciągając rękę – to ci powiem. Wahał się przez dłuższy czas, zanim oddał jej cylinder.

— No więc? – powtórzył cicho.

Coś się z nią stało. Uświadomiła sobie, że to chyba na skutek lekarstwa. Zaczynała się czuć... wspaniale. Wszelkie jej troski i obawy – nawet smutek – odpadły jak strup od zagojonej rany. Czowała się wesoła i wspaniale odprężona.

— Powiedz mi, Jan, co to jest – domagał się Milo tym samym cichym, zachęcającym tonem.

Dlaczego nie powiedzieć mu prawdy? – zastanawiała się. Czego się boi? Lecz w ostatniej chwili zdecydowała się nie mówić.

— To święty przedmiot. Bardzo święty. Tylko to mam z Minervy. Matka mi to dała.

— Matka?

— Matka była naczelniczką Minervy. Bardzo ważną. Ludzie, których zwiesz Arystami, nie wiedzą o tym... pozostaw ich w nieświadomości, dobrze?...

Położyła się na materacu, podpierając na łokciu. Poczwała się bardzo śpiąca. Cudownie śpiąca.

— Nie powiem – rzekł Milo łagodnie. – Ale co to jest?

— Jestem zmęczona – rzekła sennie. – Chcę spać.

— Za chwilę, amazonko. Powiedz mi najpierw, co to jest.

— Bardzo święte.

— To wiem. Chcę się dowiedzieć, dlaczego.

— To znak władzy. Jeden z kilku otrzymanych przez nasze prababki od Bogini Matki. – Poczucie winy, jakie miała, wygłaszając to kłamstwo, było tak małe, jakby wręcz nie istniało. – Przysięgłam matce, że będę się tym opiekować. Chronić przez

całe życie.

— Rozumiem – powiedział powoli. – Lecz jak udało ci się to przemycić na pokład?

— Schowane. – Poczowała, jak ją szarpie, by nie zamykała oczu. Czowała się tak, jakby zapadała się w głębokie, wygodne łóżko. Znów, jak w dzieciństwie, jakaś pewność spływała na nią z nieznanego źródła.

— Ale jak? Z pewnością zniszczono twą odzież. Zachichotała.

— Schowane we mnie.

— Ach – powiedział ze zrozumieniem. – No, jasne.

— Śpijmy teraz – szepnęła, opuszczając głowę na materac. Po chwili już spała.

Milo pozostał w miejscu, patrząc na nią. Gdy był pewien, że głęboko usnęła, sięgnął i wyjął cylinder z jej kombinezonu. Obejrzał go dokładnie, po czym odłożył na miejsce. Wstał i podszedł do swego łóżka. Leżąc myślał o opanowaniu pożądania, jakie budziła w nim ta dziewczyna. W końcu zasnął i po raz pierwszy od lat śnił o Mirandzie.

Dobre samopoczucie nie opuściło jeszcze Jan, gdy się obudziła, choć stan ten nie był tak intensywny, jak uprzednio. Usiadła. Milo już nie spał. Był ubrany i siedział na krawędzi łóżka, patrząc na nią.

— Czujesz się lepiej? – spytał.

— Tak – przyznała. – Dzięki ci. – Rozejrzała się. Światła znów były włączone. Nagle przypomniała sobie, co się stało, zanim zasnęła i szybko sięgnęła do kieszeni. Bomba była na miejscu.

— Nie bój się – powiedział. – Nie ukradłem twojej drogocennej pamiątki.

— Poczowała, jak się rumieni.

— Co było w tym leku, który mi dałeś? – spytała, zmieniając

temat. – Rodzaj narkotyku wymyślonego przez starą wiedzę?

— Produkt starej wiedzy, lecz nie narkotyk w takim sensie, jak ty to prawdopodobnie rozumiesz – rzekł. – Próbowałem ci wytłumaczyć ostatniej nocy, że rzeczywisty narkotyk, który powoduje twoje lepsze samopoczucie, produkowany jest przez twój mózg. Lekarstwo zawierało substancję, która stymuluje pewien fragment twego mózgu do produkcji dużych ilości tego „narkotyku”.

Przyglądała mu się, próbując zrozumieć. Tak jak poprzednio, nie była pewna, czy kpi z niej, czy mówi prawdę.

— Czy masz na myśli to, że w moim mózgu znajduje się narkotyk i to on spowodował to wspaniałe samopoczucie, jakie miałam przed snem tej nocy? – zapytała. – Ależ to niemożliwe, przecież czułabym się tak samo już wcześniej.

Westchnął lekko.

— Nie przeżyłaś przedtem takiego stanu, gdyż twój mózg nigdy wcześniej nie dostarczył do twojego układu nerwowego takiej dużej dawki encefaliny, „narkotyku”. Gdy patrzyła z powątpiewaniem, Milo zapytał: — Czy znasz narkotyk zwany morfiną?

— Tak. Wytwarza się go z maku. Dar Bogini Matki. Uśmierza ból.

— Więc słuchaj. Dawno, dawno temu naukowcy odkryli, że centralny układ nerwowy człowieka posiada własną wersję morfiny. Potwierdza to fakt, iż niektórzy ludzie nie czują bólu – przynajmniej w momencie zranienia. Wraz z rozwojem badań biochemicznych nad działaniem mózgu odkrywano coraz więcej substancji podobnych nie tylko do narkotyków i środków znieczulających, lecz również do innych leków wpływających na zmianę usposobienia. Stało się jasne, że myśl ludzka jest

końcowym rezultatem skomplikowanej mieszanki chemicznej. Zidentyfikowanie wszystkich tych składników chemicznych i określenie ich specyficznych funkcji zajęło wiele lat, a przy okazji dokonano szeregu interesujących odkryć dotyczących natury ludzkiej. Jedno z nich wiązało się z depresją. Wiesz chyba, co oznacza, słowo „depresja”, prawda?

— Tak, oczywiście. Oznacza uczucie smutku lub przygnębienia.

— Czy odczuwasz to często?

— Hm, niezbyt często, ale czasami. Ostatnio częściej. Uśmiechnął się.

— Lecz chyba nie w tym momencie, co? Mimo że twoja obecna sytuacja jest niewesoła, czujesz się całkiem nieźle, prawda? Przyznała, że tak.

— To wynik przedłużonego działania hormonu, który ci podałem – powiedział. – Lecz dzięki zmianom genetycznym, jakim poddani zostali twoi przodkowie, nie jesteś fizjologicznie zdolna do odczuwania depresji w takiej formie, jak to odczuwali ludzie w czasach poprzedzających Główny Wzorzec. W czasach przed erą genetyczną wielu ludzi było podatnych na stan, zwany depresją maniackalną. Stan taki uważano za chorobę, spowodowaną wadami psychicznymi bądź fizycznymi. Za osobę „normalną” uważano taką, która nie odczuwała tego stanu. Sądzono, że naturalną strukturą ludzkiej psychiki jest poczucie równowagi emocjonalnej z wrodzoną tendencją do manifestowania dobrego samopoczucia i optymizmu, zależnego jednak od okoliczności zewnętrznych.

— Czy to nie jest naturalne? – spytała.

— Tu dochodzimy do sedna – powiedział. – Naukowcy odkryli, że natura zagwarantowała ludziom ciągłe dostarczanie

narkotyków do gałki ocznej by, jak to się mówi, umożliwić im funkcjonowanie. Tak jest przynajmniej w przypadku tych „normalnych”. Osobniki nienormalne, te podatne na depresję maniacką lub chroniczne zaburzenia umysłowe, cierpią na braki czynnościowe mózgu, który nie jest w stanie wyprodukować wystarczającej ilości substancji neutralizujących, pozwalających na zachowanie przez nich owego „różowego”, a więc spaczonoego oglądu rzeczywistości. W rezultacie owe nienormalne jednostki odbierały widocznie bardziej obiektywny obraz rzeczywistości...

Potrząsnęła głową niedowierzająco.

— To, co mówisz, jest bezsensowne.

— Takie same były opinie większości ludzi, kiedy ta teoria została ogłoszona; też uważali to za bezsens. W ludzkiej naturze leży przeświadczenie, że sposób postrzegania rzeczywistości ma charakter obiektywny. Lecz smutną prawdą jest to, że nasza percepcja czegokolwiek, a więc w sumie wszystkiego, co myślimy i czujemy, jest zależna od zaprogramowania genetycznego, które z kolei kontroluje produkcję wszystkich hormonów stymulujących działanie substancji chemicznych w naszym mózgu. Nawet nasz sposób postrzegania czasu jest wywołaną biologicznie iluzją: nie ma czegoś takiego jak czas linearny, natomiast czas... – Spojrzał na nią i urwał. – Daruj mi – powiedział znużony. – Moja potrzeba rozmowy z kimkolwiek znowu wzięła górę. Zapomniałem, że mimo swej wrodzonej inteligencji jesteś dzikuską, podobnie jak cała reszta znajdująca się w tym miejscu.

— Nie jestem dzikuską – zaprotestowała.

— Nie? Więc rozumiesz, co mówię? – spytał podchwytliwie.

— Prawdę mówiąc, tylko trochę – przyznała. – Lecz jestem

pewna, że z twoją psychiką jest coś nie w porządku. Jedna z zasad wiary w Minende mówi, że umysł jest niezależny od ciała. Należy do Bogini Matki i po śmierci ona go zabiera. Zatrzymuje go w raju, albo, jeśli umysł potrzebuje dalszego oczyszczenia duchowego, posyła go z powrotem na Ziemię, by żył w innym ciele.

— To mi dopiero teoria – zadrwił. – Niebo i Ziemia zredukowane do jednej wielkiej pralni. Jego słowa zdenerwowały ją.

— Moje wywody są sensowniejsze niż sądy, które ty wypowiadasz – odrzekła.

— Moja mała, biedna amazonko. Ty sama jesteś produktem niewiarygodnych bzdur.

Jak ci powiedziałem wcześniej, wasi dawni inżynierowie genetycy w Minervie wiedzieli o tym. Twoi przodkowie zostali zmienieni wtedy, gdy wprowadzono zasadę dominacji Głównego Wzorca. Zarówno fizycznie, jak i psychicznie jesteś różna nie tylko od kobiet z epoki przedgenetycznej, lecz także od kobiet żyjących na tym sterowcu. Twoi żeńscy przodkowie stali się, dzięki genetycznej manipulacji z układem hormonalnym, nie tylko więksi fizycznie, lecz też trochę bardziej męscy w sensie emocjonalnym. Wasi mężczyźni przeszli daleko drastyczniejszą modyfikację. Produkt końcowy był mniejszy, nieagresywny, pozbawiony waleczności. Stał się niegroźnym samcem ludzkim – krótko mówiąc, kobiecym ideałem tego, czym winien być mężczyzna.

— Wydaje mi się nie do pomyślenia, by mieszkańcy Minervy mogli użyć inżynierii genetycznej, ale nie kwestionuję tego i przyznaję, że mężczyźni minerviańscy zostali zmienieni – rzekła Jan.

— Za pomocą magii?

— Bogini Matka ich zmieniła. Po Wojnach Genetycznych ich grupa przybyła do Minery i błagała o przebaczenie. Prosilili również o azyl. Naczelniczki zapytały Boginię Matkę, co mają zrobić. Bogini Matka przemówiła do nich i powiedziała, że przekształci wszystkich mężczyzn, błagających o przebaczenie, jak również ich synów i wnuków.

— Tak, jak powiedziałem, za pomocą magii – Milo wstał i wyprostował się powoli, unosząc ramiona nad głowę. – No dobrze, niech tak będzie. Przynajmniej zgadzamy się w tym, że mężczyźni minerviańscy nie byli normalni. Milsy, być może, ale nie normalni. Wielką przeszkodą dla dawnych mieszkańców Minery było to, że pomysł nie chwycił poza granicami ich państwa. Z pewnością wielu mężczyzn, popierających minerviański ideał państwa kobiecego, z chęcią przystało na zmianę, lecz większość światowej populacji mężczyzn nie wykazała chęci poddania się modyfikacji. Problem polegał na tym, że chcąc doprowadzić mózg mężczyzny do stanu, w którym wszystkie niepożądane cechy męskie zostaną albo osłabione, albo całkowicie usunięte, należało radykalnie zmienić jego seksualność. Programowanie hormonalne męskiej seksualności i męskich cech behawioralnych jest wspólne. Więc zmieniliście mężczyznę minerviańskiego w ten sposób, że pozostając fizycznie męskim, odczuwał dużo mniejszy popęd seksualny niż przeciętny, nie zmieniony mężczyzna. Dlatego mężczyźni ci byli nazywani przez innych „eunuchami”, a nawet jeszcze gorzej.

— Nie są eunuchami – powiedziała spieszenie Jan.

Podniósł brwi.

— Czy mówisz to z własnego doświadczenia?

Poczuła, że twarz jej płonie.

— To nie twoja sprawa.

— Przeciwnie, wszystko, co wiąże się z tobą, interesuje mnie teraz, mała amazonko. Dobrze, nie mówmy o tym. Powiedz mi lepiej, jak generalnie odbierałaś mężczyzn minerviańskich.

Wzruszyła ramionami.

— Lubiłam ich. Kochałam ojca.

— Tak, jak kochałaś matkę?

— Niezupełnie...

— Na czym polegała zasadnicza różnica pomiędzy minerviańskimi mężczyznami a kobietami? Nie chodzi mi tu o oczywiste różnice fizyczne – myślę o temperamencie.

Jan skrzywiła się.

— Sądzę, że mężczyźni byli mniej... mniej skomplikowani niż jakakolwiek kobieta, którą znałam. Ich nastawienie do życia zdawało się niekiedy trochę denerwujące. Byli zawsze mili, zadowoleni, szczęśliwi...

Milo uśmiechnął się triumfująco.

— To potwierdza moje przeświadczenie i nawiązuje do tego, co mówiłem ci na temat manipulacji stanami psychicznymi. Wasi inżynierowie genetyczni zmuszeni byli do podniesienia dawki owych naturalnych źródeł optymizmu, które znajdują się w głowach, by spowodować zadowolenie waszych mężczyzn ze zmian dokonywanych w ich życiu. Nie musieliście ich nawet pozbawiać jąder, wystarczyło, że zneutralizowaliście ich działanie.

— Wiesz co, wolałabym być z jakimś mężczyzną minerviańskim niż z tobą.

Skrzywił się w uśmiechu.

— Nie uważasz mnie za odpowiednie towarzystwo?

— Żaden z mężczyzn w całej historii Minervy nie zgwałcił ani

jednej kobiety.

— Czy groziłem ci gwałtem?

— Tak – powiedziała chłodno.

Jego uśmiech zmienił się w grymas.

— O nie, tylko nie to. – Uciszył ją gestem. – Chodźmy. Pójdziemy kupić coś do jedzenia. Za jakąś godzinę zostaniemy zabrani do pracy.

Wstał.

— Na czym polega nasza praca? Słyszałam, jak dozorca mówili, że będę czyścicielem szkła. Co to jest?

— Powiem ci, jak zjemy. Nie chcę ci psuć apetytu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

— Nie patrz w dół, jeśli się boisz – powiedział Milo.

— Nie mogę tego przemóc – powiedziała Jan cicho, z całej siły przyciskając się do bariery. Było prawie tak nieprzyjemnie, jak w tamtym koszu wiklinowym zwisającym pod sterowcem Władcy Panglotha. Zamknięto ich wraz z kilkoma innymi niewolnikami w szklanym pudełku, które wznosiło się powoli w obszernej jamie, przypominającej brzuch jakiegoś wielkiego zwierzęcia. Zawroty głowy Jan wynikały z faktu, że szklana klatka wraz z ciężką ludzką zawartością zaczepiona była na dwóch paskach wąskiej, czarnej taśmy wyglądającej tak delikatnie jak wstążka do włosów. Jan nie mogła zrozumieć, dlaczego taśma nie urywa się pod tak wielkim ciężarem. Skomplikowane tłumaczenie Mila, że paski wykonane zostały z wyjątkowo odpornego materiału, wyprodukowanego w przestrzeni kosmicznej, nie zadowalało jej.

— Odpręż się i obejrzyj panoramę – powiedział Milo wesoło. – To całkiem interesujący widok, musisz przyznać. Oglądam to od trzech lat i nigdy mnie to nie nudzi.

Jan zmusiła się do rozejrzenia wokoło. Przebiegł ją dreszcz. Wielkie ściany, przypominające jakieś żywe ciało, falowały powoli.

— Nie rozumiem. Nic tego nie podtrzymuje. Dlaczego to na nas nie spada?

— Już próbowałem ci to wytłumaczyć – powiedział Milo. – Jesteśmy otoczeni gazem.

Helem. Miliony, miliony stóp sześciennych gazu. Nie widzisz go, gdyż jest niewidzialny jak powietrze. Ten zbiornik gazu, jak i wszystkie inne, podobne do niego, sprawia, że *Władca Pangloth*

utrzymuje się w powietrzu. Pomyśl o tym jak o wnętrzu jakiegoś wielkiego balonika.

— Czego? – powiedziała głucho.

— Ach tak. Zapomniałem. Nie ma baloników. Nie pozwala się nawet na latawce. Prawo Władcy Niebios... – potarł policzek. – W porządku, pomyśl o tym, jak o olbrzymiej bańce mydlanej. Wiesz chyba, co to jest bańka mydlana? Spojrzała nań pogardliwie.

— Oczywiście, że wiem. To jednak nie wygląda jak bańka mydlana. Bańki mydlane są okrągłe.

— Również i to byłoby okrągłe, gdyby napęłnić to całkowicie gazem. Nie jest, gdyż podczas wznoszenia się sterowca Władcy Niebios ciśnienie otaczającego go powietrza spada, a gaz w komorze rozpręża się. Gdybyś wprowadziła zbyt wiele gazu do komory na małej wysokości, to gaz rozsądziłby ją na większej. Czy rozumiałaś, jak to działa?

— Tak myślę.

Zachichotał protekcjonalnie i chciał jej zwichrzyć włosy, lecz się odsunęła. Jeden z niewolników zaczął się śmiać, lecz wkrótce się uciszył, kiedy Milo odwrócił się i spojrzał na niego. Jan powiedziała do Milo: – Dałeś mi tydzień na podjęcie decyzji, pamiętasz? Obiecałeś, że nie dotkniesz mnie w tym czasie.

Chciałem ci tylko okazać przyjaźń, to wszystko – powiedział z bólem w głosie.

— Niezły z ciebie przyjaciel – odparła gorzko.

Szklana klatka znajdowała się prawie na szczycie komory z gazem. Jan ujrzała coś, co wydało się jej odwróconym szklanym sklepieniem doczepionym do szczytu komórki. Gdy zbliżyli się do sklepienia, ujrzeli w nim otwór, w który klatka została wprowadzona, wciąż poruszając się w górę na dwóch niewyobrażalnie cienkich paskach czarnej taśmy. Sklepienie

zwarło się nad klatką i Jan ujrzała kolejne wejście znajdujące się w ścianie komórki.

— Zabezpieczenie gazowe – wyjaśnił Milo. – Chroni przed wyciekiem gazu.

Klatka zatrzymała się w przyciemnionej przestrzeni nad komorą gazową. Drzwi się otworzyły.

— Wyjść! – zarządził Benny.

Niewolnicy wylegli z klatki. Jan rozglądała się wokół ze zdziwieniem. Szara, cienista przestrzeń pomiędzy podłogą a niskim sufitem zdawała się rozciągać nieskończenie we wszystkich kierunkach. Labirynt przejść i pająkowate rusztowania łączyły te dwie płaszczyzny.

— Znajdujemy się pomiędzy kadłubem wewnętrznym a zewnętrznym – powiedział Milo cicho.

— Nie gadać! – krzyknął Benny. – Weźcie narzędzia i wspinajcie się, czyściciele szkła. – Podszedł do Jan. – Amazonko, ty możesz użyć narzędzi Milroya. Z pewnością nie będzie ich potrzebował.

Kilku niewolników zaśmiało się, kierując się ku rzędowi szafek stojących obok. Milo zaprowadził Jan do jednej z nich i pokazał, jak się otwiera.

— Co się stało z Milroyem? – spytała, oglądając oszałamiający zbiór przyrządów w szafce.

— Był nieostrożny – rzekł Milo. Wyjął watowaną kurtkę i podał Jan. – To jest najważniejsze. Będziesz tego potrzebowała, gdyż tam na zewnątrz panuje niska temperatura.

Kurtka była na nią za duża, lecz dziewczyna włożyła ją. W tym miejscu czuło się, że jest o wiele zimniej, niż na dole w pomieszczeniach niewolników. Milo tymczasem wyjmował inne rzeczy z szafki.

— Nałóż to na kurtkę – instruował ją, podając coś w rodzaju uprząży ze skóry.

Pozwoliła mu, by pomógł jej zapiąć liczne klamry. Próbowwała ignorować jego ręce, kiedy dotykały jej ciała. Zastanawiała się, do czego służą metalowe oczka w uprząży. Z kolei nałożyła trzewiki o grubych podszwach z twardej gumy, a potem skórzane rękawiczki. Zarówno trzewiki, jak i rękawiczki wyglądały na znoszone i wydawały ostry odór.

Następnie Milo wręczył jej zwój liny, zakończony na obu końcach metalowymi uchwytami. Pokazał jej, w jaki sposób ma się jej trzymać, używając oczek w uprząży. W końcu podał kij ze zwiniętym kawałkiem szmaty na jednym końcu. Popatrzyła na to.

To zmywak – powiedziała do siebie. Co miała z tym robić – czy użyć tego do czyszczenia zewnętrznej strony sterowca Władcy Niebios? Pomysł taki wydał się jej absurdalny. W końcu kadłub był czyszczony przez opady deszczu i wiatr.

— No, ruszcie się, leniwe osły! – ryknął Benny, kręcąc się między nimi. – Ostatniego z wspinających się obdarzę pocałunkiem mej pałki.

Jan skurczyła się ze strachu na myśl o straszliwym bólu, jaki przeżyła, gdy poprzednio dotknięto jej tym prętem. Spojrzała przerażona w kierunku Mila, który podszedł do szafki na końcu rzędu i w pośpiechu nakładał swój własny sprzęt. Szybko dołączyła do niego.

— Dokąd mamy iść? – spytała.

Wskazał głową. Spojrzała i zobaczyła drabinę zaczepioną na suficie. Inni zmierzali już w jej kierunku. Benny popchnął dźwignię u podstawy drabiny. Kłapa w górnej części kadłuba odsunęła się i Jan ujrzała jasne światło słoneczne. Poczula

strumień zimnego powietrza. Podeszła do drabiny w obawie, że jako ostatnia pojawi się na jej szczycie, lecz za każdym razem, gdy próbowała na nią wejść, drogę blokowali jej inni niewolnicy. Zaczęła wpadać w panikę. Wolała już cokolwiek, byle nie odczuć ponownie dotknięcia tego magicznego pręta. Wciąż blokowano jej drogę, aż ostatni z niewolników, śmiejąc się, wspiął się przed nią. Spojrzała z lękiem na Benny'ego i uświadomiła sobie, że Milo znajduje się za nią i czeka, aż ona wejdzie na górę. Z ulgą weszła na drabinę. Wdrapując się, spojrzała za siebie. Milo postępował za nią. Benny spoglądał na niego gniewnie, lecz nie wykonał żadnego ruchu, świadczącego o chęci dotknięcia go prętem.

Gdy Milo dobrowolnie podjął ryzyko, puszczając ją przed sobą, czy wiedział, że Benny blefuje? – zastanawiała się, lecz gdy wyjrzała poprzez właz wszelkie tego typu myśli zniknęły z jej świadomości. Przez chwilę zdezorientowana stała nieruchomo na drabinie. Nagle poczuła mocne uderzenie w nogę i Milo powiedział szorstko: – Wychodź, amazonko. Później będzie dość czasu na zwiedzanie. Aż za dużo...

Powoli pokonała ostatni odcinek drogi i zatrzymała się obok włazu, opierając się podmuchom silnego wiatru, wiejącego poza kadłubem sterowca. Sterowiec. Musiała sobie wyraźnie uzmysłwić, że znajduje się na jego szczycie. Kadłub był tak wielki, iż miała wrażenie, że została w cudowny sposób przeniesiona w jakiś inny świat. Nie dostrzegła ziemi, widziała tylko zakrzywiony, dziwny kształt pojazdu Władcy Niebios, rozciągający się we wszystkie strony.

Czując się mała i bezbronna wyszła i uchwyciła się balustrady, tworzącej wielkie koło wokół włazu. Inni niewolnicy, nawykli do tego widoku, śmiali się i żartowali głośno; słyszała ich poprzez szum wiatru.

— Niezły widok, prawda? – spytał Milo, dołączając do niej przy balustradzie. – Wiem, jak się czujesz. Miałem takie samo uczucie, gdy po raz pierwszy się tu zjawiłem.

Przywykniesz do tego.

Nie wierzyła w ani jedno jego słowo. Nie wyobrażała sobie, by mógł się czuć tak jak ona w tej chwili. Również nie mogła sobie wyobrazić, iż kiedykolwiek przywyknie do tego, że jest tylko pchełką na tym olbrzymim grzbiecie, gładkim i błyszczącym. Przyjrzała się dokładnie płaszczyźnie kadłuba. Wydawał się pokryty niezliczoną ilością połączonych ze sobą sześciokątnych kawałków ciemnoszarego szkła. Przypominała sobie, jak obserwowała sterowiec Władcy Niebios z Ziemi, myśląc, iż jego górna połowa pokryta jest rybimi łuskami. Zapytała Mila, do czego służą.

— Konwertor energii słonecznej. Tak przynajmniej zwaą je niebiańscy ludzie. W rzeczywistości są to...

Przerwał mu Benny, krzycząc na nich, by ruszyli. Niewolnicy zaczęli się wspinać po czymś, co wydawało się ścieżką, zaznaczoną niskimi uchwytnymi, umocowanymi na całej powierzchni kadłuba, z wyjątkiem płetwy ogonowej. Jan oszacowała, że wyniosła konstrukcja tej płetwy ma przynajmniej jedną trzecią mili długości. Jednak w tym dziwacznym krajobrazie z trudem oceniało się odległości.

Wciąż trzymała się bariery, gdy wraz z Milem podążali ścieżką za innymi. Benny szedł na końcu. Gwizdał.

— Konwertory energii słonecznej zwane są komórkami słonecznymi – kontynuował Milo. – Absorbują światło słoneczne, przetwarzając je w energię elektryczną. To właśnie stąd bierze się energia wykorzystywana zarówno przez silniki pojazdu Władcy Niebios, jak i do ogrzewania i oświetlania. Gdy

konwertory ostatecznie się wyczerpią, niebiańscy ludzie znajdują się, jak mawialiśmy dawno temu, w gównianych tarapatach bez...

— Wyczerpią? Co masz na myśli? – spytała.

Wskazał na kawałki szkła.

— To wiąże się ze starą wiedzą. Członkowie Cechu Inżynieryjnego Władcy Niebios, istoty najbliższe inteligentnym ludziom na pokładzie tego olbrzymiego worka z gazem, nie są w stanie ich zastąpić. Konwertory te zawierają substancję wytworzoną przez inżynierów genetyków, podobną do chlorofilu roślin. Są bardzo wydajne i teoretycznie powinny działać bez końca, lecz nie dałbym głowy, że tak będzie. Te sterówce podbijają od stuleci świat, a teraz zaczynają się już pojawiać oznaki zużycia. Nie zdziwiłbym się, gdyby większość z tych komórek nie działała już właściwie lub gdyby część z nich nie wytwarzała napięcia. Inżynierowie nie wiedzą nawet, jak one działają, a jeśli pewnego dnia wysiądzie światło, nie będą mieli pojęcia o powadze sytuacji...

— W porządku, zatrzymać się – rozkazał Benny. – To tu, obszar piąty. Tu dziś będziecie pracować, czyściciele szkła.

Jan rozejrzała się i zobaczyła olbrzymią cyfrę 5, namazaną po lewej stronie ścieżki. Czerwony napis pokrywał kilka „konwertorów energii słonecznej”. Spytała Mila: – Nie chcesz chyba powiedzieć, że oni każą nam oczyścić to wszystko?

— Czy umiesz wymyślić inny powód, dla którego mielibyśmy się tu znajdować ze zmywakami? – powiedział z uśmiechem.

— Ale dlaczego te komórki wymagają czyszczenia?

— Grzyb. Jest taki gatunek, który lubi się osiedlać na szkłe. Jego zarodniki umiejscawiają się w załomach pomiędzy komórkami. W końcu grzyb pokrywa całą komórkę,

uniemożliwiając absorpcję promieni słonecznych.

Jan spojrzała w dół, na segmenty szkła przed nią.

— Wyglądają na czyste – powiedziała.

— Te może są czyste, lecz nie tu będziemy dziś pracować. Chodź! – Pomógł jej wspiąć się na barierę.

Inni niewolnicy wraz z Bennym znajdowali się już powyżej i skierowali się ku lewemu „widnokręgowi”. Idąc za nimi wraz z Milem, Jan prawie natychmiast poczuła pod stopami krzywiznę kadłuba. Dotychczas, gdy szła ścieżką, myślała, że powierzchnia kadłuba jest doskonale płaska. Poczowała mdłości. Nie chciała schodzić ze ścieżki, lecz wiedziała, że nie ma wyboru.

— Widzisz tych dwóch niosących zbiorniki? – zapytał Milo, wskazując na mężczyzn dźwigających na plecach wielkie metalowe cylindry. – Rozprowadzą na zaatakowanych obszarach środek, który my później po prostu zetrzemy.

— Dlaczego więc nie rozprowadzają go jeszcze? – zapytała z lękiem.

— Gdyż nie dotarliśmy na wyznaczone miejsce. Całą tą częścią górnego kadłuba, obszarem łatwo dostępnym, opiekuje się inny oddział niewolników. Lecz Mistrzowski Cech Czyścicieli Szkła Banniona otrzymuje trudniejsze zadania. Dlatego Bannion jest bogaty, a my żyjemy lepiej niż większość niewolników.

— Żyjemy lepiej?

— Uwierz mi, że tak.

Znajdowali się teraz na wyraźnie pochyłym odcinku, lecz grupa nie zwalniała kroku. Jak daleko mogą pójść, zanim pochyłość stanie się tak stroma, że zaczną tracić równowagę i ześlizgiwać się?

— Daleko jeszcze? – zapytała przestraszona.

— Obawiam się, że jeszcze spory kawałek.

— Chyba nie można zejść za daleko – zaprotestowała.

— Jak sądzisz, po co dźwigamy te liny?

— O Bogini Matko – westchnęła.

Jan była ciekawa, gdzie kupią jedzenie, o którym mówił Milo. Jeszcze bardziej ją interesowało, gdy podążając za nim pomiędzy rzędami maleńkich komórek znalazła się w głównym obszarze komunalnym. Ich pojawienie się przyciągnęło nienawistne spojrzenia innych niewolników, lecz żaden z nich niczego nie powiedział. Milo przyprowadził Jan do spiralnych schodów.

— Idź! – powiedział. Była zdziwiona.

— Czy możemy, ot tak, wyjść? Myślałam, że jesteśmy niewolnikami.

— Jesteśmy niewolnikami, to jasne, lecz możemy się poruszać gdzie chcemy po obszarze *Panglotha*. Wszędzie tam, gdzie znajduje się ten znak. – Wskazał na czarną gwiazdkę na twarzy. – Bannion chyba powiedział ci o tym, kiedy cię piętnował.

— Tak, rzeczywiście – powiedziała, wchodząc po schodach. – Nie zwróciłam wtedy uwagi.

— To zrozumiałe. Pierwsze spotkanie z Bannionem nie jest dla żadnego niewolnika przyjemnym doświadczeniem. Wyobrażam sobie, że dla kobiety tym bardziej.

— Tak. Przypominam sobie. Powiedział wtedy, że jeśli okażę się czysta, to zechce poznać mnie lepiej.

Wędrowali tunelem, którym prowadził ją Benny. Milo rzekł: – Chodziło mu o to, że jeśli żaden z niewolników, z którymi będziesz spała, nie zachoruje na chorobę spowodowaną przez wirus przenoszony drogą płciową, sprawi ci ten zaszczyt, że będziesz mogła zostać jedną z jego osobistych niewolnic. To niezłe zajęcie. Dużo dobrego jedzenia i innych luksusów. Oczywiście, taka sytuacja ma też swoją złą stronę. Będziesz

musiała znosić pewne niedogodności, jak na przykład co pewien czas nadstawiać tyłka, by cię mógł potraktować pasem. Bannion uwielbia znęcać się nad kobietami. Rzekłbym, że poza robieniem pieniędzy jest to główna przyjemność jego życia.

Jan przypomniała sobie dziewczynę, którą widziała przy Bannionie. Myśl, że byłaby tym, kim ona, budziła w niej odrazę.

— Jak może ktokolwiek uwielbiać znęcanie się nad kimkolwiek? – zapytała Mila.

— To ciekawe pytanie. Kwestia cech sadomasochistycznych wywołuje wiele spekulacji, lecz zapoznam cię z moimi własnymi teoriami... Powiedzmy, że uznasz pozostanie ze mną za najbardziej odpowiedni dla siebie los.

— Zamierzasz ze mną współżyć? Dlaczego? Jako Mistrz Cechu nie obawiasz się, że się ode mnie zarazisz?

— Szansę przeniesienia jakichś złośliwych wirusów z twojej społeczności są dziś bardzo małe, lecz przeświadczenie o tej możliwości wciąż pokutuje wśród tych głupców. Jedynymi rzeczywiście niebezpiecznymi miejscami są wielkie miasta. Nawet jeśli nie ma w nich ludzi, część zarazków może przetrwać dłuższy czas.

— W Minervie od dawna nie było żadnej zarazy – rzekła Jan. – Powodem śmierci bywał nowotwór, to wszystko.

— Więc widzisz, nie jestem zbyt odważny, chcąc spać z tobą. Tylko rozsądny. I sądzę, że nierozsądne jest czekanie na to cały tydzień.

— Obiecałeś – powiedziała. – Umówiliśmy się.

— I nie zamierzam łamać umowy. Zachęcam cię po prostu do przemyślenia. Chyba też postąpisz racjonalnie i zaakceptujesz moje warunki. Czyniąc inaczej, postąpisz nierozsądnie.

Nic nie odpowiedziała i resztę drogi odbyli w milczeniu. Ich

celem okazało się owo „miasto”, poprzez które eskortował ją Wojownik Niebios Tanith poprzedniego dnia. Tym razem nie było zbyt wielu ludzi, czego przyczyną była – w jej przekonaniu – wczesna godzina. Jan nie stała się przedmiotem wyzwisk, jak to miało miejsce poprzednio. Zdziwiło ją to. Wciąż była przecież tą samą „glistą, roznoszącą zarazki”. Co się zmieniło? Czy wiązało się to z obecnością Mila? Czy może spowodowane zostało piętnem gwiazdki na jej policzku? Chyba dlatego, że teraz każdy wiedział, iż jest własnością Mistrza Cechu Banniona...

Milo zatrzymał się przy stoisku, na którym sprzedawano melony. Sprzedawczyni nie sprawiała wrażenia zadowolonej z obsługiwanego Mila – popatrzyła nań gniewnie i wymamrotała coś pod nosem. Jednak wzięła od niego pieniądze.

Gdy wręczał Jan melon, ta spytała: – Skąd masz pieniądze?

— Od Banniona. Otrzymuje mnóstwo pieniędzy za nasze usługi i płaci nam nędzne sumy. Tyle, że wystarcza na przeżycie i na okazjonalne luksusy. – Zatrzymał się przy innym stoisku. Sprzedawano tu długie kawałki czegoś, co Jan uznała za suszone mięso.

— Nie jem tego – powiedziała.

— Nie będziesz musiała. To dla mnie. To jeden z tych luksusów, o których ci mówiłem.

Zatrzymali się jeszcze przy trzech innych stoiskach, przy których kupił trochę dziwnie wyglądających warzyw, kilka zeschniętych owoców – pomarańczy i brzoskwiń – oraz chleb. Po czym wrócili do dzielnicy niewolników. Podczas ich nieobecności obszar komunalny wypełnił się ludźmi. Kobiety gotowały na piecach, podczas gdy mężczyźni siedzieli przy niskich stołach bądź czyścili brudną słomianą matę. Zgiełk ucichł dopiero, gdy Jan i Milo dotarli do schodów. Wrogość była odczuwalna, lecz

nikt nie wykonał żadnego ruchu w ich kierunku.

— Mam nadzieję, że nie czekają na gorące dania – powiedział Milo żartobliwie. – Lecz sądzę, że mądrze będzie trzymać się na uboczu, póki sprawa trochę nie przyschnie.

Zgodziła się z nim. Im mniej kontaktów miała z innymi niewolnikami, tym lepiej się czuła. Nie zwracając uwagi na to, co je, zjadła i podziękowała Milowi. Wzruszył ramionami i odciął kolejny kawałek z pałki suszonego mięsa.

— Na zdrowie.

— Zrewanżuję ci się.

— Mam taką nadzieję – powiedział, spoglądając jej prosto w oczy. Wiedziała, co miał na myśli.

— Chodziło mi o to, że oddam ci pieniądze.

— Nie będzie potrzeby, jeśli nasza umowa zostanie zrealizowana. – Włożył kawałek mięsa do ust i żuł zadowolony, wciąż się jej przypatrując. Odwróciła wzrok. Jej oczy spoczęły na malowidle na ścianie.

— Kto to wykonał? – zapytała, próbując zmienić temat.

— Ja.

Przyglądała się wirującym kolorom i kształtom.

— Co to ma być?

— Jeśli chodzi ci o to, co ma to przedstawiać, to odpowiedź brzmi: nic. Ma służyć relaksowi. Poprzez koncentrację na tym łatwiej mogę uzyskać neutralny stan psychiczny. Co oznacza, że wyzwalam neuropeptydy, o których ci mówiłem. Owe naturalne narkotyki w naszym mózgu.

— Rozumiem – powiedziała Jan powoli. W żadnym razie obraz nie wyglądał na relaksujący. Chcąc zapobiec kolejnemu, długiemu i bezsensownemu wykładowi Mila, zapytała go, gdzie żył, zanim się znalazł tak jak i ona na pokładzie sterowca Władcy

Panglotha.

— W oceanie – powiedział. – W środowisku morskim.

— Co?

— Możesz nazwać to pływającym miastem. Dawno temu istniało wiele takich miast.

Moje było prawdopodobnie jednym z ostatnich. Oceany zostały zaatakowane przez zarazę. Stały się zbyt niebezpieczne. W każdym razie zbyt niebezpieczne dla ludzkiego życia.

Zapytała, dlaczego.

— Przede wszystkim z powodu kałamarnic, które zawładnęły tym środowiskiem dzięki głupim Japończykom.

Powiedziała, że nic z tego nie rozumie.

— Japończycy byli, a być może są do dziś, narodem wyspiarskim – rzekł. – Uwielbiali jeść kałamarnice. Kałamarnice to rodzaj ryb. Prymitywny rodzaj z bardzo miękkim ciałem i wieloma mackami. Wyglądały koszmarne, lecz Japończycy uważali je za przysmak. Nie tylko zresztą Japończycy – inni ludzie też je jadali. Jednak Japończycy mieli na ich punkcie obsesję. Ich ulubiony gatunek zwał się surumejka. Hodowano je w olbrzymich farmach, w morzach otaczających wyspy. Później zaczęto przeprowadzać próby genetyczne w celu produkcji większych i szybciej rosnących egzemplarzy surumejki... i zdarzyło się coś nieprzewidzianego.

— Co mianowicie?

— Część z nich przedostała się z farm na otwarte morze. Skrzyżowała się z naturalną surumejką i w rezultacie powstał nowy gatunek superkałamarnicy, często się rozmnażającej, wytrzymałej i sprytnej. Ta nowa kałamarnica rozwijała się doskonale kosztem innych gatunków ryb. Surumejką nie była jedynym niebezpieczeństwem w oceanie i w końcu musieliśmy

się poddać i przenieść w obszary przybrzeżne, które, jak mylnie sądziliśmy, miały być dla nas bezpieczniejsze.

Potrząsnął ze smutkiem głową.

— *Władca Pangloth?* – spytała.

— Tak. Na pełnym oceanie rzadko widywaliśmy Władców Niebios. Gdy dostrzegaliśmy któregoś, czyniliśmy to samo, co w przypadku silnej burzy – zanurzaliśmy się na głębokość paruset stóp pod powierzchnię. Na tej głębokości byliśmy chronieni zarówno od bomb, jak i od burzy. Na szczęście konstruktorzy Władcy Niebios nie przewidzieli prowadzenia ataków głębinowych. Lecz gdy zostaliśmy zmuszeni do wycofania się na płycizny, nie mogliśmy się już bronić w ten sposób. Nie byliśmy w stanie zanurzyć się wystarczająco. Więc Władca Pangloth oznajmił, że znajdujemy się teraz na jego terytorium i zażądał haraczu. Nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko walczyć.

— Dlaczego nie płaciliście haraczu?

— Byliśmy w tej samej sytuacji, co wasi ludzie. Odżywialiśmy się głównie rybami i planktonem, i z trudem udawało się nam wyżywić naszą populację. Nie mogliśmy więc odstąpić części żywności. Dawniej mieliśmy urządzenia pozwalające na wyodrębnienie pewnych związków i substancji chemicznych z wody morskiej. Większość urządzeń wtedy już nie działała. Ich części zostały zużyte do naprawy najważniejszego urządzenia – napędzanego energią słoneczną mechanizmu, przekształcającego wodę morską w wodę pitną. Odmówiliśmy więc. Mieliśmy prymitywną armatę i kusze, używane przeciwko surumejce i olbrzymim stworom wodnym, lecz tu okazały się bezużyteczne. Lasery zniszczyły kule i kusze. Tak, jak zniszczyły wasze rakiety. Później Władca Niebios rozpoczął bombardowanie. Komory pływakowe zostały rozerwane i zatopione. Byłem jednym z

niewielu, którzy przeżyli. Zostałem wciągnięty na pokład sterowca Władcy Niebios i odtąd tu przebywam.

— Od trzech lat, jak mówiłeś.

— Tak, trzy lata. A zdaje mi się, że trzydzieści. Wiem jednak, że nie zamierzam spędzać kolejnych trzech lat w tym powietrznym ogrodzie zoologicznym.

— Słusznie – powiedziała do siebie, myśląc o bombie obciążającej jej kieszeń.

Pośpiesznie powiedziała:

— Jak długo żyłeś w tym pływającym mieście?

— Od urodzenia. Niemal dwa stulecia. Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

— To znaczy...

— Tak – powiedział. – Jestem prawie u kresu mego życia. Według mojej rachuby mam sto osiemdziesiąt lat. Co oznacza, że mam przed sobą co najmniej czternaście, a maksimum dziewiętnaście lat. Nasi twórcy rozmyślnie pozostawili nam pięcioletni okres niepewności. W złym guście byłoby określanie dnia naszej genetycznej samodestrukcji, niezależnie od tego, jak bezbolesny miałyby być ten proces – uśmiechnął się ponuro.

— Nie spotkałam dotychczas osoby tak starej jak ty – powiedziała Jan, spoglądając na niego z nowym zainteresowaniem.

— Nie? Z pewnością spotkałaś – powiedział zagadkowo. – Ludzie w twoim mieście dożywali kresu swego długiego życia.

— Nie. Nie teraz, w każdym razie. Avedon jest... była... jedną z najstarszych. Miała ponad sto lat. Matka mówiła mi jednak, że w czasach jej dzieciństwa żyło wielu Minervian, pamiętających dzień narzucenia władzy przez Władcę Panglotha.

Skrzywił się.

— Uwierzmy wam, Minervianom, skoro tak. Przypuszczam, że jest to kolejny znak czasów, chociaż wyście tego nie brali pod uwagę. Wzrastająca uciążliwość warunków życia na Ziemi coraz bardziej wyniszcza ludzkie organizmy. Chciałbym znaleźć kogoś tak starego jak ja – zamyślił się Milo. – Aryści stanowią chyba inną kategorię. Nie podejmują ryzyka, gdy nie jest to konieczne. Sądzę, że przeciętna długość ich życia jest wyższa.

Spojrzała na niego zamyślona.

— Dlatego wiesz tak dużo o przeszłości. Zaśmiał się.

— Nie dlatego, że jestem stary. Nie, historia była moim hobby. Mieliśmy bogate zbiory zapisów historycznych. Miałem też wystarczająco dużo czasu na studiowanie. Życie w naszej społeczności było zwykle bezpieczne i nie obfitowało w wydarzenia. Tak było do czasu, gdy jakieś trzydzieści lat temu całe to narastające genetyczne paskudztwo przekroczyło punkt krytyczny i stanęliśmy oko w oko z kałamarnicami, zmutowanymi wodorostami i tymi potwornymi stworami morskimi. – Przerwał, podniósł manierkę do ust i pił długo, jakby chcąc się pozbyć cierpkiego smaku wspomnień. Gdy odłożył manierkę, był znów uśmiechnięty. – Dziwi mnie, że sądzisz, iż wiem „tak dużo” o przeszłości. Wydawało mi się, że myślisz, iż gadam głupstwa i nonsensy. Nie dała się złapać. Powiedziała natomiast: – Czy nie martwi cię, że jesteś tak bliski końca?

— Czasami – przyznał – lecz nie bardzo. Jeszcze nie, w każdym razie. Myślę, że nie będę się tym martwić przez najbliższe dziesięć lat, jeśli przeżyję tak długo. Później zacznę przeklinać owych potwornych polityków z dwudziestego pierwszego wieku i programowane przez nich ograniczenie życia do dwustu lat. Przecież kiedyś znaleźliśmy tajemnicę nieśmiertelności i nie zrobiliśmy z niej użytku... Szaleństwo. A teraz ją straciliśmy.

Jan popatrzyła sceptycznie.

— Czy rzeczywiście mogliśmy być nieśmiertelni?

— Jasne, z tym jest tak samo, jak z rozciągnięciem zasięgu ludzkiego życia od przeciętnie siedemdziesięciu lat do dwustu. To ten sam mechanizm: ochrona genetyczna przed dojrzewaniem komórek. Tajemnica ta została odkryta podczas badań nad rakiem. W przeciwieństwie do normalnych komórek, umierających po pięćdziesięciu podziałach, komórki rakowe są nieśmiertelne. Mogą się rozmnażać całą wieczność, gdyż nigdy nie osiągają dojrzałości i wobec tego zegar biologiczny znajdujący się w ich jądrach nie działa. Gdy zidentyfikowano odpowiedzialne za to geny, stało się możliwe zastosowanie tych zmian w stosunku do normalnych komórek. Z pewną różnicą. Zamiast uczynić nasze komórki nieśmiertelnymi, ich dojrzewanie po prostu opóźniono.

— Czy istniał ktoś nieśmiertelny?

— Tak. Wielu ludzi przeszło konieczną do tego modyfikację genetyczną. Ci bogaci i najpotężniejsi. Kosztowało to wiele, gdyż było całkowicie zabronione przez prawo międzynarodowe. Stosowano za to bardzo surowe kary. Mimo to jednak wielu ludzi gotowych było na podjęcie ryzyka.

— Więc być może żyją jeszcze ci nieśmiertelni?

— Nie. Ci, którzy przeżyli Wojny Genetyczne, zostali zabici w czystce, która nastąpiła po wojnach. Ci, którzy wywołali Wojny Genetyczne, byli nieśmiertelni, tak więc za jednym zamachem dzidy tłum pozbył się wszystkich niepożądanych.

— Dzidy?

— Taki wtedy był zwyczaj: wbijanie drewnianej dzidy w serce osób podejrzanych o nieśmiertelność. Pochodziło to, jak myślę, z tradycji upiorów. Oczywiście, w ten sposób zginęło wielu ludzi,

którzy prawdopodobnie nie byli nieśmiertelni. Były to niepewne czasy.

Rozległ się głośny dźwięk dzwonka. Milo skrzywił się i strząsnął resztki jedzenia.

— To sygnał. Czas iść do pracy. Najpierw będziemy mieli jednak trochę kłopotu z Bennym i innymi dozorcami. – Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. – Po prostu bądź blisko mnie i pozwól mi mówić za ciebie.

Spojrzała przerażona na jego niepokojąco zwężone oczy.

— Co się będzie działo?

— Nic. Mam nadzieję.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Czekali na nich pozostali niewolnicy i dozorczy. Gdy Milo i Jan weszli do obszaru komunalnego, niewolnicy rozstąpili się, by umożliwić przejście trzem na czarno ubranym dozorcóm. Benny szedł pierwszy. Jego dwaj towarzysze wydali się Jan znajomi i skojarzyła, że widziała ich w dzielnicy Mistrza Cechu. Benny zatrzymał się przed Milem i oparł ręce na biodrach. Groźny pręt zwisał parę cali poniżej jego prawego ramienia. Zapytał: — Dlaczego, do diabła, zajmujesz się tym, Milo?

— Czym? – spytał Milo udając, że nie rozumie.

— Nią – rzekł Benny, wskazując głową na Jan. – Dałem ją Buncherowi. W jaki sposób wszedłeś w jej posiadanie?

— Dał mi ją Buncher, Benny. Doszliśmy do porozumienia.

— To kłamstwo!

Jakiś niewolnik wystąpił naprzód. Jan rozpoznała w nim jednego z tych, którzy kłócili się z Milem przed latryną.

— Coś zrobił z Buncherem? Zmusiłeś go w jakiś sposób do przekazania amazonki.

Milo spojrzał nań spokojnie.

— Niczego z nim nie robiłem. Pokażcie mi ślad na ciele Bunchera, który miałby być, jego zdaniem, spowodowany przeze mnie. – Milo rozejrzał się wokół. – A propos, gdzie jest nasz przyjaciel Buncher? Niech on mnie oskarży, jeśli chcecie.

— Buncher nie chce wyjść ze swojej izby – powiedział inny niewolnik. – Leży w łóżku i pluje krwią.

Milo odwrócił się do Benny'ego i rozłożył ręce.

— A więc widzisz – powiedział. – Nic dziwnego, że Buncher stracił ochotę na amazonkę. Nie czuje się dobrze.

Benny spojrzał uważnie na Mila.

— Więc Buncher po prostu przyszedł do ciebie i powiedział: „Milo, mój stary przyjacielu, nie wzięłybyś amazonki?”.

— Niezupełnie. Poprosiłem go o nią. Targowaliśmy się i, jak powiedziałem, doszliśmy do porozumienia.

— Zapłaciłeś za nią Buncherowi?

— Nie. Zgodziłem się w zamian na wyświadczenie mu paru przysług.

— Jakich przysług?

Milo potrząsnął głową.

— To będzie zależało od Bunchera.

Jan spojrzała na twarz Benny’ego. Wyraźnie można było dostrzec jego podejrzliwość i otwartą niechęć do Mila. Było jednak coś więcej. Ostrożność. Asekuranctwo, nawet strach.

— Skoro chciałeś ją mieć – kontynuował Benny – dlaczego nie powiedziałeś mi o tym, gdy ją przydzielałem?

— Zmieniłem zamiar – powiedział Milo spokojnie. – Poza tym, nawet gdybym cię o nią poprosił, wątpię, czy dałbyś mi ją, Benny. Prawda?

Benny zignorował pytanie.

— Do czego ci jest potrzebna, Milo?

Milo odwrócił się i obrzucił Jan wzrokiem od góry do dołu, po czym wycedził: — Myślę, że to oczywiste, Benny.

To spowodowało poruszenie wśród niewolników, lecz wściekłe spojrzenie Benny’ego szybko uciszyło tłum. Gdy odwrócił się do Mila, Jan spostrzegła, że z trudem nad sobą panuje. Chciał ruszyć na Mila, lecz coś go powstrzymywało.

— Milo – powiedział chrapliwym głosem. – Wiesz, że twoje dni są policzone, prawda? Zrobisz jeszcze jeden fałszywy krok i Bannion zafunduje ci długie spadanie. Część niewolników

skwapliwie przytaknęła.

— Wydaje mi się to niewiarygodne – odpowiedział Milo z pewnością, której Jan mu zazdrościła. – Jestem zbyt cenny dla Banniona, by miał się mnie pozbywać tak bezsensownie. Wykonuję pracę przynajmniej trojga innych czyścicieli szkła. Poza tym nigdy jeszcze nie zrobiłem nic złego. Nie byłem nieposłuszny tobie ani żadnemu innemu dozorczy, jak i nie awanturowałem się z żadnym z moich kolegów niewolników. Starczy?

— Nie zostałeś tylko nigdy schwytany na robieniu czegokolwiek – powiedział Benny z naburmuszoną miną. – Lecz ludzie wokół ciebie mają jakąś dziwną skłonność do zapadania na zdrowiu. To fatalne.

— Nie mogę odpowiadać za pecha innych.

— Chodzi mi o to, że to ty powodujesz tego pecha. Chodzi o to, że jesteś czarownikiem.

Milo zaśmiał się.

— Ależ Benny, tak inteligentny człowiek jak ty powinien się śmiać z takiego gadania. Jesteś wolnym człowiekiem, więc chyba gardzisz głupimi zabobonami niewolników, prawda?

Benny nie wiedział, co na to odpowiedzieć. I w końcu mruknął: — Masz ostatnią szansę, Milo. Pamiętaj o tym. Będę cię obserwował.

— Jako że nie mam niczego do ukrycia, możesz mnie obserwować, ile chcesz – stwierdził Milo.

Benny chrząknął i chciał się odwrócić.

— Jeszcze jedna sprawa, Benny – powiedział Milo.

Benny odwrócił się do niego.

— Co?

— Czy to znaczy, że mogę zatrzymać amazonkę? – spytał Mik

grzecznie.

Benny spojrzał na Jan. Jakby zapomniał, że była przedmiotem całej tej dyskusji. Wzruszył ramionami, po czym uśmiechnął się szyderczo.

— Jasne. Czemuż by nie? Ciesz się nią, Milo. Ciesz, jeśli możesz.

Następnie Benny i pozostali dwaj dozorczy podzielili niewolników na trzy grupy. Jan nie zdziwiła się, gdy wraz z Milem znalazła się w grupie Benny'ego. Z kolei, po opuszczeniu dzielnicy niewolników, grupy rozeszły się w różnych kierunkach. Jan zaintrygowała wędrówka przez obszar sterowca Władcy Niebios, choć nie było zbyt wiele do oglądania, z wyjątkiem pustych korytarzy i wąskich spiralnych schodów. Potem dotarli do szklanej klatki i nastąpiła zmora wznoszenia się w obszernym worku z gazem.

Jedną z rzeczy, które Milo jej wyjaśnił po drodze, było znaczenie wielkiego symbolu znajdującego się obok wejścia do klatki. Przedstawiał płomień przekreślony w poprzek czarną linią.

— Zabrania się wnoszenia czegokolwiek, co mogłoby spowodować płomień lub nawet iskrę, poza dolny odcinek państwa Władcy Niebios. Cała ta część wypełniona jest komorami z gazem, lecz w górnej części zawsze istnieje niebezpieczeństwo przeniknięcia wodoru przez ściany komór. Nawet pojedyncza iskra może spowodować potężną eksplozję.

Jan natychmiast przypomniała sobie o bombie noszonej w kieszeni na piersiach.

— Co się stanie, gdy ktoś zapomni? – zapytała, gdy klatka wspinała się po wąskiej linie jak pająk po pajęczynie. – To znaczy, gdy ktoś zapomni, że zabrał ze sobą krzesiwo lub coś w tym rodzaju?

— Karą jest śmierć w męczarniach. To dotyczy zarówno Arystów, jak niewolników i wolnych ludzi. Zaoszczędzę ci szczegółów dotyczących wykonywania wyroku. Jesteś trochę blada. Masz lęk przestrzeni?

— Nie – odpowiedziała.

Przypomniała sobie o istnieniu bomby.

— DLATEGO TEŻ DAJCIE ZNAK, ŻE JESTEŚCIE GOTOWI OFIAROWAĆ TO, CO MI SIĘ SŁUSZNIE NALEŻY. (Trzask). SPRÓBUJCIE TEGO NIE ZROBIĆ, A MOJA ZEMSTA BĘDZIE PRĘDKA I OKRUTNA... OKRUTNA... OKRUTNA...

Znane słowa Władcy Panglotha nie docierały zbyt wyraźnie do Jan usytuowanej na górnej płaszczyźnie. Znajdowała się na pochyłym odcinku kadłuba, skąd widoczna była olbrzymia, zakrzywiona przestrzeń, uniemożliwiająca spojrzenie na ziemię w miejsce znajdujące się dokładnie poniżej sterowca Władcy Niebios. Nie można też było usłyszeć mowy Władcy Panglotha do poddanych. Na wieść, że Władca zatrzymuje się, by ściągnąć haracz ze społeczności rolniczej, Jan poczuła podniecenie. Sądziła, że to może być jedna z owych zagubionych części Minervy, o których mówił jej Milo. Powiedział, że nie – Minerva leżała daleko na południe, a oni lecieli na północ.

Jan poczuła się o wiele pewniej, gdy zaczęła czyścić zmywakiem konwertory. Zaufała uprząży i linie, i pracowała dwiema rękami. Przedtem wciąż mocno przytrzymywała się liny jedną ręką, w obawie, że mogłaby się nagle wyslizgnąć z uprząży pomimo mechanizmu blokującego.

Stopy miała oparte o kadłub, zakrzywiony w tym miejscu pod kątem około czterdziestu stopni, ciało wychylone do tyłu. Spojrzała w górę i zobaczyła, że jej lina znika za krzywizną

kadłuba. Jakies piętnaście stóp na prawo od Jan pracował Milo, na tym samym poziomie. Po jej lewej stronie, nieco poniżej, znajdował się inny niewolnik. Byli rozmieszczeni wzdłuż kadłuba w linii łamanej i powoli opuszczali się w dół. Pracowali na bokach kadłuba, wisząc na linach. Później opuszczali się na nowy odcinek. Niewolnicy ze zbiornikami środka czyszczącego szli najpierw, zalewając konwertory cieczą o obrzydliwym zapachu.

— Wszystko w porządku? – zawołał Milo.

Mimo że Władca Niebios zatrzymał się teraz, wciąż czuło się silny wiatr wiejący nad kadłubem. Jan ledwie słyszała głos Mila.

— Tak, dobrze! – odkrzyknęła, choć mocno dokuczał jej ból mięśni nóg, pleców i ramion.

Zastanawiała się, co się teraz dzieje na ziemi i kim są ludzie składający daninę Władcy Niebios. Milo zdążył jej powiedzieć tylko, że jest to lud rolniczy.

Na horyzoncie dostrzegła pasmo wzgórz, które chyba nie było porażone zarazą. Miała nadzieję, że mieszkańcy tej ziemi nie zaplanowali jakiegoś ataku na Władcę Niebios w stylu nieudanego zamachu Minervian. Czuła się zupełnie bezbronna, zwisając na cienkiej linie bez możliwości wzięcia udziału w ewentualnej walce.

Wyczyściła tyle, ile mogła w tym miejscu. Teraz musiała zejść w dół po linie. Wsuwając rączkę zmywaka pod uprząż, silnie chwyciła linę prawą ręką i przygotowała się do zwolnienia mechanizmu hamującego. Postanowiła się nie bać. Nawet gdyby puściła linę, mechanizm hamujący, jak wyjaśnił jej Milo, demonstrując działanie urządzenia, włączy się automatycznie.

Zwolniła hamulec i powoli zaczęła się opuszczać po pochyłości kadłuba, popuszczając stopniowo linę. Zdumiała ją zwinność, z

jaką Milo i inni niewolnicy poruszali się po kadłubie. Tamci mieli więcej wprawy. Uznała wreszcie, że obniżyła się wystarczająco, nacisnęła hamulec i wyjęła zmywak. W tym momencie niespodziewany powiew wiatru oderwał ją od kadłuba i niemalże upuściła zmywak, wyciągając rękę, by uchronić się przed uderzeniem twarzą o konwertory. Wtedy stało się coś strasznego...

Lina była zbyt luźna. Jan zaczęła zjeżdżać w dół. Wrzasnęła. Rzuciła zmywak i próbowała się wczepić palcami w kadłub w nadziei, że natrafi na szparę pomiędzy sąsiednimi konwertorami, lecz grube rękawiczki udaremniły ten zamiar. Nie była w stanie zmniejszyć tempa spadania poprzez zaczepienie się „antypoślizgowymi” podeszwami trzewików. Kadłub był w tym miejscu zbyt stromy. Zaczynała nabierać prędkości. Im szybciej spadała, tym wolniej zdawał się upływać czas. Zrobiło jej się gorąco. W mijanych konwertorach dostrzegła swe odbicie, szeroko otwarte usta. Usłyszała też rozpacz w przenikliwym wyciu, które niewątpliwie dobiegało z tych samych ust.

Nagle poczuła, że spada pionowo i że straciła kontakt z kadłubem. Nic, tylko puste powietrze do chwili, gdy uderzy o ziemię. Nagle poczuła gwałtowny wstrząs, zaparło jej dech i przestała krzyczeć. Czy uderzyła już o ziemię? Ale przecież wciąż żyje... Ujrzała korpus srebrnoszarego kadłuba, następnie błękitne niebo i odległe wzgórza. Uświadomiła sobie, że ktoś ciągnie jej linę. Widocznie lina urwała się tam na kadłubie. Uczucie ulgi było tylko chwilowe; uświadomiła sobie całą beznadziejność sytuacji. Lina mogła się zwolnić, zanim Jan zostanie uratowana.

Rozpostarła ostrożnie ramiona, dzięki czemu zaczęła obracać

się wolniej. Dość daleko ujrzała kadłub sterowca. Była teraz poniżej jego środka, gdzieś w pobliżu zakrzywienia. Widziała rząd dużych okien, lecz nie stanowiło to dla niej żadnej pociechy, gdyż nie była w stanie do nich dotrzeć. Zobaczyła również jedno z wielkich śmigieł. Znajdowało się na tym samym poziomie, co ona, lecz w odległości około pięćdziesięciu jardów w kierunku ogona sterowca.

Coś szarpnęło za linę i Jan, myśląc, że znowu zaczyna spadać, zamknęła oczy. Naraz uświadomiła sobie, że porusza się w górę. Ktoś trzyma jej linę i wciąga z powrotem.

Wciąganie trwało długo, towarzyszyły mu liczne szarpnięcia. Przy każdym wstrząsie Jan sądziła, że znowu zaczyna spadać. Zmusiła się do zachowania spokoju, wzięła kilka głębokich oddechów i wmówiła sobie, że wkrótce będzie ocalona. Próbowiła nie patrzeć w dół, ale nie mogła się od tego powstrzymać. Miasto leżało głęboko w dole. Było mniejsze niż Minerva, lecz luźniej zabudowane, z fatalnie skonstruowanymi budynkami. Wokół miasta nie było muru – z pewnością więc zaraza nie tknęła pól uprawnych. Poza polami pszenicznymi Jan ujrzała coś w rodzaju rozległej winnicy.

Uderzyła o coś ramionami. Zobaczyła, że znowu dotyka kadłuba. Obróciła się przodem i próbowała przytrzymać się rękami i palcami nóg, wciąż sunąc na linie w górę. Próba się nie powiodła, lecz dodała jej otuchy, gdyż mogła już coś robić, a nie beczynn timer zwiwać na linie. Powolna podróż trwała. Jan minęła załom krzywizny kadłuba i ujrzała swego wybawcę. Był to Milo. W jakiś sposób udało mu się pokonać odległość piętnastu stóp pomiędzy nimi i złapać gwałtownie spadającą linę, zanim jej koniec przeleciał obok niego. Schwycił ją (nie chciała myśleć, jaki kawałek liny jeszcze pozostał w momencie, gdy ją złapał) i zaczął

wciągać w górę. Wiedziała, że jest o wiele silniejszy, niż wygląda, lecz nie mogła sobie wyobrazić, w jaki sposób zdołał powstrzymać jej upadek nie wrywając sobie obu ramion ze stawów...

Pozostali niewolnicy przerwali pracę i obserwowali go, lecz żaden nie przyszedł mu z pomocą. Przeciwnie, gdy Jan pojawiła się w polu widzenia, zaczęli drwić i gwizdać. Niechęć i nieufność Jan przerodziła się w czystą nienawiść. Przed podłożeniem bomby powstrzymywała ją jedynie obawa o szkody, jakie wybuch może wyrządzić niewolnikom żyjącym na pokładzie sterowca Władcy Niebios. Teraz przestało się to liczyć. Zasłużyli na to, co ich czeka.

Krzywizna kadłuba była tu łagodniejsza i Jan mogła się oprzeć na konwertorach energii słonecznej i trochę ulżyć Milowi. Była już dostatecznie blisko, by widzieć wysiłek malujący się na jego twarzy. Brakowało już tylko paru jardów. Milo uśmiechnął się do niej.

— Witaj znów, amazonko! – krzyknął do niej. – Ładny widok? Udało się jej nawet odwzajemnić uśmiech.

— Bardzo ładny – wysapała.

Odległość pomiędzy nimi zmniejszyła się. W końcu Milo schwycił ją za ramiona. Odetchnęła. Była tylko częściowo świadoma, co robi, przywiązując swą linę do jego uprząży.

— Złap mnie w pasie i podciągnij się – poinstruował ją.

Zrobiła tak. Znów posypały się szyderstwa. Milo zaczął się wciągać na linie.

Przyłgnąwszy do niego i przycisnąwszy twarz do jego pleców, Jan starała się stawiać nogi na pochyłym szkle.

— Co się stało? – spytała.

— Zgaduję, że Benny przeciął twą linę – powiedział przez

ramię. – Był jedyną osobą tam na górze.

— Ale dlaczego?

— By mnie ukarać.

— Uratowałeś mi życie.

— Tak. Ledwie mi się udało.

Nachylenie kadłuba zmniejszyło się do około dwudziestu pięciu stopni. Milo powiedział, że Jan może już bezpiecznie zejść. Znajdowali się blisko punktu, w którym liny były zaczepione na małych metalowych hakach wystających nad powierzchnię kadłuba.

Zobaczyła Benny'ego stojącego w odległości jakichś dziesięciu jardów. Miał ponurą minę.

Wciąż trzymając silnie Jan za ramię, Milo zwrócił się do niego: — Cóż, Benny, tak wszystko na raz, co? – zawołał wesoło. Dozorca odparł krótko: — Jej lina się urwała. Nic nie mogłem zrobić.

— Ależ sądzę, że zrobiłeś wystarczająco wiele, Benny – powiedział Milo tym samym wesołym tonem. Puścił Jan i podszedł do haka, na którym była zawieszona lina Jan. Przykucnął i obejrzał krótki kawałek, jaki pozostał. Później spojrzął na Benny'ego.

— Powiedziałem, że się urwała – warknął Benny. – Czy chcesz powiedzieć coś innego, Milo?

Milo wstał i podszedł do niego.

— Zgadzam się z tobą, Benny. Urwała się. Chodzi o to, że amazonka spadając upuściła zmywak. Myślę, że byłoby dobrze, gdybyś zszedł na dół i przyniósł go.

Benny zbladł. Cofnął się o krok, sięgając jednocześnie po pałkę.

— Trzymaj się ode mnie z daleka, Milo! – ryknął ze strachem.

Milo zatrzymał się i wyciągnął rękę.

— Wszystko w porządku, Benny. Nie zamierzam cię dotykać.

— Grozisz mi! Słyszę to! Wiesz, jaka jest za to kara. – Benny wyciągnął pałkę w kierunku Mila.

— Ja ci grożę? – spytał Milo z udawanym zdziwieniem. – Taki pomysł jest absurdalny. Zaproponowałem ci, żebyś odzyskał zgubione narzędzie. Wiem, jak Mistrz Cechu Bannion nie lubi ponosić strat. Poza tym myślę, że będzie bardziej niż tylko trochę zdenerwowany, gdy się dowie, że prawie stracił nową niewolnicę w pierwszym dniu jej pracy.

Benny odłożył pałkę.

— Powiem mu, że lina się urwała. Uwierzy mi.

— Z pewnością – rzekł Milo z uśmiechem.

Milo wszedł do izby i usiadł w wiklinowym krześle. Spojrzał na leżącą na łóżku Jan i uśmiechnął się do niej z zadowoleniem.

— Rozmawiałem z Bannionem. Powiedziałem mu, co się stało. Nie jest zadowolony.

— Uwierzył ci? – spytała zdziwiona. – Sądziłam, że zaakceptuje wersję Benny'ego.

— Oficjalnie tak. Nie może okazywać, że przyznaje rację niewolnikowi, a nie ufa jednemu ze swoich dozorców. To by psuło dyscyplinę. Wie jednak, że te liny nie rwą się ot, tak sobie. Pękanie lin to zwyczajna forma załatwiania porachunków pomiędzy niewolnikami. Bannionowi się to nie podoba. Najmniej potrzebny jest mu w tym udział dozorczy. Nie jest zachwycony tym, że Benny próbował zabić wartościowego niewolnika, ciebie, tylko po to, by mi dokuczyć. Nasz przyjaciel Benny ma teraz kłopoty.

— To dobrze – powiedziała z przekonaniem.

— Och, jest jeszcze coś, co cię ucieszy. Buncher zmarł dziś, jak

słyszałem. Zadusił się krwią i wyciągnął kopyta. Mój przyjacielski uścisk musiał widocznie wbić mu odłamek żebra w płuco.

Jan patrzyła nań w milczeniu.

Tej nocy, gdy przyciemniono światło i poszli spać, Jan, leżąc na materacu, zastanawiała się, co ma zrobić z Milem. Zawdzięcza mu życie. Gdyby nie schwycił w jakiś sposób końca jej liny – wciąż jeszcze nie mogła zrozumieć, w jaki sposób udało mu się złapać ją na czas – leżałaby teraz martwa w tamtym mieście, a jej ciało byłoby tylko miazgą mięsa i kości.

Nie tylko ją ocalił, lecz umożliwił jej realizację planu zniszczenia Władcy Niebios. Gdyby umarła, wraz z nią przepadłaby wszelka szansa zemsty za zniszczenie Minervy, jej rodziny i przyjaciół.

To postawiło ją w niezręcznej sytuacji. Zawdzięczała mu teraz tak wiele. Czowała przymus oddania tej jednej rzeczy, jakiej pragnął – ciała. Kilka razy próbowała się zdobyć na odwagę, obudzić go i powiadomić o swej decyzji, lecz nie mogła się na to zdobyć. Myśl o współżyciu z mężczyzną przerażała ją. Całe jej doświadczenie seksualne z mężczyzną stanowił ten jeden raz z Simonem. Było to dziwne i interesujące. Niezbyt przyjemne, lecz bezbolesne i niekłopotliwe. Znała jednak Simona i kontrolowała sytuację. Był przede wszystkim mężczyzną minerviańskim. Współżycie z „niezmienionym” mężczyzną w typie Mila mogło sprawiać trudności. Przerażała ją myśl o tym, że wszedłby w nią, prawdopodobnie ją raniąc, a ona nie mogłaby nic na to poradzić.

Inny problem wiązał się z tym, że bała się Mila. Mimo że uratował jej życie, było w nim coś, co ją niepokoiło. Przypomniała sobie oskarżenia wysuwane przeciwko niemu zarówno przez niewolników, jak i przez Benny’ego. Posądzenie,

że jest czarownikiem. Spojrzała na jego uśpioną postać. Nie był wielki i muskularny na tyle, by sprostać wszystkim tym czynom, które widziała. Sposób, w jaki powstrzymał jej upadek... sposób, w jaki zadał śmierć Buncherowi...

Zadrżała i odwróciła się. Nie, nie mogła mu zaproponować swego ciała. Będzie musiała znaleźć inny sposób rewanżu, zanim wykona zadanie spalenia *Władcy Panglotha*.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Następnego dnia całą siłą woli zmusiła się do wyjścia, na powierzchnię kadłuba i po raz kolejny powierzyła swe życie cienkiej linie. Milo zapewnił ją, iż nowy dozorca, gdyż poprzedni został zwolniony, nie zechce prawdopodobnie powtórzyć błędu Benny'ego. Gdy czyściła konwertory, kilka razy ogarniał ją strach, niemal panika. Chciała zamknąć oczy i przyłgnąć z płaczem do kadłuba, ale zmusiła się do kontynuowania pracy. Musiała pozostać członkiem ekipy czyszcicieli szkła za wszelką cenę, nie mogła sobie pozwolić na luksus całkowitego załamania. Musiała się przyzwyczaić do warunków panujących w górnej części kadłuba, a szczególnie do otchłani pomiędzy powłokami kadłuba. Było to niezbędne przy realizacji jej planów.

Za trzecim razem na kadłubie nie było już tak źle, mimo że znowu pojawił się Benny. Twarz miał opuchniętą i z trudem się poruszał. Kara, jaką wymierzył mu Bannion, poskromiła jego zapędy przynajmniej na jakiś czas. Czwartego dnia po wypadku Jan czuła się już pewnie. Podniecona, wkraczała wraz z innymi do jednej ze szklanych klatek. Obmyśliła już cały plan akcji. Jeśli wszystko się uda, dziś nastąpi ta noc...

Szklana klatka tym razem nie poruszała się w górę przez środek komory z gazem, lecz pomiędzy dwiema takimi komorami.

— Jedziemy w górę jednym z systemów poprzecznych – wyjaśnił Milo, wskazując na mijane sześciokątne kształty pająkowatych rusztowań. – Stanowią one główny szkielet sterowca Władcy Niebios. Taki system poprzeczny znajduje się pomiędzy każdą parą komór z gazem. Tu został umieszczony

podnośnik, gdyż komory po obu stronach są pełne wodoru. Cech Inżynierów obawiał się, że gdyby mechanizm windy pozostał w komorze, mogłoby powstać iskrzenie.

Wieść o tym, że są otoczeni wodorem, zarówno zmartwiła, jak i ucieszyła Jan. To wróżyło jej planowi powodzenie. Nie chciała myśleć o tym, co nastąpi po umieszczeniu bomby i jej uruchomieniu. W jej mózgu kołatał jakiś niesprecyzowany pomysł wydostania się na powierzchnię kadłuba i jak najszybszej ucieczki z miejsca wybuchu. Po chwili uświadomiła sobie bezsens swoich nadziei. Wiedziała, że jej szansę przeżycia są prawie żadne.

W ciągu ostatnich paru dni wiele się dowiedziała o Władcy Niebios. Istotną informacją było to, że obecnie prawie dwie trzecie olbrzymich komór z gazem wypełniał łatwopalny wodór. Helen miała rację. Milo potwierdził, że ubytku helu, czy to przypadkowego, czy związanego z naturalną dyfuzją, nie da się zastąpić, podczas gdy wodór można wyprodukować z wody. Opowiedział jej również o początkach Władcy Niebios. Jego relacja tylko częściowo pokrywała się z wersją minerviańską dotyczącą owych wydarzeń, Jan z ogromną niechęcią zaczynała sobie uświadamiać, iż minerviańska wersja historii ma wiele luk, podczas gdy wersja Mila zdaje się tworzyć spójną całość. Nie chciała mu wierzyć, lecz coraz bardziej fascynowało ją to, co miał do powiedzenia.

Według relacji Mila, Władcy Niebios zwani byli początkowo Aniołami Niebios. Sterowce zbudowane zostały przez organizację zwaną Narodami Zjednoczonymi. Jednym z celów miało być zapewnienie taniej i nieszkodliwej dla środowiska komunikacji pomiędzy państwami, szczególnie zaś pomiędzy krajami biedniejszego „trzeciego świata”. Drugim celem miało

być niesienie pomocy podczas różnych klęsk. Dzięki sterowcom można było dostarczać duże ilości prowiantu i schronienie w olbrzymich pomieszczeniach sypialnych na jego pokładzie.

Było rzeczą naturalną, iż w sytuacji chaosu, powstałego w wyniku Wojen Genetycznych, ci, którzy przeżyli, próbowali uciec przed wirusami i innymi niebezpieczeństwami do owych wielkich przytułków w przestrzeni. Problemem stało się to, że na ten pomysł wpadło jednocześnie wielu ludzi i wkrótce rozgorzały zacięte walki na pokładach Aniołów Niebios i wokół nich, jako że różne grupy domagały się tego przywileju. W czasie tych walk dwa sterowce zostały zniszczone. W końcu wyłoniła się grupa zwycięzców i życie na pokładach Aniołów Niebios ustabilizowało się. Gdy jednak zapasy, jakimi dysponowały sterowce, zaczęły się wyczerpywać, ludzie zmuszeni byli ponownie zainteresować się Ziemią. Potrzebowali żywności i innych materiałów, wobec czego zmusili tych, którzy wciąż żyli na Ziemi, by ich w nie zaopatrywali. Rozpoczął się okres panowania Władców Niebios.

Na początku nie było żadnego podziału wpływów. Władcy Niebios rywalizowali pomiędzy sobą o produkujące żywność kraje, więc na porządku dziennym były wielkie bitwy pomiędzy tymi powietrznymi olbrzymami. Po zniszczeniu kolejnych dwóch Władców Niebios zawarto rozejm. Zgodnie z ustaleniami konferencji z udziałem dowódców Władców Niebios świat został podzielony na obszary podległe poszczególnym sterowcom. Żadnemu Władcy Niebios nie wolno było przekroczyć nigdy granic wyznaczonego mu terytorium i ta zasada przestrzegana jest do dziś. Lecz, zdaniem Mila, dłużej nie da się już jej utrzymać...

— Zaraza rozpanoszyła się na świecie – wyjaśnił. – Zbyt wiele społeczności ziemskich ginie. Jeśli któryś z Władców Niebios

odkryje, że na jego oficjalnym terytorium przeżyło zbyt mało społeczności rolniczych, by były w stanie sprostać jego potrzebom, jest oczywiste, że zaczną kłusować na terytorium innych Władców Niebios. W końcu doprowadzi to do wojny na wielką skalę. – Wyglądał na zadowolonego z tej perspektywy.

— To głupie – powiedziała Jan. – Ludzie walczą ze sobą, podczas gdy Matka Ziemia umiera wokół nich. Dlaczego Władcy Niebios nie podejmą wraz z mieszkańcami Ziemi próby powstrzymania zarazy, póki nie jest za późno?

— Trudno jest przełamać stare nawyki – odpowiedział. – Niebiańscy ludzie od dawna traktują mieszkańców Ziemi jako istoty gorszego gatunku. Nagłe podjęcie przez nich współpracy z „glistami ziemskimi” na zasadach równości wydaje się niemożliwe. Poza tym nie wiem, co mogliby uczynić Władcy Niebios w celu powstrzymania zarazy.

— A to płonące światło? Promienie, które zniszczyły nasze rakiety? Może dałoby się ich użyć w celu oczyszczenia Ziemi z zarazy?

— Tak, chyba by się dało – przyznał z namysłem – lecz, jak ci powiedziałem, broń laserowa nie znajduje się pod kontrolą niebiańskich ludzi. Działa automatycznie i tylko przeciwko nieożywionym niebezpieczeństwom zagrażającym Władcy Niebios. Uśmiechnął się po ojcowsku i dodał: – W każdym razie nie wiem, dlaczego dobra, mała Minervianka rozważyła użycie urządzeń wyprodukowanych dzięki ludzkiej wiedzy.

Odpowiedziała oziębło: — Gdyby te urządzenia miały być użyte do oczyszczenia Ziemi, jestem pewna, że Bogini Matka mogłaby uznać, iż mężczyźni też mają szansę odpokutowania za grzechy.

Jan zdziwiła się bardzo po wyjściu na kadłub. Wokół włazu

stało kilku Wojowników Nieba. Byli uzbrojeni w zwykłe karabiny o długich lufach i obserwowali niebo. Przy najbliższej okazji Jan spytała Milo o powód ich obecności.

— Hazzini – odpowiedział. – Przelatujemy w tej chwili nad terytorium Hazzini. Będziemy lecieć nad nim przez jakieś następne dwadzieścia cztery godziny. Spójrz, to ich gniazda.

Spojrzała i zobaczyła na horyzoncie sporo wysokich budowli wystających znad niskich pagórków dotkniętych zarazą. Przypominały olbrzymie, poskręcane pnie drzew. Jan z przerażeniem uświadomiła sobie, że muszą mieć setki stóp wysokości.

— Co to są Hazzini? – spytała, zaczepiając linę o uchwyt kadłuba.

Dziś pracowali na łukowatym zagięciu Władcy Niebios i widok, jaki się rozciągał z tego miejsca, był wspaniały.

— Nigdy nie przeżyliście napadu Hazzini na Minervę? – spytał Milo.

— Nie słyszałam o czymś takim! – odkrzyknęła.

— Tak, gdyby się to zdarzyło, z pewnością byś o tym słyszała. Sądzę, że Minerva była poza ich zasięgiem. Mieliście szczęście. Hazzini są genetycznie ukształtowanymi mechanizmami do zabijania, doskonałymi w swej prostocie. Skonstruowała je jedna z wielkich korporacji w celu obronnym. Główny materiał genetyczny zaczerpnięto ze świata owadów. Te mechanizmy mają skrzydła. Większość z nich nie wzbija się na wysokość sterowca Władcy Niebios, lecz czasem może się to zdarzyć.

— Ach – powiedziała.

Zbliżali się teraz do „gniazd” i mogła dostrzec, jak olbrzymie były to konstrukcje. Ze wszystkich stron wystawały z nich podesty i Jan zdawało się, że widzi czarne kropeczki tłoczących

się wokół nich stworów. Milo i ona, jak i inni „czyściciele” oczekiwali ekipy rozprawiającej plyn, która dużo wcześniej rozpoczęła swą pracę. Pęd powietrza uderzający w kadłub był dość potężny i Jan z trudnością utrzymywała równowagę.

— Więc Wojownicy Niebios nas strzegą? – spytała Mila.

Zaśmiał się.

— Nas? Kto by się przejmował gromadą niewolników? Nie, Wojownicy są tu po to, by pilnować włazów lub innych otworów w kadłubie. Zobaczysz, że nasz przyjaciel Benny pozostawi nas dzisiaj na pastwę losu.

Obejrzał się przez ramię. Dozorca pozostał z grupą Wojowników przy włazie.

— Czy sądzisz, że te stwory mogą nam zagrozić? – spytała Jan.

Zerknęła znów na ziemię. Czarne punkty znajdowały się teraz w powietrzu i niektóre z nich zdawały się rosnać.

— Pracowałem nad terytorium Hazzini wiele razy – powiedział Milo – i nigdy nie widziałem, by jakiś stwór się do nas zbliżył. Ale jeśli wierzyć plotce, w przeszłości zdarzało się, że Hazzini porywały z pokładu czyścicieli szkła.

— Czy są inteligentne?

— Jeśli ci chodzi o ich samoświadomość, to powiedziałbym, że nie. Są jednak wyjątkowo sprytne. Zaprogramowano je, by wykonywały dwie czynności: zabijały wrogów i rozmnażały się. Ich konstruktorzy wyposażyli je w ten sposób, że są bardzo sprawne w obu tych dziedzinach. Żywią się byle czym, mogą jeść nawet najbardziej toksyczne grzyby, dobrze się więc rozwijają na zarażonych ziemiach. Przypuszczam, że w końcu świat pokryje zaraza i Hazzini...

Jan spędziła ciężki dzień na powierzchni kadłuba, wciąż obserwując, czy przypadkiem jakiś Hazzini nie zdołał dolecieć na

wysokość statku Władcy Panglotha. Choć dość często sterowiec przelatywał nad gniazdami Hazzini, żaden czarny punkcik się nie zbliżał. Obecność Hazzini na Ziemi spowodowała, że Jan znów zaczęła myśleć o oczekującym ją tej nocy podłożeniu bomby ogniowej. Zdała sobie sprawę, że szuka powodu, by odwlec tę chwilę. Celem miało być zniszczenie *Władcy Panglotha* i wszystkich znajdujących się na jego pokładzie żywych istot. Czy ważne jest, jak zginą niebiańscy ludzie? Czy spowoduje to ogień, czy też rozbiją się o ziemię lub staną ofiarami Hazzini? Nie miał również znaczenia fakt, że Hazzini zmniejszają jej mizerną szansę przeżycia do zera. Nie, nie ma wyboru – to musi się stać tej nocy.

Praca w trudnych warunkach sprawiła, że pod koniec długiego dnia ciało Jan stało się jednym kłębkim bólu. Podczas krótkiej przerwy w środku dnia oświadczyła Milowi, że niebiańscy ludzie są głupcami, bo nie wykorzystują szympansov w charakterze czyścicieli.

— Byłyby doskonałymi czyścicielami kadłuba – powiedziała, gdy usiedli obok siebie. – Są również trochę szybsze od nas.

— To prawda – przytaknął. – Lecz niebiańscy ludzie nigdy nie wykorzystywali żadnych „zmienionych” zwierząt. To jest sprzeczne z ich religią. Uważają je za nieczyste, plugawe. To kolejny przykład dziedzictwa Wojen Genetycznych. Wy, Minervianie, nie byliście jedynymi, którzy w dziwny sposób traktowali dawną wiedzę.

Zignorowała kpinę. Była zbyt zmęczona, by się na niego złościć.

— Nie wykorzystywaliśmy dawnej wiedzy, to prawda, lecz nie było żadnego prawa zabraniającego wykorzystywania zwierząt. To nie ich wina, że zostały zmienione. Kiedyś, dawno temu,

mieliśmy w Minervie wszystkie gatunki zwierząt, lecz gdy się urodziłam, pozostały tylko szympansy. Innym przestano ufać. Nawet na samcach szympansów nie można było polegać. Musieliśmy je zamykać w klatkach, gdy już osiągnęły pewien wiek.

— Ciekawe – powiedział. – Można było tego oczekiwać. Inżynierowie genetycy nie mogli zapewnić długotrwałej stabilizacji w zwierzęcym układzie chromosomów. Nie można zapobiec mutacjom. Będzie się pojawiało coraz więcej mutantów. Takich, jak ty.

— Jak ja? – powiedziała zdziwiona.

— Oczywiście. Jesteś niezwykle mała jak na mieszkańkę Minervy. Jasne, że jesteś mutantem. Pod wszystkimi innymi względami poza wzrostem z pewnością reprezentujesz genetyczny wzorzec mieszkańca Minervy. Masz typową minerviańską budowę ciała, z takimi cechami jak: męska sylwetka, długie nogi, małe piersi, muskularna konstrukcja, ciemna karnacja i bardzo atrakcyjna twarz. Prawdopodobnie materiał genetyczny ograniczył twój wzrost, lecz chciałbym zobaczyć twoje dziecko urodzone ze związku z mężczyzną spoza Minervy.

Ta ocena zdenerwowała ją, chociaż z aprobatą przyjęła określenie „bardzo atrakcyjna twarz”. Tym, co ją jednak najbardziej zakłuło, była uwaga o tym, że może mieć dzieci. Nic z tego, pomyślała zimno. Nie będzie wspólnej nocy.

Pomiędzy włazem a miejscem, gdzie oczekiwała szklana klatka, była stosunkowo duża wolna przestrzeń, co wspaniale odpowiadało planowi Jan. Pozostała w tyle za grupą niewolników, przemierzających odległość pomiędzy dwiema płaszczyznami kadłuba. Milo powiedział, że rozgardiasz i

nieporządek we wnętrzu sterowca Władcy Panglotha spowodowała kolejna generacja niebiańskich ludzi.

— Przez wiele lat dokonywano prowizorycznych napraw – mówił. – Przykładem może być zamiana rejonów składowania ładunków na obszary zamieszkane. Wątpię, czy któryś z projektantów dawnych Aniołów Niebios rozpoznałby dziś wnętrze sterowca któregośkolwiek z Władców Niebios.

Jan pojęła swą szansę. Schowała się za ukośny dźwigar, po czym szybko zniknęła w jego cieniu. Poruszając się najszybciej jak mogła, chciała jak najbardziej oddalić się od innych, zanim jej nieobecność zostanie odkryta. Najbardziej obawiała się Mila. Z pewnością będzie pierwszym, który dostrzeże, że jej nie ma i na pewno będzie się upierał przy poszukiwaniu.

Im dalej się posuwała, tym stawało się ciemniej. Tylko regularnie odwiedzane obszary były oświetlane. Zatrzymała się i przykucnęła nasłuchując. Dochodziły ją z daleka odgłosy rozmów niewolników. Potem nastąpiła cisza, którą zakłócało jedynie skrzypienie kadłuba. Szła dalej. Ponieważ podłoże w kierunku, w którym zmierzała, stawało się coraz bardziej spadziste, musiała się w końcu zatrzymać z obawy przed upadkiem w ciemności. Dysząc, przyłgnęła do rusztowania. Wtedy usłyszała odległy krzyk. To było jej imię. Szukali jej.

Nie miała pojęcia, jak długo czeka w prawie zupełnej ciemności. W pewnym momencie jeden z poszukujących znalazł się całkiem blisko. Donośnie wykrzykiwał jej imię. To był z pewnością Milo. Jeśli ktokolwiek może ją znaleźć, to tylko on. Jego czarodziejska siła umożliwi mu zapewne widzenie w ciemności.

Lecz Milo jej nie znalazł i gdy znów zapadła cisza, Jan wiedziała, że udało się jej zrealizować pierwszą część planu.

Znów ruszyła wciąż badając drogę przed sobą. Przez pewien czas musiała szukać nogą oparcia, po czym, gdy pochyłość stała się łagodniejsza, udało się jej dostać do łukowatej partii korpusu.

Tu straciła orientację. Musiała najpierw ustalić pozycję przedniego wjazdu. Szła, jak sądziła, we właściwym kierunku. Odetchnęła, gdy w końcu ujrzała przed sobą błysk światła. Nagle, ku swojemu rozczarowaniu, usłyszała szmer głosów. Przykucnęła i zamarła bez ruchu. Rzeczywiście znalazła drogę do wjazdu, lecz wokół drabiny kręciła się grupa Wojowników Niebios; byli bez hełmów. Przez chwilę Jan myślała, że zostali tu, by jej szukać, po czym uświadomiła sobie, że wciąż są na służbie ze względu na Hazzini.

Określiwszy swą pozycję, wycofała się znowu w ciemność.

Poruszała się równolegle do drogi pomiędzy wjazdem a miejscem, w którym pojawiała się szklana klatka. Jej celem stało się jedno z wejść do sieci wąskich chodników poniżej wewnętrznego kadłuba, umożliwiających wniknięcie w membranę komory z gazem. Gdy Milo pokazał jej te chodniki parę dni temu, uznała, że będą doskonałym miejscem na umieszczenie bomby.

Zamierzała przejść najbliższym wejściem, lecz ze względu na wojowników przy wjeździe musiała się dostać do jakiegoś dalszego. W końcu uznała, że znajduje się w bezpiecznej odległości od wojowników i podniosła cienką, okrągłą pokrywę wjazdu. Poniżej znajdowała się krótka drabina. Zeszła po niej. W dalszej części tunel oświetlały dziwne „zimne” lampy, o których Milo mówił, że zawierają żywe komórki. Zamknęła wjazd i ruszyła tunelem, wciąż pochylona, by nie uderzyć głową o strop. Ściany tunelu były jakby błonami olbrzymiej komórki, po której szczycie pełzła jak jakiś mały owad. Myśl o tym, że poniżej sieci wąskich

chodników jest przepaść o głębokości ponad tysiąca stóp, przyprawiała ją o mdłości.

Zatrzymała się, To miejsce wydało się jej najlepsze. Jan zdjęła kombinezon, przykucnęła i wyjęła bombę z pochwy. Musiała znów ją ukryć po tym, jak Milo ostrzegł ją, iż zdarzają się kontrole sprawdzające, czy ktoś nie wnosi na obszar zabroniony urządzeń produkujących iskry lub ogień. Istniała oczywiście możliwość, że nie rozpoznaliby w tym urządzeniu bomby, lecz Jan nie chciała ryzykować. W ciągu ostatnich czterech dni nie było jednak żadnych kontroli. Teraz to jej już nie obchodziło.

Odwinęła bombę i spojrzała na nią. Przypominała sobie słowa matki – przekręć koniec zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Proste. Potem powinna umieścić to pomiędzy oczkami sieci a powierzchnią błony. Po trzydziestu sekundach wybuchnie, rozprzestrzeniając płonąca ciecz. Błona komory, jak dowiedziała się od Mila, była bardzo twarda – tak, jak i wszystkie fragmenty sterowca *Władcy Niebios*, zbudowane w fabryce w przestrzeni. Jan sądziła, że zawartość bomby przepali tę błonę. A po drugiej stronie błony oczekiwały miliony stóp sześciennych wodoru...

Wzięła głęboki oddech, mocno chwyciła walec i przygotowała się do przekręcenia nasadki. Próbowiła. Wciąż próbowała. Łzy spłynęły jej z oczu, lecz nie mogła zmusić ręki do zrobienia ostatniego ruchu. Nie była w stanie przekręcić nasadki. Nie chciała być odpowiedzialna za śmierć wszystkich ludzi na pokładzie *Władcy Panglotha*, niezależnie od tego, jak ich nienawidziła. Kiedyś nie miała skrupułów podczas odpalania rakiet w kierunku *Władcy Niebios*, ale tamta sytuacja zasadniczo się różniła od obecnej. To była wojna, walka o przetrwanie, a poza tym Jan nie działała sama. Należało także uwzględnić Mila. Jan nie lubiła go. Był prawdopodobnie czarownikiem, lecz

zawdzięczała mu życie. To nie w porządku, że nie poinformowała go o swych zamiarach. A poza tym myślała o sobie. Nie chciała umierać. Padła na kolana i zaczęła szlochać. Zdradziła matkę, Alnę, Minervę.

W końcu wstała, ubrała się i włożyła bombę do kieszeni. Musi się jej pozbyć w jakiś sposób. Może wrzuci ją do latryny? Wracając rozmyślała o tym, co powie, by wyjaśnić swą nieobecność. Może powinna powiedzieć, że wróciła po jakiś pozostawiony sprzęt i zgubiła drogę...

Wyszła przez właz. A teraz dokąd? – pomyślała ponuro. Dotrzeć do wojowników? Nie, nie chciała teraz nikogo widzieć. Chciała zostać sama. Postanowiła udać się do szybu, w którym jeździ klatka, i czekać, aż inni przybędą następnego dnia do pracy. Nie miała pojęcia, ile godzin upłynęło. Była zbyt zmęczona, by o tym myśleć.

Nagły błysk czerwonego światła w ciemności przyciągnął jej uwagę. Jan rozejrzała się. Co to może być? Inżynierowie, którzy coś naprawiają? Lecz w takim wypadku miejsce ich pracy byłoby dobrze oświetlone. Podeszła bliżej, zapominając o tym, że zachowuje się głośno i może zostać dostrzeżona. Teraz się to nie liczyło.

Im bardziej zbliżała się do źródła czerwonego światła, tym większe było jej zdziwienie. To coś musiało być na podłodze. Zrobiło się jej zimno. Skądś dobiegł zimny podmuch.

Otwarty właz? W tej części kadłuba nie było żadnego otworu.

W pobliżu czerwonego światła coś trzasnęło. Potem Jan zobaczyła lecące iskry. Ktoś używał otwartego ognia w obszarze zakazanym. Gdyby nastąpił wyciek wodoru...

Światło zamigotało i w jego czerwonej poświacie dostrzegła jakąś przycupniętą postać. Nie była to postać ludzka. Jan

znajdowała się teraz w odległości mniejszej niż dwadzieścia stóp od migocącego światła. Próbowwała się cofnąć bezszelestnie, ale na próżno. Rozległ się brzęk. Uderzyła o dźwigar, wywołując hałaśliwy rezonans. Czerwone światło nagle zgasło. Jan odwróciła się i pobiegła. I prawie natychmiast uderzyła w kolejną przeszkodę, zaczepiła się o nią i upadła. Leżała, nasłuchując, czy nikt się nie zbliża. Nagle ze stropu dobiegł dziwny szelest. Jan wstała i zaczęła biec zjedną ręką wyciągniętą nad głowę dla ochrony. Zrozumiała teraz, co ją ściga. Hazzini. Może nawet więcej niż jeden. Krótkie spojrzenie na tego stwora uświadomiło jej wystarczająco dobitnie, że obecność Hazzini oznacza coś zdecydowanie złego.

Z przodu ujrzała słabe światło. Znów zbliżała się do skąpo oświetlonego rejonu. Podjęła decyzję. Gdy dotrze do ścieżki, skręci w lewo w kierunku włazu, gdzie oczekują wojownicy.

Coś spadło ze stropu tuż przed nią. Zatrzymała się. To coś miało około dziewięciu stóp długości. Jego ciało składało się z segmentów, a z obu stron zwisały pofałdowane, rozwinięte skrzydła. Stwór miał sześć odnóży, z których dwa tylne służyły do chodzenia. Jednym z przednich odnóży przytrzymał okrągły przedmiot, który niewyraźnie świecił. Pozostała para przednich odnóży wyciągnięta była do przodu. Jednym sięgał w kierunku jej ramienia, drugim usiłował ją chwycić za kostkę nogi. Krzyknęła, gdy ostre pazury zagłębiły się w jej ciało. Straciła równowagę i upadła na plecy. Stwór poruszał się za nią, wciąż mocno ją trzymając. Czuła, jak krew spływa z jej ramienia i kostki. Krzyknęła znowu, gdy Hazzini pochylił głowę w jej kierunku. Wyglądał jak skrzyżowanie głowy konia z głową moskita. Zamiast uszu miał owłosione macki, a jego oczy patrzyły zbyt inteligentnie jak na owada. Cały był upstrzony

czarno-szarymi cętkami i kępkami ostrych czarnych włosów.

Jan szarpnęła się, lecz stwór silnie ją przytrzymał. Głowa Hazzini zbliżała się wciąż i Jan poczuła ohydny smród.

Załawionymi oczyma dostrzegła jego „pysk” z wystającym narządem ssącym w kształcie rurki. Coś, co wydawało się zębami, sterczało na jej końcu. Cała rurka obracała się powoli.

Umieram, pomyślała Jan, wciąż szaleńczo próbując się uwolnić. To kara Bogini Matki za to, że nie pomściłam Minervy.

Wirująca ssawka coraz bardziej wysuwała się z pyska. Z zębów na jej końcu ściekał jakiś płyn. Jan domyśliła się, że to trucizna lub jakiś typ substancji trawiennej. Cokolwiek zamierzała bestia z nią zrobić, wynik był do przewidzenia.

Wtem przypomniała sobie o bombie. Wolną ręką wyjęła ją z kieszeni, uchwyciła koniec zębami i gwałtownie obróciła, po czym z całej siły wetknęła bombę w koniec zbliżającej się ssawki. Hazzini cofnął głowę i potrząsnął nią w obie strony, próbując się pozbyć blokady. Trzydzieści sekund! – odezwało się coś cicho w świadomości Jan.

Wysiłki stworza w celu pozbycia się bomby stały się bardziej szaleńcze. Schwycił rurkę pokarmową wolnym odnóżem czy pazurem i w tym samym momencie upuścił trzymane narzędzie. Uwolnił też ramię Jan; trzema przednimi odnóżami próbował teraz pozbyć się bomby. Czwartym odnóżem wciąż jednak trzymał dziewczynę za kostkę.

Jan odwróciła się na brzuch, uchwyciła się dźwigara i próbowała uwolnić, lecz stwór wzmocnił chwyt tak, że zgrzytnęły kości. Jan zawyła i prawie zemdląła z bólu.

Ile sekund jeszcze pozostało? Bestia znowu chwyciła ją za ramię i przyciągnęła bliżej siebie. Nie przestawała także potrząsać głową i szarpać swej ssawki. Jan dostrzegła, że koniec

bomby zniknął w ssawce, i domyśliła się, że Hazzini niechcący ją połknął.

Nagle nastąpił potężny, stłumiony wybuch. Hazzinim wstrząsnął dreszcz, po czym stwór zesztyniał. Ogień wydobył się z jego pyska, a następnie z innych, dotychczas ukrytych, otworów. Prrr...! – zacharczał umierający, a może już martwy Hazzini w tonacji tak wysokiej, że prawie niesłyszalnej.

Ucisk na kostce Jan zelżał. Zaczęła się wycofywać. Nie robiła tego wystarczająco szybko. Pazur tkwiący w jej kostce drgnął i przeorał jej ciało od dolnych partii brzucha aż po przełyk. Hazzini runął na ziemię.

Jan poczuła, jakby ktoś wrzucił ją do lodowatej wody. Próbowwała usiąść, lecz gdy ujrzała, jak mocno jest zraniona, opadła na twardej podest, owijając się ramionami. Bała się, że spadnie. Z ulgą zapadła w sen.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jan pomyślała, że wygląda koszmarnie, i powiedziała to bardzo głośno.

— Nonsens! – krzyknęła Mary Anne swym wysokim, przeraźliwym głosem. – Wyglądasz przepięknie. – Po czym dodała cicho: – Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności.

Właśnie, pomyślała gorzko Jan. Jak na amazonkę, plugawą ludzką glistę, wyglądam całkiem nieźle. Przyjrzała się swemu odbiciu w dużym lustrze. Podobał się jej jedynie delikatny odcień ciemnobłękitnej sukienki. Sama suknia była dziwaczna, tak, jak i jej obecny wygląd. Dzięki różnego rodzaju bieliźnie, którą włożyła pod wpływem nalegań Mary Anny, jej talia stała się śmiesznie wąska. Poniżej talii, na biodrach, suknia się rozszerzała, tworząc kształt dzwonu sięgającego aż do podłogi.

O ile dolna część jej ciała była całkowicie przykryta, to część górna była zupełnie odsłonięta. Obcisły, głęboko wycięty stanik odsłaniał jej piersi prawie aż do brodawek. Jednak nawet w biustonoszu uwypuklającym piersi nie mogła się równać pod względem biustu z Mary Anne. Ci ludzie, stwierdziła Jan, z pewnością mają jakąś obsesję na punkcie piersi.

Dziwaczny strój uzupełniały falbaniaste rękawy, czarna wstążka wokół szyi, biały proszek na twarzy i drogocenny diadem na głowie. Mary Anne z satysfakcją kończyła pracę.

— Nawet twoja matka by cię nie rozpoznała – powiedziała.

— Gdyby moja matka ujrzała mnie w takim stroju, przebiłaby mnie szpadą – powiedziała Jan zirytowana.

— Och, nie mów tak! – wykrzyknęła Mary Anne zaskoczona. – Musisz wymazać ze swojej świadomości okropny amazoński styl

życia, Jan. Lepiej pomyśl o swojej przyszłości wśród nas. Od tej chwili twoje życie będzie zupełnie inne.

— Tak mi się wydaje – rzekła Jan cicho.

Znów doświadczyła dziwnego uczucia nierealności, tak, jakby była pogrążona we śnie. Takie uczucia często powracały w ciągu ostatniej doby, odkąd została zabrana do strefy Arystów na pokładzie sterowca Władcy Panglotha, i towarzyszyły jej do czasu, gdy odzyskała świadomość po ataku Hazzini. Spoglądała na swą obnażoną pierś. Rana zmniejszyła się do cienkiej, białej linii. Ślady szwów już też prawie zniknęły. Być może rzeczywiście umarła, a to wszystko było snem, który Bogini Matka przygotowała dla niej jako przedsiónek raj. Posiłki, które jadła, pachnące kąpiele, wygodne łóżko, w jakim spała – wszystko miało posmak raj.

— To ja wciąż żyję? – takie były jej pierwsze słowa, nieśmiało wyszeptane, gdy otworzyła oczy i ujrzała nad sobą Mila.

— Ledwie, ledwie, mała amazonko – powiedział z uśmiechem. – Członkowie Cechu Lekarskiego na sterowcu są tylko trochę lepsi od rzeźników, lecz potrafią przynajmniej zszywać rany, nawet tak rozległe jak twoja. Żaden z twoich narządów wewnętrznych nie został uszkodzony. To ubytek krwi i szok nieomalże cię zabiły. Najgorsze już minęło. Przy twoich zdolnościach regeneracyjnych wkrótce wszystko będzie w porządku. Nie pozostanie nawet blizna.

Wymamrotała: — Bogini Matka jest ze mną – i zapadła w głęboki sen.

Następnym razem, gdy się obudziła, Milo podał jej trochę wody do picia. Rozejrzała się wokoło. Znów była w jego izbie. Próbowwała podnieść głowę, by zobaczyć, w jakim stanie jest jej ciało, lecz okazało się, że jest zbyt słaba.

— Ja, ja... nie czuję bólu – wyszeptała.

Milo pokazał jej narzędzie, które od razu rozpoznała. Strzykawka. W szpitalu w Minervie było wiele takich.

— Wstrzyknąłem ci hormon, pobudzający twój wewnętrzny uśmierzacz bólu. Dużo mnie to kosztowało. Jeden z wolnych ludzi w osiedlu otrzymał to bezpośrednio od pewnego farmaceuty Arysty.

— Dzięki.

— Moja droga mała amazonko, nie myl szczodroblewości z altruizmem – powiedział, szczerząc zęby. – Przypomnij sobie naszą umowę. Jestem również zainteresowany powrotem twego ciała do normalnego stanu.

Zdobyła się na słaby uśmiech.

— Czy czujesz się dostatecznie silna, by mi opowiedzieć, co się stało? – spytał.

— Zabłądziłam... – wyszeptała. – Wędrowałam w kółko... przez parę godzin. Nagle ujrzałam... Hazzini... Ścigał mnie. Schwycił mnie pazurami... Myślałam, że rozetnie mnie na pół... – Nie była w stanie mówić dalej.

Milo przejechał ręką po bezwłosej głowie i milczał przez chwilę, po czym powiedział: — Czy wiesz, że jesteś bohaterką? Przypuszcza się powszechnie, że spotkałaś Hazzini, chwyciłaś jego palnik i spaliłaś go nim. Wytrzeszczyła oczy.

— Palnik...?

— Przyrząd, którego stwór użył do przecięcia zewnętrznego kadłuba i zamierzał wykorzystać do przecięcia kadłuba wewnętrznego, gdy mu w tym przeszkodziłaś. Istnieje hipoteza, że Hazzini wybrali najlepiej latającego osobnika, wyposażyli go w palnik, który prawdopodobnie znaleźli w jakichś starych murach, i poinstruowali, by podkraść się do *Panglotha* i zniszczył

jedną bądź dwie komory z gazem. W rezultacie *Pangloth* wytraciłby wysokość i znalazł się w zasięgu pozostałych Hazzini. Problem polega na tym, że bestia nie wiedziała, iż komora, do której zamierzała wtargnąć, pełna jest wodoru, Hazzini mocno by się zdziwili, gdyby *Pangloth* spadł z nieba w kuli ognia i wylądował dokładnie na szczytach ich gniazd. – Nagle chwycił ją za ramię, zimno spoglądając w oczy.

— Wiem, co się naprawdę wydarzyło tam na górze. Wiem również, co zamierzałaś uczynić. Ty i Hazzini mieliście ten sam zamiar tej nocy – powiedział ostro.

— Co... masz na myśli?

— Wiem, co mówię. To się wiąże z tym drogocennym skarbem minerviańskim, „oznaką władzy”, którą chciałaś chronić przez całe życie. Zdaje się, że już tego nie masz.

— Nie mam...? – Trudno jej było teraz myśleć. Chciała zasnąć.

— Och, przestań udawać. Cały czas podejrzewałem, że ta rzecz jest czymś zupełnie innym. Za moje dobre serce zostałbym, gdybyś podłożyła bombę, jak zaplanowałaś, spalony wraz z innymi. Z waszą całkowitą bezwzględnością wy, Minervianie, moglibyście chyba czegoś nauczyć Władców Niebios.

— Nie, nie... – protestowała słabo, próbując potrząsnąć głową. – Nie mogłam tego zrobić... gdy nadszedł moment. Nie mogłam. Więc zrezygnowałam...

Spojrzał na nią badawczo. W końcu powiedział: – Sądzę, że mówisz prawdę. – Twarz mu się wygładziła. – Zrezygnowawszy z misji, trafiłaś na Hazzini. Musiałaś użyć bomby, by go zabić. Przypuszczenie, że odebrałaś palnik dorosłemu Hazzini i wykorzystowałaś go przeciwko temu stworowi, jest absurdalne.

— Tak... – przytaknęła i powiedziała mu co zrobiła. Uśmiechnął się.

— Dokładnie w jego trąbkę? Świetnie. Gdyby wkłuł ci ją w ciało, wysssałby cię całkiem. Krew ludzka jest przysmakiem Hazzini.

— Czy... czy znajdą resztki... bomby? – spytała.

— Nie bój się. Nikt nie oglądał dokładnie ciała stwora. Spłonął, a palnik leżał obok niego. Wojownicy, którzy usłyszeli twoje krzyki i przybyli na miejsce, wyciągnęli oczywiście wnioski. Hazzini został wyrzucony na zewnątrz, więc nie ma teraz żadnej szansy na odkrycie prawdy.

— To dobrze... – wyszeptała. Powieki jej ciążyły.

— Spij – powiedział. Zasnęła.

Ktoś zapukał do drzwi ukrytych za różową materią, którą pokryte były drzwi i sufit.

— Proszę – rzekła Mary Anne.

Do garderoby weszła Ceri, służąca Mary Anne. Była przedtem, podobnie jak Jan, niewolnicą, a na jej policzku również widniał znak czarnej gwiazdki. Chociaż przestała być niewolnicą, nie została wolną kobietą. Mary Anne powiedziała, że Ceri jest poddaną, a jak się wkrótce Jan zorientowała, oznaczało to mniej więcej to samo co niewolnica. Różnica polegała na tym, że pozycja niewolnika w dzielnicy Arystów wydawała się o wiele lepsza niż gdzie indziej. Jan polubiła Ceri od pierwszego wejrzenia. Służąca była szczupłą dziewczyną o jasnych włosach i ładnych zielonych oczach. Z jej twarzy dało się odczytać zarówno inteligencję, jak i wrażliwość, dwie cechy, które, jak Jan się już zorientowała, stanowiły rzadkość na pokładzie sterowca Władcy Niebios. Jan przyznawała jednak, że lubi też Mary Anne pomimo jej głupoty.

Ceri z szacunkiem zwróciła głowę ku Mary Anne i powiedziała łagodnym, przyjemnym głosem: – Księżę Magid chce wiedzieć,

czy pani i jej gość jesteście już gotowe. Oczekuje w salonie.

— Przyjdziemy wkrótce, droga Ceri – odpowiedziała Mary Anne. Gdy Ceri wyszła, Mary Anne z lekkim zdenerwowaniem poprawiła splątane włosy pod diademem Jan.

— Niedługo nastąpi twój moment triumfu – powiedziała z radością. – Z pewnością czujesz się bardzo podniecona.

— Och, bardzo – powiedziała Jan i uśmiechnęła się do odbicia Mary Anne w lustrze.

Księżę Magid, Wysoki Szambelan Władcy Panglotha, wyglądał śmiesznie, gdy Jan ujrzała go pierwszego dnia swego pobytu na pokładzie. Z długimi chudymi nogami, odzianymi w obcisłe pończochy w czerwono-pomarańczowe prążki i w obszernej nadmuchanej kurtce, przypominał jakiegoś dziwnego ptaka. Jan z trudem opanowała śmiech na widok jasnozielonego skózanego, pudełka skrywającego jego narządy płciowe. Śmieszyła ją również myśl, że ta część odzieży zwana jest „woreczkiem”.

Gdy wchodziły do salonu, Magid stał przy oknie odwrócony do nich tyłem. Spojrzał na nie i powiedział swym charakterystycznym, piskliwym głosem: – Ach, jesteście wreszcie.

Jedną ręką dotykając małej bródki, a drugą trzymając rękojeść ceremonialnej szabli, obejrzał dokładnie Jan, obchodząc ją dookoła i wydając dziwaczne dźwięki przez nos. Pomyślała, iż stosunkowo łatwo byłoby schwycić go za gardło, odebrać szablę i wbić mu ją w serce. Poza chwilową satysfakcją działanie takie nie przyniosłoby jednak niczego. Zrezygnowała więc z tego i obserwowала wspaniały widok, roztaczający się z rzędu ukośnych okien, biegnących przez całą ścianę salonu. Słońce wyglądało zza odległego łańcucha górskiego, a chmury oświetlone były wspaniałą czerwienią.

— Tak, myślę, że może być – powiedział książę Magid.

— Ależ, Phylus, sędzę, że wygląda cudownie! – krzyknęła Mary Anna, klaszcząc w dłonie.

— Jak na amazonkę jest niezła – powiedział złośliwie. – Chodźmy już. Nie pozwólmy czekać księciu Casparowi.

— Chodzi ci o to, by lady Jane nie czekała? – powiedziała pogardliwie Mary Anne.

Książę Magid spojrział na nią ostro, co ją wyraźnie zmieszało.

Idąc za nimi szerokim, wyłożonym dywanem korytarzem, Jan powiedziała nieśmiało: – Ach, książę! Sądziłam, że spotkam dziś samego Władcę Panglotha.

Spojrział na nią z wyższością i powiedział protekcjonalnie: – Nie ma żadnego Władcy Panglotha, dziewczyno.

Obudziła się po raz czwarty lub piąty.

— Co ze mną robisz? – spytała. Milo pochylił się nad nią.

— Uspokój się. Zmieniam ci ubranie, to wszystko. Dałem ci kolejną dawkę hormonu uśmierzającego ból, więc nie będziesz cierpieć.

— Chciałabym zobaczyć – powiedziała, podnosząc głowę.

— Nie radzę.

Czuła się znacznie lepiej, była w stanie podnieść głowę i obejrzeć swe ciało.

— O Bogini Matko... – westchnęła i opuściła głowę na twardą poduszkę. To, co ujrzała, było chropowatą szramą, sięgającą od piersi do dolnych partii brzucha. Brzegi rany spięte zostały grubymi czarnymi kłamrami, które wyglądały tak, jakby zakładał je ktoś bardzo pijany. Jan poczuła, że gdyby kichnęła lub wykonała jakiś inny gwałtowny ruch, kłamry by puściły i jej ciało całkiem zwyczajnie rozerwałoby się, wyrzucając na zewnątrz jelita i inne narządy wewnętrzne...

— Bogini Matko – szepnęła znowu i zamknęła oczy. Spróbowała lekko oddychać.

— Nie jest tak źle, jak wygląda – powiedział Milo. Ta informacja nie pocieszyła jej.

— Zostaw mnie samą i pozwól mi umrzeć.

— Nic z tego. Szybko się wyleczysz. Klamry zostaną zdjęte za parę dni.

— Nie! – krzyknęła przerażona. – Tylko dzięki tym klamrom trzymam się w całości.

Donośny śmiech Mila przeraził ją. Milo jednak miał rację. Trzy dni później Jan była już na tyle silna, że mogła wstawać z łóżka i z pomocą Mila udawać się do ubikacji.

Mogła również jeść nie tylko pożywne buliony, ale także coś bardziej kalorycznego.

Cieszyła się, że może się już trochę poruszać, gdyż uwalniało ją to od całkowitej zależności od Mila i od wymuszonej intymności z tym związanej. Musiała jednak przyznać, że w najmniejszym stopniu nie wykorzystał żadnej okazji, choć działał jak bardzo sprawny i zręczny felczer. Znów pomyślała, jak wiele mu zawdzięcza, i myśl ta sprawiła jej przykrość. W końcu będzie musiała spłacić ten rosnący dług.

Wdzięczna mu była również za towarzystwo podczas swej rekonwalescencji.

Wy tłumaczył, że polecono mu, by się nią opiekował. Rozkaz pochodził, jak podkreślił, od Arystów, a nie od Banniona.

— Jesteś teraz ich dumą – powiedział. – To coś, co powinniśmy wykorzystać...

Piątego dnia Milo oznajmił jej, iż rana zasklepiła się na tyle, że można zdjąć klamry.

Zabrakło środków uśmierzających, toteż zabieg był bardzo

bolesny. Jan zamknęła oczy i włożyła kciuk między zęby, próbując nie krzyczeć. Po chwili, która wydawała się jej godziną, Milo powiedział: – Skończyłem.

Podniosła głowę i spojrzała. Długa rana wyraźnie się poprawiła od poprzedniego razu. Wciąż była jednak czerwona i brzydka. Podobnie zasklepiły się rany na kostce i ramieniu.

— Dzięki – powiedziała.

— Cała przyjemność po mojej stronie – odparł złośliwie. Nagle Jan uświadomiła sobie, że jego ręka pozostaje wciąż na jej lewym udzie. Poczuli się zawstydzona. Odsunęła tę rękę i szybko nasunęła koc aż pod brodę. Potraktował jej zmieszanie ze zdziwieniem.

— Teraz, gdy zrezygnowałaś z zamiaru wysadzenia w powietrze *Władcy Panglotha* i mnie razem z nim, nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś wypełnić naszej małej umowy. Zechcesz?

Po dłuższej chwili powiedziała cicho: – Nie.

— W porządku. Gdy całkowicie wyzdrowiejesz, będę oczekiwał twojej pełnej współpracy. – Wstał z łóżka. – Teraz spróbuj zasnąć. Idę do centrum, by kupić trochę żywności. Zaraz wracam.

Trochę trwało, zanim Jan mogła zapaść w niespokojny sen. Gdy się obudziła, ujrzała nad sobą grubą sapiącą postać Mistrza Cechu Banniona.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W przeciwieństwie do innych mieszkańców *Władcy Panglotha*, Aryści cieszyli się luksusem dużej przestrzeni. Stało się to jasne dla Jan wkrótce po przybyciu do ich dzielnicy na sterowcu. Lecz wizyta w „wielkim salonie” przerosła jej wyobrażenia.

Pomieszczenie było ogromne. Miało setki stóp długości i prawie tyle szerokości w najszerszym miejscu. Jan uświadomiła sobie, że umieszczone było w zakrzywionej części królestwa *Władcy Niebios*, prawdopodobnie niedaleko dziobu. Dwa rzędy wysokich okien, dużo większych niż w mieszkaniu *Magida*, łączyły się w zaokrąglonym końcu pomieszczenia. Jan dojrzała ciągi białych chmur przesuwających się za oknami.

Musiało tu być ze trzysta osób, lecz salon był tak wielki, że nie wyglądał na zatłoczony. Sądząc po strojach, większość stanowili Aryści, lecz znajdowało się tu też wielu służących bądź niewolników, roznoszących tace zjedzeniem i napojami. Gdy Jan stanęła na szczycie niskich schodów w towarzystwie księcia *Magida* i *Mary Anne*, znów ogarnęło ją poczucie nierealności. Cały tłum odwrócił się w jej stronę i zapanowała cisza. Wtedy ktoś zaczął klaskać i wkrótce wszyscy, z wyjątkiem służących, bili brawo. *Zmieszana* uświadomiła sobie, że oklaskują właśnie ją.

Książę Magid dotknął jej łokcia, co oznaczało, że ma podążać naprzód. *Magid* i *Mary Anne* trzymali się tuż za nią. Gdy zeszli ze stopni, tłum *Arystów* rozstąpił się na boki, tworząc szeroki szpaler sięgający aż do końca pomieszczenia. W miejscu, gdzie zbiegały się rzędy okien, postawiono małe podium. Siedziały na nim dwie osoby: mężczyzna i kobieta. Jan wiedziała, kim są. Mężczyzna to książę *Caspar*. Kobieta była jego matką, *lady Jane*.

Jak udało się Jan ustalić, to oni rządzą Władcą Niebios.

Zdziwiła się, gdy jej powiedziano, że Władca Pangloth nie istnieje. Dawno temu istniał takowy. Nawet kilku, lecz ze strzępów informacji, które rzucił jej niechętnie Magid po drodze do Wielkiego Salonu, wynikało, że dynastia Pangloth została obalona przed wiekami przez rywalizujący z nią ród Arystów. Zastanawiała się, czy obecnie Aryści byliby zdolni do podobnych walk.

Przechodząc pomiędzy oklaskującymi ją Arystami z Magidem i Mary Anne, którzy szli o krok z tyłu, spostrzegła, że księżę Caspar jest o wiele młodszy niż sądziła. Był młodzieńcem i domyśliła się, że ma tyle samo lat, co ona, lub nawet mniej. Wydał się jej, co stwierdziła z zainteresowaniem, najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Pociągłą twarz otaczały sięgające ramion czarne włosy, a brązowe oczy były ogromne.

Lady Jane siedziała nieco z tyłu. Miała również pociągłą, piękną twarz z ładnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i bardzo jasną cerę, lecz jej oczy były niebieskie. W przeciwieństwie do oczu syna, jej źrenice patrzyły zimno.

Gdy Jan, księżę Magid i Mary Anne dotarli do podium, księżę Caspar i jego matka wstali. Oboje ubrani byli na czarno, księżę miał jedynie biały koronkowy kołnierzyk i mankiety, a jego matka naszyjnik w kolorze ciemnoczerwonym. Księżę wyciągnął rękę i oklaski przerwano. Spojrzał na Jan i uśmiechnął się. Był to piękny uśmiech, który poruszył coś w jej wnętrzu. Uśmiechnęła się również. Nagle poczuła, że Magid szturchają palcem w plecy, i przypomniała sobie, jak ma się zachować. Niezręcznie zgięła kolana i pochyliła głowę tak jak uczyła ją Mary Anne.

Księżę Caspar powiedział:

— Jan Dorvin z Minervy! Wszyscy jesteśmy ci winni

wdzięczność. Gdyby nie twoja odwaga w walce z Hazzini, *Władca Pangloth* mógłby zostać zniszczony. – Mówił łagodnym, dźwięcznym głosem. – Dlatego też wspaniałomyślnie wybaczymy ci wszystkie twoje dawne zbrodnie przeciwko nam i obdarowujemy cię wolnością i statusem honorowego Arysty. Oznacza to, że będziesz korzystać z wszelkich praw i przywilejów przysługujących nam, z wyjątkiem ślubu z członkiem rodziny Arystów. Witaj nam, Jan Dorvin. I dzięki ci!

— Dzięki, Wasza Wysokość – powiedziała najszczerzej, jak umiała.

Księżę Caspar wyciągnął ręce i znów posypały się oklaski. Jan pochyliła głowę. Próbowwała powstrzymać łzy. Było jej wstyd. Bogini Matko, wybacz mi – modliła się. – To nie moja wina. Nie chciałam ocalić *Władcy Panglotha*.

Gdy Jan prezentowano u dworu, Milo leżał na łóżku i śnił... Dopłynął na miejsce i uzbrojony stanął na piasku dziedzińca przed dworem Kagen. Gdy się zbliżył, dwunożny cyberoid zatrzymał się i odwrócił w jego kierunku na parę chwil, po czym, zadowolony, podjął na nowo swój patrol przy murze. Kagen, w towarzystwie klonicznego żołnierza o bezmyślnym wyrazie twarzy, wybiegł z domu, by go powitać. Był wyraźnie podniecony. Milo obserwował jak się zbliża. Kagen przekształcił samego siebie tak dalece, iż nic nie przypominało jego dawnego wyglądu. Zdradzał go tylko sposób chodzenia. Wciąż chodził jak grubas, którym był poprzednio. Mały grubas.

— Świetnie, że udało się to zrobić, Haze. Nie będziesz żałował! – powiedział, ściskając rękę Mila. – Chodź, zobacz... Nie myślałem, że to się uda – mówił zadyszany, wprowadzając Mila głównym wejściem. – Straciłem trzy pierwsze zarodki podczas procesu szybkiego wzrostu. Udał mi się numer czwarty. Nad

białą skórą pracowałem cały tydzień.

Kagen zaprowadził Mila do sutereny. Korytarz kończył się metalowymi drzwiami, których pilnował kolejny kloniczny żołnierz. Kagen wsunął dłoń do identyfikatora i drzwi się otwarły. Było ciemno.

— Ona nie lubi światła – wyjaśnił.

W przyciemnionym świetle korytarza Milo dostrzegł zarys siedzącej na łóżku postaci. Kobieta, na pierwszy rzut oka zupełnie normalnego kształtu. Dwie ręce, dwie nogi, głowa... Wtedy Kagen włączył światło. Kobieta – dziewczyna – krzyknęła i zakryła oczy ramieniem. Milo przyjrzał się jej.

— Niepowtarzalna, prawda? Wyjątkowy okaz – powiedział Kagen dumnie.

Miała przezroczystą skórę. Pod nią, dokładnie widoczne, pulsowały tętnice i żyły, warstwy tłuszczu, wiązki mięśni.

— Dziewczyno, odsłoń twarz i spójrz tu – rozkazał Kagen.

Zrobiła to niechętnie. Przerażone oczy patrzyły spod przezroczystych powiek. Dwa zielone świadectwa życia tkwiące w bezskórej żywej czaszce.

Kagen zwrócił się do Mila.

— No i co o niej sądzisz?

Milo obudził się i usiadł. Schwycił się za głowę i jęknął. Po czym pochylił się i zwymiotował na czystą podłogę swej izby.

Jan odetchnęła, gdy gadatliwa Mary Anne wreszcie życzyła jej dobrej nocy i pozostawiła samą w sypialni. Zdjęła resztę bielizny – Mary Anne pomogła jej zdjąć część ubioru zwaną gorsetem – po czym włożyła koszulę nocną, uszytą z najcieńszego materiału, jaki widziała. Usiadła zmęczona na miękkim łóżku i spojrzała za okno w bezgwiazdny bezkres nocy. Prezentacja na dworze zmęczyła ją. Drażniły ją te wszystkie uśmiechy i konieczność

bycia uprzejmą dla Arystów, podczas gdy wewnętrzny głos wciąż jej mówił: To są ludzie, którzy zabili twoją matkę, twego ojca, wszystkie twe przyjaciółki... ludzie, którzy zniszczyli Minervę. Lecz nie mam wyboru – pomyślała. – Muszę robić tak, jak nakazał mi Milo. Muszę wykorzystać tę sytuację.

Tego dnia, gdy obudziwszy się, ujrzała potężnego Mistrza Cechu w izbie Mila, przeraziła się mocno. Najpierw myślała, że jest sam na sam z tym potworem, ale wkrótce ujrzała Mila i jednego z dozorców. Pomyślała ze strachem, że Bannion przybył, by ją zabrać. Przyczyną jego przybycia było jednak co innego. Dumnie oświadczył, że Władca Pangloth postanowił łaskawie wynagrodzić jej heroizm i ofiarować wolność. Gdy wyzdrowieje, zostanie zabrana do dzielnicy Wysokiego Szambelana, księcia Magida, która stanie się na pewien czas jej nowym domem. Po czym dotknął jej policzka i powiedział z żalem: – Co za strata, moja mała. Miałem inne plany w stosunku do ciebie.

Gdy wychodził przez wąskie drzwi, spojrzała ze zdziwieniem na Mila. Wyglądał wesoło.

— Gratuluję – powiedział i usiadł na wiklinowym krześle.

— Nie chcę żyć z Arystami – powiedziała.

— Chcesz zostać tu w charakterze niewolnicy? Zamierzasz wciąż pracować przy czyszczeniu szkła i skończyć jako zabawka Banniona?

— Nie – przyznała. – Ale...

— Ach, rozumiem, o co ci chodzi. Nie chcesz mnie opuścić.

— Bzdura – powiedziała i wkrótce tego pożałowała. Milo jednak wciąż się uśmiechał.

Jego reakcja zastanowiła ją.

— Nie wyglądasz na bardzo nieszczęśliwego z powodu mojego rychłego odejścia. Myślałam, że masz również plany dotyczące

mojej osoby.

— Tak, mam. Lecz to już nie te same plany – odrzekł, kręcąc głową.

— Nie rozumiem.

— Nie ma już planów związanych z twoim ciałem, lecz z twoją nową wysoką pozycją w tym powietrznym społeczeństwie. Możesz uczynić dla mnie wiele dobrego.

— Na przykład? – spytała podejrzliwie, sądząc, iż ma na myśli przemykanie różnych drobnych rzeczy z rejonu Arystów.

— Na przykład umożliwić mi dokonanie tego, co próbuję zrealizować od trzech lat, od kiedy jestem na pokładzie sterowca, a jeśli to zrobisz, obiecuję ci dwie rzeczy, najbliższe twemu sercu.

— Jakie rzeczy?

— Twoją wolność i zemstę na Władcy Pangloth.

Ktoś zapukał do drzwi. Jan jęknęła, sądząc, że to wraca Mary Anne. Lecz gdy drzwi się otwarły, ujrzała Ceri. Dziewczyna ubrana była na biało, włosy miała potargane. Jan domyśliła się, że wraca z łazienki.

— Pani kazała zapytać, czy czegoś nie potrzebujesz – powiedziała. – Od tej chwili możesz traktować mnie jak służącą.

— Nie potrzebuję niczego, dzięki. Nie mam oczywiście zamiaru traktować cię jak służącą – rzekła Jan stanowczo.

— Myślę, że lepiej będzie zrobić tak, jak nakazała pani – powiedziała Ceri. – To czyni życie pewniejszym.

— Czy źle cię traktuje?

Ceri wzruszyła lekko ramionami.

— Nie, nie fizycznie. Lecz potrafi być nieznośna, gdy jest nie w humorze.

— A księżę Magid?

— Lepiej mu się nie sprzeciwiać – powiedziała Ceri

tajemniczo. Jan przywołała ją bliżej.

— Podejdz i usiądz. Chciałabym trochę z tobą porozmawiać. Jeśli nie chce ci się spać.

— Nie – Ceri podeszła i usiadła. Spoglądały na siebie.

— Jesteś bardzo ładna – powiedziała Jan.

— Dziękuję. Ty również.

Przez chwilę milczały, po czym Ceri spytała: – Dobrze się czułaś dziś wieczorem? Jan skrzywiła się.

— To była ciężka próba. Aryści to dziwni ludzie. Każdy, z kim rozmawiałam, mówił tylko o sobie. Zwykle zadawali zdawkowe pytania; na ogół pytali, czy już całkowicie wyzdrowiałam po ataku. Na tym kończyło się ich zainteresowanie moją osobą. Pozostała część rozmowy dotyczyła ich problemów, choć nie wydało mi się, by mieli jakieś prawdziwe kłopoty.

— Nie, oni żyją w swym własnym świecie. Nic poza tym ich nie interesuje. Spędzają czas na grach, rozrywkach, seksie i pochlebianiu księciu Casparowi i jego matce – powiedziała Ceri. – Przedstawiono cię im? Księciu i lady Jane?

— O tak. A później odbyłam z księciem krótką rozmowę. Zaprosił mnie na obiad do swej prywatnej siedziby jutro wieczorem. Nie chcę tam iść, ale sądzę, że nie mam wyboru.

— Co o nim myślisz? – spytała Ceri.

— Jest bardzo piękny jak na mężczyznę... – Urwała. Nagle uświadomiła sobie, że pragnie przytulić Ceri. Szaleńczo pragnęła dotyku ramion drugiej kobiety. To już tak długo... Postanowiła poddać się impulsowi. Pochyliła się i objęła dziewczynę, przytulając twarz do jej policzka.

— Przytul mnie, proszę – powiedziała przymilnie. Ceri otoczyła ją ramionami, choć niezbyt mocno. Pozostały w tej pozycji przez chwilę, po czym Ceri spytała cicho: – Chcesz bym z

tobą spała?

— Och tak, tak – westchnęła Jan. – Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek.

Ceri delikatnie uwolniła się z ramion Jan, wstała, ściągnęła przez głowę białą nocną koszulę i rzuciła ją na podłogę. Stała teraz naga i patrzyła na Jan. Nagle powiedziała zimno: – Szybko się uczysz.

— Co masz na myśli? – spytała Jan, zaskoczona jej reakcją.

— Uczysz się traktować mnie jak służącą. W takim tempie wkrótce staniesz się świetną Arystką. Jan wlepiła w nią oczy.

— Czy sądzisz... czy sądzisz, że zmuszam cię do współżycia ze mną?

— A nie?

— Nie, oczywiście, że nie. – Jan była zaszokowana, że Ceri mogła tak o niej pomyśleć.

— Myślałam, że tego pragniesz.

— Nie jestem z Minervy, Jan – powiedziała cicho Ceri. Jan wreszcie zrozumiała.

Zakryła usta ręką.

— Ach, nie pomyślałam. Ja tylko... ja chciałam... – poczuła się zmieszana. – Nie lubisz kobiet? To znaczy, nie sypiasz z kobietami?

— Sypiam z kobietami, gdy muszę. Od czasu, gdy pracuję dla Arystów, spałam z wieloma kobietami. A także z wieloma mężczyznami.

— Czy to znaczy, że cię zmuszają?

Ceri wzruszyła ramionami.

— Powiedzmy raczej, że nie mam wyboru. Przecież nie chcę zostać znowu zwykłą niewolnicą. W końcu warunki życia są tu lepsze.

Jan nie wiedziała, co odpowiedzieć. Miała mieszane uczucia; czuła się dotknięta i wzburzona... i ciągle jednak podniecona erotycznie. Powiedziała szybko: – Nałóż, proszę, koszulę. Przepraszam za nieporozumienie.

— W porządku – powiedziała Ceri, schylając się i podnosząc koszulę. Gdy się ubrała, Jan poprosiła: – Proszę cię, zostań i porozmawiaj ze mną przez chwilę. Oczywiście, jeśli tego chcesz, jako moja przyjaciółka, a nie dlatego, że musisz. Ceri spojrzała na nią badawczo i uśmiechnęła się.

— Chętnie zostanę tu z tobą przez chwilę jako twoja przyjaciółka. – Usiadła na łóżku obok Jan. Jan spytała: – Jak długo przebywasz na pokładzie sterowca Władcy Panglotha, Ceri?

— Trzy lata. Przedtem żyłam w morzu. W środowisku morskim. Czy wiesz, co to jest?

— Tak, wiem. Niewolnik, który, hm, no tak, zaprzyjaźnił się ze mną, również żył w morzu. Mówił, że było to jakby pływające miasto. – Nagle coś jej przyszło do głowy. – Może żyliście tam razem? Czy znasz mężczyznę imieniem Milo?

Na dźwięk tego imienia twarz Ceri spochmurniała.

— Milo? To ten mężczyzna, który się z tobą zaprzyjaźnił?

— Tak. Znasz go więc? Jest dziwny, lecz ocalił mi życie. Kilka razy, jak podejrzewam.

— Znam Mila bardzo dobrze – powiedziała Ceri z lekką niechęcią – i nie lubię go. To przez niego nasza społeczność została zniszczona. Przekonał w końcu radę, że warunki w oceanie się pogorszyły, lecz na pewno przetrwalibyśmy jeszcze kilka następnych lat. Nie pytaj mnie, jaka była jego motywacja, lecz od kiedy się pojawił na naszym statku, wciąż tłumaczył ludziom, że musimy się zbliżyć do kontynentu.

Jan zdziwiła się.

— Od kiedy się pojawił? Powiedział mi, że urodził się w waszym pływającym mieście.

— Tak ci powiedział? – Ceri potrząsnęła głową. – Nie. Pojawił się jakieś dziesięć lat przed zatopieniem nas przez Władcę Panglotha. Przebywał w dziwacznym, pływającym urządzeniu, zabezpieczonym i wyjątkowo odpornym na wpływy zewnętrzne. Znajdowały się z nim jeszcze trzy martwe już od tygodni ciała. Milo zapadł w głęboką śpiączkę i prawdopodobnie też by zmarł, gdyby nie odzyskał nagle świadomości.

Jan zamyśliła się.

— Ciekawe, dlaczego mnie oszukał? Nie rozumiem...

— Mila trudno było zrozumieć, zapewniam cię – powiedziała Ceri.

— I nikt go specjalnie nie lubił, lecz chętnie przyjęto go do naszej społeczności, gdyż wiedział dużo, szczególnie o maszynach i elektronice. Gdyby tylko nie doprowadził nas do zagłady... Straciłam wszystko. Rodziców... Męża...

— Mamy więc wiele wspólnego – rzekła Jan łagodnie. Miała ochotę pogłodzić Ceri, lecz uznała, że lepiej tego nie robić. Powróciła myślami do Mila. – Powiedział mi wiele różnych rzeczy. Zastanawiam się, ile w tym było kłamstwa.

— Jakich rzeczy?

— Ach, o przeszłości. O dawnej historii: o czasach przed Wojnami Genetycznymi i tak dalej. Mówił, że dowiedział się tego, korzystając z urządzeń, w których zgromadzona jest wiedza historyczna.

Ceri potrząsnęła głową.

— Kolejne kłamstwo. W naszej bibliotece mieliśmy tylko kilka podręczników technicznych i powieści nagranych na taśmie oraz kilka holograficznych filmów fantastycznych. Nie było żadnych

materiałów historycznych.

Jan chciała spytać, co oznaczają terminy „powieść” i „holograficzne filmy fantastyczne”, gdy nagle przyszła jej do głowy straszna myśl.

— Powiedział mi coś jeszcze... chcę wiedzieć, czy mówił prawdę. Ceri spojrzała na nią z uwagą.

— Co się stało? Jesteś blada.

— Milo powiedział mi, że moje miasto było jedynie częścią Minervy – rzekła Jan niespokojnie. – Mówił, że istnieją inne jego części, o których nie wiem... miasta takie jak moje. Czy to prawda?

Spoglądała na Ceri błagalnie. Ceri opuściła głowę.

— Przykro mi, Jan – powiedziała cicho. – Nie słyszałam o tym, by przetrwały jakieś inne części Minervy. Twoje miasto istniało jako jedyne.

Jan zaczerpnęła powietrza i wybuchła płaczem. Dygotała. Wieść o tym, że Minerva istnieje w innej formie, miała dla niej zasadnicze znaczenie. Dodawała jej chęci do życia, gdyż wiedziała, że gdzieś przetrwał duch Minervy, podtrzymywany przez innych. Lecz teraz... Znowu musiała sobie uświadomić przykry fakt, iż jest ostatnią żyjącą kobietą minerviańską. Ciało jej drżało od płaczu. Nie mogła tego znieść. Nagle poczuła, że Ceri trzymają w ramionach, lekko kołysząc.

— Hej, Jan, nie martw się – mówiła. – Wszystko będzie dobrze. Boże, ty jesteś jeszcze takim dzieckiem, prawda?

Jan przyłgnęła do niej rozpaczliwie. Po chwili łzy przestały jej płynąć, lecz wciąż przytulała się do Ceri. W końcu Ceri powiedziała: – Chodź Jan. Czas spać.

Niechętnie zgodziła się na jej odejście. Nie chciała zostać sama, lecz nie mogła niczego więcej wymagać od Ceri. Patrzyła jak

tamta zdejmuje z łóżka narzutę i delikatnie wsuwa ją pod kołdrę. Ku jej zdziwieniu, Ceri położyła się obok niej.

— Dlaczego...? – zaczęła, lecz Ceri dotknęła palcami jej ust i powiedziała: – Cicho. Robię teraz to, na co mam ochotę. Jako przyjaciółka. W porządku?

Jan uśmiechnęła się.

— W porządku.

— Dość rozmów – powiedziała Ceri, biorąc ją w ramiona.

Milo stał przy balustradzie, obserwując tereny dotknięte zarazą, nad którymi przelatywał sterowiec. Obejrzał się, gdy Jan wyszła na wąski otwarty pokład obserwacyjny, gdzie umówili się na spotkanie. Uśmiechnął się i obejrzał ją od stóp do głów.

— Ładnie ci w tym fantazyjnym stroju – powiedział ze zdziwieniem.

— To była najskromniejsza rzecz, jaką znalazłam – odrzekła chłodno. Ubrana była w prostą sukienkę w kolorach szarym i czarnym i pomimo protestów Mary Anne nie miała nic pod nią. Nie mogła znieść tej uciskającej bielizny i postanowiła wkładać ją tylko wyjątkowo.

Milo obejrzał jej głęboki dekolt z wyraźnym zainteresowaniem.

— Wyglądasz świetnie. Ledwo mogę dostrzec bliznę. Jan zasłoniła pierś rękami.

— Jak ci poszło ostatniego wieczoru? Odniosłaś sukces? Czy spotkałaś Władcę Panglotha? – spytał z ciekawością.

— Milo, nasza umowa się skończyła. Nie wiem, czego chcesz, lecz nie zamierzam ci pomóc w osiągnięciu tego. Nie chcę cię więcej widzieć. Nie chcę więcej z tobą rozmawiać. Przyszłam tu dziś tylko z jednego względu: by ci to powiedzieć.

Wyglądał na zaskoczonego.

— Co ci jest? Co się stało ostatniego wieczoru?

— Dowiedziałam się, że mnie oszukiwałeś. Nie istnieją żadne inne „zagubione” części Minervy. Moja Minerva była jedyną, jaka przetrwała. A teraz przepadła. Wszystko, co mi mówiłeś, jest kłamstwem.

Milo wzruszył ramionami.

— Zdawało mi się, że to najlepsze, co mogłem dla ciebie wtedy zrobić.

— Dlaczego mianowicie? – spytała zdziwiona.

— Byłaś w bardzo złym stanie emocjonalnym. Bliska utraty chęci do życia. Potrzebowałaś czegoś, co by cię podtrzymało, dało ci nadzieję – to wszystko. Zastosowałem coś, co można nazwać kłamstwem terapeutycznym. I musisz przyznać, że poskutkowało.

Jan zacisnęła pięści. Chciała go uderzyć w tę arogancką, pewną siebie twarz.

— Ty draniu, nie wiesz, co mi zrobiłeś?!

— Zrobiłem to, co uważałem za najlepsze. I wciąż myślę, że tak należało uczynić. No, dość tych głupstw. Wróćmy do naszej umowy. Powiedziałem ci, z czym się to wiąże. Jeśli wygrani, oboje będziemy wolni, a *Władca Pangloth* znajdzie się w naszej mocy.

Zaśmiała się gorzko.

— Czy sądzisz, że zamierzam jeszcze wierzyć w to, co mi masz do powiedzenia? Bogini Matko, to były pewnie same kłamstwa. To wszystko, co dotyczyło przeszłości... twojej przeszłości.

Potrząsnął głową.

— Nie, przysięgam, że nie.

— Tak. Ceri powiedziała mi coś zupełnie innego. Otworzył szeroko oczy.

— Ceri?

— Powinieneś ją pamiętać. Żyliście w tym samym pływającym mieście. Ona oczywiście cię pamięta. Nie przepada za tobą.

— Tak, pamiętam ją – powiedział powoli. – Rozmawiałaś z nią, tak?

— Stałyśmy się bardzo bliskimi przyjaciółkami. Opowiedziała mi, że znaleziono cię w pływającym urządzeniu wraz z trzema trupami jakieś dziesięć lat przed pojmaniem was przez Władcę Panglotha. To trochę inna historia od tej, którą mi opowiadałeś.

Westchnął.

— W porządku, przyznaję, że cię okłamałem, ale zrobiłem to tylko dlatego, że nie uwierzyłyabyś, gdybym ci powiedział prawdę.

— A jaka jest ta prawda? – spytała sceptycznie.

— To urządzenie było pomieszczeniem awaryjnym, dzięki któremu można przeżyć.

Pochodziło ze statku kosmicznego, który się rozbił i wpadł do morza.

— Statku kosmicznego?

— Statku, zdolnego do podróży w przestrzeni. Z jednej planety na drugą. Ten statek pochodził z planety Mars.

— Mars? – spytała z niedowierzaniem. Wskazał w górę.

— Mars. Słyszałaś o planecie Mars?

— Tak, oczywiście. Czy chcesz powiedzieć...?

— Tak. Pochodzę z Marsa.

CZEŚĆ DRUGA

PACHNĄCY WIETRZYK

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jan pochyliła się nad księciem Casparem i delikatnie połaskotała jego nagą pierś kosmykiem swoich długich teraz włosów.

— Hej, mój panie i władco, czas wstawać!

Caspar odsunął ją od siebie, wciąż nie otwierając oczu.

— Dlaczego mam wstawać? Jest zbyt wcześnie – jęknął.

— Zapomniałeś? Dziś jest kolejny dzień twojej służby w pomieszczeniu kontrolnym. Za parę godzin zjawimy się w Bandali.

— Do diabła – wymamrotał. – Nie obchodzi mnie to. Jakie to ma znaczenie, czy przyjdę, czy nie? Obowiązki pełni tam Gorman.

To prawda – pomyślała Jan, choć zdziwiło ją, że Caspar tak otwarcie to przyznawał. Lecz nie wierzyła zbyttnio w to, co mówił. Jego skromne słowa miały wywołać zamierzony efekt.

— Nonsens, mój panie – powiedziała, gładząc jego pierś. – Jesteś niezastąpiony w pomieszczeniu kontrolnym i wiesz o tym. Gorman i inni inżynierowie to zdolne ręce, kierowane przez twój szlachetny umysł.

Otworzył oczy. Jan zawsze chętnie spoglądała w jego oczy.

— Pochlebcy – powiedział, lecz nie brzmiało to nieprzyjemnie. Pochlebstwa zawsze skutkują, jak powiedział jej kiedyś Milo.

Nie można się im oprzeć, nawet jeśli rozum wie, co się pod nimi kryje. Jan pocałowała go w usta.

— Mówię prawdę i ty wiesz o tym, mój panie. Caspar w odpowiedzi chwycił ją w ramiona i przycisnął do siebie. Tarzali

się na łóżku, aż znalazła się pod nim.

— Znów...? – wyszeptała.

— To twoja wina – powiedział chrapliwie, wchodząc w nią. – To ten twój zapach amazoński... bardzo mnie to podnieca.

Gdy skończyli się kochać, Caspar położył się na wznak i chwilę leżał w milczeniu po czym zapytał: — Pójdiesz ze mną do pomieszczenia kontrolnego?

— Oczywiście, mój panie.

— Lubisz odwiedzać pomieszczenia kontrolne, prawda? – Otworzył oczy i spojrzał na nią. Jan natychmiast stała się czujna.

— Tak, panie. Mówiłam ci, że mnie to bardzo interesuje.

— Kobiety nie interesują się takimi rzeczami, mechanizmami i tak dalej. Co jest więc prawdziwą przyczyną twojego zainteresowania?

Wpadła w lekką panikę. Czy w jakiś sposób odkrył prawdę? Czy jej zachowanie wzbudziło podejrzenia? Próbując opanować drżenie głosu, rzekła: — A jak sądzisz, panie, jaka jest prawdziwa przyczyna? Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— Masz romans z jednym z inżynierów. Są potężnymi, muskularnymi mężczyznami, takimi, jacy zapewne mogą się podobać amazonce. Powiedz, który z nich jest tym twoim? Gorman?

Odetchnęła, lecz nie uspokoiła się całkowicie.

— Istnieje dla mnie tylko jeden mężczyzna, panie, i ty nim jesteś. Przysięgam. Ty wypełniasz całe moje życie.

Caspar spojrzał na nią badawczo i skinął głową. Wierzył jej, lecz wciąż go intrygowała.

— Skoro tak, to co cię interesuje w tym ponurym miejscu?

— Powiedziałam ci, mój panie, że takie rzeczy mnie interesują. Jestem amazonką, pamiętaj, panie, inną niż zwykle kobiety.

Jego twarz wy pogodziła się. Zaakceptował to wyjaśnienie. Idiota, pomyślała. Podparł się łokciem i uśmiechnął do niej.

— Przystaję z tobą dlatego, że nie jesteś typową kobietą. Przebywam już bardzo długo wyłącznie w twoim towarzystwie – powiedział.

Jan wiedziała, że to prawda. Zgodnie z tym, co mówił Milo, stanowiła nowość dla Arystów. Ale jak długo będzie trwała taka sytuacja? Już od prawie sześciu miesięcy przebywała z księciem Casparem i jego matką i wiedziała, że mimo jej „amazońskiej” inności Caspar prędzej czy później się nią znuży. Lady Jane już zresztą zdradzała oznaki znudzenia. Co prawda, jak dotąd, nieznaczące.

Już pierwszego wieczoru, gdy jadła obiad z księciem Casparem i lady Jane w ich prywatnych apartamentach, Jan uświadomiła sobie, że zarówno syn, jak i matka, interesują się nią jako obiektem seksualnym, lecz podczas gdy Caspar był pod tym względem całkowicie otwarty, lady Jane zachowywała się subtelniej. Jan prawidłowo wywnioskowała, że żaden kontakt z matką nie uchroni jej przed związką z synem. Gdy powiedziała o tym Milowi, ten spokojnie zaproponował, by spała z obojgiem.

— Wykorzystaj tę sytuację najlepiej, jak możesz. Z tego, co mówisz, lady Jane ma duży wpływ na syna. Jest dla nas równie cenna, jak książę.

— Proponujesz mi, bym się sprostytuowała dla twoich celów – powiedziała gorzko.

— Nie. Cokolwiek zrobisz, będzie również z pożytkiem dla ciebie. Powiedziałem ci, jaka będzie nagroda, jeśli uda mi się zrealizować swój cel.

— Żebyś tylko mówił prawdę.

— Nie masz innego wyboru, jak tylko mi wierzyć, Jan. Jestem twoją jedyną nadzieją.

— Słyszałam już to poprzednio – powiedziała pogardliwie. Lecz musiała w głębi ducha przyznać, że miał rację. Wszystkie jej nadzieje rozwiewały się jedna po drugiej. Pomimo wielu „zabaw” z klawiaturą urządzenia, o którym inżynierowie mawiali, iż jest bezużytecznym reliktem, a które Milo uważał za klucz całego swego systemu, Jan nie robiła postępów, jakich oczekiwał. Przeszkadzało jej również to, że Milo nie wtajemniczył jej w zasady tego systemu.

— Lepiej, żebyś o tym nie wiedziała, mała amazonko. Dla twego własnego bezpieczeństwa. Mogłabyś coś niechcący wypaplać podczas łóżkowych rozmów z Jego Księżęcą Wysokością.

Protestowała, lecz daremnie. Nie powiedział jej nic więcej.

Księżę Caspar wstał z łóżka, przeciągnął się, po czym z zadowoleniem przyjrzał się odbiciu swego nagiego ciała w wielkim lustrze. Jan też się Caspar podobał – miał piękne ciało. Gdyby tylko – dumiała – nie był tak beznadziejny w łóżku. Gdyby tylko miał choć trochę wprawy w uprawianiu seksu, wprawy, jaką miała jego matka. Lecz lady Jane była przecież o wiele starsza – miała ponad sto lat, jak sama przyznała – i wobec tego dużo bardziej doświadczona. Caspar poszedł do łazienki. Jan miała nadzieję, że może będzie to jeden z tych rzadkich dni, kiedy Caspar się wykąpie, lecz wiedziała, że to mało prawdopodobne. W części zamieszkannej przez Arystów nie było problemów z wodą. Rzadko korzystali z kąpeli, woleli bowiem spryskiwać siebie i swą odzież słodko pachnącymi perfumami.

Jan także wstała i spojrzała na swe odbicie w lustrze. W przeciwieństwie do Caspara nie czuła się zadowolona ze swego

ciała. Robię się okrągła – pomyślała. Nie, już jestem okrągła. Nie gruba, ale okrągła. Mięśnie znacznie zwiotczały, a skóra na brzuchu, ramionach i nogach bardzo się wygładziła. I straciła jędrność. Nic dziwnego, że lady Jane przestaje się nią interesować. Owa dziko, nawet nieprzystępnie wyglądająca „amazonka”, która dla rozpasanej lady Jane stanowiła znaczną atrakcję seksualną, praktycznie rzecz biorąc znikła. Gdy Jan wreszcie się dowiedziała, co znaczy słowo „amazonka” – powiedziała jej to Ceri – była nieco rozbawiona, ale nie obrażona. Nie przeszkadzało jej to, że mieszkanki Minervy są przyrównywane do mitycznego plemienia dzikich wojowniczek, nawet jeśli to porównanie było nieco ironiczne.

Caspar wyszedł z łazienki w swej ulubionej szacie z czarnego futra, które jednak było źle wyprawione i jego ostry zapach zagłuszał woń perfum.

— Wychodzę do pomieszczenia kontrolnego zaraz po śniadaniu. Bądź gotowa, jeśli chcesz pójść ze mną.

— Będę, mój panie – powiedziała i zdjęła swą szatę z wezłowania łóżka. Gdy się ubierała, Caspar wyszedł, by się spotkać z Dalwynem, swym osobistym służącym i strażnikiem, który pełnił całonocną służbę przy drzwiach ich sypialni. Dalwyn był wysokim przystojnym mężczyzną, całkowicie oddanym księciu Casparowi. Dał Jan wyraźnie do zrozumienia, że nie podoba mu się jej związek z księciem, i choć starała się zachowywać wobec niego uprzejmie, on odnosił się do niej z wyraźną wrogością. Tego ranka było tak samo. Na jej uśmiech i przyjacielskie pozdrowienie odpowiedział tylko niemiłym spojrzeniem. Książę Caspar jak zwykle udał, że tego nie widzi.

Westchnęła, gdy drzwi się za nimi zamknęły i spojrzała na ścienny zegar. Pozostała jeszcze godzina, podczas której Caspar

zje śniadanie z lady Jane, więc nie musi się śpieszyć. Usiadła na łóżku i nacisnęła guzik na stoliczku. Ceri pojawiła się prawie natychmiast. Przekonanie księcia Caspara, by uczynił z Ceri jej osobistą służącą, było najbardziej pozytywnym osiągnięciem od czasu, gdy została kochanką księcia. Ani Mary Anne, ani księżę Magid nie wydawali się z tego zadowoleni, lecz musieli się podporządkować woli Caspara.

Jan posadziła Ceri na fotelu w sypialni i powiedziała: — Jestem zmęczona.

— Kolejny raz się udało? – spytała Ceri oschle.

— Myślę, że z trudem można tak to określić – rzekła Jan. – Bogini Matko, on ma wyjątkową wytrzymałość seksualną. Szkoda, że jest taki kiepski w łóżku. Ceri przyglądała się jej przez chwilę, po czym powiedziała nieśmiało: — Czy mogę ci zadać jedno pytanie, dotyczące twoich spraw osobistych?

— Powinnaś wiedzieć, że możesz mnie pytać o wszystko, co cię interesuje – powiedziała Jan z uśmiechem. – Co chcesz wiedzieć?

— Jak... jak się czujesz, współżycąc z księciem? – spytała Ceri poważnie.

— Jak się czuję? – Jan podniosła brwi. – Chodzi ci o to, czy odczuwam satysfakcję?

— Tak... o to. Wzruszyła ramionami.

— Tak, daje mi to trochę rozkoszy, pomimo jego nieudolności. – Jan uśmiechnęła się szelmowsko. – Chcesz wiedzieć w jaki sposób ja, wychowana w Minervie, mogę znieść współżycie z mężczyzną, prawda? Mówiłam ci wcześniej, że kobiety w Minervie nie sypiały wyłącznie z innymi kobietami. Często młodsze kobiety, takie jak ja, zachęcano do eksperymentów z mężczyznami. Robiono to po to, by znały to uczucie, gdy nadejdzie czas rozrodu.

Ceri zmarszczyła brwi.

— Tak, lecz na ogół wolisz sypiać z kobietami, nieprawdaż? Sądzę, że więcej satysfakcji może ci dać lady Jane...

— Tak, to prawda. Ale to dlatego, że ma o wiele większe doświadczenie w sprawach seksu niż Caspar, a nie dlatego, że jest kobietą. Prawdę mówiąc, nie doznaję żadnej emocjonalnej satysfakcji w kontakcie z którymkolwiek z nich. Tak, oboje wydają mi się atrakcyjni, niezależnie od tego, kim są i jaką spełniają funkcję. Współżyję z nimi, lecz ich nie kocham. Kochani ciebie, Ceri.

Ceri skrzywiła się.

— Myślałam, że nie będziemy więcej o tym rozmawiać.

— To ty poruszyłaś temat moich upodobań seksualnych, nie ja – powiedziała Jan. Od czasu owej nocy po prezentacji na dworze Ceri nie spała z Jan. Wyjaśniła, że ich seks miał charakter jednorazowy. Był specjalnym aktem przyjaźni, lecz Ceri wolała nie sypiać z kobietami, jeśli miała możliwość wyboru. Pozwalała Jan na fizyczny kontakt – przytulanie, nawet pocałunki – ale nic więcej. Jan była tym bardzo przygnębiona.

— Szkoda, że nie chcesz zmienić decyzji, Ceri – błagała. – Jeśli ludzie się kochają, to nie ma znaczenia, jakiej są płci. A ja cię naprawdę kocham!

Ceri wyglądała na speszoną.

— Proszę cię, Jan, nie mów tak. Tak naprawdę wcale mnie nie kochasz. Wydaje ci się, gdyż jestem twoją pierwszą prawdziwą przyjaciółką od czasu, gdy przybyłaś na pokład sterowca Władcy Panglotha. Dlatego że jesteś z Minervy, że jesteś młoda. To tylko namiętność, a nie prawdziwa miłość.

— Sądzę, że sama najlepiej orientuję się w moich uczuciach – powiedziała Jan pewnie.

— Nikt się nie zna na swych własnych uczuciach – odrzekła Ceri.

Jan jęknęła.

— Powiedziałaś coś w stylu Mila.

Przywołanie wspomnień związanych z Milem zdenerwowało Ceri.

— Jeśli naprawdę mnie kochasz, mogłabyś wziąć pod uwagę to, co mówiłam o tym facecie...

— Nie zmieniaj tematu – powiedziała Jan szybko.

Wiedziała aż nadto dobrze, co Ceri sądzi o Milu. Pamiętała chwilę, gdy relacjonowała jej opowiadanie Mila. Ceri zdawała się nie wierzyć.

— Powiedział, że jest z Marsa?

— Tak. I było to bardzo przekonywające.

— Czy chcesz powiedzieć, że jest przybyszem z obcej planety?
– Ceri zaśmiała się.

— Nie zdziwiłabym się, gdyby tak było, lecz powiedział przecież, że jest człowiekiem. Mówił, że na Marsie znajduje się kolonia ludzka, założona przed rozpoczęciem Wojen Genetycznych, i tam się urodził.

Ceń skrzywiła się.

— Można opowiadać takie historie o obcej kolonii, jak i o życiu w przestrzeni międzyplanetarnej. Gdyby nie pomoc z Ziemi, cała ta społeczność wymarłaby przed laty.

— Według Mila kolonia na Marsie wciąż się rozwija. Ceri nie dawała się przekonać.

— W jaki sposób Milo i jego towarzysze dostali się na Ziemię i dlaczego?

— Znajdowali się na statku kosmicznym, który spadł do morza. Dlaczego tak się stało, Milo mi nie powiedział.

Ceri potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

— Dlaczego więc nie powiedział nam o całej tej historii z Marsem? Dlaczego skłamał, że pochodzi z innego statku morskiego?

— Powiedział, że miał swoje powody.

— Pewnie, każdy ma swoje powody. Jan, naprawdę nie wiem, dlaczego jesteś taka łatwowierna! Wiesz przecież, ile razy cię okłamał w przeszłości. A teraz chcesz mu znów zaufać, biorąc udział w jakimś szalonym, skrajnie niebezpiecznym przedsięwzięciu, związanym z urządzeniami w pomieszczeniu kontrolnym...

Jan powiedziała z bólem: — Nie mam innej możliwości, nie wiesz o tym? Muszę mu jeszcze raz zaufać! Obiecał mi, że dokonamy zemsty na Władcy Pangloth! Nie zaznam spokoju, póki tego nie uczynię!

— Mówiłaś mi jednak, że miałaś okazję zniszczyć *Władcę Panglotha* i nie wykorzystałaś jej. Dlaczego sądzisz, że będziesz w stanie to zrobić, gdy Milo zapewni ci drugą szansę?

Jan potrząsnęła głową.

— Nie mówił o zniszczeniu sterowca, lecz o przejęciu nad nim kontroli.

— Nie powiedział jednak, w jaki sposób to uczyni.

— Nie – przyznała Jan. – Jeszcze nie. Ceri spojrzała na nią z rozpaczą.

— Zaczynam się przychylić do twojej pierwszej opinii o Milu, też myślę, że to czarownik.

Z pewnością stosuje wobec ciebie czary.

Nic nie było w stanie zmienić opinii Ceri na temat Mila. Jan nie potrafiła przekonać przyjaciółki, dlatego musi z nim współpracować.

— Mówmy o nas, nie o Milu – powiedziała.

— Przecież mówimy – rzekła Ceri z przekonaniem. Wstała. – Gdy księżę skończy swoje rytualne śniadanie z ukochaną matką, zechce zastać cię ubraną i gotową do wyjścia. Chodź, przygotuję kąpiel. Gdy będziesz ją brała, przyniosę coś do jedzenia.

Jan spojrzała na nią i westchnęła.

Drzwi windy otwały się i księżę Caspar wszedł do pomieszczenia kontrolnego. Jan podążała kilka kroków za nim. Dwunastu inżynierów wstało na powitanie księcia. Zasalutowali podnosząc w górę zaciśnięte pięści. Księżę usiadł na tronie umieszczonym na wysokim podium. Jan zajęła miejsce obok tronu, dotykając ramieniem księcia, podczas gdy Dalwyn pozostał przy drzwiach windy.

— Przedstawcie stan waszej pracy – powiedział Caspar do inżynierów, którzy natychmiast zajęli się urządzeniami. Gorman, główny inżynier, podszedł do tronu. Był to mały mężczyzna o szyderczej twarzy. Jego szary mundur z czarnymi insygniami Cechu Inżynieryjnego – grotem błyskawicy w kole, na lewej piersi – był jak zwykle czysty i odprasowany. Na szyi miał zawieszoną lornetkę.

— Lecimy zgodnie z rozkładem, panie – powiedział.

— W porządku. Kontynuuj, główny inżynierze – powiedział Caspar głosem, w którym wyczuwało się obojętność. Jan wiedziała, że te obowiązki w pomieszczeniu kontrolnym go nudzą. Wiedziała również, że jak wszyscy Aryści, nie zna zupełnie ani zasad działania sterowca *Władcy Panglotha*, ani sposobu kierowania nim. Bez inżynierów, którzy doskonale zdawali sobie sprawę, jacy są niezastąpieni, Aryści nie mieliby szans. Gorman skłonił się przed Casparem.

— Tak jest, Wasza Wysokość.

Jego oczy spotkały się na krótko z oczami Jan. Znowu poczuła, że on ma moc czytania jej myśli i że zna każdą jej tajemnicę. Spostrzegła, że obserwuje ją ukradkiem, gdy „bawi się” urządzeniem, które najbardziej interesowało Mila. Amazonce zdawało się, że uspiła jego podejrzliwość, mówiąc, że podobają się jej „ładne kolory”, pojawiające się na monitorze po wciśnięciu różnych przycisków.

Gorman wrócił zaraz do swego zwykłego stanowiska umieszczonego za dwoma fotelami pilotów. Pomieszczenie kontrolne było szklaną komorą przyczepioną do korpusu w dolnej części dziobu statku. Tylko trasa czyścicieli szkła i elementy sprzętu częściowo zakłócały pole widzenia. Jan potrafiła już teraz rozpoznać, które urządzenia w pomieszczeniu kontrolnym pochodzą z okresu budowy sterowca, a które zostały dodane lub przerobione przez kolejne pokolenia inżynierów. Łatwo też się zorientowała, że im nowsze zmiany, tym bardziej są prymitywne w porównaniu z oryginalnym sprzętem i wyposażeniem.

Mila zafascynowały opisy stanu urządzeń w pomieszczeniu kontrolnym, które przekazała mu Jan po kilku pierwszych wizytach.

— Wygląda na to – mówił – że kolejne przeróbki szły w kierunku stopniowego przejmowania większości funkcji centralnego komputera przez ludzi. Komputer z pewnością wciąż jednak ma wpływ na funkcjonowanie sterowca Władcy Panglotha. Niemożliwe, by człowiek bez udziału komputera mógł kierować czymś tak wielkim jak to. Samo utrzymanie sprawności statku wymagałoby wspólnego działania dziesięciu pilotów. Komputer widocznie wciąż obsługuje śmigła, reguluje temperaturę gazu w poszczególnych komorach, kontroluje

stabilizatory i urządzenia nośne...

— Zbliżamy się do Bandali – oznajmił Gorman. – Będziemy tam dokładnie za pięć minut.

Jan spojrzała w dół poprzez zakrzywioną, przezroczystą ścianę. Sterowiec przesunął się nad pofałdowanym, pagórkowatym terenem. Część stoków była zalesiona, lecz nawet z tej wysokości można było dostrzec skutki zarazy, która dotknęła te ziemie. Jak się Jan dowiedziała, rozwojowi zarazy szczególnie sprzyja nizinne położenie i wysoka temperatura.

Bandala stanowiła pozostałość kraju zamieszkiwanego przez Murzynów. Podobnie jak Minerva skurczyła się do niewielkiej części swego poprzedniego obszaru, lecz w przeciwieństwie do Minervy nie produkowano tam zboża i innej żywności, lecz metal i drewno. W obrębie skurczonych granic Bandali znajdowała się kopalnia rudy żelaza oraz huty, odlewnie i kilka małych fabryk, produkujących wyroby metalowe i drewniane.

Jan z obserwowała zbliżającą się rozległą dolinę z licznymi budynkami. Bandala była o wiele większa niż Minerva, zarówno pod względem obszaru, jak i zabudowań. Nad częścią budynków wznosiły się długie kominy, z których wydobywał się dym. Podobnie jak w Minervie, całą przestrzeń wypełniono ogrodami warzywnymi. Jan wiedziała, iż jednym z punktów umowy pomiędzy Bandalą a Władcą Panglothem było zaopatrywanie przez Władców Niebios mieszkańców Bandali w zboże. Przed wiekami utracili oni swe obszary rolnicze. Jan wiedziała również, że mieszkańcy Bandali są niezadowoleni ze skromnych ilości zboża dostarczonych przez Władcę Niebios podczas ostatniej wizyty. Wojownicy Niebios oznajmili im, że był to ich zapas. Mówili prawdę. Minerva nie była wprawdzie jedyną społecznością produkującą żywność, padła jednak ofiarą Władcy

Panglotha. Dwie inne zostały w ostatnim roku zniszczone całkowicie przez zarazę i w rezultacie zapasy zboża, jakimi dysponował Władca Niebios, drastycznie się zmniejszyły.

— Za pozwoleniem, Wasza Wysokość. Zatrzymam statek i obniżę go tak, byśmy się mogli z nimi porozumieć – powiedział Gorman.

Caspar skinął głową i Gorman wydał lakoniczną komendę dwóm pilotom, którzy pociągnęli do tyłu cztery potężne dźwignie. Jan poczuła lekkie drżenie podłogi i usłyszała huk śmigieł, gdy włączono bieg wsteczny, by zatrzymać milowej długości sterowiec nad doliną. Kilka śmigieł, jak wiedziała, będzie wciąż pracowało, by utrzymać tę pozycję niezależnie od siły wiatru.

Kolejne suche komendy Gormana, kolejne manipulowanie dźwigniami przez pilotów. Następne drżenie przebiegło podłogę, gdy sterowiec Władcy Panglotha zaczął się obniżać. Opuścił się o jakieś tysiąc stóp i Gorman wydał rozkaz zatrzymania. Inny inżynier przycisnął włącznik na konsolecie i znów zabrzmiał głos Władcy Panglotha.

Jan wiedziała teraz, że nie jest to głos ostatniego Władcy Panglotha, lecz jakiegoś dawno zmarłego mężczyzny. Głos ten został wybrany ze względu na wyjątkowo niski tembr. Słowa, wymówione przed laty, zostały wprowadzone do maszyny.

— Wyobraź sobie, że ta maszyna jest rodzajem echa – mówił Milo, próbując wyjaśnić Jan działanie tego urządzenia. Niezależnie od tego, w jaki sposób funkcjonowało, było już bardzo zużyte. Głosowi Władcy Panglotha towarzyszyły głośne syki i trzaski.

Przemowa skończyła się. Dym uniósł się z pustego placu. Sygnał zgody. Sterowiec zaczął się obniżać. Wtem Jan zauważyła,

że Gorman mówi coś do swego zastępcy. Wskazywał na dół. Jan wyjrzała, lecz nie dostrzegła nic niezwykłego. Zdziwiona spojrzała na Caspara, ale ten zajęty był polerowaniem pierścienia z rubinem.

— Wasza Wysokość – zwrócił się Gorman do księcia. – Coś jest nie w porządku.

— Co mianowicie? – spytał Caspar bez zainteresowania.

— Spójrz, panie – powiedział Gorman, wskazując ręką – na te trzy duże budowle. – Jestem pewien, że nie było tu ich podczas naszej ostatniej wizyty.

— Chodzi ci o te cysterny na wodę? Zawsze tu były – rzekł Caspar.

— Poprzednio były dwie. Teraz jest ich aż pięć – powiedział Gorman. – A te trzy nowe są dużo większe niż pozostałe. Ilość wody, jaką mogą zmieścić te dodatkowe cysterny, zdecydowanie przekracza potrzeby populacji Bandalan.

Obiektem zainteresowania Gormana były, jak zobaczyła Jan, wielkie drewniane budowle w kształcie cylindrów. Postawiono je na zboczach okalających dolinę.

Caspar przyjrzał się im z dezaprobatą i rzekł zirytowany: – Ależ Gorman! Czyżby te glisty ziemskie zbudowały wieże kanalizacyjne, których nie potrzebują? Dlaczego mamy się przejmować takimi przejawami ich głupoty?

— Nie wiem, panie – przyznał Gorman – lecz po doświadczeniu z Minervą przypuszczam, że te, hm, niezwykle czasy wymagają podejmowania decyzji z nadzwyczajną rozwagą. – Gorman spojrział z kolei na Jan. – Myślę, że powinniśmy powrócić na bezpieczną wysokość, póki się nie upewnimy.

Caspar wydawał się wciąż zajęty swoimi rubinowymi pierścieniami. Nie znosił podejmowania decyzji. Nie lubił też

przebywać w pomieszczeniu kontrolnym dłużej, niż to było konieczne. Lecz nierozsądnie byłoby zlekceważyć rady Gormana.

— Ależ tak, bardzo dobrze, Gorman – powiedział rozdrażniony. – Rób co chcesz. Lecz jeśli to opóźnienie okaże się całkowitą stratą czasu, będę bardzo niezadowolony.

— Dzięki, panie – rzekł Gorman beztrąsko. Odwrócił się i wydał rozkaz pilotom. Szum śmigieł wzmógł się; sterowiec zniżał się wolniej. Jan dostrzegła, że wierzchołki okolicznych pagórków są teraz na poziomie pomieszczenia kontrolnego.

— Wznośmy się, szybko! – rozkazał Gorman.

Było już jednak za późno. Trzy nowe „cysterny na wodę” otwarły się jak wielkie drewniane kwiaty. Nie zawierały wody, lecz coś całkiem innego.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

— Wszystkie jednostki na pole bitwy! – krzyknął Gorman do mikrofonu, połączonego z głośnikami rozmieszczonymi we wszystkich częściach sterowca. – Zaatakowano nas!

— Co to jest? – spytał książę, przyglądając się uporczywie trzem olbrzymim, wznoszącym się obiektom.

— Balony – powiedział Gorman – balony z gorącym powietrzem. I to, niestety, duże.

Dwa balony skierowały się ku lewej stronie pojazdu Władcy Panglotha, a trzeci ku prawej. „Cysterny na wodę”, jak teraz się okazało, były cienkimi konstrukcjami, skrywającymi olbrzymie balony, które, jak oszacowała Jan, miały od szczytu do podstawy jakieś osiemdziesiąt stóp. Balony zrównały się z poziomem dolnej części kadłuba sterowca i można było wyraźnie dostrzec zwisające pod każdym duże drewniane klatki, pełne ludzi, lin, pudeł i przedmiotów, które prawdopodobnie były bronią. Na środku każdej klatki stał wielki piec, do którego mężczyźni pośpiesznie wrzucali kawałki węgla i drewna. Kominy pieców łączyły się z balonami w ich dolnej części.

— Zestrzelcie ich! – krzyczał książę. – Wystrzelcie do nich z armaty! Nie mają prawa unosić się w powietrzu! Złamali pierwszą zasadę Władców Niebios! – Wstał silnie zaczerwieniony.

— Poruszają się zbyt szybko, by można ich było zestrzelić – powiedział Gorman.

Była to prawda. Trzy balony wznosiły się o wiele szybciej niż sterowiec Władcy Panglotha i wkrótce mogły zniknąć z pola widzenia pomieszczenia kontrolnego. Gorman wrzasnął do

mikrofonu: — Wszystkie jednostki zbrojne, ognia!

Jan usłyszała nagle odgłos wystrzału. Ujrzała, jak mężczyzna w jednej z drewnianych klatek upadł na wznak. Pozostali pochowali się, jak mogli. Jan dostrzegła kłęby dymu z jednej strony klatki. Mieszkańcy Bandali wystrzelili, lecz odpowiedzieli im strumieniem światła. Automatyczny system obrony *Władcy Panglotha* – lasery – miał zdolność niszczenia przedmiotów nawet tak małych jak pociski.

— Czy nie możemy wznosić się szybciej? – krzyknął książę.

— Nie, panie – odpowiedział Gorman. – Śmigła pracują pełną mocą. Podnosimy temperaturę gazu w komorach, co wytworzy dodatkowy ciąg, lecz to zadziała dopiero za jakiś czas.

Trzy balony zniknęły z pola widzenia. Wciąż słychać było strzały.

— Co te robaki ziemskie zamierzają uczynić? – spytał książę.

— Jeszcze nie wiem – przyznał Gorman.

Jan nie widziała go dotychczas w takim stanie. Uświadomiła sobie, że jest teraz bezradny, że nie wie, co się dzieje na zewnątrz. Konstrukcja sterowca umożliwiała reakcję na zagrożenie z ziemi. Gorman i jego ekipa nie byli przygotowani do walki z zagrożeniem pochodzącym z góry. Nie pomagał też system głośników. Gorman mógł wydawać rozkazy innym osobom znajdującym się na statku, lecz komunikacja działała tylko w jedną stronę. Stara instalacja była uszkodzona i jedynym sposobem przekazywania informacji do pomieszczenia kontrolnego było jego osobiste doręczenie. A dotychczas nie pojawił się nikt, więc mieszkańcom Bandali udało się widocznie zrealizować swój zamiar.

— Panie, zarządzę „cała naprzód”. Zbyt niebezpieczne jest pozostawanie na tym terenie – powiedział Gorman do księcia.

— Co takiego? – Caspar wyglądał na zdziwionego. – Chcesz uciekać? Nie, nic z tego, Gorman. *Władca Pangloth* nigdy nie będzie zmykać przed gromadą ziemskich glist...

— Potraktujmy to jako czasowy odwrót, panie – rzekł Gorman oficjalnym tonem. – Wrócimy, gdy osiągniemy bezpieczną wysokość, i odpowiednio ukarzymy Bandalan.

— Nie – powiedział Caspar z wściekłością. – Władca Niebios nigdy...

Jego słowa zagłuszył nagły wybuch. Dały się słyszeć krzyki kilku inżynierów, pokład zaczął się chwiać w przód i w tył. Wtem Jan ujrzała jakieś szczątki spadające z nieba z prawą stronę sterowca. Kawałki zwęglonego lub płonącego drewna... kawałki liny... czarne przedmioty, w których rozpoznała fragmenty ciał. Ukazał się lecący wolniej, płonący, skręcony baldachim jednego z balonów. Porwany balon spadał jak wielki kawał płonącej szmaty.

Inżynierowie wyraźnie się ucieszyli. Księżę spojrzał na Gormana z triumfem.

— Widzisz, Gorman! Tyle tylko zostało z glist ziemskich! Mówiłeś, że nasze armaty nie zdołają w nie trafić, lecz trafiły!

Gorman wciąż obserwował spadający balon z zawziętością na twarzy. Powiedział: – Panie, nasze pociski nie spowodowałyby takiego wybuchu. Jedynym wytłumaczeniem może być tylko to, że Bandalanie mają własne środki wybuchowe. A to oznacza, że pozostałe dwa balony są podobnie wyposażone. Powtarzam, panie, musimy natychmiast opuścić ten teren.

Wyraz triumfu zniknął z twarzy księcia Caspara.

— Czy sądzisz, że Bandalanie mogą nam zagrozić?

— Tak, panie. Pozwól mi wydać komendę „cała naprzód”.

— Bardzo dobrze, Gorman, lecz będziesz za to

odpowiedzialny.

— Cała naprzód! – krzyknął Gorman do pilotów.

Pociągnęli za dźwignie. Za chwilę pokład zaczął się chwiać, tym razem jednak tak gwałtownie, że paru inżynierów straciło równowagę. Jan również by upadła, gdyby nie przytrzymała się oparcia tronu. Caspar nie miał szczęścia i zleciał z podium, lądując na czworakach obok Gormana. Gorman właśnie pomagał mu wstać, gdy jeden z inżynierów krzyknął: – Panie, tracimy wysokość! Instrumenty wskazują uszkodzenie w komorze numer siedem! Księżę zbladł, chwycił Gormana za ramię i krzyknął: – Boże, stracą nas! Zapalimy się!

— Komora siódma zawiera hel, panie! Czy raczej zawierała... Gorman próbował się uwolnić z kurczowego uchwytu księcia.

— Wszystkich proszę o spokój! – wykrzyknął, co było skierowane raczej do księcia, niż do kogokolwiek innego. – W jakim tempie tracimy wysokość?

— Ponad stopę na minutę – odkrzyknął inżynier obsługujący rząd wysokościomierzy.

— Panie! – krzyknął jeden z pilotów. – Jeżeli będziemy się obniżać w takim tempie, to roztrzaskamy się o najbliższy łańcuch wzgórz.

— Gorman, zrób coś! – krzyknął księżę, wciąż trzymając go za ramiona. – Rozkazuję ci coś zrobić!

Gorman odepchnął księcia z taką siłą, iż ten upadł z trzaskiem na podłogę. Pierwszą reakcją Caspara było osłupienie, po czym na jego twarzy odmalowała się furia.

— Zabij go! – rozkazał Dalwynowi, który już zresztą zmierzał ku Germanowi. – Ośmielił się podnieść na mnie rękę!

Dalwyn chwycił Gormana za gardło, lecz nie wiedział, co ma dalej robić. Spojrzał niepewnie na księcia.

— Zabij go! – wrzasnął Caspar, wstając i sięgając po swoją ceremonialną szablę. – Lub sam to zrobię.

Sytuacja w pomieszczeniu kontrolnym przekształciła się w dziwny dramat, co przeraziło wszystkich z wyjątkiem księcia, który zamierzał się szablą na Gormana. Nagle Jan pochwyciła błagalne spojrzenie inżyniera. Natychmiast się zorientowała, o co mu chodzi; wahała się tylko przez chwilę.

— Mój panie! Nie zabijaj go! – krzyknęła. – Będzie ci przecież jeszcze potem potrzebny!

Księżę odwrócił się do niej z wściekłością.

— Co? – wrzasnął. – O czym ty mówisz, dziewczyno? Ten plugawiec mnie znieważył. Musi umrzeć.

Jan podeszła bliżej i ukryła twarz w dłoniach.

— Mój panie, wysłuchaj mnie, proszę – błagała. – Wiem, że musi być ukarany, lecz nie teraz. *Władca Pangloth* jest w poważnym niebezpieczeństwie i może być ocalony tylko wtedy, gdy ty i główny inżynier będziecie działać razem. Musisz mu pozwolić na wykonanie jego obowiązków, i to szybko. Liczy się każda sekunda, mój panie. Spójrz!

Obróciła go i wyciągnęła rękę przed siebie. Łańcuch wysokich wzgórz zamajaczył niebezpiecznie blisko. Caspar przyglądał się wzgórzom przez kilka długich chwil, po czym schował szablę do pochwy.

— Dalwyn, uwolnij go! Gorman, rób, co trzeba! Dalwyn puścił Gormana. Ten zaczerpnął oddechu, po czym rzekł spokojnie.

— Piloci, zmienić kurs i całą mocą w górę.

— Czy nasz kochany monarcha zabił go potem? – spytał Milo wesoło.

— Nie. Lady Jane powstrzymała go przed tak drastycznym czynem. Gorman został zwolniony ze swej funkcji i zamknięty w

areszcie domowym. Słyszałam, że zamierzają go sądzić, lecz Gorman jest im zbyt potrzebny, by zdecydowali się go zabić, czy nawet odizolować na dłuższy czas.

— Aryści potrzebowali również ich, a zobacz, co zrobili... – Milo wskazał na smugi czarnego dymu, wciąż widoczne nad odległą doliną Bandali.

— Długo się kłócili, zanim postanowili rzucić bomby na Bandalan – powiedziała. – Lady Jane była przeciwko, lecz została przegłosowana. Większość Arystów wpadła w histerię... i nie chcieli jej słuchać.

— Tak, więc niszczą jedyne miejsce w obrębie ich kurczącego się królestwa, które zaopatrywało ich w metale, nie mówiąc już o prochu strzelniczym. – Zaśmiał się. – Taki sposób myślenia doprowadza królestwa do zagłady.

— Mówiłam ci, że się przestraszyli – powiedziała Jan. Owinęła się ramionami. Zimno było w ich zwykłym miejscu spotkań na platformie obserwacyjnej, a cienka odzież nie chroniła jej dostatecznie. – Zapewne przestraszyli się jeszcze bardziej niż w przypadku ataku na nas, Minervian. Nie spowodowaliśmy uszkodzeń, a Bandalanom z pewnością się to udało.

— To prawda – przyznał Milo prawie radośnie. – Choć obawiałem się nieco o rezultat.

Nieszczęście było już bliskie, jak później dowiedziała się Jan z relacji innych. Gorman miał rację. Trzy balony zawierały duże ilości środków wybuchowych. Udany strzał spowodował wybuch w jednym, lecz pozostałym udało się wznieść ponad sterowiec Władcy Panglotha, na którego kadłub rzucono liny z uchwyty. Na każdej linie był mężczyzna, co chroniło napastników przed działaniem automatycznego systemu laserowego. Umożliwiło to Bandalanom ściągnięcie balonów w dół i wylądowanie na

pokładzie sterowca. W każdej klatce doczepionej do balonu było około dziesięciu mężczyzn. Jedna grupa przetrwała na pokładzie tylko krótki czas i została zlikwidowana przez liczny oddział Wojowników Niebios, lecz druga miała więcej szczęścia, gdyż wylądowała w dużej odległości od włazów wyjściowych. Po pewnym czasie Wojownicy Niebios dosięgnęli i ich. Nie uniknięto jednak wybuchu zapasu prochu, zgromadzonego przez Bandalan. Skutkiem tego było wyrwanie wielkiej dziury w kadłubie, jak również przebicie w sposób prawdopodobnie niemożliwy do naprawienia jednej z komór z gazem, co wiązało się z wyciekami do atmosfery sporej ilości bezcennego helu. Oczywiście, gdyby Bandalanom udało się spowodować wybuch w jednej z komór wypełnionych wodorem, *Władca Pangloth* zostałby zniszczony. To, co się stało, spowodowało jednak i tak poważne uszkodzenia sterowca, który może się znaleźć w poważnych tarapatach, jeśli okaże się niemożliwe naprawienie komory numer siedem i napełnienie jej chociażby wodorem. W tej chwili sterowiec Władcy Panglotha przechylony był nieco do tyłu i leciał na optymalnej wysokości tysiąca stóp. Milo westchnął.

— Dlaczego w tej sytuacji nie wykorzystasz doskonałej szansy na wypróbowanie nowego ciągu symboli, które podałem ci ostatnio? Spojrzała na niego.

— Myślałam, że się roztrzaskamy. I gdyby nie Gorman, tak by się stało. Nie myślałam wtedy o twym świecącym pudełku.

— Powtarzam ci, że moje „świecące pudełko” zawiera klucz, który umożliwi nam dotarcie do źródeł władzy. Mogłaś spróbować później, gdy niebezpieczeństwo zostało zażegnane i wszyscy się kłócili, czy bombardować Bandalan, czy nie.

— Byłam zbyt zajęta księciem, próbując go uspokoić. Wciąż się

domagał zabicia Gormana. Lecz nie bój się, spróbuję to zrobić przy kolejnej okazji. Pod nieobecność Gormana będzie to prostsze. To on cały czas mi się przygląda, gdy zajmuję się tym świecącym pudełkiem. Myślę, że coś podejrzewa.

Milo wzruszył ramionami.

— Z tego, co mówisz, wynika, że uratowałaś mu życie. Gdy wróci na swoje miejsce, jego nastawienie do ciebie będzie zupełnie inne.

— Wątpię. Jest zimny, podobnie jak ty. Ma swoje własne tajemnice i nie okazuje żadnych uczuć. Zupełnie jak ty.

Zaśmiał się i objął ręką jej nagie ramiona.

— Jak możesz mnie oskarżać, że jestem zimny. Wiesz, co czuję do ciebie.

Odepchnęła go.

— Dość. Tak, wiem, co do mnie czujesz. Najpierw potrzebowałaś mnie do łóżka, teraz potrzebujesz mnie do czegoś innego, ale w chwili, gdy nie będziesz już mnie potrzebował, stanę się dla ciebie niczym!

— Wszelkie ludzkie kontakty oparte są na potrzebach; na egoizmie. Również ludzkie uczucia. Egoizm równa się przetrwaniu. Wiara w coś innego to romantyczne oszukiwanie samych siebie.

— Przyznajesz więc, że gdy przestaniesz mnie potrzebować, stanę się zbędna? – zapytała zimno.

— Jan, nie mogę sobie wyobrazić chwili, kiedy nie będę cię potrzebował.

— Jestem pewna, że wielu kobietom mówiłeś te same słowa w ciągu swego życia.

Ciekawe, gdzie one są teraz. Wszystkie umarły i o nich zapomniałeś. Wyglądał na dotkniętego.

— Okropnie szybko stałaś się cyniczna.

— Mam dobrego nauczyciela. A teraz muszę już iść. Książę zaprezentuje dziś najbliższemu kręgowi przyjaciół jedną ze swoich ulubionych rozrywek i chce, bym była obecna.

— Czy Aryści zamierzają spędzić wieczór na oglądaniu starych filmów? – spytał Milo zdziwiony. – Są w stanie zająć się tym po takim dniu i przy takim uszkodzeniu sterowca Władcy Panglotha?

— Właśnie dlatego. Jak najszybciej chcą powrócić do swego wygodnego, pretensjonalnego świata. Pragną udawać, że nic się dziś nie stało.

Atmosfera podczas wieczornego party filmowego u księcia była bardzo napięta. Nikt nie wspomniał o prawie udanym ataku Bandalan, nikt nie mówił o niebezpieczeństwie, jakie groziłoby wszystkim, gdyby nie udało się zreperować sterowca. Rozmawiano o głupstwach, żartowano i śmiano się. Udawano, że wszystko jest jak zwykle. A może, pomyślała Jan, oni rzeczywiście tak myślą?

Po posiłku zakrapianym dużą ilością alkoholu towarzystwo zasiadło w wyściełanych krzesłach i utkwilo wzrok w ścianie, która sprawiała wrażenie szklanej. Jan usiadła obok księcia. Położył rękę na jej udzie i zaczął ją pieścić przez suknię. Czuła, że jest podniecony, co w jej mniemaniu oznaczało kolejną reakcję na dramatyczne wydarzenia tego dnia. Spodziewała się, że książę będzie bardzo aktywny w łóżku tej nocy.

Światła pogasły i szklana ściana znikła. „Rozrywka” się zaczęła. Gdy Jan po raz pierwszy brała w niej udział, była mocno zdenerwowana, ku uciesze księcia i jego przyjaciół. Denerwowało ją, że szklana ściana zmienia się w furtkę prowadzącą wprost do centrum innego świata – świata, który

wyglądał realniej niż jej własny świat, w którym kolory były bogatsze, a ludzie więksi i piękniejsi. Ciężko chwyciła powietrze i przerażona złapała mocno księcia za ramię.

— Co się dzieje? – krzyknęła.

Zachichotał i powiedział, by się uspokoiła.

— Patrz i baw się. To tylko rozrywka.

Zmusiła się więc do spokojnego siedzenia i oglądania niepokojących widoków pojawiających się na ścianie. Obserwowała ludzi, których twarze nagle stawały się olbrzymie, widoki dziwnych miejsc i wielkich miast ze szklanymi wieżami, pełnych kolorowych świateł, które przyprawiały o zawrót głowy, walki między grupami ludzi, w których wykorzystywano broń o potężnej sile, przedmioty skonstruowane z metalu, przypominające ludzkie sylwetki... Pod koniec czuła się tak, jakby jej głowa miała eksplodować od nadmiaru niewiarygodnych wrażeń.

Następnego dnia Jan niechętnie opowiedziała Milowi o tym, co widziała, i uzyskała wyjaśnienie dziwnego zjawiska.

— To był film holograficzny – powiedział. – Szklana ściana pozwala na rzutowanie obrazów trójwymiarowych. To stwarza wrażenie realności. Nie dziwię się więc, że przeraziło cię to wszystko.

Spytała, skąd pochodzą te obrazy.

— Są zgromadzone... przechowywane... na taśmie, lecz nie żądaj, bym ci wyjaśnił, w jaki sposób. Prawdopodobnie pochodzą z początków dwudziestego pierwszego wieku. O czym opowiadał film?

Widziała różne obrazy, które w sumie tworzyły chaos. Milo zapytał ją o ubrania, jakie nosili ludzie.

— Byli ubrani podobnie jak większość Arystów... oraz, tak,

wciąż śpiewali.

— Śpiewali? – Zaśmiał się. – Wiem teraz, z jakiego okresu pochodził ten film. Z połowy dwudziestego pierwszego wieku. Była to część z długiej serii fantazji muzycznych, niezwykle popularnych, choć nigdy nie wiedziałem, dlaczego. Moim zdaniem to banalne gówno. Lecz przodkowie Arystów musieli widocznie oceniać te filmy wysoko. Nic dziwnego, że Aryści chodzą w takich fantazyjnych strojach uszytych na wzór tych filmów. – Rozbawiło go to i śmiał się przez dłuższy czas, lecz Jan wciąż czuła się zmieszana.

— Nie rozumiem – powiedziała. – Czy te obrazy pochodzą z czasów przed Wojnami Genetycznymi? Czy naprawdę w tych innych światach istniały olbrzymie miasta ze szkła?

— Obawiam się, że nie, Jan. Nie było tam nic prawdziwego. To tylko fantazja. Jeden z seriali, jak ci mówiłem, rozgrywał się w przyszłościowym imperium, przypominającym dawne imperia średniowieczne, w imperium, które rządziło galaktyką.

— Och – westchnęła. Była nieco zdziwiona. – A całość wydawała się tak realna. Jak to zrobiono? Skąd pochodzili ci piękni ludzie? A gdy śpiewali, mieli takie cudne głosy...

— Ci ludzie nigdy nie istnieli, Jan. Podobnie, jak szklane miasta i wszystko, co widziałaś, zostali wyprodukowani przez komputer. Potraktuj to jak niezwykle realistyczne obrazy... obrazy, które mogą się poruszać i mówić...

Jan nie wierzyła mu teraz, oglądając te same obrazy po raz trzynasty. Wciąż nie mogła się pogodzić z tym, że ci piękni ludzie nigdy nie żyli i nie oddychali, że są wytworami jakiegoś dawnego urządzenia mechanicznego. Choć zwykle zajmowało ją oglądanie filmów, tego wieczoru nie potrafiła się na nich skoncentrować. Pamiętała, co powiedział jej na odchodnym Milo: – Musisz się

bardziej przyłożyć do poznawania komputera. Boję się, że mamy mało czasu. Nie wierzę w złe wróżby, lecz dzisiejsza dramatyczna sytuacja wydaje mi się czymś w rodzaju ostrzeżenia, świadczącego o tym, że dni *Władcy Panglotha* są policzone.

Jan wiedziała, co to znaczy. Podzielała przekonanie, że *Władca Pangloth* wraz ze wszystkimi mieszkańcami wkrótce przestanie istnieć. Te przeczucia sprawdziły się dokładnie tydzień później, gdy rankiem *Władca Pangloth* napotkał *Pachnący Wietrzyk*.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wykonywano trudny manewr. *Władca Pangloth* opuścił się nisko nad powierzchnię jeziora, by zaczerpnąć wody pitnej. Woda, pompowana w górę przez długą, potężną rurę, potrzebna była nie tylko do uzupełnienia normalnych zapasów, ale również do konwersji w wodór. W urządzeniach do elektrolizy na pokładzie sterowca musiano wyprodukować wielkie ilości tego gazu, gdyż należało wypełnić komorę numer siedem, którą, jak sądzono, udało się naprawić.

Manewr ten był trudny, gdyż im więcej tankowano wody, tym sterowiec stawał się cięższy. Dla zrekompensowania tego obciążenia należało podnieść również temperaturę w komorach gazowych, co zwiększało siłę nośną. Operacja była tak skomplikowana, że czasowo zwolniono Gormana z miejsca jego odosobnienia, by mógł ją przeprowadzić. Atmosfera w pomieszczeniu kontrolnym była w związku z tym bardzo napięta, co stworzyło Jan doskonałą okazję do zajęcia się komputerem.

Milo dostarczył jej kolejną serię układów tego, co nazywał „kodem dojścia”, a co dla niej stanowiło trudną do zapamiętania sekwencję liczb. Tak była zajęta tym, co robi, że nie zorientowała się początkowo, iż coś jest nie w porządku. Dopiero słysząc jak Caspar wykrzykuje imię Gormana, zrozumiała, że są w niebezpieczeństwie, dotychczas bowiem książę udawał, że nie dostrzega obecności inżyniera. Oderwała się od zniechęcająco pustego ekranu i zobaczyła, że wszyscy wpatrują się w przestrzeń za lewą ścianą pomieszczenia kontrolnego. I wtedy ujrzała to... Przez parę chwil sądziła, że kulisty obiekt jest

kolejnym balonem, lecz potem uświadomiła sobie, że widzi inny sterowiec poruszający się kursem zbieżnym na tej samej wysokości. Inny sterowiec?

Wszyscy obecni w pomieszczeniu kontrolnym, z wyjątkiem Jan, zaczęli natychmiast dyskutować. Nad całym tym zgiełkiem dominował krzyk Caspara.

— Gorman, jakże to możliwe? W jaki sposób te ludzkie glisty zbudowały sterowiec?

— Sądzę, panie, że to nie ma nic wspólnego z glistami ziemskimi – powiedział Gorman, obejrzawszy zbliżający się sterowiec przez lornetkę. – To inny Władca Niebios!

Caspar wyglądał tak, jakby ktoś uderzył go mocno w plecy. Jan zauważyła, że nie on jeden jest przerażony.

— To niemożliwe! – udało się w końcu wydusić Casparowi. Gorman zlekceważył go.

— Załoga tankująca, przerwać operację i zwinąć pompę! – krzyknął do mikrofonu. Po czym dodał: – Piloci, wznieść się natychmiast w górę. Nie czekajcie na wciągnięcie pompy...

Jan spojrzała jeszcze raz na zbliżającego się Władcę Niebios. Był teraz dużo większy i oszacowała, że znajduje się w odległości mniejszej niż dwie mile. Dostrzegła szczegóły na obłej powierzchni. Dolna połowa była upiornie upstrzona kolorami i, podobnie jak w przypadku *Władcy Panglotha*, po obu stronach sterowca znajdowały się olbrzymie wymalowane oczy.

— Cała w górę! – zarządził Gorman i Jan musiała chwycić się oparcia tronu Caspara, gdy *Władca Pangloth* zaczął się ostro wznosić, jednocześnie posuwając się do przodu.

— Wszystkie oddziały na posterunki bojowe! – wykrzyknął Gorman do mikrofonów. Usłyszała jego zwielokrotniony głos w różnych częściach sterowca *Władcy Panglotha*. Dobiegły ją

również dźwięki syren i dzwonków alarmowych.

— Co robi inny Władca Niebios na naszym terytorium? – krzyknął książę.

Gorman nie zwrócił nań uwagi. Znowu obserwował intruza przez lornetkę.

— To nie jest z pewnością *Władca Matamoros*.

Jan wiedziała, że *Władca Matamoros* był Władcą Niebios, którego terytorium było najbliżej na południe od terytorium *Władcy Panglotha*.

— Dlaczego się nie odwracamy, Gorman? – wykrzyknął książę.
– Odwróćmy się i zaatakujmy intruza!

Gorman oderwał się od lornetki i spojrzał na Caspara.

— Zalecałbym rozwagę, panie. Intruz ma nad nami przewagę i, jak przypuszczam, konkretny plan ataku.

— Dlaczego więc my go nie zaatakujemy? – wrzasnął książę z wściekłością. – Gorman, rozkazuję ci zawrócić i zaatakować obcego!

Jan dostrzegła grymas na twarzy Gormana, co zapowiadało rozwój wydarzeń według scenariusza sprzed tygodnia. Gorman zachował jednak zimną krew i powiedział ostrożnie: – Panie, w jaki sposób proponujesz go zaatakować? Książę był dezorientowany.

— Cóż, po prostu zbliżymy się do niego i otworzymy... – Nie dokończył. W jego oczach pojawił się strach. Gorman skinął głową.

— Tak jest. Jego lasery zatrzymają wszelkie kule i pociski.

— Ale... ale... – protestował Caspar, próbując znaleźć jakiś sposób. Gorman czekał spokojnie. Gdy stało się jasne, że żadne objawienie w mózgu księcia nie nastąpi, rzekł: – Nie mamy możliwości uszkodzenia intruza.

Jan, która nigdy nie odzywała się w pomieszczeniu kontrolnym, jeśli się do niej nie zwracano, uznała, że niezwykle okoliczności usprawiedliwiają złamanie tej zasady.

— Główny inżynierze – powiedziała – tak jak my nie możemy uszkodzić intruza kulami i pociskami, tak i on nie może uderzyć w nas. Caspar spojrział w jej stronę.

— Ha! – krzyknął. – Amazonka ma rację! Nie musimy się go bać. – Zwrócił się do Gormana. – Dlaczego więc uciekamy?

Gorman spojrział przelotnie na Jan, po czym odpowiedział księciu: – Zapewne nie ma powodu. Lecz sposób, w jaki się zbliża, dowodzi, że jest groźny. Mógł zdobyć nieznaną nam broń, atakując innego Władcę Niebios.

Wszyscy się odwrócili, by śledzić intruza, który teraz znajdował się na tyłach *Władcy Panglotha*. Zmienił kurs, by rozpocząć pościg. Jan dostrzegła, że jasne kolory ciągną się przez całą długość jego kadłuba. Zobaczyła również olbrzymie czerwone koło namalowane na tylnej płetwie.

— *Pachnący Wietrzyk* – wymamrotał Gorman.

— Znasz jego imię? – spytał księżę ostro. – Skąd pochodzi? Gdzie znajduje się jego terytorium?

— To jeden z Władców Niebios ze Wschodu. Z Dalekiego Wschodu. Przebył długą drogę.

— Ale po co? – dopytywał się księżę. Gorman wzruszył ramionami.

— Jakikolwiek miałby powód, nie sądzę, by się kierował dobrą wolą w stosunku do nas.

— Panie, intruz nas dogania! – oznajmił jeden z inżynierów.

— Nic dziwnego – powiedział Gorman. – Z komorą numer siedem tylko częściowo wypełnioną gazem, jesteśmy o wiele powolniejsi niż on. – Rozejrzał się po czystym, błękitnym niebie.

– Nawet nie ma chmur, by się skryć.

— Co zrobimy? – spytał książę.

— Nie jesteśmy w stanie mu uciec, więc musimy się okazać lepsi w manewrowaniu – rzekł Gorman. – Piloci, ostro na prawą burzę!

I tak zaczęła się powietrzna zabawa w kotka i myszkę, która trwała prawie pięć godzin. Jednak pomimo całej zręczności Gormana perspektywa konfrontacji była nieunikniona – mógł tylko opóźnić nadejście tego, co nieuchronne... W czasie tych pięciu godzin przybyło do pomieszczenia kontrolnego wiele osób wysokiej rangi, w tym lady Jane i książę Magid. Lady Jane zorientowała się w sytuacji bardzo szybko i zadawszy Germanowi kilka krótkich, lapidarnych pytań, zdenerwowana stanęła w milczeniu obok Jan. W przeciwieństwie do niej, książę Magid i Caspar zdręczali Gormana bezsensownymi pytaniami i propozycjami. W końcu, o wpół do czwartej po południu, *Pachnący Wietrzyk* znalazł się obok *Władcy Panglotha* w odległości mniejszej niż pięćset stóp. Leciał na tyle blisko, że można było wyraźnie dostrzec ludzi, wypełniających jego pokład i górną część kadłuba. Jak dotąd jednak obcy sterowiec nie okazywał agresji.

— Czy nie możemy otworzyć do nich ognia? – spytał zasepiony książę. – Wiem, że byłaby to strata czasu, lecz przynajmniej miałoby charakter jakiegoś gestu.

— Gestu, który można uznać za prowokację – rzekł Gorman. – Nie mówiąc już o utracie drogocennej amunicji.

— Zgadza się – powiedziała lady Jane spokojnie. – Poczekajmy i zobaczymy, czego od nas chce.

— A teraz co? – wymamrotał Gorman z niezadowoleniem.

Pachnący Wietrzyk nabierał prędkości i zbliżał się do *Władcy*

Panglotha. Nagle, co wydało się aktem szaleństwa, skierował się ku przodowi sterowca. W pomieszczeniu kontrolnym rozległy się krzyki przerażenia.

— Zderzymy się! – krzyknął ktoś.

— Cała wstecz! – wrzasnął Gorman. – Szybko!

Śmigła ryknęły, lecz przestrzeń pomiędzy *Panglothem* a obcym sterowcem, znajdującym się teraz dokładnie na wprost jego dziobu, zaczęła się zmniejszać z zastraszającą szybkością. Jan i lady Jane objęły się kurczowo. Jan zamknęła oczy i oczekiwała wstrząsu. Nie następował. Usłyszała, że lady Jane głęboko wzdycha.

Jan dostrzegła, że kadłub obcego sterowca wciąż znajduje się w odległości paruset stóp. Nagle zaczął się oddalać, gdy ryczące śmigła pchnęły *Władcę Panglotha* do tyłu. Lecz później Jan ujrzała ludzi zeskakujących z *Pachnącego Wietrzyka*, prawie z każdego jego pokładu. Zawieszeni byli na czymś, co okazało się dużymi, trójkątnymi kawałkami jasnego, kolorowego materiału.

Gorman schwycił mikrofon.

— Wszystkie oddziały, otworzyć ogień ku zbliżającym się celom! Otworzyć ogień!

Przestrzeń pomiędzy obydwoma Władcami Niebios zaczęła się gwałtownie zapełniać kolorowymi, trzepoczącymi trójkątami i uwieszonymi na nich postaciami w czerni. Były ich setki.

— Co to za spadochrony? – krzyknął Caspar. – Nie spadają, lecz unoszą się w powietrzu.

— Nie unoszą się, lecz szybują – rzekł Gorman. Tego się obawiałem. Dowodzący *Pachnącym Wietrzykiem* wynaleźli sposób zaatakowania innego Władcy Niebios. Nasze środki obrony laserowej nie będą działały przeciwko nim...

Część atakujących została trafiona kulami z karabinów i

spadła z wrzaskiem z lotni, które zaczęły spiralnie opadać. Jednak większość przemieszczała się bez zakłóceń i wkrótce prawie wszyscy zniknęli z pola widzenia osób zgromadzonych w pomieszczeniu kontrolnym. Szykowali się do lądowania na górnym pokładzie sterowca Władcy Panglotha...

Teraz zbliżyła się fala większych lotni. Z każdej zwisały dwie osoby, umieszczone na drucianym wózku. Trzymały sztabę, za której pomocą zapewne kontrolowały i sterowały ruchem lotni. Jan wydało się, że za parą zbliżających się większych lotni dostrzega coś błyszczącego, coś w rodzaju zwitka pajęczyny. Gorman spostrzegł to również.

— Piloci, obniżamy się, szybko...

Gdy jednak *Władca Pangloth* zaczął się obniżać, to samo uczynił też intruz, utrzymując taką samą prędkość. Gorman ze złością trzasnął pięścią w drugą dłoń i rzekł do jednego ze swych podwładnych: – Pryce, leć do góry i zbadaj sytuację! Szybko, musimy wiedzieć, co się dzieje!

Podczas gdy mężczyzna wspinał się pośpiesznie po spiralnych schodach za windą, zarezerwowanych wyłącznie do użytku Arystów, Jan ujrzała, że od strony obcego sterowca biegną w ich kierunku dziwne nici.

— Kable – rzekł Gorman gorzko, gdy książę spytał go, co to jest. – Poprzednia seria lotni pociągnęła za sobą cienkie druty. Teraz zostaną one użyte do przeciągnięcia ciężkich kabli. Chcą nas spętać.

— Dość tego! – krzyknął nagle książę Caspar. Wyciągnął szabłę, machnął nią kilka razy i skierował się ku windzie.

— Będę walczył z tymi mętami. Kto idzie ze mną? Żaden z pozostałych Arystów nie wykonał nawet ruchu w jego stronę. Lady Jane postąpiła naprzód.

— Caspar, nie bądź lekkomyślny. Nie wolno ci niepotrzebnie narażać życia. Niech to robią Wojownicy Niebios.

— Dlaczego tylko oni mają mieć tę przyjemność? Nie, idę na górę.

— Nie, Caspar – powiedziała lady Jane, tym razem głośniej. – Musisz pozostać tu. Mogę potrzebować twojej obrony. Caspar zawahał się.

— Ależ, matko... – jęknął. – Nie potrzebujesz mojej obrony. Jesteś tu całkowicie bezpieczna. Ale skoro się tak obawiasz, pozostawię z tobą Dalwyna.

— Chcę, byś ty został ze mną, Casparze – rzekła lady Jane. – To twój obowiązek.

Caspar tupnął nogą.

— Ja muszę coś zrobić, matko! Nie mogę ot, tak czekać, nic nie robiąc!

— Zgadza się z tobą, panie – włączył się Gorman. – Proponuję, by przednie oddziały otwały ogień w kierunku *Pachnącego Wietrzyka*. Wszyscy spojrzeli na niego.

— A lasery... nasze kule nie sięgną celu – powiedział książę. Gorman wzruszył ramionami.

— Zapewne nie, lecz przy takiej odległości może istnieć jakaś szansa. Nawet jeśli żaden pocisk nie eksploduje, to światło lasera może uszkodzić trochę tych przeklętych kabli.

— Zrób to więc! – rozkazał książę. – Wydadaj komendę. Gorman podniósł mikrofon.

— Uwaga, oddziały przednie. Otworzyć ogień! Otworzyć ogień!

W jakieś piętnaście czy dwadzieścia sekund później dał się słyszeć odgłos odpalania rakiety. Wtem, ku zdziwieniu wszystkich, śledzących bieg wydarzeń w pomieszczeniu kontrolnym, w kadłubie intruza nastąpił wybuch. Kula uderzyła

obok śmigła, a gdy dym opadł, ukazała się postrzępiona wyrwa o średnicy około dwunastu stóp.

— Nie mają laserów! – krzyknął książę z radością. – Ich lasery nie działają!

Gorman znowu krzyczał do mikrofonu.

— Uwaga, wszystkie oddziały. Otworzyć ogień! Otworzyć ogień! Cel nie jest broniony!

Powtarzam, cel nie jest broniony! Oczekiwali z niepokojem odgłosu odpalania kolejnych rakiet. Nic się jednak nie działo.

— Co się dzieje z tymi głupcami? – wybuchnął książę. – Dlaczego nie strzelają?

— Myślę, że wiem, dlaczego – powiedział Gorman z grymasem na twarzy.

— Sprawa jasna! – rzekł Caspar. – Idę na górę. Przejmę osobiste dowództwo nad jednym z oddziałów i sam strącę z nieba ten gang piratów!

Lecz zanim zdążył się ruszyć, na spiralnych schodach rozległy się kroki. Był to inżynier wysłany przez Gormana dla zbadania sytuacji.

— Złe wieści! – krzyknął ze schodów. – Napastnicy znajdują się wewnątrz sterowca Władcy Panglotha. Jest ich kilkuset. Walczą jak demony. Nasi Wojownicy Niebios nie mają żadnych szans.

Książę Caspar postąpił naprzód i schwycił mężczyznę za ramię.

— Do której części statku się dostali? – spytał.

— Nie jestem pewien, panie, tak trudno się tam na górze zorientować w sytuacji. Ludzie uciekają przed napastnikami w jedną stronę i spotykają uciekających z drugiej. Słyszałem jednak, jak ktoś mówił, że napastnicy z pewnością są w pokojach Ich Wysokości.

Och, Bogini Matko, pomyślała Jan, tam jest Ceri.

— To już po nas – wymamrotał ksiązę Magid.

— Niekoniecznie – rzekł Gorman. – Wciąż kontrolujemy główną część statku Władcy Panglotha. A gdy zaryglujemy właz i unieruchomimy windę, możemy przejąć całkowitą kontrolę.

— Ale co zyskamy? – spytał ksiązę. – Nikt nam nie pomoże! Spójrz na te kable! Jeśli zaczniemy uciekać, będziemy tych piratów ciągnąć za sobą.

— Przecież nikt nie może nas powstrzymać przed poruszaniem się naprzód, panie – powiedział Gorman.

— Myślisz o zderzeniu się z nimi? To zniszczyłoby i nas.

— Sądzę, że możemy zagrozić zderzeniem z *Pachnącym Wietrzykiem* po to, by zmusić napastników do negocjacji – rzekł Gorman.

— Chyba że pomyślą, iż blefujemy, a wtedy... – wzruszył ramionami.

— Ale już lepiej umrzeć z własnej ręki, niż zostać pokrojonym przez tych dzikusów ze Wschodu.

Na kilka chwil nastąpiła w pomieszczeniu kontrolnym cisza, po czym Caspar skinął głową.

— Masz rację, Gorman. Każ swym podwładnym, aby natychmiast zaryglowali wejścia.

Jednak zanim ktokolwiek zdążył się ruszyć, na schodach znów dały się słyszeć kroki. Przypuszczając, że pierwszy napastnik wkracza do pomieszczenia, Caspar i Dalwyn wyjęli szable i ruszyli naprzód. Pojawiła się jakaś okrwawiona postać. Miała na sobie postrzępiony kombinezon i trzymała miecz, jakiego Jan nigdy dotychczas nie widziała. Najpierw nie rozpoznała okrwawionego mężczyzny. Gdy zszedł ze schodów, zaskoczona ujrzała, że to Milo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Milo przystanął u podnóża schodów, rozejrzał się i uśmiechnął szeroko.

— Przepraszam za najście, Wasza Książęca Mość, ale jestem tu w dość istotnej sprawie. Zamierzałem przybyć wcześniej, ale przeszkodził temu ogromny ścisk panujący tam na górze.

Aryści i inżynierowie spoglądali na Mila, niczego nie rozumiejąc. Wtem Dalwyn spostrzegł gwiazdkę na jego policzku.

— To niewolnik! – krzyknął.

— Były niewolnik, powiedziałbym, biorąc pod uwagę sytuację na górze. – Nagle dostrzegł nadchodzącą Jan. – Cześć Jan! – krzyknął wesoło. – Miałem nadzieję, że cię tu spotkam. Gdzie jest wyjście komputera?

Gdy mu je wskazała, lady Jane spytała: — Znasz go?

Jan skinęła głową.

— Ma na imię Milo. To ten, o którym wam mówiłam. Ten, który, hm... mnie uratował.

Milo spoglądał na księcia Caspara i Dalwyna, którzy stali przed nim z wyciągniętymi szablami.

— Z drogi, Wasze Wysokości. Nie chcę wam przeszkadzać, lecz muszę się dostać do wyjścia komputera.

— Niewolniku – odezwał się książę – opuść szablę.

— Powtarzam: zejdźcie mi z drogi. Niebawem mogą przybyć Japończycy, a mam wiele do zrobienia, zanim się tu zjawią.

— Dalwyn – rzekł książę – zabij go.

Dalwyn ruszył na Mila. Milo nawet się nie cofnął, tylko lekko potrącił napastnika ramieniem. Rozległ się przerażający zgrzyt metalu o kość. Głowa Dalwyna została wyrzucona w powietrze.

Ciało pozbawione głowy spadło na podłogę i leżało tam w drgawkach. Jan zdawało się przez parę chwil, że próbuje wstać, lecz wkrótce znieruchomiało. Spojrzała na Mila, który wciąż się uśmiechał. Oczy miał nieobecne.

— Następny! – powiedział do Caspara.

— To czarownik! – wyszeptał ktoś.

Caspar spoglądał z przerażeniem na pozbawionego głowy trupa Dalwyna. Powoli opuścił szablę i odwrócił się do Mila.

— W porządku – rzekł Milo zadowolony i podszedł do wyjścia komputera. Pozostali tłoczyli się jak najdalej od niego. Milo przyjrzał się z zadowoleniem konsolocie, po czym skinął na Jan. – Podejź tu – rzekł. – Jesteś mi potrzebna.

Jan nie drgnęła. Przybycie Mila przeraziło ją. Jej podejrzenia się potwierdziły. Był czarownikiem.

— Jan! – krzyknął zniecierpliwiony. – Nie stój beczynn timer, idiotko! Chodź tu!

— Lepiej podejź do niego – wymamrotała lady Jane, ściskając ją za rękę.

Z niechęcią Jan wyszła z za tronu i podeszła do Mila. Spojrzała na nią podejrzliwie.

— Przez chwilę myślałem, że przeszłaś na tamtą stronę. Trzymaj – wręczył jej dziwny miecz, wciąż pokryty krwią Dalwyna. – Trzymaj go obiema rękami. O tak, dobrze. Chcę, byś mnie ochraniała, gdy będę pracował. Gdyby ktokolwiek podszedł bliżej, krzyknij i machnij w jego kierunku. – Odwrócił się i zaczął operować przyciskami na konsolocie. Nie wiedziała, co robić. Odwróciła się spoglądając bojaźliwie w stronę pozostałych. Ci wpatrywali się w nią oskarżycielsko. Naraz na górze dały się słyszeć odgłosy walki, krzyki i szcęk metalu. Gało jakiegoś Wojownika Niebios, potwornie okaleczone, nagle ześlizgnęło się

w dół po spiralnych schodach. Teraz pojawił się tłum mężczyzn. Byli drobnej budowy i nosili jasne, grube ubrania, zbroje i hełmy. W rękach trzymali takie same miecze, jak ten, który dzierżyła teraz Jan.

Caspar i kilku innych ruszyli im naprzeciw i wkrótce w pomieszczeniu zapanowało całkowite zamieszanie. Milo spojrzął z ukosa na to kłębowisko.

— Polegam na tobie, mała! – zwrócił się do Jan, przekrzykując wrzaski. – Osłaniaj mnie: potrzebuję trochę czasu.

Jan miała w głowie zupełny zamęt. Nie wiedziała, co robi i co powinna zrobić. Zbyt wiele działo się jednocześnie... Zobaczyła, że Caspar otrzymał silny cios w rękę. Szabla wyleciała mu z dłoni, a za chwilę rzucili się na niego trzej mali napastnicy. Wyraźnie zamierzali wziąć go żywego. Mogła dostrzec ich twarze – były gładkie, szydercze, oczy zaś świdrujące i wytrzeszczone.

Coraz więcej napastników zapełniało pomieszczenie kontrolne i Jan uzmysłowiła sobie, że obrońcy wkrótce zostaną pokonani. Nagle ujrzała obok siebie Gormana, który przyglądał się walczącym z obojętną twarzą, po czym zwrócił się do niej.

— Co on robi? – spytał, wskazując na Mila.

— Nie wiem – rzekła Jan.

— Myślę, że wiesz – powiedział. – Cały czas wiedziałem, że coś knujesz. Cokolwiek jednak ty i ten demon zamierzaliście, teraz jest już za późno. – Odwrócił się i podszedł do steru.

Jan uświadomiła sobie, co zamierza zrobić.

— Milo! Główny inżynier szykuje zderzenie statku kosmicznego Władcy Panglotha z obcym sterowcem!

— Co? – Nie słuchał jej. Był zbyt zajęty konsolą. Powtórzyła ostrzeżenie najgłośniejszym głosem, jak umiała. Nie odwracając się, Milo rzekł: — To go zabij.

— Zabić go? Ja?

Zignorowała ją. Jan obejrzała się i dostrzegła, że Gorman jest już przy sterze. Podeszła do niego niepewnie. Zastanawiała się, co czynić. Nie chciała go zabijać z zimną krwią.

Może udałoby się jej ogłuszyć go tępą stroną klingi... Jednak zanim zdążyła go dosięgnąć, jeden z napastników wystąpił naprzód. Gdy tylko Gorman zaczął manipulować przy dźwigniach, napastnik dźgnął go mieczem w szyję. Gorman zachwiał się i runął na ster. Jan odwróciła się do Mila i ujrzała, że zbliżają się do niego trzej atakujący. Zdawał się nieświadomy ich obecności.

— Milo! – krzyknęła. – Za tobą!

Prawie niechętnie Milo odwrócił się od konsoly. Najbliższy z trzech napastników zmierzał już w jego kierunku z wyciągniętym mieczem. Milo zamachnął się i nagle, nie wiadomo jakim sposobem, napastnik wił się z bólu na ziemi, a Milo trzymał w ręku jego miecz. Był skierowany ku dołowi... Z kolei zmierzył się z pozostałymi dwoma. Ruszyli nań, wydając piskliwe okrzyki. Milo znów machnął mieczem. Obaj napastnicy upadli. Jeden zginął na miejscu, drugi siedział na ziemi i jakby w zdumieniu kontemplował kupę parujących jelit, leżących pomiędzy jego nogami. Kolejni napastnicy zbliżali się do Mila, lecz teraz, widząc jego męstwo, ostrożniej. Milo pomachał ręką do Jan.

— Chodź tu szybko!

Gdy podeszła, podał jej miecz.

— Oślaniaj mnie – zażądał. – Potrzebuję jeszcze trochę czasu.

— Oszalałeś? – spytała chrapliwie. – Nie umiem działać tak jak ty!

— Udawaj, że potrafisz. Blefuj, dziewczyno, blefuj! – obrócił się

do konsoly.

Jan znalazła się w półkolu nadchodzących napastników. Ich twarze były dzikie, lecz spoglądali badawczo i ostrożnie. Trzymała miecz w ten sam sposób, co oni, dwiema rękami, z ostrzem skierowanym do przodu. Starła się również wyglądać dziko, lecz nie miała pojęcia, co zrobi, jeśli jeden z nich zechce na nią natrzeć. Przyzwyczajona była do zupełnie innego stylu szermierki. Metoda walki napastników polegała na zadawaniu ostrych ciosów i wątpiła, czy ma szansę odparowania choćby jednego.

Inne potyczki w pomieszczeniu kontrolnym dogasały. Większość inżynierów była martwa, lecz Arystów, z kilkoma wyjątkami, wzięto żywcem. Jan spostrzegła lady Jane na kolanach pomiędzy dwoma napastnikami. Obok leżał inny napastnik ze sztyletem wystającym z podbródka.

Półkole się zacieśniało. Wtem jeden z żołnierzy natarł na Jan z nerwowym okrzykiem. Odparowała cios instynktownie, po czym odskoczyła szybko, by uniknąć zdradzieckiego ciosu w plecy.

— Milo! – krzyknęła, gdy żołnierz znów na nią ruszył.

— Eureka! – usłyszała okrzyk Mila i chwilę potem dwa ostrza spotkały się z brzękiem.

Wiedziała, że tym razem zupełnie przypadkowo udało się jej uchronić czaszkę przed rozłupaniem na połowy. Znów jeden z żołnierzy zamierzył się na nią z boku; była bez szans.

Nagle coś ją odrzuciło do tyłu. W tej samej chwili miecz wypadł jej z rąk. Dostrzegła obok siebie Mila. Za moment był już po jej prawej stronie. Żołnierz, który ją zaatakował, upadł na plecy z rozłożonymi ramionami i przepołowionym napierśnikiem, ukazującym głęboką, krwawiącą ranę. Pozostali wojownicy nie mieli czasu na reakcję, gdyż Milo już był przy

nich. Zrozumieli, co ich czeka i starali się za wszelką cenę uniknąć morderczego ostrza. Krew bryzgała w powietrzu, a wokół rozlegały się śmiertelne jęki.

Wkrótce było po wszystkim. Ciała – niektóre pocięte tak, że nie przypominały ludzkich – leżały w wielkiej kałuży krwi. Milo stał w środku. Opuścił miecz i rozejrzał się dokoła. Pozostali napastnicy i ich jeńcy – Aryści – spoglądali na niego w trwożliwej ciszy. Odwrócił się do Jan. Ocierając krew z twarzy, uśmiechnął się do niej. Jego oczy znów sprawiały wrażenie nieobecnych. Nabrzmiałe żyły pulsowały po obu stronach szyi i na skroniach.

— Myślę, że zyskałem ich posłuch – powiedział do niej. Odwrócił się i podszedł do konsoly. Jan ujrzała, że ekran wypełnia gęstwina linii, symboli i liter. Światelko w prawym górnym rogu ekranu pulsowało. – To jest to – rzekł Milo triumfująco – co chciałem wiedzieć. Faza pierwsza została osiągnięta. Czeka nas teraz trochę trudu, zanim osiągniemy fazę drugą. Spójrz. – Nagłym ruchem uderzył mieczem w konsolę. Posypały się iskry.

— Dlaczego to zniszczyłeś? – spytała Jan po chwili.

— Wiem już wszystko, co pragnąłem wiedzieć. Nie chcę, by ktoś jeszcze się tego dowiedział.

Odwrócił się, słysząc znów kroki na spiralnych schodach. Jan odwróciła się również. Kolejna grupa napastników napływała do pomieszczenia kontrolnego: żołnierze, a z nimi wojownik wysokiej rangi, sądząc po jego bogatej zbroi i postrzępionym, skrzydlastym hełmie. Żołnierze rozstąpili się, gdy występował naprzód i wydawał rozkazy. Nagle zatrzymał się na widok porzucanych dookoła ciał. Spojrzał na Mila, po czym wydał kilka komend otaczającym go żołnierzom. Jeden z nich wskazał na Mila i powiedział coś zwierzchnikowi głosem pełnym

uległości. Cienkie czarne brwi mężczyzny nagle uniosły się do góry. Powiedział coś, co było widocznie rozkazem. Żołnierz, który odpowiadał na jego pytania, nagle zbladł i niechętnie zrobił krok naprzód.

Milo westchnął.

— Oficer chce się zapewne przekonać osobiście. Głupiec.

Żołnierz napał na Mila z krzykiem. Milo zabił go. Na zwierzchniku zrobiło to duże wrażenie. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie, gdyż Milo zwrócił się doń w jego własnym języku. Rozmowa była krótka. Oficer gwałtownie skinął głową i w pośpiechu ruszył schodami. Gdy wspinał się po nich w towarzystwie dwóch żołnierzy, Jan spytała Mila: — Mówisz w ich języku?

— Tylko trochę. Musiałem nauczyć się dawno temu ze względu na interesy. W czasach, gdy Japończycy dominowali nad światem pod względem ekonomicznym.

— Japończycy? – spytała.

— Tak. Jest ich teraz mnóstwo. Mówiłem ci o nich wcześniej. To ci, którzy tak przepadali za jedzeniem kałamarnic. Nie znosili obcych. Jeden z nielicznych narodów, który nie podzielił się po wprowadzeniu Głównego Wzorca...

Nagle lady Jane przerwała mu cichym, spokojnym głosem: — Ty demonie, czarowniku, czy też kimkolwiek jesteś! – Jeden z dwóch trzymających ją żołnierzy natychmiast wymierzył jej silny policzek, lecz to jej nie powstrzymało. – Dlaczego nie zabijesz reszty tych żółtych potworów?

Milo uśmiechnął się do niej.

— A czemuż miałbym ich zabić, Wasza Wysokość? – spytał kpiąco.

— Pomóż nam odzyskać kontrolę nad sterowcem Władcy

Panglotha... och! – Znow ją uderzono, lecz mówiła dalej. – Pomóż nam, a będziesz mógł – wybrać sobie nagrodę. Wszystko, co zechcesz...

Jeszcze jeden policzek. Krew zaczęła jej płynąć z rany w dolnej wardze.

— Robię już interes – powiedział jowialnie Milo – ale nie z wami. Wy wraz z całą resztą waszych poprzebieranych durniów jesteście już spisani na straty. Giniecie już od dawna, lecz sami tego nie zauważaliście. Teraz możecie się przekonać...

Następna grupa oficerów schodziła ze schodów, prowadzona przez tego, który rozmawiał z Milem. Wydano rozkazy i Aryści zostali popędzeni w stronę schodów. Oficer zbliżył się do Mila, lecz zatrzymał się w odpowiedniej odległości. Inny, ubrany bardziej bogato niż reszta, zwrócił się do Mila, zalewając go potokiem krótkich, urywanych słów. Milo odpowiedział, po czym wskazał na dymiące resztki komputera. Oficer spojrział na nie, a potem znow na Mila. Skrzywił się i szorstko skinął głową. Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Inni oficerowie ruszyli za nim, z wyjątkiem dwóch, którzy pozostali, by pilnować Mila i Jan.

— Co się dzieje? – spytała szeptem.

— Jak powiedziałem, dobijam targu. O nasze życie.

— A co z Ceri?

— Ceri? Ach, ta twoja mała przyjaciółka z oceanu. O co ci chodzi?

— Czy nie mógłbyś uwzględnić jej w interesie, który robisz? – wstawiła się za nią Jan.

Białe zęby wyraźnie odcinały się na de krwi, ściekającej po jego twarzy.

— A po co? Mówiłaś, że mnie nie znosi. Zresztą Japończycy jej nie zabiją. Nie jest ani Arystą, ani Wojownikiem Niebios. Teraz

prawdopodobnie ją gwałcą, i to wszystko, co złego może się jej przydarzyć.

Jan drgnęła.

— Proszę cię, Milo. Spróbuj ją ocalić. Nie mogę bez niej żyć...

— Ach, więc to ona burzy twą minerviańską krew, czy tak? – spytał. – No tak, przykro mi, ale nie ma o czym mówić. Uważaj się za szczęśliwą, że ciebie wziąłem pod uwagę.

Coraz więcej obcych wkraczało do pomieszczenia kontrolnego, lecz ci, sądząc po ich ubiorze, nie byli żołnierzami. Po drodze dokładnie oglądali sprzęt, co wskazywało, że są raczej odpowiednikami inżynierów *Panglotha*. Od czasu do czasu spoglądali kątem okna na Mila i pokrojone trupy leżące na podłodze, jakby bali się go i tego, do czego był zdolny. Po około dziesięciu minutach zjawiał się oficer, który przybył jako pierwszy, i po krótkiej rozmowie skinął na Mila, żeby poszedł za nim.

— Chodź – powiedział Milo do Jan. – Trzymaj się blisko mnie i zachowuj się spokojnie, cokolwiek się będzie działo.

Eskortowani przez trzech oficerów i sześciu żołnierzy weszli na spiralne schody. Na następnym poziomie również leżało wiele ciał, lecz byli to Wojownicy Niebios. Skądś dochodziły krzyki i strzały ale w tej części sterowca Władcy *Panglotha* walki się już skończyły. Mila i Jan popędzono głównym korytarzem w kierunku wejścia do pomieszczenia kontrolnego, po czym skierowano do łazienki inżynierów. Zatrzaśnięto za nimi drzwi, lecz nikt nie próbował rozbroić Mila.

— Uff... – powiedział i jego ciało nagle oklapło. Rzucił miecz na podłogę i podszedł do jednego z basenów. Leżąc na jego skraju zaczął spryskiwać wodą głowę i twarz. Jan zdawało się, że jego ciało się kurczy.

— Dobrze się czujesz? – spytała.

— Nie, ale poczuje się lepiej, gdy dostanę coś do jedzenia. Straciłem dużo z moich zapasów energetycznych podczas tych śmiesznych gier i zabaw. – Wypił mnóstwo wody, po czym zdjął zniszczony kombinezon i zaczął zmywać krew z ciała.

— Czy jesteś czarownikiem? – spytała, przypominając sobie, z jaką niezwykłą szybkością rozgromił tłum żołnierzy.

— Ja? Nie! – odpowiedział niedbale. – Myślę jednak, że mogłabyś mnie określić jako wytwór czarodziejski. Obdarzono mnie bardzo silnym metabolizmem. Moja przemiana materii nie jest podobna do twojej, która, choć zdecydowanie różni się od Głównego Wzorca, pozostaje w gruncie rzeczy... hm... ludzka.

— Nie jesteś człowiekiem?

— Technicznie mówiąc, nie.

— Gdzie cię skonstruowano? Na Marsie? Potrząsnął głową.

— Nie, dużo wcześniej, przed Marsem.

— Przed Marsem? – spytała zdziwiona. – Co masz na myśli? Milo ziewnął.

— Później. Objasnię ci to potem. Teraz potrzebuję trochę snu.

Ku jej zdziwieniu położył się na podłodze, wykorzystując zwinięty kombinezon jako poduszkę i zamknął oczy.

— Jak możesz spać w tak trudnej sytuacji? – krzyknęła.

— Muszę. Muszę się ponownie naładować... to nie będzie długo trwało... weź miecz... obudź mnie, gdybym... zasnął.

Jan przyglądała mu się przez chwilę, po czym zrobiła, co jej polecił. Podniosła miecz i usiadła obserwując drzwi. Opierała plecy o ścianę, trzymając miecz pomiędzy nogami. Czuła się również zmęczona, lecz była zbyt niespokojna, by zasnąć. Zbyt się też martwiła o Ceri.

Minęły jakieś dwie godziny. W tym czasie wiele się wydarzyło

na pokładzie. Sterowiec Władcy Panglotha kilka razy drgnął, czemu towarzyszył każdorazowo przechył podłogi, lecz Jan nie miała pojęcia, co to oznacza. Pod koniec drugiej godziny Milo obudził się nagle, wstał i szybko włożył swoje podarte i zbroczone krwią ubranie.

— Jest spokojnie? – spytał.

— Nie, lecz nikt tu nie wchodził – powiedziała Jan. – Jak się czujesz?

— Lepiej. Ale wciąż potrzebuję jedzenia. – Podeszedł do basenu i napił się wody.

— Wydawałeś śmieszne odgłosy przed obudzeniem – rzekła. – I krzywiłeś się.

— Sny. Złe sny. – Skropił wodą twarz, otarł ją i wstał. Spojrzał na Jan i uśmiechnął się. Uśmiech ten wydał się jej wymuszony. Widocznie to, co mu się śniło, przeraziło go.

— Jak ty się czujesz? – spytał.

— Niezbyt dobrze – przyznała. – Jak sądzisz, co z nami będzie?

— To zależy, czy potrafię przekonać tego, kto kieruje tą zgrają dzieci Wschodzącego Słońca, że mogę im zaoferować coś, czego pragną.

— Co to jest?

— Mówiłem ci: informacja.

— Tak, ale na jaki temat? – spytała niecierpliwie.

Zanim zdążył odpowiedzieć, dobiegły ich jakieś odgłosy zza drzwi. Milo wskazał z niepokojem na miecz. Szybko mu go podała. Drzwi otworzyły się z hukiem. Jakiś oficer ostrożnie wkroczył do pomieszczenia. Jan nie była pewna, czy już go widziała, czy był to ktoś nowy. Miała kłopoty z rozróżnianiem tych ludzi. Za nim weszło czterech żołnierzy. Oficer potrząsnął głową i powiedział coś bardzo szybko. Milo przytaknął.

— Idziemy z nimi – rzekł do Jan. Zostaniemy uhonorowani audiencją u samego wodza. Wyprowadzono ich i skierowano do dzielnicy Arystów. Korytarze uprzątnięto już z ofiar, lecz wciąż spotykało się kałuże zakrzepłej krwi. Wszędzie widać też było napastników, śpieszących tam i z powrotem wzdłuż korytarzy i załatwiających jakieś bardzo ważne sprawy. Nie pozostał nawet ślad po dotychczasowych mieszkańcach tej dzielnicy, Arystach. Jan domyśliła się, że gdzieś ich zgromadzono. Znow zaczęła się martwić o Ceri.

Celem ich wędrówki, jak się wkrótce przekonała, był wielki salon, lecz gdy wraz z Milem weszła do środka, spostrzegła, że nastąpiły tu zmiany. Z sufitu zwisały kolorowe chorągwie, a pomieszczenie podzielone zostało zasłonami, na których wymalowane były pejzaże górskie, jeziora, dziwnie wyglądające drzewa i inne rzeczy, których Jan nie rozpoznała.

— Dekoratorzy się już wprowadzili – wymamrotał Milo.

Eskorta wskazała im, że mają postąpić naprzód. Żołnierze cofnęli się za zasłony. Jan i Milo przeszli przez cztery obszary oddzielone zasłonami, zanim dotarli na miejsce. Na podium, gdzie zwykle zasiadał na tronie Caspar, znajdował się teraz inny mężczyzna, siedzący na zupełnie innym tronie. Obok niego wisiała czerwona chorągiew, na której wymalowany był jakiś dziwny czarny gad, ziejący ogniem. U stóp mężczyzny dostrzegła dwie kobiety ubrane w specjalne togi, z twarzami umalowanymi na przeraźliwie biały kolor.

Jednak uwaga Jan skupiła się na czymś innym. Po obu stronach tronu dowódcy wbite były dzidy, a na każdej z nich umieszczono straszną głowę. Jan dojrzała najpierw martwe oczy księcia Caspara, a później lady Jane.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

— Pragnęłaś zemsty – szepnął jej Milo do ucha, podchodząc do podium – więc ją masz.

Jan nie odpowiedziała. Jej spojrzenie utkwione było w twarzy Caspara. Poczowała się niedobrze. Wtem oficer, dowodzący eskortą, krzyknął coś, co prawdopodobnie oznaczało, że mają się zatrzymać. Znajdowali się w odległości około piętnastu stóp od podium.

Członkowie eskorty ukłonili się nisko, gdy mężczyzna siedzący na tronie powstał. Był o wiele wyższy niż pozostali najeźdźcy. Jego ubiór, uszyty z kwadratowych kawałków materiału, podobnie jak ubranie żołnierzy, był tak skrojony, że mężczyzna wydawał się potężniejszy. Przeciętą kobietą minerviańską wyglądałaby przy nim bardzo drobno. Spojrzał na nich. Z wyrazu jego oczu nie dało się odczytać ani myśli, ani nastroju. W pewnej chwili rzekł w czystym języku amerykańskim: — No cóż, Milo Haze, to już kawałek czasu... Gdzie się ukrywałeś przez te ostatnie cztery stulecia?

Zdziwiona Jan spojrzała na Mila i zobaczyła, że i on jest zaskoczony. Zmarszczył brwi, wpatrując się w dowódcę.

— Znam cię? – spytał.

— Spotkaliśmy się kilka razy na konferencjach biotechnicznych. Zapewne trudno ci mnie teraz poznać. Trochę się zmieniłem. – Wysoki mężczyzna uśmiechnął się. – Ty za to zmieniłeś się niewiele. Przynajmniej zewnątrz. Z tego, co donieśli mi o twoich czynach moi samurajowie, wnioskuje, że przeszedłeś bardzo szczególne przeobrażenie.

Milo skinął głową, po czym rzeki zdziwiony: — Więc i ty jesteś

nieśmiertelny...

— Tak, rzeczywiście. I do dziś sądziłem, że jestem ostatnim żyjącym nieśmiertelnym. Nazywam się Shumi Horado. Przypominasz mnie sobie teraz?

— Horado... – powiedział Milo powoli. – Spółka Horado. Tak, przypominam sobie. Byłeś wtedy mężczyzną drobnej budowy, łysiejącym...

Dowódca znów nieznacznie się uśmiechnął i położył dłoń na piersi.

— Wszystko jest marnością, prawda, panie Haze? Dodałem sobie trzydzieści cali wzrostu i gęste włosy na głowie. Ty za to wybrałeś łysinę i oczy o różnych kolorach, lecz także niezwykłą siłę. Nie chcąc się narazić na impertynencję, sądzę, że o tym ostatnim fakcie musimy pomówić najpierw. Zauważyłeś na pewno, że zaufałem ci i pozwoliłem zatrzymać miecz, który, jak przypuszczam, odebrałeś siłą jednemu z moich żołnierzy. Na wypadek jednak, gdyby wpadła ci do głowy myśl użycia go przeciwko mnie – wierzę, że tego nie zrobisz – pamiętaj, że jestem chroniony.

Klasnął w dłonie. Zasłony okalające podium zwinęły się natychmiast, ukazując żołnierzy trzymających coś w rodzaju bardzo małych karabinów.

— To broń automatyczna – powiedział dowódca. – Rzekłbym, że to nasza jedyna sprawna broń. Znalazłem kryjówkę, w której się doskonale przechowała przez prawie osiemdziesiąt lat. Chciałbym cię ostrzec, że mimo całej twojej szybkości, panie Haze, będziesz martwy, zanim zdążysz mnie dotknąć.

— Nie mam zamiaru zachowywać się w taki sposób – powiedział Milo. – Moje gwałtowne czyny przy użyciu broni miały głównie za zadanie zwrócenie twojej uwagi. Choć,

oczywiście, nie miałem pojęcia, kim jesteś. Jak zapewne ci powiedziano, mam dla ciebie pewną propozycję.

— Tak, poinformowano mnie. – Dowódca znów klasnął w dłonie. Tym razem zza ściany wyłonili się służący, niosący małe składane krzeselka, które umieścili pomiędzy Jan a Milem. Dowódca skinął, by usiedli, po czym powrócił na tron. – Lecz zanim zaczniemy mówić o interesach, panie Haze, dopełnijmy kilku tradycyjnych formalności. Zapraszam cię wraz z twoją towarzyszką na kieliszek sake. – Klasnął w dłonie po raz trzeci.

Oszłomienie Jan wzrosło, gdy służący przyniósł mały puchar zawierający przezroczystą ciecz. O co chodzi? Skąd Milo zna tego przerażającego olbrzyma? Co oznacza cała ta rozmowa o nieśmiertelności? Spojrzała na księcia Caspara zatkniętego na dzidzie. Jego usta były otwarte w niemym krzyku. Wargi stały się całkiem białe. A jeszcze przed paroma godzinami całowała je... Były też i inne głowy. Gdy zwinięto materię, ujrzała cały rząd dzid po obu stronach okien. Kolejne zasłony nie pozwalały dostrzec, jak daleko sięgają rzędy odciętych głów, lecz domyśliła się, że biegną wokół całego salonu. Jeśli tak, to znaczy, że wszyscy Aryści zostali zabici.

Wypiła łyk napoju. Był gorzki i sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu. Lecz fala ciepła, jaka ogarnęła ciało, sprawiła jej przyjemność.

— Kim jest twoja młoda towarzyszka? – spytał dowódca. Drgnęła, zorientowawszy się, że chodzi o nią.

— Nazywa się Jan Dorvin. Jest z Minervy. To jedna z ostatnich. Władca Pangloth zniszczył jej miasto i jest teraz pod moją opieką. Cokolwiek ustalimy wspólnie, dotyczy również i jej.

Dowódca lekko wzruszył ramionami.

— Jak sobie życzysz. – Spojrzał na Jan. – Silny okaz –

skomentował. – Zupełnie nie w moim typie. – Znow zwrócił się do Mila. – Przypominam sobie, że dawnymi czasy twoje podejście do kobiet było wręcz legendarne. Jedna z plotek, jakie słyszałem później, nawet mnie zdziwiła. Chodziło o kobietę o imieniu chyba Miriam.

— Miranda – rzekł Milo ostro.

— Czy w tej plotce było choć trochę prawdy?

— Tak. Była prawdziwa. Dowódca zachichotał.

— Jak mówiłem, wszystko jest marnością. Co się z nią stało?

— Zmarła.

— Przepraszam – dowódca pochylił głowę. – Widzę, że ten temat jest ci wciąż nieobojętny, pomimo upływu tylu lat. Lepiej porozmawiajmy o tym, jak udało ci się przeżyć te wszystkie lata.

— Wyruszyłem poza planetę – rzekł Milo. – Udało mi się dostać na jeden z ostatnich statków, zanim mieszkańcy sfer pozaziemskich wprowadzili kwarantannę. Udałem się do Belvedere, jednej ze społeczności w kosmosie.

— Belvedere? Ach tak, pierwsza i największa z kolonii – powiedział dowódca. – Czy wciąż istnieje? Zdarzało mi się słuchać transmisji z Belvedere i innych miejsc przed laty, lecz nasze urządzenia radiowe od dawna są zepsute.

— Belvedere wciąż istnieje. Tak jak i pozostałe trzy społeczności i kolonie na Marsie.

Kolonie na Księżycu wymarły już dawno. Nie były samowystarczalne, a inne społeczności pozaziemskie nie mogły się z nimi dzielić swymi zapasami.

— Jak długo przebywałeś na Belvedere?

— Tak długo, jak mogłem. Do czasu, gdyby pojawił się ów problem nie do uniknięcia.

Chodzi mi oczywiście o problem nieśmiertelności.

— Czy mieszkańcy Belvedere nie byli liberami?

— Wprost przeciwnie. A poza tym, gdyby odkryli, że jestem nieśmiertelny, od razu by mnie uznano za szefa spółki genetycznej lub przywódcę państwa. Zostałbym skazany z powodu nieśmiertelności lub jako przestępca wojenny.

— Jaka więc była twoja decyzja? – spytał dowódca.

Pomiędzy społecznościami pozaziemskimi kursuje regularna komunikacja. Kilka razy zrobiłem wycieczkę w charakterze ochotniczego członka załogi do innego miasta w przestrzeni – Creuse. Gdy z kolei pojawiła się możliwość podróży do kolonii na Marsie, zdecydowałem się na to. To była długa podróż. – Milo westchnął. – Zrobiłem to, co musiałem. Moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie. – Spojrzał na dowódcę. – Rozumiesz?

— Tak, oczywiście.

Milo zerknął przelotnie na Jan, po czym ciągnął dalej.

— Podróżowaliśmy w szóstkę. Tylko ja dotarłem żywy na Marsa. Powiedziałem, że innych zabił nagły spadek ciśnienia, spowodowany zbliżeniem się małego meteorytu. Ja przetrwałem, gdyż zajmowałem się w tym czasie pracami konserwatorskimi w oddzielnej części statku i miałem na sobie skafander. Uwierzono mi. Dowódca spytał: — Ale w jakim stopniu poprawiło to twoją sytuację? Istniała łączność radiowa pomiędzy Belvedere a kolonią na Marsie. Marsjanie mogli się dowiedzieć, kim byłeś i, co najważniejsze, ile masz lat.

— Zamieniłem moje dane identyfikacyjne z jednym z pozostałych członków załogi. To pozwoliło przekonać mieszkańców Belvedere, że zginąłem.

— I ten podstęp nie został nigdy odkryty? Milo potrząsnął głową.

— Belvederianie chcieli, by ten, który przeżył, powrócił na

Belvedere i stanął przed sądem, lecz poprosiłem o azyl polityczny na Marsie. Jak wiesz, pomiędzy Marsiem a Belvedere istnieją różnice polityczne. Marsjanie odmówili mojej ekstradycji, mówiąc, że rezultaty ich śledztwa w sprawie tragedii powinny Belvederianom wystarczyć.

— Tak więc pozostałeś na Marsie.

— Tak długo, jak mogłem – przyznał Milo. – W końcu pojawił się ten sam problem. Za parę lat miałem obchodzić moje dwusetne urodziny.

— I jakie znalazłeś rozwiązanie?

— Mniej więcej takie, jak poprzednio. Wziąłem udział w wyprawie do Błyszczącej Gwiazdy, najpóźniej założonej kolonii w kosmosie. Miała to być wyprawa handlowa. Wiedzieliśmy, że członkom tej społeczności udało się dokonać syntezy całego szeregu leków, których zapas na Marsie wyczerpał się już wcześniej. Za to zamierzaliśmy im dać nasiona roślin, które podniosłyby wydajność ich ogrodów hydroponicznych. Tak naprawdę, to wyprawa nie była konieczna i pochłonęła całą masę kosztownych zapasów, lecz dzięki niej udało mi się zyskać pewną szansę.

Dowódca skinął głową z uznaniem.

— Statek nigdy nie dotarł do Błyszczącej Gwiazdy – rzekł Milo. – Nie mogłem na to pozwolić. Błyszcząca Gwiazda i Belvedere podpisały porozumienie. Pomiedzy nimi kursowała regularna komunikacja i nie mogłem podejmować ryzyka napotkania kogoś z Belvedere lub Błyszczącej Gwiazdy, kto żył w czasach, gdy opuszczałem tę społeczność. Prawdopodobieństwo było małe, ale istniało.

— Więc jakie nieszczęście przytrafiło się tej ekspedycji? – spytał dowódca.

— Wyciek w głównym zbiorniku z paliwem. W żaden sposób nie mogliśmy dolecieć do Błyszczącej Gwiazdy, lecz mieliśmy dość paliwa, by dotrzeć do przestrzeni okołoziemskiej i za pomocą sił grawitacyjnych pokonać pozostały odcinek. Statek jednak nie nadawał się do tego, by wchodzić w ciężką atmosferę ziemską, i rozbił się po drodze. Wraz z częścią załogi wylądowałem w morzu w kapsule awaryjnej. Dryfowaliśmy przez dłuższy czas i inni, hm... nie mający moich specjalnych właściwości, zmarli. Wyłowili mnie morska społeczność, wśród której żyłem do czasu, aż została zaatakowana przez Władcę Panglotha i wzięto mnie do niewoli. I tak to wyglądało do czasu, gdy pojawiliście się wy.

Jan wiedziała, że nie powiedział wszystkiego. Ceri mówiła jej, że Milo przekonał członków społeczności morskiej, by się przenieśli w rejony bliższe lądu. Dlaczego? Miał widocznie jakiś powód.

Dowódca spojrzał na Mila podejrzliwie i powiedział: — I właśnie w czasie pobytu na pokładzie sterowca Władcy Panglotha odkryłeś coś, co, jak sądzisz, może mieć dla mnie dużą wartość? Przyznaję, że jestem ciekawy. Milo uśmiechnął się do niego. Jan znała ten uśmiech i nie lubiła go.

— Zanim ci powiem – rzekł Milo – chcę poznać twoje losy w ciągu minionych lat.

Dowódca machnął nonszalancko ręką.

— Panie Haze, w przeciwieństwie do ciebie, ja wiodłem po Wojnach Genetycznych dość monotonne życie. Od czasu, gdy znalazłem się na pokładzie *Pachnącego Wietrzyka*, co było niewątpliwie dość dużym osiągnięciem i wiązało się z pożałowania godnym rozlewem krwi, jestem bezpieczny. Posiadam w swych rękach całą władzę, wobec czego moja

nieśmiertelność nie stanowi problemu. Tradycyjne upodobanie Japończyków do posłuszeństwa wobec władzy działa na moją korzyść, to jasne. Modyfikacja, jakiej poddano moje ciało, dodała mi jeszcze boskości. Moi podwładni zresztą oczekują, że będę zawsze nieśmiertelny. To jest korzyść, panie Haze, z życia wśród społeczności kulturowo zacofanej, w przeciwieństwie do życia pomiędzy twoimi technokratami z kosmosu.

— Masz dużo szczęścia – przyznał Milo.

Dowódca spojrział w kierunku odciętej głowy księcia Caspara, po czym wskazał na długi rząd głów Arystów.

— Czy doprawdy nie jest ciekawe, że ci Amerykanie również okazali się zacofani kulturowo? Nie rozumiem, przyznaję, dlaczego wprowadzili styl życia wzorowany na średniowieczu europejskim, skona taka społeczność nie istniała w kulturowej świadomości Amerykanów. Może mógłbyś, jako Amerykanin, wyjaśnić tę tajemnicę.

— Stare filmy – rzekł Milo krótko. – Masz rację, to nie jest autentyczny regres kulturowy. Te wszystkie meble i pozostała szmira przypominają stare filmy. – Opowiedział o seriach fantastycznych „rozrywek”, które widziała Jan.

Dowódca roześmiał się.

— Jakie to typowo amerykańskie – rzekł. Po czym dotknął głowy lady Jane i musnął jej policzek końcami palców.

— Przestań!

Nikt nie zdziwił się bardziej niż Jan, że to jej usta wypowiedziały te słowa. Nastąpiła martwa cisza, po czym dowódca powoli odwrócił głowę w jej stronę. Dosłyszała, jak Milo westchnął, po czym rzekł: – Proszę, wybacz mojej towarzyszce. Jej maniery stanowczo nie odpowiadają tu wymaganym. Znała tę nieboszczkę po twojej lewej stronie, hm, intymnie. Dowódca

przeniósł wzrok na Mila.

— Niewolnica minerviańska miała intymne stosunki z kimś z rządzących *Władcą Panglothem*? – spytał ze zdziwieniem. – Jak to się stało?

— To długa, lecz dość interesująca historia... – zaczął Milo.

Jan poczuła kolejną falę wściekłości. Rozmawiali tak, jakby jej tu nie było, i choć dowódca onieśmielał ją i wiedziała, że mądrzejsze byłoby zachowanie rozwagi w jego obecności, nie mogła się powstrzymać i wtrąciła się do rozmowy.

— Nie wystarczy ci, że wymordowałeś tych wszystkich ludzi? Czy musisz również ich zwłokom okazywać brak szacunku?

Głowa dowódcy zwróciła się powoli w jej kierunku. Znowu zapadła długa cisza, przerywana ledwie słyszalnym szeptem Mila: – Jezus...

Wtem dowódca rzekł do Jan:

— Dziewczyno, z powodu twojej impertynencji mógłbym rozkazać, by cię stąd zabrano do pomieszczenia, w którym przymocowano by cię do drewnianej ramy, a następnie zdarto skórę z ciała. Każdy cal twojej skóry. Operację tę wykonuje się z dużą precyzją, co pozwala na zdjęcie skóry w jednym kawałku. Twoje bezskóre ciało zostałoby z kolei posolone, po czym wsunięto by cię ponownie w skórę i zszyto. Zostałabyś przyprawiona tutaj i jeśli uznałbym twoje przeprosiny za dostatecznie szczere, okazałbym ci łaskę i zezwolił na Szybką śmierć. Wystarczy tylko, bym klasnął w dłonie i rozpoczął całą procedurę... – Podniósł ręce, trzymał je w górze przez kilka długich chwil, po czym opuścił je na kolana. – Będę jednak łaskawy z dwóch względów. Po pierwsze, jesteś tu pod opieką Mila Haze i byłoby oznaką braku gościnności, gdybym postawił go w tak niezręcznej sytuacji. Po drugie, nie masz pojęcia, gdzie

jesteś, nie znasz roli kobiety w moim królestwie i wobec tego jesteś nieświadoma stopnia Obrazy, jakiej dopuściłaś się w stosunku do mnie. – Zwrócił się znowu do Mila. – Proszę, dokończ to, co zamierzałaś powiedzieć.

Podczas, gdy Milo pokrótce relacjonował wydarzenia dotyczące próby wysadzenia sterowca Władcy Panglotha w powietrze, Jan starała się zrelaksować i pozbyć ogromnego ciężaru na sercu. Nie miała wątpliwości, że jej życie wisi na włosku, że dowódca jest bardzo bliski wykonania swej pogróżki.

Gdy Milo skończył, dowódca odwrócił się do niej i całe jej ciało skurczyło się pod jego nieugiętym spojrzeniem. Trudno było powiedzieć, czy w tych oczach bez wyrazu pojawiła się jakaś oznaka szacunku dla niej.

Powiedział:

— Miałaś czelność skarcić mnie za zamordowanie tych ludzi – twoich poprzednich wrogów, a wcześniej sama zamierzałaś zniszczyć cały ten sterowiec i wszystkich żyjących na jego pokładzie. – Otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz gwałtownie je zamknęła. – Wolno ci mówić – powiedział dowódca.

Ostrożnie rzekła:

— Nie mogłam tego zrobić, gdy przyszedł czas. Nie byłam w stanie z zimną krwią zabić wszystkich tych ludzi.

— A ja byłem w stanie, to chciałaś powiedzieć? – Potrząsnął głową. – Niesłusznie mnie oskarżasz. Nie jestem okrutny. Nie miałem innej możliwości, jak tylko zlikwidować klasę rządzącą na pokładzie sterowca Władcy Panglotha. Nie było innego wyjścia. Zapewniam cię jednak, że zginęli szybko i w sposób humanitarny. A jeśli chodzi o tę barbarzyńsko nieco wyglądającą wystawę, to jest to po prostu najbardziej efektowny sposób zademonstrowania różnym społecznościom *Władcy Panglotha*,

że stary porządek nieodwołalnie się skończył, a jakakolwiek próba dalszego oporu nie ma sensu. – Zwrócił się do Mila: – Czy kiedykolwiek podejrzewałeś, że możesz być obłąkany?

Milo wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem. Upłynęło parę chwil, zanim odpowiedział, z wyraźną ostrożnością dobierając słowa.

— Obłąkany? Czy sprawiam na tobie wrażenie, że mógłbym...?

— Pytanie to bardziej było skierowane do mnie samego niż do ciebie – rzekł dowódca.

— Zdarzają się chwile, gdy myślę, że mógłbym być obłąkany i zastanawiam się, czy to nie byłby przypadkiem uboczny efekt nieśmiertelności. Co o tym sądzisz?

— Nie zauważyłem u ciebie żadnych objawów zachwiania równowagi psychicznej – powiedział Milo powoli. – Nie sądzę również, by nieśmiertelność mogła prowadzić do obłądzenia, choć gdyby ktoś żył tysiące lat, można by się spodziewać u niego napięć emocjonalnych o nieznanym charakterze. Możliwe, że byłby także znudzony życiem.

— Nuda – powiedział dowódca z namysłem. – Tak, czasami czuję się znudzony, lecz najbardziej złością mnie moje skłonności samotnicze. Sądzę, że wiąże się to z moim wyrafinowanym stylem życia. Od tak dawna odgrywam rolę boga w tym królestwie, nie mając wokół siebie nikogo, komu mógłbym zaufać, że zaczynani traktować tę rolę jako rzeczywistość. Co o tym myślisz?

Milo nadal ostrożnie dobierał słowa.

— Przypuszczam, że jest w tym pewne niebezpieczeństwo. Jednak fakt, że oceniasz to obiektywnie, wskazuje, że nie wszedłeś całkowicie w tę rolę.

— Jak dotychczas, nie – powiedział dowódca z lekkim

uśmiechem. – Muszę ci powiedzieć, panie Haze, że nasza dzisiejsza rozmowa bardzo mi się spodobała. Bez wątpienia twoja obecność stanowi dobrą terapię dla mojego umysłu. Bawi mnie również rozmowa po amerykańsku, po tak długiej przerwie. Czy wiesz, że sięgam pamięcią czasów, gdy twój język zwany był angielskim?

— Ja też – powiedział Milo. – Pamiętam nawet Anglię. Na miesiąc przed katastrofą wybrałem się do Londynu.

— Ach, tak – powiedział dowódca. – To ten reaktor. Nazywał się Czernobyl, prawda?

— Nie. Tamten znajdował się w Rosji. Wiele lat wcześniej. Nie przypominam sobie nazwy tego angielskiego. Różnica polegała na tym, że wypadek w Rosji nie spowodował zbyt wielkich szkód dzięki sprzyjającym warunkom pogodowym. W Anglii sytuacja była dokładnie odwrotna i to świństwo rozprzestrzeniło się na cały kraj.

— Co za nieszczęście – przyznał dowódca. – W porównaniu jednak do zniszczeń spowodowanych współcześnie przez zarazę, tamto zniszczenie małego państwa nie wydaje się istotne.

— Czy zaraza jest równie złośliwa w waszej części świata?

— Bardziej. Dlatego właśnie Władcy Niebios ze Wschodu walczą ze wszystkimi innymi i dlatego też ja tu się znajduję.

— Zastanawiałem się właśnie, w jakim celu podjąłeś tak daleką podróż – rzekł Milo.

— Nie miałem wyboru. Jak się zapewne domyślasz, system obrony laserowej *Pachnącego Wietrzyka* przestał działać. Całkowicie zepsuł się kilka lat temu. Moi rywale, Władcy Niebios ze Wschodu, odkryli to. Było już tylko kwestią czasu, kiedy *Pachnący Wietrzyk* stanie się ofiarą udanego ataku innego Władcy Niebios. Zdecydowałem się więc zaryzykować daleki lot

nad inny kontynent, gdzie nie znana byłaby ta słabość *Pachnącego Wietrzyka*. Chciałem zaatakować pierwszego Władcę Niebios, jakiego spotkam, w nadziei, że moi samurajowie zdołają go podbić, zanim obrońcy uświadomią sobie, że nie mam obrony laserowej. – Wzruszył swymi szerokimi ramionami. – Plan poskutkował. W momencie, gdy wojownicy *Panglotha* zorientowali się, że mogą bezkarnie strzelać do mojego sterowca, było już za późno. Moi żołnierze użyli karabinów.

— Chociaż nieszczęście zdawało się już bliskie – powiedział Milo.

— To prawda, lecz muszę przyznać, że nigdy nie obawiałem się o rezultat. – Uśmiechnął się. – Widzisz, to kolejny dowód mojego przekonania o własnej wszechmocy.

— Co więc zamierzasz teraz?

— Chcę ustanowić moją bazę na sterowcu Władcy *Panglotha*. Większość dotychczasowych mieszkańców tego sterowca – ci, którzy przetrwali – zostanie przeniesiona na *Pachnący Wietrzyk*, gdzie będą przebywać pod ścisłą, acz łagodną kontrolą. Z kolei, dysponując flotą złożoną z dwóch statków, planuję jej dalsze powiększenie, do chwili, aż zapanuję nad wszystkimi obszarami składającymi daniny, co na dłuższy czas zapewni przetrwanie moim ludziom i mnie.

— Brzmi to sensownie – przyznał Milo. – I mam nadzieję, że uda nam się zawrzeć umowę, dzięki której moja towarzyszka i ja będziemy mogli uczestniczyć w tej twojej świetlanej przyszłości. Jako zapłata za to, co mam ci do zaoferowania.

— Jak rozumiesz ową zapłatę?

— Hm. Chciałbym rozumieć ją jako prezent. A jeśli chodzi o jej formę – Milo rozejrzał się po wielkim salonie – to mam na myśli to wszystko wokół ciebie. *Władca Pangloth* jako taki byłby chyba

odpowiedni.

Po dłuższej chwili dowódca powiedział cicho: – A cóż takiego mógłbyś mi zaoferować, co byłoby warte całego Władcy Niebios?

— Całkiem nowy egzemplarz Władcy Niebios, oczywiście – odpowiedział otwarcie Milo. – Władcę Niebios, znajdującego się, mówiąc w przenośni, jeszcze w opakowaniu.

Całkowicie nowego, wypolerowanego i napełnionego drogocennym helem. Będzie działał o wiele sprawniej niż jakikolwiek z istniejących Władców Niebios, z których każdy powoli zaczyna się rozpadać, jak dokładnie wiesz. Będzie to prawdziwy latający skarbiec, całkowicie twój. Dowódca rzekł oschle: – A gdzie ukryłeś tego twojego dziewiczego Władcę Niebios?

— Nie Władcę Niebios, ale Anioła Niebios – poprawił Milo. – A przebywa on, oczywiście, w Raju. – Milo uśmiechnął się i wskazał w górę.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY PIERWSZY

— Czy naprawdę zamierzasz współpracować z tym... potworem? – spytała Jan.

Milo nie przerywał jedzenia, zręcznie używając dwóch pręcików, które określał mianem „pałeczek”. Oczekiwała z niecierpliwością jego odpowiedzi, rozglądając się po małym pomieszczeniu służby Arystów, które otrzymali do swojej dyspozycji. W końcu Milo przełknął z zadowoleniem i powiedział: — Ależ pyszne! Jakże wspaniale smakuje mi jedzenie po tylu latach. Czy na pewno nie chcesz dokładki? Zjadłaś tylko trochę ryżu.

— Nie jestem głodna. Poza tym wszystkie te dania zawierają mięso.

— Nie, nie wszystkie – podniósł miskę ponad stołem i podał jej.

— To ryba.

Spojrzała na białe, błyszczące kawałki mięsa i skrzywiła się.

— Mięso rybnie jest także mięsem.

— Prawda – powiedział i włożył kawałek ryby do ust. Odwróciła wzrok z niesmakiem.

— Czy zamierzasz odpowiedzieć na moje pytanie? – nalegała.

— Wszystko w swoim czasie – odparł. – Dlaczego nie usiądziesz w spokoju i nie spróbujesz się odprężyć? Dzisiejsze wydarzenia doprowadziły do bardzo zadowalających wyników.

— Może dla ciebie.

— Dla ciebie również. Po pierwsze, wciąż posiadasz swą skórę,

pomimo ciągłych wysiłków zmierzających do jej utracenia. Sam miałem ochotę cię zabić, kiedy zaczęłaś to szalone trajkotanie.

— Nie mogłam się opanować. Zdenerwował mnie sposób, w jaki dotykał głowy lady Jane, tak, jakby to była jego zabawka.

— Lady Jane to już przeszłość, więc dlaczego ci to przeszkadza? – spytał Milo, jedząc kolejny kawałek ryby.

— Nie masz szacunku dla zmarłych? – spytała chłodno.

— Nie mam zbyt wiele szacunku dla żywych, dlaczegóż więc miałbym traktować martwych w inny sposób? – rzekł z uśmiechem. Jan spojrzała nań i skinęła głową.

— Tak, w gruncie rzeczy nie różnisz się od niego. Obaj jesteście mordercami, on tylko zabija na szerszą skalę.

— Nie powinnaś się tak zwracać do swego opiekuna – odparł spokojnie. – Gdyby nie ja, podzieliłabyś los potępionych. Gdy mówił o obdzieraniu cię ze skóry, nie żartował.

— Tak, wiem – powiedziała Jan i zadrżała. Owinęła się ramionami.

Milo spojrzał na nią podejrzliwie.

— Byłoby tragedią, gdyby swą pogroźkę wprowadził w czyn; skóra stanowi jeden z twych największych atutów. Szkoda tylko, że znów zdecydowałaś się na zakrycie większej jej części. Woląłem cię w ubiorze Arystów.

— A ja nie.

Gdy znaleźli się z Milem w jednym pomieszczeniu, poprosiła go, by przekazał eskortującym ich ludziom prośbę o zmianę odzieży. Na początku przyniesiono jej dziwną suknię, podobną do tych, jakie miały na sobie kobiety siedzące u stóp dowódcy. Zdziwiono się, gdy odmówiła jej noszenia i poprosiła w zamian o odzież męską. Za drugim razem dostarczono jej ubiór, który nosiła obecnie – obszerną kurtkę i spodnie, jedno i drugie czarne.

Problemem był brak guzików czy innych zapięć przy kurtce i jedynym sposobem zapobieżenia rozchyłaniu się kurtki było przewiązanie jej szmacianym paskiem, nie pasującym do całości. Mimo wszystko ta odzież sprawiała wrażenie wygodnej.

Milo skończył rybę i wziął kolejną miskę.

— Wodorosty – rzekł zachęcająco. – To możesz jeść bez naruszania zasad minerviańskich.

— Mówiłam ci, że nie mam apetytu. Jestem w zbyt dużym napięciu i denerwuję się.

— Z jakiego powodu? Nie znajdujemy się w bezpośrednim niebezpieczeństwie, mamy jedzenie, schronienie, ciepłe łóżko. Wszystko rozwija się zgodnie z moim planem.

— Nie denerwuję się o siebie, lecz o Ceri – powiedziała. – Dlaczego nie chcesz zrobić tak, jak cię prosiłam, i przekonać mnie, że jest bezpieczna?

— Gdyż proszę dowódcę i jego służbę o załatwienie wystarczająco dużej ilości spraw.

Nie mogę równocześnie zabiegać o odszukanie Ceri, nawet jeśli to jest twoja nałożnica.

— Nie jest – przerwała mu, czując, jak jej twarz robi się czerwona. Milo zaśmiał się.

— No, no, no, amazonko. Oblałaś się rumieńcem zakochanej. Nie do wiary, jakie bogate życie seksualne wiodłaś w ciągu ostatnich paru miesięcy: z księciem Casparem, lady Jane i twą drogą nimfą morską. Jakże różnisz się od tej skromnej, małej Minervianki, którą spotkałem w dniu jej przybycia na pokład sterowca Władcy Panglotha.

— Wiesz przecież, dlaczego spałam z Casparem i lady Jane – powiedziała ze złością. – Ale mylisz się, jeśli chodzi o Ceri. Tak, przyznaję, że kocham się w niej, lecz nie jesteśmy kochankami.

To jej wybór, nie mój.

— Nigdy z nią nie spałaś? – spytał z uśmiechem.

— To nie twoja sprawa.

— Tak myślę – rzekł i zaśmiał się znowu. Jan starała się opanować swój temperament.

— Milo, proszę. Błagam cię, pomóż mi się dowiedzieć, co się z nią stało.

Milo odłożył pałeczki – wszystkie miski zostały już opróżnione – i spojrzał na nią podejrzliwie.

— Bardzo dobrze – powiedział w końcu – lecz w zamian chcę współżyć z tobą. Teraz, tu – wskazał na łóżko. – Co ty na to?

Na myśl o intymnym zbliżeniu z Milem przez jej ciało przebiegła fala wstrętu. Chciała zaprotestować, lecz się powstrzymała; musiała myśleć o Ceri. Po długim wahaniu rzekła cicho: — Jeśli tego chcesz, zrobię to. Otworzył oczy ze zdziwienia.

— Dlaczego czujesz do mnie taką wielką niechęć? Co cię ode mnie tak odpycha? Byłaś w końcu zdolna do pokonania swych seksualnych minerviańskich zwyczajów, gdy trzeba było sypiać z księciem Casparem, człowiekiem, który ponosi winę za zniszczenie twych rodaków. Może wydają ci się odpychający fizycznie? Nie może to być na pewno mój zapach, gdyż nie posiadam żadnego.

Jan wydawał się on rzeczywiście odpychający fizycznie, lecz nie potrafiła powiedzieć, dlaczego. Nie decydowało o tym jego ciało, lecz on jako taki. Im więcej o nim wiedziała, tym bardziej coś ją odpychało. Miał rację, mówiąc, iż nie jest istotą ludzką. Zdawał się dumny z tego powodu, lecz w niej budziło to atawistyczną trwogę... i uczucie wstrętu.

— Więc? – spytał niecierpliwie.

— Proszę, oddam ci się w zamian za to, że odnajdziesz Ceri,

lecz nie mieszajmy w to moich uczuć osobistych. Nigdy nie okazywałeś im zbyt wielkiego szacunku, dlaczego więc teraz się nimi przejmujesz?

Zaczęła rozwiązywać węzeł u paska. Milo podniósł rękę.

— W porządku. Chciałem cię tylko sprawdzić. Tak dla zabawy. Mocno się dziś wypompowałem, więc moje libido jest tak niskie jak napięcie w zużytej baterii. Nie mógłbym z tobą spać, gdyż nie sprawiłoby mi to przyjemności.

Poczuła jednocześnie ulgę i rozczarowanie.

— A co będzie z Ceri?

— Zapomnij o niej – powiedział chłodno. – Jeśli żyje, zostanie teraz bez wątplenia przeniesiona na pokład *Pachnącego Wietrzyka*.

Wskazał na światła drugiego Władcy Niebios, widoczne poprzez małe okienka. Dwa olbrzymie sterowce unosiły się teraz obok siebie, połączone płataniną lin. Lekkie drewniane pomosty łączyły oba kadłuby. Wcześniej Jan i Milo obserwowali wędrówkę grupy pokonanych z pokładu *Władcy Panglotha* poprzez te pomosty na pokład *Pachnącego Wietrzyka*.

— Ty draniu! – powiedziała Jan z wściekłością. – Ty okrutny draniu! Jakże mam o niej zapomnieć? Jest dla mnie wszystkim.

Milo nalał sobie do szklanki napój zwany sake. Opróżnił szklankę, po czym rzekł: – Musisz być realistką. Ryzykuję, uwzględniając w mych planach ciebie. Nie ma możliwości, by zrealizować to we trójkę.

— Zrealizować to? Zrealizować to gdzie? – spytała, marszcząc brwi.

— Na ziemi. Zamierzamy zeskoczyć ze statku. Nie teraz, oczywiście, lecz za dwa dni, gdy zbliżymy się do ruin stacji orbitalnej Armstrong. Jan zdziwiła się.

— Ale dlaczego? Myślałam, że chcesz tam dotrzeć. Powiedziałaś dowódcy, że tam się znajduje to latające urządzenie.

— Jesteś wciąż bardzo naiwna, Jan, pomimo wszystko – powiedział z westchnieniem. – Czy myślisz, że naprawdę ufam temu człowiekowi? Kiedy tylko otrzyma to, czego pragnie, rozkaże, by mnie zabiło. Wyobrażam sobie również, jak się to stanie – zaprosi mnie na świąteczny obiad czy drinka i nagle jego żołnierze pojawią się z karabinami automatycznymi i uśmiercą mnie kulami. – Milo uśmiechnął się na tę myśl. – Poza tym Horado słusznie przypuszcza, że jego działalność w dotychczasowej formie wkrótce się skończy. – Milo nalał sobie kolejną porcję sake.

— Nie rozumiem – rzekła Jan. – Czy więc to wszystko, co powiedziałaś mu o Władcy Niebios, którego widziałaś w niebie, było nieprawdą?

— Ależ nie. To prawda.

Milo opisał dowódcy, w jaki sposób on wraz z innymi uczestnikami wyprawy z Marsa dokonali tego odkrycia. Tak rozpoczął swoje wspomnienia: – Stało się to wkrótce po tym, jak uszkodziłem główny zbiornik paliwa i zrezygnowano z prób dotarcia do Błyszczącej Gwiazdy, po czym skierowano się na Ziemię.

Znajdowaliśmy się w odległości 15000 mil, kiedy dojrzeliliśmy na radarze wielki obiekt nad nami. Był tak duży, iż sądziliśmy, że jest to kolejna kolonia, choć nie słyszeliśmy o tym, by jakaś piąta kolonia została zbudowana w przestrzeni. Wkrótce nasz komputer znalazł rozwiązanie tajemnicy. Obiekt nazywał się Raj, a nazwą tą określano stację orbitalną, w której konstruowano Anioły Niebios. Wywiązała się kłótnia – ciągnął Milo. – Większość

chciała wykorzystać resztki drogiego paliwa, by zmienić kurs i dotrzeć do Raju. Zakładano, iż urządzenie to może zawierać zapasy paliwa, które moglibyśmy zużyć. Głosowałem przeciwko temu pomysłowi, to jasne, gdyż ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem, było kontynuowanie podróży na Błyszczącą Gwiazdę. Zostałem jednak przegłosowany i nie miałem innej możliwości, jak tylko pozwolić pozostałym czynić to, co zamierzali. Muszę przyznać, że gdy wreszcie dotarliśmy do orbity, na której znajdowała się stacja, i zbliżyliśmy się do niej, Raj zrobił na nas wielkie wrażenie. Ujrzyliśmy olbrzymi walec o długości półtorej mili, otoczony rzędem receptorów słonecznych. Najbardziej zdumiewające było jednak to, co ujrzyliśmy w środku – Anioła Niebios. Wtedy nastąpiła kolejna niespodzianka. Gdy zbliżyliśmy się do stacji orbitalnej, drogą radiową spytano nas z Raju, kim jesteśmy. Przez krótką chwilę pomyślałem przerażony, że miejsce to jest zamieszkane, lecz okazało się, iż to tylko komputer nadawał sygnał. Poinformowaliśmy, kim jesteśmy, i poprosiliśmy o zgodę na wylądowanie, ale ponieważ nie potrafiliśmy nadać, co oczywiste, właściwego kodu autoryzacyjnego, komputer nie wydał zgody. Przypomniałem sobie, że stacja została opuszczona przez ludzi przed Wojnami Genetycznymi, kiedy przestała istnieć potrzeba budowy kolejnych Aniołów Niebios, ze względu na poprawiającą się, dzięki rewolucji genetycznej, sytuację Trzeciego Świata. Nie słyszałem jednak o tym, że pozostawiono tam ukończonego Anioła Niebios.

Jedynym możliwym wytłumaczeniem tej tajemnicy było, że komputer wciąż wykonywał zadany program po odejściu ludzi. Stacja w pewnością była sprawna pod każdym względem. Elektromagnetyczny parasol antymeteorowy wciąż

funkcjonował i zaobserwowaliśmy podobne do pajaków roboty, poruszające się po stacji i po pokładzie Anioła Niebios. Gdy próbowaliśmy wylądować, komputer wykonał szereg manewrów, uniemożliwiających nam to. Nie mieliśmy już paliwa, nie pozostało nam więc nic innego, jak zaprzestać prób i kontynuować spadanie w kierunku Ziemi.

Odtąd wiele myślałem o nowiutkim Aniele, znajdującym się w niebie. I w końcu zrozumiałem, jak działa. Komputer obsługujący stację oczekiwał sygnału z Ziemi, żądającego wysłania ukończonego Anioła Niebios do miejsca przeznaczenia. Przelot ze stacji, jak pamiętam, był również automatyczny. Należy więc wysłać właściwy sygnał, odczekać i wkrótce potem, ku naszej radości, nowiutki Anioł Niebios przybędzie do nas z kosmosu. Problem stanowi, oczywiście, odnalezienie właściwego sygnału i sposobu jego nadania.

— I przypuszczasz, że znasz ten sygnał? – spytał Mila wtedy dowódca.

— Tak, teraz znam – odparł Milo. – Pamiętałem również o tym, że Anioły Niebios konstruowane były przez centrum zarządzania Narodów Zjednoczonych. Musiałem tylko odkryć miejsce, w którym się ono znajduje, udać się tam i wysłać rozkaz do Raju. – Ale skąd wiesz, że to centrum zarządzania działa wciąż po tak długim czasie? – dopytywał się dowódca.

— Gdyż nawiązałem z nim kontakt. A dokładniej mówiąc, zrobiłem to za pomocą komputera. Tym właśnie zajmowałem się w pomieszczeniu kontrolnym *Panglotha*, gdy przybyli twoi wojownicy. Od czasu, gdy znalazłem się na pokładzie tego sterowca, próbowałem wymyślić metodę dotarcia do pomieszczenia kontrolnego. Sądziłem, że istnieje szansa, iż komputer *Panglotha* wciąż ma połączenie komunikacyjne z

centrum zarządzania. Problem polegał na tym, że nie mogłem się tam dostać, lecz moja mała towarzyszka znalazła się tam i weszła w środowisko Arystów. Dzięki niej odkryłem działające wyjście komputera w pomieszczeniu kontrolnym. Jednak żaden z wypróbowanych układów kodu komputera głównego nie przekazał odpowiedzi. Albo komputer główny ignorował sygnał, albo sygnał nie wydostawał się z powodu uszkodzenia sprzętu, bądź też na pokładzie sterowca *Panglotha*, bądź w centrum zarządzania. Uświadomiłem sobie, że próby na chybił-trafił, które podejmowała Jan, mogą trwać wiecznie i że muszę sam się dostać do wyjścia komputera. A gdy ty i twój *Pachnący Wietrzyk* pojawiliście się dziś – powiedział Milo do dowódcy – miałem w końcu doskonałą okazję. Nie zajęło mi zbyt wiele czasu wypróbowanie wszelkich kodów i otrzymałem odpowiedź od komputera w centrum zarządzania, tak, jak tego pragnąłem. Spytałem go więc, gdzie się znajduje, i odpowiedział mi. Centrum zarządzania usytuowane jest w odległości dwudziestu godzin lotu stąd w kierunku wschodniego wybrzeża. Gdy tylko dojdziemy do porozumienia, dam ci dokładne namiary.

Dowódca spytał:

— Lecz gdy dotrzemy do centrum zarządzania, w jaki sposób uda ci się odkryć sygnał, za którego pomocą można sprowadzić nowego Władcę Niebios na Ziemię?

— Ta informacja z pewnością jest przechowywana gdzieś w komputerze w centrum zarządzania. Jestem pewien, że po pewnym czasie uda mi się ją uzyskać. Więc jak, Shumi Horado, dowódcu niebios, czy dojdziemy do porozumienia?

Dowódca, jak można było przypuszczać, wyraził zgodę.

— Lecz jeśli to wszystko, co mu powiedziałaś, jest prawdą, to oddasz mu nowy sterowiec za darmo – powiedziała Jan

zaskoczona tym wszystkim i słuchająca z uwagą wspomnień swego towarzysza.

— Ależ nie, nie wszystko było prawdą – powiedział Milo z uśmiechem. – Centrum zarządzania nie znajduje się na stacji orbitalnej Armstrong, lecz w sąsiednim mieście, na szczycie budynku zwanego Niebiańską Wieżą. Przypominam ją sobie teraz. Bardzo charakterystyczna. Łatwo będzie można ją znaleźć, gdy dostaniemy się do miasta.

Ramię Jan drgnęło. Ogarnęło ją wyraźne zmęczenie. Usiadła na krześle i powiedziała znużona do Miła: – A w jaki sposób dostaniemy się do tego miasta?

— Myślę, że drogą powietrzną.

— Tak, naprawdę? W czym? Czy masz trzeciego Władcę Niebios, przechowywanego gdzieś w pobliżu?

— Polecimy do tego miasta jedną z japońskich lotni.

— Och, Bogini Matko, czy mówisz serio? Skinął głową.

— Wydają mi się niesłychanie niebezpieczne.

— Bzdura. To wspaniały sport. Dawno temu zdarzało mi się latać podobnymi lotniami dla rozrywki. Zwaliśmy je wiszącymi szybowcami. Było to, oczywiście, w czasach, zanim stałem się nieśmiertelny. Później nie podejmowałbym takiego ryzyka...

— Jakiego ryzyka? Mówiłeś, że nie są niebezpieczne.

— No cóż, zdarzają się wypadki. Gdy człowiek staje się nieśmiertelny, jego nastawienie do ryzyka się zmienia. Ma się więcej do stracenia.

— Mogę sobie wyobrazić – powiedziała oschle. Wtem wpadła jej do głowy nowa myśl. – Zamierzasz wraz ze mną wejść do jakiegoś miasta. A co z zarodnikami zarazy? Milo wzruszył ramionami.

— To ryzyko, które musimy podjąć. Ale przy pewnej dozie

szczęścia nie będziemy potrzebowali dotykać ziemi. Wylądujemy dokładnie na Niebiańskiej Wieży.

— Ryzyko. Mówiłeś przed chwilą, że unikasz ryzyka – podkreśliła.

— Nie ma możliwości uniknięcia wszelkiego ryzyka w tym życiu – rzekł ironicznie.

Jan spojrzała nań podejrzliwie.

— Więc tylko ja będę narażona? Czy mam rację sądząc, że twoja nieśmiertelność wiąże się z systemem odpornościowym?

— Wątpię, czy taka rzecz jest możliwa – odparł. – Lecz tak, przyznaję, że mój system odpornościowy jest o wiele bardziej skuteczny niż twój. Ale nie obawiaj się, szansa dostania się w obszar aktywnej zarazy wydaje się bardzo mała.

— Słyszałam coś innego – wymamrotała. Milo ziewnął.

— W każdym razie jest to powód, dla którego winnaś jak najszybciej wyrzucić Ceri ze swej świadomości. Lotnia zabierze tylko dwie osoby.

— Nie mam zamiaru wyrzucać jej z pamięci – odparła Jan stanowczo.

— W porządku... Więc zostań tu, jeśli chcesz. Jestem pewien, że spodoba ci się życie w charakterze gejszy, zaspokajającej życzenia samurajów Horada. Jeśli bycie kobietą wśród Arystów wydawało ci się niemiłe, poczekaj na urozmaicenie, jakie zgotują ci Japończycy.

Nie potrzebował Jan tego mówić. Mały wycinek życia w społeczeństwie Horada, jaki zobaczyła, wystarczył jej, by zrozumiała, że kobiety nie mają tam żadnych praw. Były całkowicie uzależnione od mężczyzn.

— Więc? – spytał Milo.

— Nie, nie chcę tu pozostać – przyznała. – Lecz nie mogę, ot tak

po prostu, opuścić Ceri. Nie mogę.

Milo przebiegł palcami po swej łysinie i westchnął.

— Słuchaj – rzekł w końcu. – Nie mogę ci zagwarantować, ale może później znajdzie się jakaś szansa wykupienia jej od Horada.

— W jaki sposób? – spytała z nadzieją.

— Jeśli tylko uda nam się przejąć kontrolę nad Aniołem Niebios, może wtedy zawrzemy umowę z Horadem. Zaoferujemy mu trochę nowej technologii w zamian za twą nimfę morską, może być?

— Myślisz, że się na to zgodzi?

— Nie widzę powodu, żeby miał się nie zgodzić – rzekł Milo. – Pamiętaj jednak, że nie gwarantuję ci tego. Jan wbiła w niego wzrok.

— Milo – powiedziała powoli – chcę, byś mi obiecał... przysiągł na cokolwiek, co uważasz za święte. Przrzeknij, że będziesz próbował zrobić dla Ceri to, co mówiłeś. Westchnął i rzekł: – W porządku, masz moją stanowczą obietnicę. Teraz skończmy tę rozmowę i chodźmy spać. Potrzebuję dużo snu. – Wstał i zaczął zdejmować kimono. – Jeśli chcesz, możesz dzielić ze mną łóżko. Jak ci powiedziałem, nie jestem obecnie zdolny do współżycia, możesz więc odpoczywać spokojnie.

— Jeśli nie miałbyś nic przeciwko temu – powiedziała – wolałabym spać oddzielnie. Na podłodze. Milo wzruszył ramionami.

— Rób, jak chcesz.

W samej bieliźnie położył się do łóżka, po czym wyciągnął rękę i zgasił światło. Jan pozostała na krześle. Po chwili powiedziała: – Milo, dlaczego bierzesz mnie ze sobą?

— Jesteśmy partnerami, pamiętaj. Zawarliśmy umowę. Pomogłaś mi, a teraz ja pomogę tobie.

— Nie zdaje mi się, byś kiedykolwiek dotrzymał słowa w jakiegokolwiek umowie. Nie potrzebujesz mnie już, więc możesz mnie z łatwością tu pozostawić.

— Kto mówi, że cię już nie potrzebuję?

— Milo, nie mam zamiaru zostać twoją kochanką. Po chwili milczenia rzekł: – Zobaczymy. Zdarzają się dziwniejsze rzeczy. Jan siedziała przez chwilę w ciemności, po czym zwróciła się doń ponownie: – Milo...

— Co znowu? Próbuję spać.

— Dowódca wspomniał o kobiecie. Mirandzie. Kim była? Milo nie odpowiadał przez dłuższy czas, po czym rzekł: – Była dla mnie kimś specjalnym.

— Kochałeś ją?

— Nie chodziło o miłość. Troszczyłem się o nią bardziej niż o kogokolwiek innego, z wyjątkiem siebie.

— Czemu stała się taka ważna?

— Była mną.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY DRUGI

— Oszalałaś? Nie możesz tu pozostać. To zbyt niebezpieczne! Uciekajmy i to szybko. Ci głupcy zniszczyli już główne siedziby korporacji. Teraz przyjdą tu!

Milo i Miranda znajdowali się w Pomieszczeniu Morskim. Ekran holograficzny stwarzał wrażenie, że przebywają na plaży na jednej z tropikalnych wysp Pacyfiku. Efekty dźwiękowe i ukryte lampy grzejne wzmaczały iluzję. Miranda, ubrana w wykwintny smoking w dawnym męskim stylu, spoczywała rozmarzona na hamaku rozwieszonym pomiędzy dwiema palmami. Oderwała kawałek łydgi wystającej z repliki orzecha kokosowego, po czym powiedziała sucho: — Tak postanowiłam, Milo. Nie pójdę z tobą. Zostaję. Będę tu bezpieczna, przynajmniej przez pewien czas. Ten teren jest dobrze strzeżony. Później, być może, dokądś się udam. Przeżyję w jakiś sposób.

Milo przyglądał się jej z niedowierzaniem.

— Co się z tobą stało? Wiesz przecież, że samej ci się nie uda przetrwać. Idziesz ze mną. Wstań i zacznij się pakować. Zaczęła szlochać, po czym rzekła: — Milo, zdaje mi się, że nie pojmujesz tego, co mówię. Oświadczam, że nie chcę dłużej być z tobą. Rozumiesz?

— O czym ty mówisz? – dopytywał się. – Nie możesz żyć beze mnie. Jestem całym twym życiem! Na litość boską, stworzyłem cię.

Nagle cisnęła sztucznym orzechem kokosowym w jego stronę.

Uchylił się i orzech poszybował w stronę plaży, po czym zniknął w jednym z obrazów holograficznych. Rozległ się brzęk szkła. Miranda wyskoczyła z hamaka i oskarżycielsko skierowała palec na Mila.

— Tak! – zawyła. – Powtórz to! Powiedz mi jeszcze raz, co też ci zawdzięczam! Wciąż to słyszę przez całe moje krótkie życie. Wielki Milo Haze wyjął zebro ze swego doskonałego ciała i stworzył zeń doskonałą kobietę. Doskonałą kobietę dla Mila Haze, dokładniej mówiąc, kobietę stanowiącą wytwór jego wyobraźni! – Jej twarz wykrzywiła wściekłość, pierś unosiła się gwałtownie.

Mila przeraził jej gniew.

— W porządku, w porządku... – rzekł pojednawczo. – Nie przejmuj się. Ostatnio byłaś w silnym stresie, jasne więc, że czujesz się kiepsko. Wiem, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz. Wciąż kochasz mnie tak, jak ja kocham ciebie. – Podszedł do niej, włożył ręce pod smoking i zaczął pieścić jej piersi. Miranda odsunęła jego ręce i cofnęła się.

— Nie kocham cię! Ty nie kochasz mnie również! Kochasz tylko siebie! – krzyczała wściekle. – Taki jesteś! Gdy ze sobą śpimy, nie kochamy się wcale. Jest to w gruncie rzeczy twój onanizm!

— Nie mów tak, Mirando – rzekł chłodno.

— Czyż nauka nie jest wspaniała? – kontynuowała tym samym wściekłym tonem. – Dawniej tym, czego potrzebował mężczyzna, była jego własna ręka, lecz teraz, za zwykły bilion dolarów, może dostać coś specjalnego: kobiecy klon samego siebie, rozwijający się w sztucznej macicy, charakteryzujący się przyśpieszonym wzrastaniem, obdarzony strzępkami pamięci, a wszystko to może być wyprodukowane w ciągu sześciu lat. Ostatni krzyk

mody dla mężczyzn z przerostem kompleksu Narcyza. Tak, to można nazwać postępem!

Jej słowa dotknęły go.

— Mirando, nie traktuję cię w ten sposób. Jesteś tak samo ważna, jak ja...

— Ach, dzięki ci za to – rzekła sarkastycznie. – To, że pochodzę od ciebie, stanowi prawdziwy komplement.

Milo zaczerpnął tchu. Chciał chwycić Mirandę i potrząsnąć nią, zetrzeć z jej twarzy tę pewność siebie, lecz wiedział, że nie powinien tracić równowagi. To jej dziwne nastawienie musiało być czasowym odchyleniem emocjonalnym, o którym porozmawiają, gdy Miranda się uspokoi. Powiedział poważnie: — Mirando, istnieje między nami specjalny związek, jedyny w swoim rodzaju. Ten związek jest bliższy niż w przypadku zwykłych par.

— Skoro tak wygląda największa bliskość pomiędzy dwojgiem ludzi, to Bóg zakpił sobie z nas – odparła cynicznie.

— Nie możesz temu zaprzeczyć! – rzekł. – Kochasz mnie tak, jak ja ciebie. Nie masz wyboru, zostałam... – Nie dokończył, uświadomiwszy sobie swój błąd.

Dokończyła zdanie za niego.

— ...uwarunkowana miłością do ciebie. Tak, jestem tego świadoma, Milo. I rzeczywiście kochałam cię kiedyś. Lecz to uwarunkowanie już nie działa. Nie działa, gdyż ty nie jesteś tym samym mężczyzną.

— O czym ty mówisz?

— O tych wszystkich „udoskonaleniach”, jakie przeszedłeś. W rezultacie zostałeś zmieniony w sposób, jakiego nie oczekiwałeś. Prawdę mówiąc, zaczynam podejrzewać, że nie jesteś już człowiekiem.

— Co za głupstwa! – krzyknął. – Chyba jesteś pijana!

— Nie, nic z tych rzeczy. Mówię prawdę. Przekroczyłeś niewidzialną linię pomiędzy człowieczeństwem a czymś innym. Przekonstruowałeś siebie wbrew ludzkiej naturze, Milo!

— Nonsens! Przyznaję, że się zmieniałem, lecz wciąż jestem człowiekiem! – powiedział stanowczo.

— Człowiekiem? – spytała. – Jaki człowiek nie odczuwa bólu? Jaki człowiek nie jest zdolny do odczuwania jakiegokolwiek strachu? Paniki? Przerżenia?

— Ale dlaczego brak tych wad miałby zmniejszyć moje człowieczeństwo? Dlaczego to człowieczeństwo miałoby być definiowane poprzez zdolność doświadczania bólu, strachu, przerażenia?

— Mogłabym ci podać szereg powodów, lecz głównym jest ten, że skoro sam nie czujesz bólu czy strachu, nie możesz współczuć innym, którzy to odczuwają. To decyduje o tym, że przestajesz być jednym z nas. Odciąłeś się od reszty ludzkości.

Milo potrząsnął głową.

— Nie, nie rozumiem. Pamiętam aż nazbyt dobrze, co to znaczy przeżywać nieszczęścia tak zwanej ludzkości. Ale fakt, że teraz mnie one nie dotyczą, nie świadczy o tym, że przestałem być człowiekiem. Czuję nawet więcej litości dla całej waszej reszty! Nie wiesz, jak się mylisz, Mirando. Od czasu ostatniej serii moich udoskonaleń poczułem się całkowicie wyzwolony. Mogłabyś stać się taka sama, gdybyś tylko nie była tak głupia.

— Dziękuję ci jeszcze raz za dar nieśmiertelności, Milo, ale twoje dary już mnie nie interesują.

— Pewnego dnia pożałujesz, że je odrzuciłaś – powiedział chłodno.

— Ten dzień nie nadejdzie nigdy, Milo, zapewniam cię. Być

może stanowię tylko twą genetyczną kopię, lecz jestem wciąż człowiekiem. I chcę nim pozostać. Z trudem się hamowałem. Zebrałem całą siłę woli, by się na nią nie rzucić.

— Tłumaczę ci, że jestem człowiekiem. Superczłowiekiem zapewne, lecz wciąż człowiekiem.

— Możesz sobie tak myśleć, lecz tak nie jest. Nie jesteś w stanie dostrzec tego, co się z tobą stało. Osobowość ludzka stanowi produkt niewyobrażalnie skomplikowanego i wyrafinowanego procesu biologicznego, i nauka ma przed sobą jeszcze długą drogę, zanim uda się jej rozwikłać tajemnice tego procesu. Nie możesz ot, tak sobie, oddzielić poszczególnych elementów od systemu, tak, jak to zrobili w twoim wypadku wasi inżynierowie genetycy, bez zniszczenia czegoś istotnego... – Miranda pokiwała głową.

— Tak, tak... tak to wygląda. W pewnym sensie zabijasz się, Milo.

— Roześmiała się nagle. – To śmieszne. Tyle włożyłeś pieniędzy i wysiłku, by się przekształcić w supermena, lecz robiąc to popełniłeś coś w rodzaju samobójstwa.

Obnosisz się ze swoją nieśmiertelnością, lecz jesteś wewnątrz martwy i robaki zaczęły już toczyć twoją duszę.

— Zamknij się! – wybuchnął, podnosząc rękę, jakby chciał ją uderzyć. – Nie mam zamiaru słuchać tych bzdurnych zabobonów! Pytam po raz ostatni: idziesz ze mną czy nie?

— Nie, Milo, gdyż nie mogę już znieść przebywania z tobą. Nie tylko dlatego, że zmieniłeś swą osobowość, ale też ze względów fizycznych. „Udoskonalenia” zmniejszyły twą atrakcyjność. Fizycznie odczuwam do ciebie odrazę, co oznacza, że czuję to każdą twoją komórką zawartą w moim ciele.

Milo powoli opuścił rękę. Przyglądał się jej w ciszy przez

dłuższą chwilę, po czym odwrócił się i ruszył wzdłuż „plaży”. Minął jeden z obrazów holograficznych i wyszedł.

Pojechał windą wprost do garażu z fliperami znajdującego się na strychu. Gdy wkraczał do środka, powitał go jeden z mniejszych domowych cyberoidów: — Dobry wieczór, panie Haze. Czy pan odjeżdża?

— Tak – powiedział Milo sięgając po fliper. Nie miał jeszcze sprecyzowanego planu, lecz tylko ogólny pomysł wydostania się z tego miejsca. A co potem? Biorąc pod uwagę fakt pojawienia się nowej zarazy, może powinien pomyśleć o opuszczeniu planety?

— Dzisiejsza noc jest odpowiednia do lotu – powiedział cyberoid, ruszając za nim.

— Chyba tak – odparł Milo i uśmiechnął się ponuro. Zamierzał już wsiąść do flipera, gdy wpadła mu do głowy pewna myśl. Zerknął na fliper Mirandy stojący po drugiej stronie garażu i wskazał go cyberoidowi.

— Masz uszkodzić ten pojazd – rozkazał. – Zdejmij pokrywę, tak jak to się robi przy konserwacji silnika i zniszcz układ napędowy.

— Ależ panie – mruknął cyberoid swym cichym, przyjemnym głosem. – To część mienia, do którego ochrony zostałem zaprogramowany.

— A ja lekceważę sobie twe zaprogramowane instrukcje. Rób, co mówię.

— Tak jest, panie.

Cyberoid podszedł do flipera Mirandy, otworzył wąską pokrywę silnika i wydobył rozrusznik. Rozległ się zgrzyt kraszonego metalu. Zadowolony Milo już chciał wsiąść do swego flipera, lecz znów się zatrzymał. Coś usłyszał. Czy to odległe grzmoty?

Nie. Brzmiało to jak wściekłe brzęczenie szerszeni. Podszedł do drzwi garażu i nacisnął guzik kontroli ręcznej. Gdy drzwi się otworzyły, zszedł na dół. Odgłos się wzmaczał. Milo domyślał się, co to może być, lecz wezwał cyberoida, by potwierdził jego domysły.

— Ludzie – odparł cyberoid. – Wielu ludzi. Nadchodzą tu.

— Tak – rzekł Milo. – Podszedł do balustrady i spojrział na mur błyszczący różnokolorowymi światłami, które stanowiły system obronny domu.

— Czy oczekujesz gości, panie? – spytał cyberoid.

— Nie ja, lecz moja żona. – Pospieszył znów do garażu.

— Ilu gości oczekuje pańska żona? Z odgłosów wnioskuję, że grupa liczy kilkaset osób.

— Nie obawiaj się. Jestem pewien, że Miranda będzie w stanie przyjąć ich wszystkich.

Uwielbia wydawać duże przyjęcia – powiedział Milo do cyberoida, wsiadając do flipera. Opancerzony luk zamknął się i Milo polecił komputerowi, by fliper wzniósł się na wysokość tysiąca stóp, a następnie zaczął krążyć.

Z tej wysokości, dzięki monitorom transmisyjnym, miał doskonały widok na to, co się działo. Cyberoid zbyt nisko oszacował liczbę przybyszów. Tysiące zbliżały się od strony lasu do północnego ogrodzenia domu. Milo domyślał się, że zdążali z Luxton, najbliższego dużego miasta. Słyszał, że miasto zostało dotknięte zarazą.

Skierował jeden z monitorów na tę grupę ludzi. Zobaczył, że wszyscy mają broń.

Karabiny, siekiery, nawet narzędzia ogrodnicze. Milo uśmiechnął się. Przypomniał sobie kadr ze starych filmów – horda wściekłych chłopów podążających naprzód, by zburzyć

zamek miejscowego wyzyskiwacza czy szalonego naukowca. Brakowało tylko płonących pochodni.

Szeroka i hałaśliwa pierwsza linia nadciągającego tłumu znajdowała się już teraz w odległości stu jardów od muru. Milo postanowił pomóc napastnikom. Nawiązał łączność z komputerem domowym i wydał mu zakodowane polecenie, by zlekceważył wszystkie poprzednie rozkazy i unieruchomił system obronny, z wyjątkiem cyberoidów, które działały samodzielnie. Następnie wyciągnął się na swym fotelu i przygotował do obserwacji widowiska.

Przedostanie się na terytorium domu nie zajęło napastnikom zbyt wiele czasu. Najpierw nastąpił szereg wybuchów, które naruszyły mur w kilku miejscach, po czym tłum przedostał się przez powstałe otwory do ogrodu. Tam napotkał pierwszych przeciwników – trzy cyberoidy, pilnujące wejścia, które potraktowały to zbiorowisko ludzkie ogniem z karabinu maszynowego i laserami. Setki przybyszów zginęły w ciągu pierwszych trzydziestu sekund, lecz tak wielka ich liczba przedostawała się przez mur, że cyberoidy nie miały żadnej szansy na to, by zatrzymać inwazję. Szybko przytłoczyła je olbrzymia masa ludzka, przewrócono je i następnie bez litości rozbito na bezkształtne kawałki metalu i plastyku. Tłum runął w kierunku domu.

Milo z perwersyjną rozkoszą włączył się w wewnętrzny system nadzoru audiowizualnego. Ujrzał Mirandę przebywającą wciąż w Pomieszczeniu Morskim, lecz efekty specjalne zostały już wyłączone, a ona wyglądała przez jedno z frontowych okien. Wymówił jej imię. Podeszła do urządzenia nadzorczego, które uruchomił.

— Milo? – spytała z przestraczem. – To ty? Co się dzieje?

Dlaczego system obronny nie działa?

— Widocznie coś się zepsuło – powiedział. – A może to sabotaż? Nie pozostało ci zbyt wiele czasu. Wsiadaj natychmiast do flipera. Nie baw się w żadne pakowanie.

— Gdzie jesteś?

— Na wysokości około tysiąca stóp nad domem. Ruszaj i dołącz do mnie. Szybko.

Spojrzała raz jeszcze przez okno, po czym wybiegła z pomieszczenia. Milo uśmiechnął się z zadowoleniem i odciął łączność. Rozległ się kolejny wybuch. Milo dojrzał dym unoszący się z przedniej części domu. Zapewne wkraczali teraz na parter. To nie potrwa długo... Skierował jeden z monitorów na miejsce w dachu, gdzie znajdowały się drzwi od garażu, i czekał. Miranda pojawiła się w otworze w niecałą minutę później i spojrzała w górę. Zrobił zbliżenie na monitorze, by zobaczyć jej twarz. W oczach Mirandy czaił się strach. Widocznie wiedziała, że tłum jest już blisko. Wyobraził sobie, jak się złękła, gdy odkryła, że fliper nie działa. Uśmiechnął się.

Wybiegła na dach, wymachując szaleńczo ramionami. Z pewnością dostrzegła światła jego flipera. Wtem w garażu błysnął ogień karabinowy. Jak domyślił się Milo, cyberoid spełniał właśnie swój obowiązek. A może próbował zaserwować „gościom” kanapki z tacy i nie mógł zrozumieć, dlaczego do niego strzelają? Myśl ta rozbawiła Mila.

Pierwszy mężczyzna z karabinem maszynowym pojawił się na dachu, a jakaś kobieta wyłoniła się za nim. Trzymała w ręku nóż. Za nią wbiegli inni...

Miranda uciekała, lecz nie miała dokąd, mogła co najwyżej zeskoczyć z dachu. Zapędzono ją w róg i otoczono. Wciąż wymachiwała rozpaczliwie ku górze. Milo wyprostował się i

zgasił światła flipera. Obserwował na ekranie, jak tłum rozszarpuje Mirandę na kawałki. Gdy nic już z niej nie pozostało wśród szalejącego tłumu, spostrzegł, że ma silną erekcję. Uruchomił fliper i wprowadził go w lot nurkowy. Znajdował się już prawie nad tłumem, nim zorientowano się, co zamierza... Lasery i karabiny wkrótce uśmierciły wszystkich zgromadzonych na dachu. Potem zrzucił na dom bombę i odleciał na południe.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY TRZECI

Krótkie błyski światła rozjaśniały co pewien czas odległe miasto, oświetlając wysokie wieże. Jan była przerażona. Nie widziała dotychczas takiego miasta i jego wielkość wywarła na niej silne wrażenie. W jaki sposób można było wybudować budynki, które sięgały tak wysoko w niebo i nie przewracały się? I pomyśleć, że wszystkie te budynki były kiedyś całkowicie zamieszkane. Aż trudno uwierzyć, że tyle osób mogło kiedykolwiek żyć równocześnie.

— Chyba musiały tu żyć tysiące ludzi – powiedziała do Mila.

— Co takiego? – odparł od niechcienia. Przez ostatnich parę minut nie odzywał się, co było nietypowe dla niego. Obserwował z balustrady miasto. Powtórzyła pytanie i dopiero wtedy odpowiedział: — Liczba mieszkańców tego miasta wynosiła ponad sześć milionów.

— Sześć milionów? – pokręciła niedowierzająco głową.

— Tak. Znałem dobrze to miasto. Gdy widziałem je ostatnim razem, żyło jeszcze.

Wszystkie te wieże świeciły. Na ulicach panował ruch. Flipery poruszały się po niebie... – znowu zamilkł.

Pomyślała, że przywołała jego wspomnienia ze wszystkich tych stuleci, i poczuła się winna.

— Popatrz na tę dużą wieżę w centrum. Czy tam mamy dotrzeć? Czy to Niebiańska Wieża?

— Spokój! – ostrzegł ją i spojrział przez ramię na stale im

towarzyszących dwóch milkliwych samurajów, którzy tkwili w odległości około dziesięciu stóp od nich, na otwartym pokładzie. Jan i Milo uzyskali, teoretycznie rzecz biorąc, zgodę dowódcy na poruszanie się wszędzie tam, gdzie chcieli w obrębie sektorów publicznych sterowca Władcy Panglotha, lecz za każdym razem, gdy tylko opuszczali kabinę, towarzyszyli im dwaj wojownicy. Milo powiedział Jan, że wątpi, by rozumieli po amerykańsku, gdyż był przeświadczony, że tylko dowódca zna ten język, lecz mimo to nie mogli sobie pozwolić na otwartą rozmowę w towarzystwie strażników.

— Mów szeptem – rzekł, pochylając się ku niej. – Tak, to Niebiańska Wieża. Mam nadzieję, że nie przypomni się ona naszemu przyjacielowi Horado.

— Kiedy wyruszamy? – spytała Jan. Miasto leżało dość daleko i na myśl, że miałoby pokonać tę odległość w jednej z japońskich lotni, poczuła mdłości. Z każdą chwilą miasto coraz bardziej się oddalało od statku Władcy Panglotha, który okrążywszy je, zmierzał teraz ku miejscu zwanemu stacją orbitalną Armstrong.

— Gdy się zrobi zupełnie ciemno – szepnął Milo.

— Ale w jaki sposób się zorientujemy, dokąd się udać? – spytała z przestrawieniem.

— Nie mówiłem ci? Doskonale widzę w ciemności.

Nie dziwiło jej już nic, co dotyczyło Mila. Skinęła głową i dodała: — Ale ja nie widzę.

— Nie martw się. Ja będę kierował. Ty jedynie zastosuj się do moich poleceń i wszystko będzie w porządku. Może nam tylko przeszkodzić burza, szalejąca w górach.

Miejmy nadzieję, że przejdzie.

— A inne problemy? – spytała, odwracając lekko głowę i wskazując na dozorców, którzy udawali, że obserwują nie ich,

lecz miasto. Milo spojrział na nich przelotnie i wzruszył ramionami.

— Nie ma sprawy. Przeciwnie, przydadzą się nam. To znaczy jeden z nich.

Nie wyjaśniał, a ona się nie dopytywała. Wiedziała, że wkrótce wszystkiego się dowie. Niech tymczasem Milo cieszy się tą małą dramatyczną rozgrywką.

Miasto stało się jeszcze bardziej odległe i wkrótce Jan z trudnością dostrzegła jego wieże, oświetlane pulsującymi strumieniami światła. Widziała za to dokładnie światło sterowca Władcy Panglotha, podążającego za *Pachnącym Wietrzykiem* w odległości około mili. Myśli jej zwróciły się nieoczekiwanie ku Ceri – czy przebywa na pokładzie pojazdu Władcy Panglotha, czy *Pachnącego Wietrzyka*? Czy jest bezpieczna? Co z nią się dzieje w tej chwili? Te pytania tylko zwiększały jej niepokój o przyjaciółkę, więc postanowiła przestać o niej myśleć. Zerknęła na Mila, który nadal spoglądał milcząco w przestrzeń. To wywołało ciąg kolejnych pytań: czy postępuje właściwie, ponownie uzależniając swe życie od tego dziwnego stwora, któremu, jak już się zorientowała, nie można ufać? Im więcej dowiadywała się o Milu, tym bardziej tajemniczy i niepokojący się wydawał. Wciąż nie wiedziała, jaka część z tego, co opowiedział jej o przeszłości, była prawdą, a jaka stanowiła wytwór jego fantazji, wymyślony z nieznanymi jej powodów. Na przykład to, co powiedział o kobiecie zwanej Mirandą, wydawało się trudne do zaakceptowania – to, że była jego wierną żeńską kopią, klonem powstałym z jednej z jego komórek, w której genetycznie zmieniono chromosom Y. W ten sposób Milo mógł poślubić samego siebie.

— Małżeństwo spreparowane w probówce – mawiał z gorzkim

humorem. Jan odniosła wrażenie, że związek z kopią kloniczną nie był tak udany, jak tego się Milo spodziewał, lecz pomimo jej ciągłych pytań odmawiał dodatkowych informacji o Mirandzie. Jan pamiętała lakoniczną informację o śmierci Mirandy, jaką przekazał dowódcy. Interesowało ją, w jakich okolicznościach zginęła ta dziewczyna.

— Czas na nas – szepnął Milo. Jego słowa zaskoczyły Jan.

— Co będziemy...? – zaczęła, lecz Milo zwrócił się już ku strażnikom. Powiedział coś w ich języku. Brzmiało to dla Jan jak pytanie. Strażnicy skrzywili się i popatrzyli po sobie; Milo podszedł do nich, zamachnął się...

Strażnicy nie mieli nawet czasu, by sięgnąć po miecze. Jan zobaczyła, jak jeden się przewraca. Uderzył o ścianę i upadł na kolana. Krew ciekła mu z nosa. Drugiego Milo schwycił za głowę, obracając nią z przerażającą siłą. Kręgi szyjne zatrzeszczały. Jan odwróciła wzrok. Gdy spojrzała znowu, strażnik leżał już twarzą do ziemi, a Milo schylał się nad pierwszym mężczyzną. Grzbietem dłoni uderzył go w kark. Strażnik drgnął i znieruchomiał. Milo odpiął strażnikowi pas z bronią, składającą się z miecza i noży w pochwach, i rzucił pod nogi Jan. Potem dźwignął martwego mężczyznę, doniósł go do barierki i bez wysiłku wyrzucił poza statek. Milo podszedł do drugiego ciała i zaczął je rozbierać. Wszystko to odbyło się tak prędko, iż Jan straciła orientację. Jeszcze przed chwilą byli tu z nimi na pokładzie dwaj żywi ludzie, teraz zaś, niemal w mgnieniu oka, obaj byli martwi, a jeden z nich spadał wśród nocy na ziemię...

Milo wkładał ubranie i broń zabitego żołnierza. Spojrzał na Jan i rzekł: – Weź tę broń. Możesz jej potrzebować.

Zrobiła, jak kazał, on zaś włożył hełm strażnika i uśmiechnął się do niej nieprzyjemnie.

— Jak wyglądam?

— Wszystko jest na ciebie za małe. Nikogo nie oszukasz... w każdym razie nie na długo – powiedziała.

— Nie marzę o tym, by poruszać się tu całkowicie niezauważalnie – odparł, nie strapiiony bynajmniej jej uwagą. – Szczególnie wtedy, gdy będę wyprowadzał lotnię. Ale to przebranie nieco mnie zabezpieczy i do tego tylko jest mi potrzebne. Do zobaczenia wkrótce... – schwycił prawie nagie ciało i wyrzucił je przez barierę, tak jak pierwsze. Potem ruszył do wjazdu i zniknął w otworze zejściowym.

Jan westchnęła, po czym odwróciła się i przywarła do bariery, próbując ukryć broń na wypadek, gdyby jakiś Japończyk pojawił się na pokładzie po wyjściu Mila. Pod kurtką skrywała butelkę z wodą i torbę z kilkoma ciastkami ryżowymi. Wiedziała, że następnych dziesięć minut będzie się jej dłużyło w nieskończoność. Milo powiedział, że tyle czasu będzie potrzebował na dotarcie do najbliższego pomieszczenia, w którym przechowywano lotnie, wydobyć jedną z nich i powrót na pokład. Zastanawiała się, co robi, jeśli on nie wróci. Czy ma się przebić jednym z noży? Czy skoczyć w dół? Wolałaby cokolwiek, byle nie dostać się w ręce dowódcy, który z pewnością wpadnie we wściekłość, gdy się dowie, że Milo go oszukał.

Czas mijał jej niezwykle powoli. Dłonie miała spocone i wzdrygała się na najłżejszy nawet szelest. Gdzie jest Milo? Na pewno minęło już więcej niż dziesięć minut... Chciała uciekać. Wreszcie usłyszała, że ktoś nadchodzi. Milo wyłonił się z wjazdu. Jednym ramieniem przytrzymał złożoną lotnię, w drugiej ręce trzymał miecz. Jan najpierw pomyślała, że lotnia wygląda stanowczo na zbyt małą, by utrzymać dwoje ludzi. Po chwili dojrzała krew na ostrzu miecza Mila.

Jego oczy miały dziki wyraz, jakiego dotychczas nie widziała. Uśmiechnął się szyderczo i rzekł: – Było trudniej, niż sądziłem. Pozostawiłem za sobą nieco bałaganu, lecz ci, którzy przeżyli, zaczęli się już zbierać i mnie ścigać. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Schował miecz do pochwy i zaczął rozkładać lotnię. Jan była zaskoczona, widząc, że sprzęt rośnie w oczach. Metalowe części wydłużyły się czterokrotnie, a jedwabny kawałek materiału rozwijał się bez końca... Wkrótce skrzydło lotni zajęło całą długość pokładu. Milo uderzył nagle w barierę, rozłupując ją, a po paru kolejnych uderzeniach nie pozostało po niej siadu. Jan wycofała się z krawędzi. Pomysł zeskoczenia w ciemną przestrzeń, gdy zabezpieczenie stanowiło jedynie kruche urządzenie sporządzone z jedwabiu, metalowych rurek i drutów, wydał się jej jeszcze mniej zabawny.

— Szybko! – przynagłał Milo. – Bierz broń i uczep się tej uprzęży. – Sam zakładał już skórzaną uprzęż, którą przymocował za pomocą drutu pośrodku lotni. Pośpiesznie chwyciła miecze i noże, po czym weszła w uprzęż, która przyłgnęła do jej ud i talii. Lotnia w tym miejscu wspierała się na tylnej części skrzydła. Ze środka, gdzie doczepiona była uprzęż, wystawał trójkąt z trzech metalowych rurek.

— Złap za drążek w ten sposób – powiedział Milo, chwytając rurkę, stanowiącą podstawę trójkąta. Jan zrobiła tak, czując, jak silnie bije jej serce.

— Gdy ruszymy, wyprostuj ciało i rób, co ci powiem. Jasne?

— Tak – odpowiedziała, czując ssanie w żołądku.

— W porządku. Podejdz teraz do krawędzi i przygotuj się do skoku na mój sygnał.

Podeszli do samej krawędzi pokładu, dźwigając za sobą prawie pionowo ustawione skrzydło lotni.

— Będę liczyć do trzech – rzekł Milo, zginając kolana, by przygotować się do skoku.

Jan zrobiła to samo. Wiatr rozwiały jej długie włosy, które zasłoniły twarz. Jedwabny materiał skrzydła zaczął łopotać.

— Raz...

Rozległy się za nimi wściekłe okrzyki. Przybyli Japończycy.

— Dwa... trzy!

Świadomość tego, że za chwilę pokład wypełni się rozwścieczonymi żołnierzami japońskimi, pozwoliła Jan przezwyciężyć chwilowe wahanie. Wraz z Milem zeskoczyła, jak tylko mogła najlepiej, z krawędzi pokładu. Rozległ się strzał i Jan poczuła, jak kula przelatuje obok jej ucha.

Nastąpiły kolejne strzały, lecz oni mknęli już w dół, przez zimne nocne powietrze. Przez parę chwil Jan sądziła, że nie kontrolują upadku, lecz wkrótce uświadomiła sobie, że poruszają się ślizgowym ruchem w dół. Lecieli.

— Przenieś ciężar ciała na lewą stronę! – nakazał Milo.

— Co?

Lotnia przekrzywiła się teraz. Powietrze napierało tak silnie, że oczy Jan zaczęły łzawić. Naturalnie nic nie widziała.

— Przesuń się na lewą stronę, w moim kierunku! – krzyczał Milo.

— Natychmiast!

Zrobiła, jak nakazał. Poczowała, że jego ciało przemieszcza się w tym samym kierunku. Lotnia skręciła w lewo i Jan się zorientowała, że zawracają.

Po chwili Milo krzyknął:

— Dobrze, stop! Wyprostuj się! – Zrobiła tak. – Dobrze – rzekł.

— Zmierzamy we właściwym kierunku, lecz musimy się nieco wznieść, jeśli chcemy dotrzeć do miasta. Miejmy nadzieję, że

spotkamy kilka kominów powietrznych.

Gdy tak lecieli, Jan doszła do wniosku, że ta przygoda zaczyna ją fascynować. Nocny lot w ciszy, jak strzała...

— O, cholera – warknął Milo.

— Co się stało?

— Mamy jakąś dziurę w skrzydle. Otwór po kuli albo rozdarcie od szabli.

Spojrzała przez ramię, lecz choć zdołała rozróżnić kształt skrzydła w ciemności, nie była w stanie dostrzec dziury w materiale.

— Czy to problem? – spytała.

— Teraz jeszcze nie, ale może się nim stać, jeśli dziura się powiększy.

— Ach, tak. – Jej wesoły nastrój przepadł. Spoglądała w dół, usiłując dostrzec jak wysoko nad ziemią się znajdują.

— Cholera – zaklął Milo ponownie. – Nie uda się nam chyba dotrzeć do miasta.

— Rozbijemy się?

— Chyba nie, lecz będziemy musieli iść pieszo, a to obszar dotknięty zarazą.

Jan nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, zanim poczuła gwałtowny wstrząs i prawie wypuściła z dłoni drążek.

— Trzymaj się! – usłyszała wrzask Mila, po czym lotnia przechyliła się naprzód i runęła w dół.

Jan krzyknęła. Zdawało się im, że spadają tysiące stóp, zanim lotnia nieoczekiwanie znów się wyprostowała.

— W porządku? – krzyknął Milo.

— Tak myślę – powiedziała wstrząśnięta. – Myślałam, że już po nas.

— Takie sytuacje powodują automatyczne wprowadzenie lotni

wlot nurkowy. Problem polega teraz na tym, że straciliśmy wysokość, co sprawiła turbulencyjna dziura powietrzna, choć nie wiem, dlaczego tak się stało.

Odgłos rozdierania był wyraźnie słyszalny, pomimo łopotania skrzydeł i pędu powietrza. Wtem lotnia skręciła gwałtownie w prawo. Nie zaczęła spadać, lecz weszła w ruch spiralny. Milo krzyczał coś, ale Jan nie mogła go dosłyszeć. Nie wiedziała, czy lot trwa wiele godzin, czy tylko kilka sekund. Nagle lotnia spadła i Jan poczuła uderzenie z przodu, które pozbawiło ją świadomości na parę chwil. Gdy się ocknęła, stwierdziła, że zwisa z uprzęży do góry nogami. Niczego nie była w stanie dostrzec.

— Milo? – jęknęła.

Cisza. Sięgnęła po omacku w jego stronę, lecz go nie znalazła. Co się stało? Gdzie jest? Wyglądało na to, że lotnia spadła przednią częścią w dół, lecz czy teraz znajduje się na ziemi, czy zaplątała się w gałęzie jednego z wysokich drzew? Dotknęła twarzy. Była lepka – to krew, z pewnością, a na czole wyczuła guz.

— Milo? – krzyknęła, tym razem głośniej. Usłyszała w ciemności odgłos, który rozpoznała. Dźwięk taki wydają duże koty, gdy polują obok muru. Przypomniał sobie, gdzie się znajduje – na terenach dotkniętych zarazą. Wyglądało na to, że jest sama. Milo ją opuścił. A może nie żyje?

Wyjęła krótki miecz. Przyniosło jej to trochę ulgi, chociaż wciąż czuła się całkowicie bezbronna i narażona na atak, zwisając do góry nogami. Wyciągnęła miecz przed siebie i wymacała pustą uprzęż Mila. Dotknęła jednego z drążków. Uchwyciła się go z wysiłkiem. Tymczasem lotnia nieco się przechyliła i Jan usłyszała odgłos rozdierania materiału.

Okazało się, że tak, jak przewidywała, spadła na gałęzie jakiegoś drzewa. Nie miała jednak wciąż pojęcia, jak wysoko się znajduje. Jedno było pewne: sądząc po odgłosach, lotnia niedługo spadnie na ziemię.

Podjęła decyzję. Nie miała innej możliwości, jak tylko skakać na ziemię, zanim lotnia spadnie w dół, ciągnąc ją za sobą. Schowała miecz do pochwy i sięgnęła do poprzecznego drążka lotni. Chwyciła go silnie jedną ręką, a drugą zaczęła uwalniać się z uprzęży. Gdy ostatni uchwyt puścił, uprzęż otworzyła się i Jan nagle zaczęła, spadać. Rozpaczliwie przytrzymała się drążka drugą ręką. Udało się! Jęknęła, gdy jej ciało wykonało łuk i przy gwałtownym szarpnięciu cały ciężar oparł się na ramionach. Kołysała się teraz z nogami zwisającymi w powietrzu. Próbowwała dosięgnąć ziemi palcami nóg, lecz bezskutecznie. Jak wysoko się znajduje? Pięć stóp? Dziesięć? Pięćdziesiąt? Była istotna różnica, czy czekają ją rozbite łokcie, połamane kości czy śmierć. Zobaczymy, pomyślała. Wzięła głęboki oddech i puściła drążek... Spadając, podciągnęła kolana, instynktownie się kuląc. Leciała długo... Umrę!

Uderzyła w coś bardzo miękkiego, lecz siła uderzenia spowodowała, że zabrakło jej tchu. Przekoziółkowała kilka razy i w końcu padła na wznak, rozpaczliwie próbując chwycić powietrze. To, na czym wylądowała, pokrywało teraz całą jej twarz i utrudniało oddychanie. Gdy zrywała to z twarzy, nieprzyjemny odór uświadomił jej, że jest to... Grzyb!

— Och! – Jan skrzywiła się z obrzydzeniem. Usiadła i spieszenie usunęła substancję z odzieży. Potem wstała i zrobiła niepewny krok. Od razu zanurzyła się do kolan w miękką, obrzydliwą masę. Zebrało się jej na wymioty, lecz pomyślała, że grzyb uratował jej życie. Gdyby nie on, z pewnością skręciłaby kark,

nie mówiąc już o połamaniu wszystkich kości.

Wtem przyszło jej do głowy, że jeśli jej udało się przeżyć upadek, to zapewne i Milo zdołał się ocalić. Lecz gdzie jest? Może już daleko stąd, pomyślała gorzko. Może uznał ją za martwą, a może stwierdził, że jej obecność utrudni mu dalszą podróż. Jakkolwiek było, opuścił ją.

Znowu usłyszała koci pomruk, teraz w pobliżu. Wyjęła oba miecze i zwróciła się w kierunku kota. Przypomniała sobie z przerażeniem czarną panterę przy bramie. Tę, która spowodowała śmierć Carli. Teraz nie będzie to ta sama... Znowu pomruk. Tuż obok niej, z prawej strony. Chciała się odwrócić, lecz wiedziała, że jest za późno.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY CZWARTY

— Ostrożnie z tym, idiotko! – krzyknął Milo ostro.

— Milo! Dzięki Bogini Matce. – Jan z ulgą opuściła miecz. – Myślałam, że mnie zostawiłeś.

Podszedł do niej bliżej. Prawie dostrzegła jego sylwetkę w ciemności.

— Tak – powiedział.

— Naprawdę? – spytała zaskoczona. – Ale wróciłeś.

— Nie pytaj, dlaczego – rzekł chłodno. – Sam nie wiem. Zmieniłem decyzję.

Usłyszeli kolejny pomruk kota. Teraz bardzo blisko.

— Milo?...

— Tak. Widzę go. To duży tygrys. Z ostrymi zębami. W odległości około dwudziestu jardów. – Zniżył głos. – Dopiero nas dostrzegł. Skrada się. Nie mógł nas zwąchać, bo znajdujemy się za linią wiatru.

Jan, nie wiadomo dlaczego, odetchnęła na wieść, że to nie pantera, chociaż orientowała się doskonale, że tygrys jest jeszcze groźniejszy. Wtem usłyszała, jak Milo odsunął się od niej.

— Dokąd idziesz? – spytała z przestrawieniem.

— Nigdzie – odparł cicho. – Tylko kilka kroków przed tobą. Stoję teraz tyłem do drapieznika. – Usłyszała, jak powoli wydobywa miecz.

— Dlaczego odwróciłeś się tyłem do tygrysa? – spytała przerażona. – Nie będziesz mógł dostrzec, kiedy się zbliży.

— Spokój! – warknął Milo.

Zastosowała się do polecenia. Przez chwilę było cicho, potem Jan usłyszała, że coś się skrada. W wyobraźni widziała już, jak drapieżnik nadchodzi poprzez warstwę grzyba, pochłaniającego dźwięk. Za chwilę znajdzie się w zasięgu skoku. Stała w napięciu, gotowa do ucieczki. Usłyszała szelest, po czym głośny łomot. Poczuła, że coś ciężkiego zapada się obok w warstwę grzyba. Dobiegł ją silny zapach zwierzęcia.

— Milo?

— Jestem tu wciąż. Kota już nie ma.

— Co się stało?

— Ściąłem mu łeb.

— Ale skąd wiedziałeś, kiedy uderzyć? Byłeś odwrócony tyłem.

— Słyszę tak dobrze, jak widzę w ciemności. Udoskonalenie słuchu. Ten biedny kicius narobił tyle hałasu, przechodząc przez tę papkę grzybową, co spadający ze schodów cyberoid. A teraz chodź, pójdziemy i znajdziemy dla ciebie jakieś schronienie. Nie ma sensu udawać się do miasta nocą. Mogłabyś niechcący rąbnąć w jakieś drzewo batowe.

Poczuła, jak bierze ją za rękę, i ruszyła wraz z nim przez nieprzeniknioną ciemność.

Ich wędrówka przypominała brodzenie w jeziorze napełnionym lepką ciszą. Wkrótce Jan zaczęły boleć nogi.

— Dokąd idziemy? – spytała.

— Szukam odpowiedniego drzewa – odparł. – Wokół nas prawie wszystkie są martwe i uschnięte z powodu zarazy.

Jan przypomniała sobie jego uwagę o możliwości uderzenia w drzewo batowe.

— Czy widzisz na tyle dobrze w ciemności, by rozróżnić drzewa batowe?

— Tak myślę – powiedział i zachichotał.

Jan nie wydało się to zabawne. Drzewa batowe tak łądząco przypominały inne gatunki drzew, że trudno było je odróżnić. Gdy jakaś nieszczęśliwa ofiara znalazła się w ich pobliżu, spadały na nią z powietrza pędy podobne do batów i wlokły ją w kierunku pnia, pokrytego olbrzymimi kolcami, które wbijały się w ofiarę i wysysały płyn z jej ciała.

— Skąd się wzięły drzewa batowe? – spytała Mila.

— Tak jak i wiele innych gatunków związanych z zarazą, powstały na skutek zmian genetycznych.

— Ale po co? Dlaczego ktoś dobrowolnie stworzył coś tak potwornego? Milo zaśmiał się i rzekł: — Bogini Matka stworzyła człowieka, prawda?

— Nie wierzysz przecież w Boginię Matkę, wiem o tym. Kpisz ze mnie.

— To prawda. Chcę ci jednak odpowiedzieć na pytanie. Drzewa batowe stworzyli inżynierowie genetycy pracujący dla bardzo bogatego człowieka o nazwisku Planus. Potrzebował nowego sposobu odstraszenia niepożądanych osób, wkraczających na jego tereny. Tak naprawdę, to drzewa batowe nie są wcale drzewami; jest to krzyżówka zwierzęcia z rośliną. Ani jedno, ani drugie. – Przerwał, a po chwili dodał. – Tak, jak ja.

— Jak ty? – spytała zdziwiona.

— Tak. Ani jedno, ani drugie. – Czulo się gorycz w jego głosie. – Pewna kobieta powiedziała mi o tym wiele lat temu. Nie uwierzyłem jej wtedy. Przeżyłem piekło. Przeżyłem wszystko, co może się wydarzyć.

Nie rozumiała, o czym mówił, ale nie zapytała. Wciąż mówił i uświadomiła sobie, że Milo rozmawia raczej sam ze sobą, niż z nią.

— Przetrawanie. To jest przyczyną wszystkiego i to pozostaje główną tajemnicą. Dlaczego skomplikowane cząsteczki wykształciły zdolność powielania się? Czy to automatyczny wynik zdolności wrodzonych, żądza przetrwania w postaci matematycznie doskonałej?... – Milo nagle zwolnił uścisk na jej ręce. – Spójrz!

— Gdzie mam spojrzeć? – spytała podenerwowana. – Wiesz, że nic nie widzę.

— W górę, głupia. Spójrz na niebo.

Zrobiła tak i ujrzała lunę światła poruszającą się nad głową.

— *Władca Pangloth!* – wyszeptała.

— Albo *Pachnący Wietrzyk*. Z pewnością dowódca nie pozwoli się pokonać. Widocznie wziął sobie do serca możliwość otrzymania nowego, lśniącego Anioła Niebios.

Gdy tak spoglądali w górę, silny strumień białego światła nagle skierował się ku dołowi. Dotknął ziemi w odległości około stu jardów od nich, oświetlając podobne do zjaw drzewa porośnięte grzybem i wielkie, pojedyncze kształty grzybów. Wtem strumienie światła zaczęły się poruszać we wszystkie strony.

— Szybko, tu! – ponaglał Milo, prowadząc Jan w kierunku najbliższego grzyba, przypominającego kształtem olbrzymią pieczarkę. Przykucnęli pod jego spadzistym kapeluszem. Strumień światła podążał teraz w ich kierunku. – Siedź cicho... nie ruszaj się – powiedział.

Jan starała się siedzieć zupełnie nieruchomo, ale nagle coś zimnego i śliskiego spadło jej na kark. Krzyknęła ze strachu i odwracając głowę, spostrzegła grubego, białego robaka pełznącego jej po ramieniu. Gdy na kark spadł jej kolejny, wrzasnęła i wstała.

— Nie – ostrzegł ją Milo, lecz było za późno. Wstając, Jan

dotknęła kapelusza grzyba, który pękł, rozsypał się i nie stanowił już osłony. W dodatku promienie światła zbliżały się coraz bardziej. – Głupia koza! – warknął Milo, chwytając ją i przyciągając ku sobie.

— Połóż się płasko!

Jan zobaczyła, że ziemię pokrywają wielkie wijące się robaki. Znajdowały się widocznie w kapeluszu grzyba, prawdopodobnie się nim żywiły.

— Och, Bogini Matko... – jęknęła i znowu chciała wstać, lecz Milo przycisnął jej twarz do miękkiej ziemi.

— Uspokój się, bo cię zabiję! – syknął.

Czuła, jak robaki wiją się pod nią, gdy miażdżyła je swym ciężarem. Żołądek podszedł jej do gardła...

Strumień światła zdążał poprzez drzewa dokładnie w ich kierunku. Nie mieli szans. I nagle, gdy był w odległości mniejszej niż pięćdziesiąt stóp od nich, rozległ się przykry dla ucha krzyk i strumień światła oświetlił jakiegoś dwunożnego stwora. Nie był to człowiek, jak ujrzała Jan, lecz jeden z wyprostowanych gadów, poruszających się na tylnych nogach. Niewielki. Gad, wyjąc z przerażenia, zaczął uciekać, a strumień światła podążał cały czas za nim, podczas gdy stwór pędził poprzez groteskowy krajobraz dotkniętych zarazą terenów. Strumień światła stopniowo się oddalał. Oddalił się również warkot śmigieł sterowca i Jan znowu nie była w stanie niczego dostrzec.

Po chwili Milo się odezwał.

— Powinienem cię za to tu zostawić – powiedział głosem chłodnym i suchym.

Była zawstydzona.

— Przepraszam, Milo. Zachowałam się jak dziecko.

— Nie. Zachowałaś się jak głupia kobieta.

Jan zachnęła się gniewnie, lecz opanowała wściekłość. Nie miała prawa się bronić. Naprawdę zachowała się głupio. W końcu powiedziała z namysłem: – Więc masz zamiar mnie tu zostawić?

Milo nie odpowiedział. Cisza trwała tak długo, że Jan zaczęła myśleć, iż już opuścił ją, poruszając się tak bezszelestnie, że nie dosłyszała jego odejścia. Wtem nieoczekiwanie poczuła, że chwytają za japońską kurtkę. Rzucił Jan na plecy i przykrył ją sobą.

— Jesteś mi coś dłużna – powiedział zimno.

Początkowo się broniła, lecz wkrótce przestała się szarpać. Tak, miał rację. Była mu dłużna, choć go nie lubiła. Wiedziała, że bez niego nie uda się jej wyjść cało z tych ziem dotkniętych zarazą. Nie miała wyboru – musiała się zgodzić na to, czego żądał.

Nie protestowała, gdy gwałtownie zerwał jej pas z bronią i ubranie, po czym, równie gwałtownie, wszedł w nią. Leżała na cuchnącym podłożu grzybowym i czuła oślizgły dotyk rozgniatanych robaków. Próbowwała powściągnąć fizyczny wstręt do Mila, mając nadzieję, że skończy się to szybko.

Niestety. Uświadomiła sobie po chwili, że mogła przecież oczekiwać, iż Milo nie będzie przypominał biednego księcia Caspara. Pożądliwy i podniecony Caspar nigdy nie potrzebował długiego czasu, by wytrysnąć w jej ciele, lecz Milowi nie zdarzały się takie braki samokontroli. Przeciwnie. Milo przeszedł ciągnące się latami zmiany genetyczne funkcji ciała, mógł więc również, jak sądziła, poddać się na podobnej zasadzie udoskonaleniu męskości. Brał ją wielokrotnie w różnych pozycjach, dochodził za każdym razem do szczytu, ale prawie natychmiast odzyskiwał erekcję. Próbowwała się poddać temu doświadczeniu, lecz choć jej

ciało w pewnym stopniu reagowało na podniety, świadomość nie przyjmowała tego, co się z nią działo. Nawet w chwilach, gdy usiłowała sobie wyobrazić, iż współżyje z księciem Casparem, który był kiepski w łóżku, nie potrafiła pozbyć się wstrętu. Zaczęła więc udawać, że sprawia jej to radość, jak to praktykowała niekiedy z Casparem, krzycząc, jęcząc i szamocząc się w sposób, który, jej zdaniem, miał przekonać Mila.

Raz jeszcze szczytował z intensywnością przewyższającą wszystkie jego poprzednie orgazmy; wydał przeszywający krzyk, a jego ciałem wstrząsnął spazm. Potem osunął się obok niej i Jan usłyszała jego sapanie. Odczekała chwilę i powiedziała: – Było wspaniale.

Policzek, który otrzymała w ciemności, całkowicie ją zaskoczył. Był tak bolesny, że zazgrzytała zębami. Po chwili, zanim zdążyła zareagować, Milo chwycił ją za kark.

— Suko! – syknął. – Jak sądzisz, z kim masz do czynienia? Myślisz, że uda ci się kiedykolwiek mnie oszukać?

Od owych pamiętnych chwil, gdy wraz z innymi jeńcami przebywała w wiklinowej klatce, Jan nie spędziła żadnej nocy w tak niewygodny sposób jak teraz. Tkwiała w ryzykownej pozycji wysoko pomiędzy gałęziami drzewa. Nie mogła zasnąć, gdyż wiedziała, że jeżeli to zrobi, niechybnie spadnie. Już prawie spadła, oddając mocz. Nawet jedzenie i picie stało się zajęciem ryzykownym, gdyż potrzebowała dwóch rąk do przytrzymywania się drzewa. Odzież jej lepiała się i cuchnęła, a owrzodzone gardło utrudniało przełykanie. Przez kilka okropnych chwil sądziła, że Milo ma zamiar ją zabić, lecz gdy zaczęła tracić przytomność, schwycił ją za gardło i ostro powiedział, by wstała i ubrała się. Od tego czasu rzadko się do niej odzywał, poza poinformowaniem jej, że znalazł odpowiednie

drzewo, i poinstruowaniem, jak ma się na nie wspiąć. Odezwał się również, gdy usłyszeli, że coś zbliża się do drzewa.

— Co to? – krzyknęła zaniepokojona.

Milo, siedzący na gałęzi niżej, odparł, że to jeden z wielkich gadów. Stwór poruszał się tak ciężko, że aż ziemia drżała, i Jan musiała się jeszcze silniej przytulić do drzewa. Dosłyszała, jak inne drzewa padają, i domyśliła się, że jest tak wielki, iż toruje sobie własną ścieżkę poprzez ten dotknięty zarazą las.

— Milo...! – krzyknęła, obawiając się, że zwierzę przewróci za chwilę ich drzewo.

— Nie bój się, właśnie nas mija – odkrzyknął.

Miał rację. Wkrótce Jan wyczuła, że jakiś wielki kształt przesuwa się bardzo blisko niej, a po chwili odgłos jego dudniących kroków zaczął się oddalać.

— Musiał być ogromny – rzekła.

— Tak. Największy dinozaur, jakiego widziałem. Sądząc po wyglądzie, to był brachiozaur – lecz tak naprawdę, to nie są dinozaury. Podstawę genetyczną ich ciała stanowi nie struktura gadów, lecz ssaków. Dokładniej mówiąc, psów. Tak, te stwory, wyglądające jak dinozaury, są w gruncie rzeczy rozrośniętymi psami... – Zaśmiał się nieprzyjemnie i umilkł.

Podczas tej długiej nocy nie napotkali już żadnych innych stworów, lecz dochodzące co pewien czas krzyki i piski świadczyły o tym, że ten dotknięty zarazą obszar zamieszkują jakieś żywe istoty. Jan poczuła ulgę, gdy wreszcie zaczęło świtać. Plecy i kark miała sztywne, a kończyny bolały ją od ciągłego przytrzymywania się konara.

W świetle poranka można było dostrzec przygnębiający, acz znany krajobraz. Jak okiem sięgnąć, zaraza. Wszędzie grzyby, zwieszające się z drzew jak kawałki jakiejś gnijącej materii, bądź

sterczące z ziemi w różnorodnych dziwnych kształtach. Niektóre grzyby były kolorowe. Jan widziała kilka olbrzymich, jasnoczerwonych purchawek, lecz większość miała zabarwienie brudnobiałe. Był to kolor, który kojarzył się jej ze śmiercią i rozkładem. Powietrze również cuchnęło zgnilizną, ostrym odorem pleśni. Gdy słońce zaczęło przygrzewać, smród stał się jeszcze dokuczliwszy.

— Schodzę – rzekł Milo. – Za chwilę zwariuję na tym drzewie.

Jan też próbowała zejść na dół, lecz jej mięśnie ostro się temu sprzeciwiły. Sądziła, że Milo zejdzie pierwszy, lecz, o dziwo, minął ją i zaczął się wspinać na szczyt drzewa.

— Co robisz? – spytała, zatrzymując się.

— Chcę określić położenie geograficzne. Straciłem orientację ostatniej nocy. Myślę, że powinienem dostrzec z góry miasto.

Zeszła na dół. Oddaliła się nieco i usiadła pod usychającym drzewem, by odpocząć. Gdy wstała, Milo był już na ziemi. Miał ponurą minę.

— Niedobrze. Bardziej zboczyliśmy z kursu na tej cholernej lotni, niż myślałem.

— Jak daleko znajduje się miasto?

— Zbyt daleko. Dostrzegłem tylko na horyzoncie jego wieże. Dotarcie tam po tym podłożu zajmie nam kilka dni. – Wyjął ciastko ryżowe z woreczka w kurtce i zaczął jeść. Pomiędzy jednym a drugim kęsem powiedział! – Problem polega na tym, że nie wystarczy nam jedzenia ani picia.

— Dla mnie nie wystarczy, to chcesz powiedzieć? – odparła, przypomniawszy sobie, co Ceri mówiła o Milu, który przeżył w morzu, podczas gdy jego towarzysze zginęli z pragnienia i głodu. – Ty przecież nie potrzebujesz jedzenia ani picia, by przeżyć. Wiem to od Ceri.

Spojrzał na nią.

— To prawda, mogę zwolnić tempo mojego metabolizmu, tak jak mogę je również przyspieszyć, lecz to oznacza przejście w pewną formę hibernacji. Nie jest możliwe jednoczesne wędrowanie i hibernacja. Potrzebuję tyle pożywienia i wody, co ty.

— Więc co robimy?

— Idźmy, a może coś się nam trafi. Na przykład napotkamy jakichś rabusiów albo wędrowców, których będę mógł zabić i odebrać im zapasy. Lecz wydaje mi się, że nie ma szans na spotkanie jakichkolwiek ludzi w tej okolicy.

Jan wyjęła butelkę z wodą i potrząsnęła nią. Zostało mniej niż połowa. Wypiła łyk i schowała butelkę z powrotem do kieszeni kurtki.

— Nie widać żadnych oznak Władców Niebios?

Skinął głową.

— *Pachnący Wietrzyk* krąży w odległości dziesięciu mil na wschód. Dowódca poleciał widocznie na pokładzie *Panglotha* do stacji orbitalnej Armstrong, by sprawdzić, czy to, co mu opowiedziałem, nie było kłamstwem. Mam nadzieję, że się nie domyśla, iż próbowaliśmy dotrzeć do miasta. To mogłoby mu przypomnieć Niebiańską Wieżę. Poza tym sądzę, że nie wpadnie na to, iż ktoś mógłby być na tyle szalony, by wkraczać do miasta.

— Tak – powiedziała cierpko. – Któż, oprócz nas, mógłby być na tyle szalony, by wkraczać do miasta?

Po raz pierwszy Milo uśmiechnął się i stał się taki, jak dawniej, lecz ta zmiana nastroju była tylko chwilowa. Znów w milczeniu wskazał drogę do odległego miasta. Z trudem posuwając się za nim poprzez śmierdzący grzyb, Jan zastanawiała się nad ich wzajemnym stosunkiem. Zmienił się po tym, jak mu się oddała

ostatniej nocy. Otrzymał wreszcie to, czego pragnął, nawet jeśli go to nie zadowalało. Czego więc chciał? Nie chodziło mu o zwykły seks. Czy zamierzał w jakiś sposób zmienić ją poprzez akt seksualny? W co? W namiętą kochankę, chociaż ostrzegła go, iż nigdy się nią nie stanie? To było prawdopodobne. W swej nieposkromionej pewności siebie mógł przypuszczać, że zdobędzie ją samą siłą penisa. A może sprawa nie wyglądała tak prosto? Może, mimo iż przeczył istnieniu miłości, miał nadzieję, że ona się w nim zakocha?

Cokolwiek jednak czuł do niej teraz, nie wróżyło to nic dobrego. Widocznie dostrzegł, że nie uda mu się zmienić jej nastawienia, a to oznaczało, że mógł ją teraz traktować jak sprzęt, jak coś, czego można się łatwo pozbyć przy pierwszych oznakach niewygody.

Ranek przebiegł bez wydarzeń. Słyszeli wiele odgłosów w okolicznych lasach, lecz nic im nie zagroziło. Natknęli się na drzewo batowe, które jednak nie sprawiało kłopotów. Można było bowiem dostrzec, czym jest, gdyż niedawno chwyciło zdobycz. Stanowiło ją duże zwierzę o wyglądzie wilka, przyciśnięte do pnia silnym uściskiem konarów. Ciało wilka zaczęło się już kurczyć, gdyż ostrza pnia powoli je wysysały.

— Dlaczego grzyb nie atakuje drzewa balowego? – spytała Jan, gdy przechodzili obok.

— Tak, jak ci powiedziałem, nie są to prawdziwe drzewa. Poza tym zostały tak skonstruowane, że trudno je zniszczyć. Zawierają silne toksyny, którym nie są w stanie się przeciwstawić nawet najbardziej agresywne grzyby.

Okolo południa zatrzymali się na odpoczynek. Jan padła zmęczona na ziemię. Wyczerpał ją marsz poprzez zagrzybione obszary i mięśnie jej pulsowały z bólu. Było nieznośnie gorąco.

Chmury burzowe, które zalegały poprzedniej nocy, znikły i słońce paliło zarażoną ziemię.

— Bogini Matko... Co za smród... – jęknęła Jan. To nie tylko grzyb, to był również jej własny zapach. Brudna odzież cuchnęła nieznośnie w tym gorącu i Jan oddałaby wszystko za kąpiel. Pomyślała z tęsknotą o łazience w swoim pomieszczeniu na pokładzie sterowca Władcy Panglotha i ta słabość zirytowała ją. Była również piekielnie spragniona. Wyjęła butelkę z wodą. Zamierzała wypić tylko parę łyków, lecz zanim się zorientowała, wypila cały zapas. Westchnęła w duchu. W jaki sposób uda się jej przeżyć te dwa czy trzy dni podróży bez picia? Spojrzała na Mila leżącego na wznak. Czy podzieli się z nią resztką swej wody? Lepiej nie pytać go teraz o to.

Dziesięć minut później Jan poczuła, iż zapada w drzemkę. Wiedziała, że to niebezpieczne na otwartej przestrzeni, lecz Milo z pewnością powiadomiłby ją, gdyby groziło im jakieś niebezpieczeństwo. Nagle jakiś odgłos sprawił, że całkowicie się rozbudziła. Nasłuchiwała. Tak, to znowu to! Nie pomyliła się. To był plusk. Usiadła.

— Milo, słyszałeś to?

Nie odpowiedział. Spojrzała na niego. Chyba spał. W porządku. Zrobi to na własną rękę. Będzie dobrze, jeśli oznajmi mu po powrocie, że znalazła źródło wody pitnej. Może w ten sposób zrehabilituje się za swe głupie zachowanie poprzedniej nocy.

Wstała pośpiesznie. Usłyszała kolejny plusk. Dochodził z lewej strony. Ruszyła w tym kierunku. Na wszelki wypadek wyjęła krótki miecz... Przebyła na oko jakieś pięćdziesiąt jardów, kiedy nagle klaustrofobiczna sceneria usychających drzew i grzybowych kształtów skończyła się, i Jan zorientowała się, że

stoi na polanie. Pośrodku polany znajdowało się małe jezioro. Było prawie idealnie okrągłe i dziewczyna zaczęła się zastanawiać, czy nie jest sztuczne. Jakkolwiek zresztą powstało, wydało się jej wspaniałe. Zbliżyła się czując przemożną potrzebę uprania odzieży i kąpieli.

Nagle zamarła. Powierzchnia tego małego jeziora była doskonale płaska i Jan nie dostrzegła żadnego strumienia, który by doń wpadał albo wypływał. Co więc pluskało? Zasłoniła się mieczem i rozejrzała po polanie. Nie dostrzegła w pobliżu nic podejrzanego. Spojrzała znów w stronę jeziora i ostrożnie się zbliżyła. Nagle wielka bańka pojawiła się na powierzchni i rozprysła się z pluskiem. Jan odetchnęła. Tajemnica została wyjaśniona.

Ale co powodowało powstawanie baniek? Może gaz wydobywający się z dna jeziora? A może wytworzone zostały przez rozkładające się pod wodą organizmy? Podeszła do brzegu jeziora i spojrzała w wodę. Wydała się jej głęboka, gdyż brzegi jeziora opadały stromo w dół. Jan zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy ta woda nadaje się do picia. Wyglądała tak nęcąco...

Przyklękła i zanurzyła rękę. Woda wydała się jej zadziwiająco zimna. Ostrożnie wzięła trochę na koniec języka i posmakowała. Woda była smaczna, więc zaryzykowała wypicie paru łyków.

Głośniejszy niż dotychczas plusk przyciągnął jej uwagę. Na środku jeziora pojawiła się głowa, wyglądem i ciemnozielonym kolorem przypominająca żabią. Stwór miał duże, wyłupiaste oczy i bardzo szeroki pysk, który szczyrzył ku Jan. Dziewczyna rzuciła się do ucieczki, gdy pysk otworzył się nagle i z oszłamiającą szybkością wysunął się z niego długi język. Jego koniec owinął się wokół nogi Jan, zanim zdała sobie sprawę z

tego, co się dzieje. Stwór szarpnął ją gwałtownie za nogę i nieubłaganie ciągnął ku brzegowi jeziora.

Na oślep machała mieczem. Ostrze napotkało jakieś ciało, przecięło je i nagle Jan poczuła, że jest wolna. Uszczęśliwiona zaczęła wycofywać się znad jeziora. Spojrzała przez ramię i dostrzegła, że głowa znikła, ale wydało się jej, że woda na środku jeziora zaczęła się gotować. Ruszyła biegiem. W tej samej chwili woda w jeziorze gwałtownie zafalowała. Jan obejrzała się i zobaczyła, że stwór wyskakuje z wody. Był olbrzymi i miał potężne tylne odnóża. Dojrzała napięte mięśnie. Zwierzę szykowało się do skoku.

Zorientowała się, że nie ma szans. Stwór ruszył w jej kierunku i wylądował z łomotem jakieś pięć jardów od niej. Odwrócił się i zobaczył, jak poślizgnęła się i upadła. Był potężny. Nawet gdy kucał, był wyższy od niej. Olbrzymi pysk otworzył się ponownie. Jan dostrzegła ciekącą z niego krew.

— Zręcznie – warknął zabi stwór. – Zraniłaś mnie. Kilka tygodni będzie trwało odrastanie tych czterech stóp mojego języka. – Wyciągnął ku niej jedną ze swych żabich kończyn. Długie palce, przypominające ludzkie, zakończone były potwornie wyglądającymi pazurami. – Mam zamiar dać ci parę lekcji, zanim cię zjem, kobieto. Zanim z tobą skończę, będziesz mnie błagać bym cię zjadł w miarę szybko...

Nagle stwór zeszywniał i ryknął z bólu. Okręcił się dookoła i Jan dostrzegła dużą i głęboką ranę w dolnej części jego grzbietu. Jakiś kształt zamajaczył obok. Błysnęło ostrze. Stwór upadł na ziemię ze zwieszonym przednim odnóżem.

Milo – uzmysłowiła sobie Jan.

Miecz błysnął jeszcze kilka razy i wkrótce potwór leżał na grzbiecie, poruszając słabo tylnymi nogami i obficie krwawiąc z

licznych ran. Milo podszedł do grzyba i zaczął wycierać o niego poplamiony długi miecz. Spojrzał na Jan pogardliwie.

— Głupia, głupia kobieto. Czynisz wszystko, by umrzeć. Następnym razem pozwolę ci na to.

Metalowa siatka, która celnie upadła na głowę Mila, zaskoczyła ich oboje jednakowo.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY PIĄTY

Drewniana klatka osadzona na dwóch wielkich kołach i ciągnięta przez kilka zmęczonych wołów, posuwała się powoli przez dotknięty zarazą teren. Jan i Milo nie byli jedynymi więźniami. W klatce znajdowały się trzy inne osoby: dwóch mężczyzn i kobieta.

Mieli na sobie brudne ubrania zakrywające całe ciała z wyjątkiem głów. Na ich twarzach gościł ten sam wyraz ponurej rezygnacji. Mężczyźni nosili gęste czarne brody, a rysy mieli tak podobne, że Jan pomyślała, iż są bliźniakami. Byli przystojni, ale Jan uznała ten typ urody za zbyt męski. Odczucie to wiązało się również z tym, że cuchnęli jak typowi mężczyźni. W przeciwieństwie do nich kobieta odznaczała się prawie nieziemską pięknnością; kości pod nieskazitelnie białą skórą wydawały się Jan tak delikatne jak skorupka od jajka. Niestety kobietę szpecił garb, rysujący się wyraźnie pod grubym ubraniem.

Również ci, którzy ich schwytali, wyglądali niezwykle, a kilku z nich w dodatku wyróżniało się ubiorem. Jan spojrzała na mężczyznę idącego obok klatki. Twarz szpeciły mu głębokie bruzdy, a z szyi i policzków zwisały fałdy skóry. Jego rzadkie włosy upstrzone były na biało, jakby próbował je pomalować w stylu Naczelniczek Minerviańskich.

Inni zdobywcy mieli na twarzach podobne ślady, lecz ten został szczególnie oszpecony. Jan zastanawiała się, czy są to

jakieś nacięcia rytualne, i spytała o to Mila, lecz on wciąż odmawiał rozmowy. leżał milcząc w ciasnej przestrzeni klatki z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Domyślała się, że jest wściekły na siebie, iż dał się tak łatwo podejść i złapać tej grupie obdartusów. Stało się to jednak tak szybko, jakby metalowe sieci spadły znikąd. Gdy Jan patrzyła zaskoczona, jak Milo upada skrępowany siecią, w powietrzu była już następna sieć, tym razem przeznaczona dla niej. Wkrótce podobnie jak Milo leżała bezsilnie na ziemi z rozrzuconymi ramionami. Za chwilę otoczyli ich obszarpani mężczyźni o dziwnie oszpeconych twarzach, śmiejąc się i wydając okrzyki triumfu. Uzbrojeni byli we włócznie, widły i siekiery – wszystko przeżarte rdzą. Jan nie dostrzegła u nich karabinów. Mówili po amerykańsku, ale z dziwnym akcentem, który utrudniał zrozumienie ich mowy. Wciąż powtarzało się jedno słowo: Ezechiel. Jan słyszała to słowo wielokrotnie od czasu schwytania i uświadomiła sobie, że oznacza czyjeś imię. Z rozmowy mogła wywnioskować, że Ezechiel jest ich przywódcą i że będzie zadowolony, gdy wrócą z piątką ofiar. Czy też, jak powiedział jeden ze zdobywców, z „pięcioma paskudztwami”. Jan nie spodobał się ton jego głosu.

Podróżowali bez przerwy, również nocą. Pomimo niewygody udało się Jan zasnąć na parę godzin. Całe szczęście, że zanim umieszczono ją w klatce, zdjęto z niej sieć. Skrępowano jej ręce i nogi, podobnie jak innym więźniom z wyjątkiem Mila. Jan wątpiła, czy uda się jej wytrzymać w ciasnej metalowej klatce dłużej niż parę godzin, i coraz bardziej żał jej było Mila, choć ten, jak zwykle, nie okazywał żadnych uczuć.

Obudziwszy się z silnym pragnieniem, Jan poprosiła najbliższego ze zdobywców o wodę, lecz ten zaśmiał się i uderzył w tył klatki końcem włóczni.

— Czy na pewno jesteś teraz spragniona, plugawa dziewczko? – rzekł swym nieprzyjemnym akcentem. – Poczekaj, aż Ezechiel wyśle cię do Piekła. Tam dopiero będzie ci się chciało pić!

Gdy pierwsze promienie porannego słońca oświetliły szczytów drzew wieże miasta, Jan pojęła, że znajdują się teraz o wiele bliżej. Oceniała, że odległość od skraju miasta wynosi około dziesięciu mil. W południe klatka wraz z towarzyszącą jej eskortą dotarła na miejsce. Po przekroczeniu ogrodzenia z metalowej siatki pokrytej czymś maskującym, znaleźli się w małej osadzie. Po raz pierwszy od chwili schwytania Milo przyjął pozycję siedzącą i zaczął zwracać uwagę na otoczenie.

Było to ponure miejsce. Drewniane budynki zniszczone przez grzyb sprawiały wrażenie pokurczonych. Atmosfera wydawała się jeszcze bardziej ponura dzięki siatce maskującej, zwieszającej się nad całą osadą i utrzymującej otoczenie w nieprzerwanych ciemnościach.

Dotarli na plac w centrum tego zrujnowanego miasta i pojazd zatrzymał się. Z budynków wyszli ludzie i wkrótce klatkę otaczał spory dum. Jan przyjrzała się niektórym ludziom i jęknęła przerażona.

Były to żywe trupy! Wyschnięta skóra zwisała na kościach w stanie zaawansowanego rozkładu; ich twarze były tak zniekształcone, że ledwie przypominały ludzkie oblicza! To niemożliwe, by ludzie tak wyglądali i przy tym wciąż żyli! Widocznie dostali się w ręce gromady czarowników, którzy za pomocą magii utrzymywali nieszczęśliwe istoty przy życiu!

Przerażona Jan zbliżyła się do Mila. Ten zaśmiał się cynicznie.

— O co chodzi?

— Te postacie... Bogini Matko, kim one są? Czy zostały wykopane z grobów i ożywione przez czarowników? Milo znów

się roześmiał.

— Po raz pierwszy masz okazję zetknąć się ze schorzeniem, na jakie cierpieli wszyscy ludzie w dawnych czasach, pod warunkiem, że żyli dostatecznie długo. Zwie się „starością”. Ci ludzie są widocznie częścią jednej z dawnych wielkich społeczności. Uważali udoskonalenia genetyczne za „nienaturalne” i sprzeczne z wolą Boga. Woleli starzeć się powoli, jak ci, przez okres wielu lat. Ładny widok, prawda? Gdyby nie owa inżynieria genetyczna, którą tak bardzo pogardzasz, taki sam los czekałby i ciebie. Jan zakryła twarz dłońmi.

— Nie, nie wierzę ci! Bogini Matka nie mogłaby być tak bardzo okrutna!

— Może ona nie, lecz taki był Bóg Ojciec czy Natura, czy też ślepy przypadek – zależnie od tego, co według twoich wierzeń rządzi kosmosem...

— Ezechiel!

Wśród tłumu podniósł się głośny wrzask, po czym w środku uformowało się przejście. Ukazał się Ezechiel. Nie przypominał niczego, co Jan widziała uprzednio. Był wykonany z metalu i składał się z wielkiej, podobnej do pudełka głowy szerokości około pięciu stóp, i dwóch olbrzymich nóg, zakończonych stopami uzbrojonymi w pazury. Poruszając się, wydawał głośny zgrzyt, i Jan dostrzegła głębokie ślady, jakie pozostawiał w ziemi.

— Jezus – usłyszała szept Mila. – Nie wierzę własnym oczom... po tych wszystkich latach...

Dziwny kształt zatrzymał się obok klatki. Mierzył około dziesięciu stóp, a więc tyle, co klatka na platformie z kołami. Na szczycie metalowego pudełka znajdował się szereg rur, a z jednej strony doczepione było mechaniczne ramię. Jan ujrzała coś, co

przypominało wielką lornetkę umieszczoną na innym mechanicznym ramieniu, wystającym z przodu pudełka. Zadrżała, gdy lornetka skierowała się na nią, a następnie na innych więźniów.

Metalowy stwór przemówił.

— Jestem Ezechiel, Młot Pański. Stanowię przyrząd, który ześle was do przeznaczonego wam miejsca w Piekło, gdyż wasza obecność srodze obraża Pana.

Jego głos, donośny i beznamiętny, sprawił, że Jan zaczęła drżeć. Stwór zrobił krok do tyłu.

— Otworzyć klatkę. Chcę obejrzeć tych przeklętych.

Gdy tłum się cofnął, pozostawiając wolną przestrzeń wokół klatki, dwaj członkowie eskorty otworzyli drzwi i zaczęli wyciągać więźniów. Wkrótce cała piątka leżała na ziemi przed stworem, zwanym Ezechielem. Ten wyciągnął swe mechaniczne ramię w kierunku Mila.

— Dlaczego ten jeden jest tak dokładnie związany? Jeden ze zdobywców wystąpił naprzód.

— Ach, wielki Ezechielu, Młocie Pański, to demon rzadko spotykany. Widzieliśmy, jak porusza się z prędkością, której nie jest w stanie zarejestrować oko. Tym sposobem zabił wielkiego żabiego potwora z Okrągłego Jeziora.

Lornetka na ramieniu stwora skierowała się ku Milowi, po czym Ezechiel powiedział: — Miałeś rację, zachowując ostrożność. Ogłuszyć go, zanim zdejmie się mu siatkę.

Potem zakuć go w kajdany.

— Tak, wielki Ezechielu.

Mężczyzna odwrócił się, wyjął kij z za pasa, pochylił się nad Milem i dwukrotnie silnie uderzył go w tył głowy. Milo zacharczał i stracił przytomność. Jan miała nadzieję, że nie został

zabity. Z pewnością, pomyślała, chcąc zabić Mila, trzeba użyć więcej siły. Przestała się martwić o Mila, gdy ujrzała jak inny mężczyzna pochyla się nad nią z nożem w dłoni. Zamierzał jednak rozciąć jej tylko ubranie. Za chwilę była już naga, lecz wciąż związana.

— Wstań – rozkazał mężczyzna i podniósł ją szarpnięciem.

W podobny sposób potraktowano pozostałych troje więźniów. Jan spojrzała na nich ze zdziwieniem. Dwaj mężczyźni wyglądali normalnie od pasa w górę, lecz poniżej pasa pokryci byli grubym, zmierzwionym futrem. Zamiast stóp mieli kopyta...

Z tłumu dolatywały odgłosy sapania i wściekłości. Metalowy stwór krzyknął: — Popatrzcie! Są bardzo podobni do swego władcy!

Jan dostrzegła coś jeszcze w tych dwóch ludziach–zwierzętach. Obaj mieli małe rogi, sterzące po bokach czoła... a ich narządy płciowe były tak wielkie, że prawie absurdalne. Całą jej uwagę przykuła jednak dziewczyna. Miała przepiękne, nieskazitelne ciało, którego harmonię psuły jedynie wyrastające z łopatek dwa skrzydła, pokryte białymi piórami.

Ezechiel wskazał na nią i rzekł głośno: — Oto dowód na to, że Ciemny zbłądził! Stworzył demona na wzór jednego ze sług Pańskich! Lecz nie dajmy się oszukać!

Teraz przyszła kolej na Jan. Kazano jej się odwrócić, by Ezechiel mógł obejrzeć każdy cal jej ciała. W końcu stwór powiedział: — Nie znajduję w niej żadnego znamienia. Dlaczego przyprowadziliście ją do mnie?

Jeden ze zdobywców rzekł zaniepokojony: — Była razem z tym mężczyzną, który poruszał się jak demon, wielki Ezechielu.

W jakiś sposób została na pewno splugawiona.

— Ach tak, ten mężczyzna – przypomniał sobie Ezechiel,

zwracając swą lornetkę na Mila.

W tej samej chwili jakiś dziwny kształt, zgięty i powykrzywiany jak drzewo, przeszedł przez tłum, dźwigając łańcuchy i kajdany. Jan z przerażeniem dostrzegła, że to kobieta. Stwór ten rzucił swój ładunek obok Mila. Natychmiast dwaj mężczyźni zdjęli z niego sieć, rozebrali go i założyli kajdany na ręce i nogi. Ezechiel oglądał go przez dłuższą chwilę.

— Nie widzę i w nim żadnego znamienia Szatana – rzekł w końcu.

— Ależ, wielki, widzieliśmy go wszyscy. Poruszał się tak szybko, jak tylko demon potrafi.

Ezechiel pochylił głowę mniej więcej tak, jak potakujący człowiek.

— Wiadomo dokładnie, że nie wszystkie znaki dzieł Ciemnego są widoczne na zewnątrz. Zanim jednak skieruję na niego gniew Pański, muszę go wypytać. Umieście go z powrotem w klatce. Dziewczynę też. Wypytam ich, gdy on odzyska przytomność.

Gwałtownym szarpnięciem podniesiono Jan i wepchnięto do klatki. Ledwie zdążyła się cofnąć, gdy zaraz za nią został wrzucony Milo. Drzwi zatrzaśnięto i zablokowano.

— Jeśli chodzi o tych pozostałych, przeklętych przez Boga, będą oni łamani kołem, a następnie zesłani, by cierpieć wieczne męki w nieugaszonym ogniu piekielnym! – wykrzyknął Ezechiel. – Przynieście koła...

Kilka postaci z tłumu opuściło plac i wkrótce powróciło, tocząc przed sobą pięć kół tej samej wielkości co koła przy klatce. Zawieszono je na kikucie drzewa, ściętym na wysokości trzech stóp. Zdjęto kajdany trojgu więźniom. Dwaj mężczyźni szarpali się, gdy kładziono ich na wznak na kołach, rozpościerano i przywiązywano za ręce i nogi do obręczy. Dziewczyna ze

skrzydłami poddała się tej procedurze bez żadnego oporu. Była zupełnie zrezygnowana, co Jan dostrzegła z bólem serca. Skrzydła zostały w okrutny sposób rozpostarte, jedno zwisało w dół. Jan nie mogła zrozumieć, jak można niszczyć coś tak pięknego i delikatnego.

— Mieszkańcy Babilonii – rzekł Ezechiel, rozglądając się wokół. – Zgodnie z prawem powinniście zostać spaleni na stosie, lecz ogień mógłby zwrócić uwagę olbrzymów unoszących się w niebiosach. Dlatego zostaniecie oddani waszemu władcy w sposób łagodniejszy, niż na to zasługujecie. Sądzę, że Bóg mi wybaczy.

Jedna z postaci, które według Jan były żywymi trupami, podała Ezechielowi wielki młot. Ezechiel chwycił go swym ramieniem i podniósł wysoko, po czym opuścił gwałtownym ruchem na nogę dziewczyny ze skrzydłami, miażdżąc jej udo. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie. Ezechiel zmiażdżył jej trzy pozostałe kończyny równie silnymi ciosami młota. Przerazona Jan odwróciła głowę. Ku swemu zdziwieniu spostrzegła, że Milo otworzył oczy i przypatruje się uważnie tej scenie. Dostrzegła również z niedowierzaniem, że ma erekcję. Ogarnął ją wstręt.

— Bogini Matko, ciebie to podnieca! – krzyknęła oskarżycielsko.

— Spokój! – wyszeptał. – Nie chcę, by widzieli, że już odzyskałem przytomność.

Jan zaczęło się mącić w głowie, gdy próbowała przeanalizować tę nową cechę charakteru Mila. Za nią rozbrzmiewały odgłosy łamania kości i jeden z mężczyzn zaczął krzyczeć. Wciąż też było słyhać piski dziewczyny. Jan zatkała uszy palcami, lecz to nie pomogło. Kolejne uderzenia młota, chrzest kości, kolejne wrzaski...

Znów spojrzała na Mila i dostrzegła, że teraz patrzy na nią. Wargi mu drżały. Jan opuściła ręce.

— ...Powiedziałem, że to z pewnością okropny sposób umierania, ale przynajmniej stosunkowo szybki – mówił cicho Milo. – Chyba nie jesteś zbyt nieszczęśliwa?

— Gzy to nazywasz szybkim umieraniem? – spytała. – On tylko połamał im ręce i nogi. Ich agonia będzie trwać wiele dni. My też tak umrzemy.

— Nie. Szok ich zabije. Szok wiąże się z drastycznym obniżeniem ciśnienia krwi.

Nastąpi silny krwotok w okolicach złamań i zaraz ta trójka przeżyje stan głębokiego szoku. Wkrótce ich krew nie będzie w stanie zaopatrzyć serca w tlen i umrą.

— Myślę, że ta informacja będzie dla mnie pocieszeniem, gdy zostanę przywiązana do jednego z tych kół – rzekła Jan gorzko. – Również pewną pociechą będzie świadomość, że w chwili, gdy moje ręce i nogi będą łamane, stanie się to dla ciebie źródłem fizycznej rozkoszy.

Milo nieznacznie wzruszył ramionami.

— Przyznaję, że mam silne inklinacje sadoseksualne, lecz zapewniam cię, iż obserwowanie twej śmierci nie da mi żadnej przyjemności.

— Tak, to ulga – powiedziała z ironią. – Szczególnie, że nie dalej jak dwie noce temu chciałeś mnie zabić.

— Spokój! – ostrzegł ją. – Zbliżają się!

Odwróciła się i spostrzegła, że Ezechiel zmierza w ich kierunku klatki. Trzy ofiary wrzeszczały i szarpały się na kołach, lecz powoli zdawały się zapadać w stan nieświadomości. Może Milo miał rację, przyznała. Myśl, że agonia będzie krótka, przyniosła jej pewną ulgę.

— Ach, demon już się obudził – rzekł Ezechiel, wsuwając swój podobny do lornetki przyrząd przez kratę klatki. – Odpowiadaj na moje pytania. Czy jesteś stworem z Babilonii? Czy Ciemny dał ci zdolność poruszania się szybciej, niż cokolwiek żywego, stworzonego przez Pana?

— Czy muszę odpowiadać na twe pytania, Ezechielu? – spytał Milo. – Uwierzysz tylko w to, w co zechcesz. Po co mam tracić energię?

— Skoro nie chcesz odpowiadać na moje pytania dobrowolnie, ty i twoja towarzyszka zostaniecie zmuszeni do mówienia – rzekł Ezechiel. – I zapewniam was, że tortury, którym was poddamy, będą tysiąc razy gorsze niż ból łamania kołem.

— A kto daje ci prawo do decydowania o tym? – spytał Milo metalowego potwora, który zwał siebie Ezechielem.

— Pan Bóg dał mi to prawo! – odparł Ezechiel głośno. – Gdyż tak mówi Pan: „Gdy uczynię cię miastem spustoszonej jak inne miasta, które nie są zamieszkane, gdy sprowadzę na ciebie nawałnicę i pokryją cię wielkie wody. Wtedy strącę cię do tych, którzy już zstąpili do grobu, do ludu, który już przeminął, umieszczę cię w najgłębszych zakątkach ziemi, w odwiecznych rumowiskach, u tych, którzy zstąpili do grobu, abyś nie było zamieszkane i już nie miało miejsca w krainie żyjących. Zgotuję ci straszny koniec i ciebie już nie będzie; Będą cię szukać, lecz już nie znajdą”, mówi Wszechmocny Pan.

— Amen – rozległo się w dumie. Milo wstał z trudem.

— Nie nazywasz się Ezechiel – powiedział stanowczo do stwora.

— Jestem Ezechiel, Młot Pański!

— Nie jesteś niczym innym, jak tylko cyberoidem starej generacji! Jaki nosisz numer i jak się nazywa twój właściciel?

Lornetka na końcu ramienia drgnęła.

— Co? Co powiedziałaś? – spytał Ezechiel niepewnym głosem.

— Słyszałeś mnie przecież, cyberoidzie! – krzyknął Milo. – Podaj numer i nazwisko właściciela. Żądam tego w imieniu prawa.

Ezechiel cofnął swe masywne nogi, po czym spróbował coś powiedzieć, lecz wydał tylko szereg pozbawionych sensu dźwięków. Milo zaśmiał się i wyciągnął ramiona.

Kajdany krępujące jego nadgarstki opadły z hukiem. Schylając się i rozrywając łańcuchy, którymi spętane były jego nogi, powiedział do Jan: — Zardzewiałe jak diabli.

Łańcuchy pękły w jego rękach. Zamachnął się. Drewniana konstrukcja klatki pękła i z tłumu dały się słyszeć krzyki strachu. Milo wszedł na wielką głowę Ezechiela i uderzył w nią. Metalowa płyta odpadła z trzaskiem. Włożył rękę w otwór i Ezechiel jęknął. Był to słaby, pozbawiony emocji dźwięk, lecz Jan odczuła cały dramat agonii. Słyszając to, grupa hałaśliwych ludzi zaczęła lamentować z przerażenia. Niektórzy padli na kolana, inni rzucili się do ucieczki.

Milo zaśmiał się głośno. Jego twarz miała ów niesamowity wyraz, jaki Jan widziała poprzednio w pomieszczeniu kontrolnym. Był teraz większy i emanował siłą... i czymś jeszcze. W końcu wyjął rękę z wnętrza głowy Ezechiela i stopniowo wrzask stwora ucichł. Milo zerknął na Jan.

— Niezłe, co?

Spojrzała nań z niemym zdziwieniem i strachem.

— Teraz, mój drogi, stary cyberoidzie – powiedział Milo – sięgnij do klatki i grzecznie zdejmij kajdanki mojej towarzyszce. Tylko spróbuj coś jej zrobić, a zniszczę twój mózg. No już!

Ezechiel zadrżał, po czym powoli wyciągnął swe mechaniczne

ramię. Jan przeraziła się, gdy dostrzegła ostrze na jednym z jego metalowych „palców”. Lecz Ezechiel przeciął kajdanki nie robiąc jej krzywdy. Gdy skończył, Milo krzyknął: — Nie siedź tam. Chodź tu do mnie. Ten rozklekotany stary model pozwoli nam na swobodny dostęp do Niebiańskiej Wieży!

Jan niepewnie wyszła z klatki i wyminęła Ezechiela. Milo pomógł jej wspiąć się na wąski występ na karku stwora. Były tu uchwyty dla rąk. Gdy znalazła się obok Mila, ten zatrzasnął pokrywę głowy Ezechiela.

— Cyberoidzie! Twój numer i nazwisko właściciela! Bardzo powoli, tak, jakby każde słowo wyciągano z niego siłą, stwór powiedział: — Mój numer 0008005, a moim panem jest Hilary Du Cann z Korporacji Phobos.

— Świetnie – powiedział Milo z zadowoleniem.

Ezechiel jęknął.

— Lecz to było... dawno temu... Pan nie żyje... mam teraz nowe imię... brzmi...

Milo sięgnął do wgłębienia na szczycie głowy Ezechiela. Jan dostrzegła iskrę przelatującą pomiędzy końcówkami zniszczonych przewodów. Ezechiel zawył.

— Nie masz żadnego nowego imienia! – grzmiał Milo. – Jesteś wciąż 0008005 i stanowisz własność Hilary’ego Du Cann!

— Tak, tak proszę, nie zadawaj mi już bólu – błagał Ezechiel.

— Nie będę ci zadawał bólu, 0008005, ale tylko pod warunkiem, że podejmiesz ze mną współpracę – powiedział Milo do maszyny.

— Podejmę! Podejmę!

— Dobrze. Na początek podaj mi twój kod kasowania rozkazów.

— Ja... nie mogę. Nie wolno, by... osoby postronne mogły

korzystać... Och!

Jan drgnęła, gdy Ezechiel wydał ten okropny dźwięk po raz trzeci. Spojrzała na Mila. Uśmiechał się z zadowoleniem.

— Kod... słowem kodu jest... Mozart–McCartney. Kasowaniu rozkazów musi towarzyszyć formuła „Mozart–McCartney”.

Milo zaśmiał się.

— Świetnie, Słuchaj więc, kasuję wszystkie poprzednie rozkazy. Jestem twoim nowym panem. Nazywam się Milo. Będziesz słuchać wszystkich moich rozkazów. Mozart–McCartney. Zrozumiałeś?

— Tak – odparł Ezechiel. – Jesteś moim nowym panem. Nazywasz się Milo. Będę słuchać wszystkich twoich rozkazów.

— Słyszeliście? – krzyknął Milo do ludzi, skulonych ze strachu na ziemi.

Nikt nie odpowiedział. Ktoś zapiszczał. Milo uśmiechnął się do Jan.

— Nasz los zmienił się na lepsze, prawda?

— Tak wygląda – odpowiedziała niepewnie. – Lecz nie rozumiem, jakim sposobem.

Dlaczego ta maszyna będzie cię teraz słuchała?

— To nie maszyna, lecz cyberoid. W środku znajduje się ludzki mózg... hm, coś w rodzaju ludzkiego mózgu.

— Czy chodzi ci o to, że to był kiedyś człowiek? – spytała Jan zdziwiona.

— Nie. Mózg ten pochodzi od nie narodzonego płodu, wyhodowanego w laboratorium.

Został tak zaprogramowany, że powinien wykonywać rozkazy właściciela, lecz, jako że w programowaniu cyberoidów nie da się zagwarantować stuprocentowej pewności, wbudowuje się im dodatkowy czynnik bezpieczeństwa... urządzenie połączone

bezpośrednio z ich ośrodkami bólu. Urządzenie to może być też uruchamiane specjalnym sygnałem radiowym w przypadku, gdyby cyberoid wyrwał się spod kontroli. Tym razem uruchomiłem je ręcznie. – Milo wskazał na druty we wgłębieniu. – Włączyłem również jego system programowania. Powinien od tej chwili współpracować ze mną, lecz aby być całkowicie pewnym, mam zamiar korzystać z aktywatora bólu. – Ponownie trzasnął pięścią w głowę Ezechiela.

— Słuchaj mnie, 0008005. Wydaj rozkaz swym towarzyszom, by przynieśli nam ubrania. Wolelibyśmy, żeby były czystsze niż te szmaty, które oni noszą. I naszą broń. Niech przyniosą nam jedzenie i picie oraz naczynia do ich noszenia.

— Rozumiem, Milo.

— Zrób więc to.

Ezechiel powtórzył polecenia Mila skulonej, przerażonej grupie osób wokół nich. Po paru nerwowych szeptach trzy kobiety udały się po żądane przedmioty. Jedna wróciła zaraz i rzuciła tobolek odzieży przed cyberoidem.

Milo powiedział do Jan: — Zejdź i ubierz się. Zostanę tu i upewnię się, czy nasz przyjaciel dobrze się zachowuje.

Jan zeszła z korpusu Ezechiela, obserwując z niepokojem jego potężne odnóża. Wciąż nie ufała temu urządzeniu, mimo że zaczęło im być posłuszne. Przejrzała ubrania. Nie były specjalnie czyste i miały przykry zapach, lecz nie były aż tak brudne jak odzież, którą z niej zdjęto. Wybrała parę szerokich spodni, mniej dziurawych niż inne, koszulę uszytą z grubego, ciężkiego materiału i parę znoszonych skórzanych trzewików. Podczas gdy Jan się ubierała, powróciły dwie inne kobiety, niosąc broń Mila i Jan, dwa naczynia z wodą i worek, który prawdopodobnie zawierał żywność. Jedna z nich wyglądała jak pochylony szkielet

pokryty skórą. Rzuciły gwałtownie tobołki obok Jan i szybko się wycofały. Wraz z innymi patrzyły z przerażeniem i niedowierzaniem na Ezechiela.

Jan ubrała się i nałożyła pas z bronią, po czym wspięła się ponownie na Ezechiela zjedzeniem i wodą. Milo pokazał jej, w jaki sposób połączyć druty w głowie Ezechiela, by wywołać silny ból, po czym zszedł, by się ubrać i zabrać broń. Jan spojrzała na trzy dziwne kształty rozpięte na kołach. Drgnęła na widok ich zmiądzonych kończyn, lecz z ulgą zobaczyła, że albo są nieprzytomni, albo martwi. Miała nadzieję, że nie żyją. Powrócił Milo.

— Mogłeś ocalić ich także – powiedziała. – Dlaczego tego nie zrobiłeś?

— Te zabawki? – Spojrzał na nich przelotnie. – Nie był to właściwy moment. Musiałem zaskoczyć cyberoida.

— Mogłeś to zrobić, Milo – powiedziała chłodno. – Woląłeś jednak patrzeć, jak ta dziewczyna cierpi i umiera, nieprawdaż?

— Myśl sobie, co chcesz. Nie obchodzi mnie to. Pamiętaj, że ty wciąż żyjesz, a te zabawki zginęły. Albo zginą.

Tak, wciąż żyję – pomyślała – lecz jak długo jeszcze?

— Dlaczego nazywasz ich zabawkami?

— Ponieważ nimi byli. Dokładniej mówiąc, byli nimi ich dziadkowie i pradziadkowie.

Zabawki seksualne, stworzone dla zaspokajania seksualnych potrzeb ich właścicieli. Większość z tych zabawek nie rozmnażała się, lecz przodkowie tej trójki z pewnością mieli możliwość rozrodu. – Nagle uderzył w szczyt głowy cyberoida. – Teraz, 0008005, czas w drogę. Zanim jednak wyruszymy, muszę cię o coś zapytać. Czy twoja broń jeszcze działa?

— Tak. Karabiny nie, gdyż nie mam do nich amunicji. Ale mój

laser wciąż jest sprawny.

— Dobrze – powiedział Milo zadowolony. – Widzisz tamten dom, znajdujący się pod kątem trzydziestu stopni od nas, ten najbliżej nas? Spal go laserem.

Kłębowisko metalowych rur na szczycie głowy drgnęło. Jan dostrzegła jasną, czerwoną linię światła pomiędzy końcem jednej z rur a zrujnowanym budynkiem, który wskazał Milo. Prawie natychmiast cała budowla stanęła w płomieniach. Ludzi ogarnęła zgroza. Milo, z widocznym rozbawieniem, nakazał Ezechielowi, by podpalił następny budynek. Gdy ów zajął się ogniem, rozległy się krzyki z jego wnętrza. Drzwi otwarły się gwałtownie i wybiegły z nich dzieci w różnym wieku i kilka młodych kobiet z dziećmi na rękach. Wszyscy wydali się Jan wygłodniali i chorzy.

— Stój! – krzyknęła do Mila, gdy cyberoid zapalał budynek. Milo zlekceważył ją.

Dopiero gdy budynek stanął w płomieniach, kazał Ezechielowi zapalić inne zrujnowane domostwo. Wkrótce większa część osady płonęła, a płomienie sięgały siatki maskującej.

— Czy to wszystko było konieczne? – darła się Jan, przekrzykując odgłosy płonącego drewna i wrzaski uciekających mieszkańców.

— Czy mam okazywać współczucie tym mętom? Mieli zamiar zamordować cię tylko po to, by zjednać sobie swego Boga. – Znowu uderzył w głowę cyberoida. – W porządku, 0008005, ruszamy. Skierujemy się do miasta. Znasz drogę?

— Tak – odparł cyberoid i wyruszył.

Bardzo szybko znaleźli się znów w jasnym słońcu. Za nimi pozostała płonąca, żałosna osada ludzi Ezechiela, z której kłęb czarnego dymu przedostawał się na tereny dotknięte zarazą.

Cyberoid gwałtownie kołysał się z boku na bok podczas marszu i Jan z trudnością trzymała się małych uchwytów, które, jak powiedział jej Milo, zostały umieszczone tu dla wygody konserwujących cyberoid inżynierów. Powiedział jej również, iż Ezechiel musi gdzieś znaleźć jakieś działające źródło energii, co umożliwi mu napełnienie komór paliwowych. Sądził, że źródło takie znajduje się w mieście.

Jan odetchnęła, gdy po godzinnej podróży Milo nakazał cyberoidowi, by się zatrzymał.

— Co się stało? – spytała, widząc, że Milo ogląda dokładnie drzewa z lewej strony.

— Zobaczyłem coś błyszczącego, jakby szkło. Teraz zniknęło.

— Nic nie widziałam.

— Nie, nie mogłaś – rzekł tajemniczo i skierował Ezechiela w lewo.

Niebawem martwe drzewa się przerzedziły i znaleźli się na polanie. Na środku widać było stertę białych kamiennych bloków porozrzucanych na znacznej powierzchni.

— Wygląda to na resztki dużej willi – powiedział Milo, gdy cyberoid zbliżył się do skraju ruiny. – Zastanawiam się, co to błyszczało. – Wydał rozkaz cyberoidowi, by się zatrzymał. – Zejdź i sprawdź – powiedział do Jan. – Zostanę tu na górze i upewnię się, czy ta nasza blaszana puszka nie wpadnie na jakiś śmieszny pomysł.

Jan zeszła zadowolona z tylnej części maszyny.

— Najpierw muszę zrobić siusiu – powiedziała do Mila i skierowała się ku najbliższemu z kamiennych bloków. Prawie już tam dotarła, gdy czyjś krzyk zmusił ją do odwrócenia się. Zdążyła tylko zobaczyć, jak cyberoid zdejmuje Mila z karku za pomocą swego mechanicznego ramienia, strąca go na ziemię i

rozgniata jedną ze swych wielkich metalowych stóp.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY SZÓSTY

— „I tak objawię moją chwałę wśród narodów. Wszystkie narody będą oglądać mój sąd, którego dokonam i moją rękę, którą położę na nich”.

Ezechiel grzmiał tymi słowami, rozgniatając jednocześnie Mila. Jan chciała wrócić, lecz zatrzymała się. Nie mogła już pomóc Milowi. Jego ciało stało się bezkształtną krwawą masą. Był martwy!

Ezechiel przestał rozdeptywać szczątki Mila. Lornetka na jego metalowym ramieniu skierowała się ku Jan. Kłębowisko rur na głowie cyberoida patrzyło na dziewczynę. Jan padła na ziemię. Czerwony strumień przeszył płomieniem powietrze tuż nad nią. Odczołgała się i schowała za jednym z kamiennych bloków.

— Jestem Ezechiel, Młot Pański! – rozległ się głos cyberoida i Jan usłyszała tupot jego wielkich nóg. Wciąż kryjąc się za kamiennymi blokami, biegła ku środkowi ruiny.

Krążyła i omijała pokruszone fragmenty muru w nadziei, że zgubi cyberoida w tym labiryncie, lecz huczący głos Ezechiela stawał się coraz silniejszy.

— „Dlatego, jakom żyw”, mówi Wszechmocny Pan, „sprawię, że będziesz krwawić i krew będzie cię ścigać; zaiste, przelewem krwi zawiniłaś i krew będzie cię ścigać...”.

Jan pobiegła szybciej. Dotarła do kolejnego załomu... i spostrzegła, że to ślepy zaułek. Zwalone ściany i kamienne bloki utworzyły coś w rodzaju alei, zakończonej przegrodą z białego

kamienia, zbyt wysoką, by mogła ją przeskoczyć. Było za późno, żeby się wycofać. Ezechiel znajdował się już blisko. Wpadła w zasadzkę.

Postać, obserwująca Jan, nie była ludzka i spoglądała na nią z lodowatym obiektywizmem. Zawierała wyłącznie składniki syntetyczne, które stanowiły produkt długotrwałej pracy laboratoryjnej i nie miały cech charakterystycznych dla życia biologicznego. Był ten nie przejawiał dosłownie żadnych emocji: strachu, pożądania, ciekawości, współczucia wobec świata, który obserwował przez niezliczoną ilość sensorów. Zaprogramowano go, by chronił siebie, lecz nie obdarzono instynktem samozachowawczym, charakterystycznym dla organizmów żywych, wykształconym w ciągu ewolucji genetycznej. Był po prostu tylko abstrakcyjnym umysłem, czystym i doskonałym.

Drzemał w nim jednak system składników organicznych, który u swego zarania był umysłem ludzkim. Pierwszy umysł rozpatrywał problem przez kilka nanosekund i przekazywał oceniony przezeń obraz sytuacji drugiemu umysłowi...

— Ashley. Obudź się.

— Co? – z irytacją.

— Spójrz.

Drugi umysł spojrział.

— O Jezu, na co czekasz, ty pustomózgowie? – z podnieceniem.

– Pozwól jej wejść! Gdy Jan ujrzała, że ściana przed nią otwiera się w cudowny sposób, nie zastanawiając się, weszła przez nią i prawie zderzyła się z następną ścianą. Ku swemu zdziwieniu znalazła się w małym, wąskim pomieszczeniu z jednymi drzwiami, tymi przez które weszła. Odwróciła się i dojrzała Ezechiela podążającego aleją.

— I rzekł Pan do niego: „Przejdź przez środek miasta, przez

środek Jeruzalem i uczynić znak na czole mężów, którzy wzdychają i jęczą nad wszystkimi obrzydliwościami popełnionymi w nim”.

Jan szukała w panice zamka u drzwi, lecz nie znalazła. Ezechiel zatrzymał się na zewnątrz i pochylił.

— A do innych rzekł tak, że to na własne uszy słyszałem: „Przejdźcie za nim przez miasto i zabijajcie bez zmruczenia oka, i nie litujcie się!”. – Jego mechaniczne ramię znalazło się w środku.

— Nie! – krzyczała Jan. – Zostaw mnie!

Drzwi zamknęły się gwałtownie i koniec uciętego ramienia Ezechiela ze zgrzytem spadł na ziemię. Wtem podłoga zaczęła się zapadać i Jan uświadomiła sobie, że całe pomieszczenie porusza się w dół w taki sam sposób, jak jedna z wind na pokładzie sterowca Władcy Panglotha. Zdawało się jej, że ta podróż trwa bardzo długo. Wreszcie winda zatrzymała się i Jan zaczerpnęła oddechu, gdy pojawiło się jasne, oświetlone wyjście. Przez kilka chwil jej oczy musiały przyzwyczajać się do światła, po czym ujrzała, że znajduje się w wielkiej komnacie, zbytkownie umeblowanej, piękniejszej od komnat królewskich na *Pangloth*.

— Przepraszam. Światło jest dla ciebie z pewnością zbyt jasne. Przyciemnię je. Nie używamy go od tak dawna... – Głos był kobiecy, przyjazny i serdeczny.

Jan zrobiła kilka kroków, ale nikogo nie dojrzała. Światła przyciemniono i nagle Jan dostrzegła postać na środku pokoju. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie zauważyła jej wcześniej. Gdy dziewczyna zbliżyła się, Jan przeszył dreszcz: przez chwilę myślała, że to Ceri, lecz za chwilę przekonała się, że choć podobieństwo wydaje się uderzające, dziewczyna nie jest kopią Ceri. Miała oczy brązowe, nie zaś niebieskie, i jej włosy były o wiele jaśniejsze. Zatrzymała się w odległości pięciu stóp od Jan i

uśmiechnęła serdecznie. Miała na sobie dziwne ubranie: bardzo obcisłe błękitne spodnie, sięgające zaledwie do bioder i równie ciasną, żółtą bluzkę, związaną z przodu na węzeł, który odsłaniał talię. Nogi miała bose.

— Cześć, jestem Ashley! Jak ci na imię? – spytała uprzejmie dziewczyna.

Jan przedstawiła się i spytała, czy może usiąść. Teraz dopiero nastąpiła reakcja: Jan zaczęła dygotać.

— Ależ tak, naturalnie! – powiedziała Ashley. – Siądź, gdzie chcesz, Jan.

Jan upadła na wyściełaną sofę i owinęła się ramionami. Ashley wciąż stała.

— Dlaczego ten cyberoid próbował cię zabić? – spytała. Znużona Jan potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Myślę, że oszalał. Mówił mi o tym Milo po drodze tutaj... że cyberoid wiele lat temu wpadł w obłąd... Miło mówił, że był bardzo, bardzo stary... Milo... – Nie mogła wciąż oswoić się z myślą, że Milo nie żyje. To niemożliwe!

— Milo? To ten mężczyzna, którego zabił cyberoid, zanim zaczął cię ścigać? – spytała Ashley uprzejmie.

— Tak. Widziałaś to? – spytała Jan ze zdziwieniem.

— Nie. Oglądałam powtórkę. Czy był twoim mężem?

— Nie... nie był moim mężem – rzekła Jan i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

Zastanawiała się, co może znaczyć użyte przez Ashley słowo „powtórka”.

— Kochanek więc? Przyjaciel?

Jan westchnęła.

— Nie. Nie uważałam go nawet za mojego przyjaciela. To był po prostu Milo... a teraz go nie ma. Nie mogę się uspokoić. Nie

mam pojęcia, co teraz zrobię. – Ku swemu zdziwieniu zaczęła płakać. Wiedziała, że nie płacze z powodu Miła, lecz martwi się o siebie. – Nie będę w stanie przetrwać bez niego na terenach dotkniętych zarazą.

— Możesz tu zostać, Jan – powiedziała Ashley. – Tak długo, jak zechcesz. Od dawna nie mam już towarzystwa.

— Czy żyjesz tu sama?

— Tak. Z wyjątkiem Carla, ale on się nie liczy. Nie jest właściwie mężczyzną; to tylko program komputerowy, lecz nazywam go Carlem, by choć trochę przypominał człowieka.

Ach, gdyby to skutkowało... – westchnęła marzycielsko, po czym jej twarz znów się roz pogodziła. – Proszę, zostań tu! Byłabym taka szczęśliwa!

Jan wytarła oczy i rozejrzała się po obszernym nisko sklepionym pomieszczeniu. Spojrzała na Ashley. Wydało się jej, że coś w wyglądzie dziewczyny nie jest w porządku, lecz nie wiedziała co.

— Co to za miejsce? – spytała.

— Schron – odparła dziewczyna. – Początkowo miał służyć jako schronienie przed bombą atomową, lecz wiele lat później moi rodzice przekształcili go na schron przeciw Wojnom Genetycznym. – Twarz Ashley posmutniała. – Nie uchronił ich przed nimi. Jeden z wyhodowanych pod koniec wojny wirusów chorobotwórczych dostał się tutaj poprzez filtry i inne bariery ochronne i spowodował ich śmierć. Tu... – Ashley odwróciła się i wskazała na zamknięte drzwi prowadzące z pomieszczenia.

— Lecz ty przeżyłaś – powiedziała Jan, czując coraz większe zdziwienie.

Poczucie, że w Ashley jest coś dziwnego, narastało.

— Ach tak, przeżyłam. I sądzę, że wszystko przeżyję. – Ta

perspektywa nie zdawała się jej zachwycać.

Jan pojęła wreszcie.

— Jesteś nieśmiertelna! – krzyknęła. – Tak jak Milo!

— Twój przyjaciel był nieśmiertelny? – spytała Ashley ze zdziwieniem. – Sądziłam, że wszystkich nieśmiertelnych zabito przed wiekami. W każdym razie nie jest już nieśmiertelny, prawda?

Wciąż zaskoczona, Jan powiedziała: – Lecz ty z pewnością jesteś nieśmiertelna. Mówiłaś, że twoi rodzice zmarli podczas Wojen Genetycznych. A nie wyglądasz na starszą ode mnie.

— Ile masz lat? – spytała Ashley z zainteresowaniem.

Żałując, że dziewczyna poruszyła ten temat, Jan powiedziała: – Mam osiemnaście... nie, teraz chyba dziewiętnaście. – Zdała sobie sprawę, że jej urodziny były dwa czy trzy miesiące temu, lecz straciła rachubę czasu.

— Jestem więc młodsza od ciebie. Mam tylko siedemnaście lat. I zawsze będę miała siedemnaście. Słodkie siedemnaście lat. – Znów westchnęła marzycielsko.

Jan zaczęła się zastanawiać, czy Ashley czasem nie oszalała. Możliwe, że była również, tak jak i ona, uciekinierką z terenów dotkniętych zarazą i w tym dziwnym podziemnym miejscu znalazła się przypadkowo, a teraz próbuje fantazjować na temat przeszłości. Zaczęła się zastanawiać, jak postępować z Ashley, jeśli ta rzeczywiście jest szalona.

— Skąd bierzesz żywność i wodę? Czy wystarczy jej, gdybyśmy miały przebywać tu we dwie? – spytała.

— Ach – rzekła Ashley i włożyła palec do ust. – Nie pomyślałam o tym. Zaraz spytam Carla.

Na krótką chwilę jej oczy stały się puste, po czym uśmiechnęła się do Jan.

— Carl mówi, że może uruchomić na nowo syntezy żywności. Główne zapasy paliwa organicznego znajdują się w silnym zamrożeniu i muszą zostać odmrożone, co będzie trwało jakiś czas, lecz wodę może ci dać zaraz. Jest tu podziemny strumień. – Wskazała na podłogę.

Jan wpatrzyła się w nią. Chyba rzeczywiście Ashley była szalona.

— Czy... czy ten „Carl” mówił do ciebie i powiedział ci o tym? – spytała z wahaniem.

Ashley skinęła głową.

— Tak. Mamy bezpośrednie łącze.

— Ach, tak – rzekła Jan, jakby to wszystko wyjaśniało. – Jest więc tu woda i żywność.

— Na myśl o wodzie poczuła silne pragnienie i miała nadzieję, że woda nie jest kolejną fantazją Ashley. Dziewczyna wydawała się przynajmniej fizycznie zdrowa, więc musiała dostawać wodę i żywność. Ale przecież nie mówiła o jedzeniu i piciu w odniesieniu do siebie samej.

— Ach, więc ty i Carl nie potrzebujecie wody ani jedzenia? – spytała lekko rozbawiona.

— Powiedziałam ci, że Carl jest programem komputerowym. Programy nie jedzą ani nie piją – dziewczyna zachichotała nerwowo.

— A ty?

Ashley zagryzła wargę i wyglądała na niezadowoloną. Nie odpowiedziała.

— Więc? – dopytywała się Jan.

— Myślę, że lepiej będzie ci to powiedzieć – rzekła Ashley smutno. – Prędzej czy później się domyślisz.

— Domyśle się? Czego?

— Tego.

Ashley podeszła do sofy, na której siedziała Jan, i wyciągnęła do niej rękę.

Zaciekawiona Jan sięgnęła... i jej ręka przeszła przez Ashley tak, jakby jej nie było.

— Widzisz? – rzekła Ashley i westchnęła.

Jan cofnęła się na sofę i spojrzała na Ashley z przerażeniem.

— Jesteś duchem! – krzyknęła.

— Tak, czymś w tym rodzaju.

Jan spoglądała na nią ze zgrozą. Ta wspaniała komnata stała się nagle czymś upiornym. Jan znalazła się w pułapce setki stóp pod ziemią z tą martwą istotą.

— Chcę wyjść. Proszę, wypuść mnie – błagała.

— Do diabła, bałam się, że zareagujesz w ten sposób – powiedziała Ashley, cofając się. – Spójrz, nie jestem takim duchem, o jakim myślisz.

— Nie jesteś martwa? – spytała z niepokojem Jan.

— Tak, jestem martwa – przyznała uprzejmie Ashley. – Czy raczej mój wzorzec umarł.

Jestem tylko kopią.

— Czego?

— Po prostu kopią. Dawno temu, przed wiekami, żyła prawdziwa dziewczyna o nazwisku Ashley Vee, a skopiowany został jej umysł i przechowany w komputerze. I ja jestem tą kopią.

— Aleja cię przecież widzę – upierała się Jan.

— To, co widzisz, jest projekcją holograficzną, kontrolowaną przez komputer. Wiesz, co to takiego hologram, prawda?

Jan przypomniała sobie „rozrywki” Arystów. Milo nazywał je projekcjami holograficznymi – one również były niewiarygodnie

realistyczne. Odetchnęła.

— Więc nie jesteś duchem?

— W każdym razie nie prawdziwym, tylko elektronicznym. Proszę, nie odchodź. Nie masz się czego bać. Powiedz, proszę, że zostaniesz.

Jan nie wiedziała, co robić. Świadomość, że Ashley nie jest zjawiskiem nadnaturalnym, uspokajała ją, lecz jednocześnie jej obecność peszyła Jan. Ludzie holograficzni w „rozrywkach” też wyglądali realnie, lecz nie prowadzili rozmów z żyjącymi.

— Kto cię... tak skonstruował? I po co? – spytała niepewnie.

— Moi rodzice – odparła Ashley. – Wiesz, miałam takie niebezpieczne hobby.

Szybowanie. Wiesz, co to takiego?

— Aż nazbyt dobrze – odpowiedziała ponuro Jan i zrelacjonowała jej ucieczkę z pokładu *Władcy Panglotha* na japońskiej lotni.

— Och, nie myślałam o lotni. Mój szybowiec wyglądał jak samolot, miał kokpit i całe wyposażenie. Nazywał się Pegasus, rozpiętość jego skrzydeł wynosiła ponad sto stóp.

Osiągał pułap tysięcy stóp. Było to coś wspaniałego. Lecz sprawdziły się obawy moich rodziców. Rozbiłam się i zginęłam.

— Czy chcesz mi powiedzieć, że pamiętasz moment śmierci? – spytała Jan zaskoczona.

— Ależ nie. Ostatni zapis powstał na dwa tygodnie przed moją śmiercią, więc nie mam w pamięci tych dwóch ostatnich tygodni mojego „życia”, włączając w to moment wypadku. Obawiając się o to, że się kiedyś zabiję, moi rodzice chcieli w jakiś sposób mnie przechować. Początkowo zamierzali wykonać kopię kloniczną mojej osobowości i pamięci, lecz choć mieli dużo pieniędzy, nie mogli sobie na to pozwolić. Musisz wiedzieć, że w czasach, w

których żyłam, było to nielegalne. Wpadli więc na coś innego. Mój hologram...

Jan uważnie i milcząco przypatrywała się dziewczynie. Wrażenie iluzji było doskonałe. Aż trudno uwierzyć, że nie ma ciała i krwi.

— Powiedz mi, jak się czujesz, będąc tym, czym jesteś? – spytała. Ashley skrzywiła się.

— Hm. To trudno wyrazić słowami. Mogę cię jednak zapewnić, że nie jest to to samo co życie... realne.

— Lecz przecież myślisz i czujesz, prawda? – spytała Jan.

— Ależ tak, mogę myśleć. Przynajmniej sądzę, że mogę myśleć. Nie mam pewności. I b samo z uczuciami. Sądzę, że czuję, lecz nie są to te same uczucia, jakie miałam za życia. Wiesz, co mam na myśli?

— Nie – przyznała Jan. Ashley westchnęła.

— To trudno wyjaśnić... to tak, jakby moje odczucia były imitacją odczuć.

Nieprawdziwą. Tak – skinęła głową – z pewnością odczuwam nierealnie. Ale to nie powinno cię dziwić... Tak naprawdę, jestem przecież tylko elektronicznym cieniem mojej poprzedniej postaci. – Uśmiechnęła się do Jan i dodała: – Lecz moja ludzka część zanika, wiem o tym. Obawiam się, że w końcu stanę się tym samym co Carl. A to jest nudne.

Jan próbowała sobie wyobrazić, jak może czuć się Ashley, ale to przekraczało jej możliwości.

— Od jak dawna jesteś... hm... w takiej postaci?

— Zaczekaj chwilkę, spytam Carla – po czym od razu powiedziała: – Czterysta trzydzieści dziewięć lat.

— Tak długo? Okropność! Jak spędzasz tu czas? Chyba jesteś bardzo znudzona?

— Tak, rzeczywiście, czuję to, gdy się budzę. Na ogół jednak śpię.

Prawdę mówiąc, nie jest to sen, gdyż nic mi się nie śni, to w gruncie rzeczy niebyt. Ale gdy się obudzę, mogę sprawić, że czas biegnie bardzo szybko, i to pomaga. Aby porozmawiać z tobą, musiałam zwolnić tempo moich procesów myślowych. Od czasu wizyty ostatniego przybysza nie zauważyłam, by czas mi się dłużył.

— Kiedy to było? – spytała Jan.

— Jakies osiemdziesiąt lat temu. Miał na imię Vic. Bardzo ładny chłopiec. Schronił się w ruinach, uciekając przed ścigającymi go bandytami. Był tu przez dziesięć lat, po czym zachorował i umarł. Nie podobało mu się tu na dole, niestety. Oto on w obecnej postaci. Ashley odwróciła się i wskazała ręką. W tej samej chwili światło rozjaśniło się i Jan ujrzała w dalszej części pomieszczenia kupkę kolei. Przeraziła się.

— Zostawiłaś go tam?

— A cóż mogłam jeszcze zrobić? Ja, nie mając ciała, jak już zauważyłaś? – powiedziała Ashley i zaśmiała się. – Dawniej istniało tu kilka urządzeń pomocniczych, które sprzątały schron, lecz zepsuły się przed wiekami.

Niepokojąca myśl przyszła Jan do głowy.

— Powiedziałaś, że Vic chciał się stąd wydostać. Dlaczego więc tego nie zrobił?

— Och, Carl nie pozwolił mu na to, to jasne. Widzisz, Carl jest moim opiekunem. Nie chce, by ktokolwiek wiedział o istnieniu schronu, więc nie pozwala moim gościom na wyjście stąd.

— Czy chcesz powiedzieć, że i mnie również stąd nie wypuści? – spytała Jan.

Ashley poważnie skinęła głową.

— Obawiam się, że tak. Nie jest ci smutno z tego powodu, prawda?

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY SIÓDMY

— Wiesz, czego najbardziej mi żal z mojego życia? – spytała Ashley.

— Czego?

— Latania. Latanie szybowcem było wspaniałe. Uwielbiałam być w powietrzu.

— Wszystko byłoby lepsze niż siedzenie tu na dole – powiedziała Jan z przekonaniem.

Przebywała w schronie dopiero dwanaście dni i już to miejsce zaczęło ją męczyć. Najpierw doceniała to sanktuarium, gdyż uchroniło ją ono od niebezpieczeństw, grożących na terenach dotkniętych zarazą, a szczególnie od Ezechiela, oraz zaopatrzyło w żywność i picie – bardzo dobre, jak się okazało. Jednak wkrótce poczuła się niespokojna i niepewna.

Fakt, że nie pozwolono jej opuścić tego miejsca, pogłębiał jej niechęć do schronu. Gdyby w innej sytuacji miała możliwość wyboru, chętnie by się zdecydowała na spędzenie tu miesiąca lub kilku. W swoim obecnym położeniu wpadła na szaleńczy pomysł powrotu na powierzchnię, chociaż nie miała pojęcia, co uczyni, jeśli nawet uda się jej stąd wydostać. Westchnęła.

Ashley spojrzała na nią z troską.

— Przykro mi, że ci się tu nie podoba.

Tym razem ubrana była w króciutkie spodnie, które nazywała szortami, biały podkoszulek oraz białe buty i skarpety. Ten typ ubioru określała mianem „stroju tenisowego”. Parę dni temu Jan

spytała ją, dlaczego każdego dnia nosi ubranie innego koloru. Ashley wzruszyła ramionami i powiedziała: — To świadczy o realizmie moich rodziców. Fotografowano mnie holograficznie w przeróżnych ubraniach, jak widzisz. Fotografie te przechowywane są wraz ze mną w komputerze. Lubię wyglądać atrakcyjnie. Mama mawiała, że jestem kokietką, ale mogłam się podobać, prawda? – obróciła się, by zademonstrować się w całości.

Jan odpowiedziała smutno: — Tak, tak. Bardzo.

Fakt, iż piękne ciało Ashley jest czymś tak niematerialnym jak cień, zaczynał ją, jak sobie uświadomiła, coraz bardziej drażnić. Uczucie to pogłębiało jej niezwykle podobieństwo do Ceri. To kolejny powód, by opuścić schron i powrócić na powierzchnię...

— Nie lubię być więźniem. Gdyby tylko pozwolono mi wyjść co dzień na parę minut na świeże powietrze, nie czułabym się z pewnością tak źle.

— Jan, wiesz, że gdyby to zależało ode mnie, mogłabyś wychodzić tak często, jak byś chciała, lecz pilnuje mnie Carl, a on ci nie ufa.

— Wiem.

Jan próbowała otwarcie rozmawiać z Carlem przy różnych okazjach. Było to przerażające doświadczenie, gdyż mówiła do głosu nie powiązanego z żadnym ciałem; głosu, który brzmiał jak ludzki, lecz traktował ją całkowicie nieludzko.

— Poza tym, po co miałabyś ryzykować wyjście na powierzchnię? Ten okropny cyberoid zapewne wciąż na ciebie czeka.

— Mówiłaś mi, że Carl nie widział żadnych oznak jego obecności od ponad tygodnia.

— Nie w okolicach willi, lecz zasięg sensora Carla ma pewien

limit. Cyberoid może wciąż skrywać się wśród drzew.

— Tak myślę – rzekła Jan z przestraszeniem.

Śniły się jej koszmary związane z Ezechielem. Zdawało jej się, że biegnie przez nieskończony, kamienny labirynt, cyberoid zaś znajduje się tuż za nią i wykrzykuje okrutne słowa o śmierci i zemście, pozostawiając za sobą krwawe ślady. To była krew Mila...

— A co z Władcami Niebios? Czy są jakieś wieści?

— Spytałam Carla – odpowiedziała Ashley. – Tak. Jeden z nich przelatował prawie dokładnie nad nami kilka godzin temu.

— Cholera! – Carl poinformował ją, że od czasu jej przybycia prawie codziennie przelatuje tu albo *Władca Pangloth*, albo *Pachnący Wietrzyk*. Dowódca nie zrezygnował z poszukiwań. Zadrżała na myśl, co by z nią uczynił, gdyby wpadła mu w ręce.

— Widzisz? – rzekła Ashley, jakby czytając w jej myślach. – Lepiej zostań tu na dole ze mną. Jan, przestań się martwić i opowiedz mi o twoich przygodach.

Ashley wykazywała niewyczerpane zainteresowanie życiem Jan i mogła godzinami słuchać opowieści o Minervie i wydarzeniach, które nastąpiły po bombardowaniu i schwytaniu Jan.

— Przygodach? Nie miałam przygód. Było to ciężkie doświadczenie. – Ono zresztą wciąż trwa, dodała w myśli.

— Ja odbieram to jako przygodę – powiedziała Ashley. – Proszę, opowiedz mi o księciu Casparze. Mam wrażenie, że był czarujący.

Jan westchnęła.

— Cóż mogę o nim więcej powiedzieć?

— Powiedz mi, co się działo, gdy byliście razem w łóżku.

Jan nie mogła powstrzymać zdziwienia.

— A czego chciałabyś się o tym dowiedzieć?

Ashley uśmiechnęła się figlarnie.

— A jak sądzisz?

— Nie chciałabym być nieprzyjemna – powiedziała Jan powoli.

– Ale nie rozumiem, jak mogą cię interesować sprawy seksu, skoro nie masz, hm... ciała.

— Mówiłam ci już, że wciąż czuję. Powiedzmy, że jest to bardziej wspomnienie uczuć niż coś realnego...

— Uczucia; tak – przytaknęła Jan. – To rozumiem, lecz sądzę, że seks to coś związanego z potrzebami.

— O tak, odczuwam potrzeby. Myślę, że są podobne do uczuć, prawda?

— Tak sądzę – powiedziała Jan z powątpiewaniem.

— Moje potrzeby zostały utrwalone wraz z resztą mojej osobowości – powiedziała Ashley. – Nie pomyślano o ich zaspokajaniu, gdy mnie konstruowano. Moja obecna struktura wyklucza zaspokajanie potrzeb. Najpierw było to okropne – cały czas odczuwałam głód. Później jednak jakiś technik wprowadził poprawki, co stępiło w pewnym sensie moją potrzebę jedzenia. Naukowcy mówili, że nie są w stanie usunąć wszystkich mych potrzeb bez zniszczenia części mojej osobowości.

Jan zaczęła sobie wyobrażać, czym może być istnienie umysłu bez ciała. Zastanawiała się, jak by się czuła, gdyby była od czterystu lat głodna i wiedziała przy tym, że nigdy już nie będzie jadła.

— Biedna jesteś! – rzekła.

— Och, już się przyzwyczaiłam – powiedziała Ashley wesoło. – Poza tym większość moich potrzeb, podobnie jak „odczuć” powoli słabnie i pewnego dnia nie będę ich wcale odczuwała.

— Lecz teraz wciąż jeszcze odczuwasz, hm, potrzeby

seksualne?

— Tak. Coś w tym rodzaju. To stało się problemem, gdy przebywał tu Vic. Mówiłam ci, że był bardzo przystojny, prawda? – spojrzała marzycielsko na kości złożone przy ścianie.

— Złościło go, że nie może mnie dotknąć.

Jan poczuła sympatię dla zmarłego Vica.

— Czy kiedykolwiek miałaś kochanka? Myślę o czasach, w których żyłaś.

— No jasne. Dwóch. Jednym był mój instruktor lotów szybowcowych. Miał ponad trzydzieści lat, lecz był wspaniały. Raz robiliśmy to w szybowcu treningowym na wysokości piętnastu tysięcy stóp. Boskie! – potrząsnęła głową na to wspomnienie. – No więc opowiedz mi, co przeżyłaś z księciem Casparem. Chcę usłyszeć wszystko!

Minęły kolejne trzy dni. Jan zaczęła silnie odczuwać ograniczenie przestrzeni schronu, który składał się z pięciu oddzielnych pokoi. Poza głównym schronem znajdowały się tu dwie sypialnie, z których jedna zawierała kości rodziców Ashley, kuchnia oraz łazienka. To były wszystkie pomieszczenia, do których Jan miała dostęp, choć wiedziała, że są tu jeszcze obszary ukryte, gdzie przechowywano różne urządzenia, jak na przykład projektory, które wywoływały holograficzny obraz Ashley, pojawiający się we wszystkich częściach salonu. Źródło energii napędzającej te urządzenia znajdowało się głęboko w ziemi, o czym Jan dowiedziała się od Carla.

Z nadzieją, że przekona Carla, by ją wypuścił, Jan spędzała coraz więcej czasu na rozmowach z nim, ku zniecierpliwieniu Ashley. Wciąż odmawiał rozmów na temat jej uwolnienia, lecz chętnie udzielał wszelkich innych informacji. Bardziej dla urozmaicenia nudy niż z innych względów, spytała go o dawny

świat, poprzedzający okres Wojen Genetycznych, chcąc sprawdzić, czy Milo mówił prawdę, czy też opowiadał bajki. Carl przyciemnił światła i w powietrzu pojawił się błyszczący ekran. Carl oznajmił, że przedstawi serię wiadomości z tamtych czasów. Ashley jęknęła.

— O Boże, to tak, jakby wrócić do szkoły...

Przez dwa dni Jan z zainteresowaniem obserwowała obrazy i słuchała różnych odgłosów z przeszłości. Najpierw z trudnością orientowała się w tym, co się dzieje – wielu słów nie rozumiała. W końcu zaczęła pojmować ogólną sytuację. Przeważnie zgadzało się to z tym, co mówił jej Milo, i trochę z tym, czego dowiedziała się od Ceri.

Na długo przed Wojnami Genetycznymi świat stanął w obliczu dwóch poważnych gróźb. Pierwszą stanowiła broń jądrowa, nad którą początkowo sprawowały kontrolę dwa wielkie mocarstwa z drugiej połowy dwudziestego wieku: Związek Radziecki i Stany Zjednoczone Ameryki. Gdy pod koniec tego wieku broń jądrowa została rozpowszechniona w innych krajach, te dwa mocarstwa wpadły w panikę. Wtedy nastąpiła wojna „Małego Armagedonu” na Środkowym Wschodzie, gdzie po raz pierwszy od czasów drugiej wojny II światowej użyto broni jądrowej. To zwróciło uwagę władców tych dwóch mocarstw i doprowadziło do zawarcia Sojuszu Radziecko–Amerykańskiego na początku dwudziestego pierwszego wieku. Pierwszym rozporządzeniem była deklaracja zakazująca używania broni jądrowej. Pojawiło się wiele protestów przeciwko tej decyzji i złożyły je nie tylko kraje posiadające od dłuższego czasu własne arsenały jądrowe, jak na przykład kraj zwany Francją, ale także federacja państw islamskich, zwycięzców w wojnie „Małego Armagedonu”.

Sojusz zareagował na ten protest bezwzględnie.

Wykorzystując część swych własnych zapasów broni jądrowej, z „chirurgiczną precyzją”, jak określił to komentator, wykorzystując „broń orbitalną”, „oczyszczono tereny problematyczne”. Po tym wydarzeniu federacja islamska znów rozpadła się na małe państwa, a Francja stała się obszarem rolniczym. Pozostałe państwa zgodziły się z żądaniami Sojuszu i przekazały mu swoją broń jądrową. Gdy Sojusz upewnił się, że nie istnieje już żadna taka broń ani środki do jej produkcji, zniszczył swój własny arsenał jądrowy i istniejące reaktory jądrowe. Wiek atomowy się skończył.

Inne zagrożenie pojawiło się na początku lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, chociaż z pewnością istniało wcześniej w postaci nie zauważanej. Była to zaraza wywoływana przez typ wirusa, który zwykle atakował wyłącznie zwierzęta. Sądzone, iż wirus ten przekroczył „barierę gatunkową”, przenosząc się od pewnego gatunku małp afrykańskich na człowieka. Wirus rozprzestrzenił się gwałtownie i pod koniec XX wieku jedna dziesiąta mieszkańców Ziemi była nim zarażona. Dosłownie dziesiątkował populację świata. Był to wirus, posiadający taką charakterystykę genetyczną, która uniemożliwiała jego zwalczanie. Inżynierowie genetycy, zwani w dawnych czasach „mikrobiologami”, latami próbowali wytworzyć skuteczną szczepionkę, ale to się nie udawało.

Od pewnego czasu równoległy sposób walki z wirusem podjęli inni inżynierowie genetycy. Próbowali wyprodukować własnego syntetycznego przeciwwirusa, wykorzystując do tego celu zmodyfikowany materiał genetyczny pochodzący z wirusa zarazy. Wirus jest pasożytem genetycznym – atakuje komórkę i paraliżuje jej DNA, by zamiast niego odtwarzać własny DNA w komórce. Przeciwwirus powinien, teoretycznie, nie tylko

wyszukać i zniszczyć wirusa zarazy, lecz również wnikać w zarażone komórki i wprowadzić zmodyfikowany DNA do jąder komórkowych w celu neutralizacji DNA wytworzonego przez atakujący wirus zarazy i zapobieżenia dalszej jego replikacji. Tak wyglądała teoria, lecz wprowadzenie jej w życie spowodowało wielki przewrót w traktowaniu i manipulacji ludzkim DNA. Rozmiar tego zadania zwięźle ujął jeden z badaczy na początku badań mówiąc, iż jeśli ktoś chciałby ułożyć cały DNA poszczególnej jednostki ludzkiej w łańcuch, to wypełniłby on odległość na Księżyc i z powrotem 8000 razy.

W końcu jednak przedsięwzięcie się udało – syntetyczny wirus działał zarówno jak lekarstwo, jak i superszczepionka i zaraza została wkrótce zwalczona. Ten wielki przewrót dokonany w ludzkiej inżynierii genetycznej podczas tworzenia wirusa syntetycznego, miał jednak inne ważne reperkusje dla całej rasy ludzkiej. W ten sam sposób, w jaki użyto wirusa do niszczenia zarażonych komórek, można było wpływać na różnorodne modyfikacje ludzkiego DNA. Zmiany te dotyczyły udoskonalenia systemu odpornościowego, zwalczania chorób, takich jak rak, wydłużenia życia ludzkiego, czyli wszystkich tych modyfikacji, które wkrótce zastosowano w odniesieniu do Głównego Wzorca.

W tym samym czasie inżynieria genetyczna uczyniła olbrzymi postęp w innych zakresach. Stworzono nowe rodzaje zbóż, odpornych na choroby i mogących rosnąć na nieużytkach; biokomórki zostały zastąpione komórkami silikonowymi, co podniosło wydajność systemów komputerowych. Wytworzono nowe rodzaje bakterii, które można było wykorzystać w wielu procesach przemysłowych – od produkowania taniego paliwa do wytwarzania sztucznej masy drzewnej, z której uzyskiwano papier. Istniały biologiczne komórki napędowe i chlorofil

syntetyczny, przetwarzający promienie słoneczne w elektryczność...

Wykaz cudów wydawał się nieskończony. Wyglądało na to, że wszelkie plagi nękające ludzkość zostały usunięte na zawsze. Inżynierowie genetycy niemal doprowadzili świat do prawdziwego Złotego Wieku.

Lecz tak się nie stało. Według dawno nieżyjących komentatorów, których głosy towarzyszyły obrazom na ruchomym ekranie, stworzenie Głównego Wzorca zmienionego genetycznie człowieka doprowadziło bezpośrednio do Wojen Genetycznych. Do momentu ich wybuchu i nieco później Narody Zjednoczone miały realną władzę, gdyż były popierane przez Sojusz Radziecko–Amerykański. Miał on dość siły na to, by rozporządzać badaniami mikrobiologicznymi i manipulacją genetyczną, która była zakazana. Jednak zgodnie z tym, co mówił Milo, wytworzenie Głównego Wzorca spowodowało rozpad większych narodów na niezależne państwa. Ta dezintegracja zarówno Ameryki, jak i Rosji na mniejsze kraje oznaczała oczywiście koniec Sojuszu i w rezultacie upadek władzy Narodów Zjednoczonych.

W chaosie, jaki nastąpił, pojawiły się międzynarodowe spółki, z których większość wykorzystywała patenty inżynierii genetycznej w celach komercyjnych, i one okazały się prawdziwymi władcami. Wraz z upadkiem Narodów Zjednoczonych jako prawnej struktury władzy, przestały obowiązywać wszelkie zakazy dotyczące inżynierii genetycznej. Spółki mogły teraz robić to, na co miały ochotę.

Już wcześniej krążyły pogłoski o potężnych i kosztownych eksperymentach w zakazanych dziedzinach. Opowiadano historie o niewiarygodnych stworach przechowywanych za

zamkniętymi drzwiami; o bilionerach, posiadających prywatne wyspy i osiedla zapełnione różnorodnymi egzotycznymi stworzeniami – fantazjami seksualnymi ucieleśnionymi przez inżynierów genetyków. Mówiono też o tym, że niektórzy przywódcy krajów i spółek posiadali tajne armie złożone z okropnych stworów, stanowiących żywą broń.

Okazało się, że wszystkie te plotki są prawdziwe. Gdy Narody Zjednoczone i Sojusz się rozpadły, spółki zaczęły prowadzić między sobą wojny. Kraje niezaangażowane zostały wciągnięte w konflikt i zmuszone do posłuszeństwa poszczególnym spółkom. Rozpoczęły się Wojny Genetyczne.

Po dekadzie walk przy udziale owych genetycznie wytworzonych armii, wojny wkroczyły w nowy i bardziej zacięty etap. Było to wtedy, gdy jedna ze spółek wprowadziła drobnoustroje, broń, której spółki początkowo zobowiązały się nie używać. To był początek końca.

Najpierw zaatakowano obszary rolne – uprawy zbożowe i tym podobne. Później wprowadzono grzyby przystosowane do niszczenia systemów elektronicznych, a praktycznie wszystkiego innego. W końcu pojawiły się nieoczekiwane zarazki, skonstruowane genetycznie specjalnie w celu zabijania ludzi. Ginęły miliony. Olbrzymie miasta stawały się pustyniami w ciągu nocy. Cywilizacja upadła.

Carl poinformował Jan, że nie istnieją już taśmy z dalszymi informacjami.

Głęboko poruszyło ją to wszystko, co zobaczyła w ciągu ostatnich dwóch dni na ekranie, lecz najbardziej podziałała na nią wieść o Minervie na krótko przed ustanowieniem jej jako niepodległego państwa. Jan płakała, widząc, jaka kiedyś była Minerva i jaką mizerną resztką tej dawnej społeczności stała się

później. Dowiedziała się też, iż owi pierwsi Minervianie wykorzystywali Dawną Wiedzę. Okazało się, że Milo miał rację, mówiąc, że stworzenie społeczności, w której kobiety mogły przekroczyć swoje naturalne ograniczenia związane z płcią, stanowiło zdobycz inżynierii genetycznej. I choć stało to w całkowitej sprzeczności z tym, czego uczyli ją nauczyciele religii, Jan doszła do przekonania, że może się teraz pogodzić z tą świadomością. Istotny był sam ideał Minervy i poczuła ogromną odpowiedzialność, gdy zdała sobie sprawę, że czy to przypadkowo, czy za przyczyną Bogini Matki, stała się ostatnim żyjącym ucieleśnieniem tego ideału. Musiała więc przeżyć. Nie tylko zresztą przeżyć, lecz w jakiś sposób spowodować ponowny rozkwit Minervy... Ale jak? – pomyślała gorzko.

Gdy minęły te dwa dni, po wielu wykrętnych wyjaśnieniach Carla Jan zaczęła podejrzewać, że to nie on trzymają tu w charakterze więźnia, lecz Ashley. Pomysł ten wydał się sensowny. Ashley zdawała się kontrolować Carla pod każdym względem. Postanowiła zatrzymać Jan, lecz obwiniła o to Carla, by nie narazić się Jan. Założywszy, że tak wyglądała sytuacja, Jan uświadomiła sobie, że teraz powinna się skoncentrować na przekonaniu Ashley, by ją uwolniła. Ale jak?

Rankiem szesnastego dnia Jan w łazience obcinała włosy. Doszła do wniosku, że moda Arystów jest dla niej zbyt uciążliwa i lepiej będzie, gdy zmieni fryzurę. Spojrzała na swe odbicie w lustrze i wtem wpadła na pomysł, umożliwiający rozwiązanie własnych problemów. Drżała, gdy plan rozwijał się w jej umyśle jak kiełkujące ziarno. Ziarno rosło... wypuściło łodygę, liście i w końcu kwiat rozwinął swe płatki. Znalazła sposób.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY ÓSMY

Usiłując ukryć podniecenie, Jan wróciła do salonu i powiedziała cicho: — Ashley, jesteś tu?

— Oczywiście – rzekł głos Ashley i jej postać pojawiła się przy Jan. Tym razem miała na sobie długą suknię, ukazującą jedną pierś. Wyglądała przepięknie. – O czym chcesz porozmawiać?

— O lataniu.

Twarz Ashley rozjaśniła się.

— To mój ulubiony temat.

— Wiem o tym. Co byś powiedziała, gdyby się okazało, że znów możesz latać?

Ashley spojrzała na nią.

— Co masz na myśli? Niemożliwe, bym znów latała. Jestem tu uwięziona. Tak jak ty.

Nie, jestem bardziej uwięziona niż ty. Znajduję się w komputerze. Wiesz o tym.

— Tak. Dowiedziałam się sporo o komputerach. Najpierw od Mila, a później od Carla.

Mówiłam ci o planie Mila, prawda? O tym, że zamierzał dotrzeć do Niebiańskiej Wieży w mieście i za pomocą tamtejszego komputera przywołać Anioła Niebios z kosmosu?

— Tak, tak – rzekła Ashley niecierpliwie. – Lecz jaki to ma związek ze mną?

— Ty i Carl możecie zostać oddzieleni od komputera, prawda? To znaczy wasze zasadnicze części: programy.

— Oczywiście. Jesteśmy na tym samym oprogramowaniu. No i co z tego?

— Chodzi mi o typ waszego komputera. Czyjego części da się wymienić z innymi komputerami? Takimi jak ten w mieście? – spytała Jan.

— Raczej tak – rzekła Ashley. A po krótkiej chwili dodała: – Spytałam właśnie Carla i powiedział, że tak. Wszystkie komputery oparte na systemach biokomórek są kompatybilne.

Jan stwierdziła: — Więc gdybyśmy wasze „oprogramowanie” wzięli do miasta i wprowadzili do komputera w Niebiańskiej Wieży, czy moglibyście, ty i Carl, ożyć ponownie wewnątrz tamtego komputera?

— Tak – powiedziała Ashley z przekonaniem. – Zakładając, że tamten komputer jest sprawny...

— Jest. Milo zbadał to z pomieszczenia kontrolnego sterowca Władcy Panglotha.

— Ale po co? – Ashley wzruszyła ramionami. – Jaki sens miałoby dla mnie przenoszenie się do innego komputera? Nie miałabym nawet moich projekcji holograficznych.

— Nie skończyłam jeszcze. Czy we wnętrzu tamtego komputera byłabyś w stanie, wraz z Carlem, roztoczyć nad nim kontrolę? Czy umielibyście przejąć jego funkcję?

— Tak – powiedziała Ashley z niecierpliwym westchnieniem. – Zakładając, że tamto oprogramowanie zostałoby wyjęte.

— Tak. Więc ty i Carl moglibyście zrobić to, co zamierzał Milo: wysłać sygnał z komputera Niebiańskiej Wieży, który wezwałby Anioła Niebios z kosmosu?

— Tak, Carl mógłby to zrobić, jak sądzę – rzekła Ashley, marszcząc brwi. – Lecz wciąż nie widzę celu.

— Gdybym miała dostęp do Anioła Niebios, mogłabym zabrać

wasze oprogramowanie z komputera wieży i umieścić je w komputerze Anioła Niebios. I co by z tego wynikło?

Ashley nie odpowiedziała. Jan domyśliła się, że komunikuje się z Carlem. Po czym, z oczami rozszerzonymi z radości, rzekła: — Mogłabym zostać połączona ze wszystkimi sensorami Anioła Niebios. Mogłabym kontrolować jego każdy ruch. Stałabym się Aniołem Niebios!

— O tym właśnie myślałam – powiedziała Jan z zadowoleniem.

— Więc na co czekamy? – krzyknęła Ashley. – Chodźmy! Pokażę ci, w jaki sposób wydobyć oprogramowanie.

— Uspokój się – przestrzegła Jan. – Musisz wiedzieć, że tego, o czym ci powiedziałam, nie da się zrealizować. Ashley poczuła się dotknięta.

— Ale dlaczego? Dlaczego nie da się tego zrealizować? – dopytywała się.

— Przede wszystkim dlatego, że nie mogę stąd wyjść, prawda? Carl mnie nie wypuści.

— Ach, o to chodzi? – powiedziała Ashley z ulgą. – Nie martw się, przekonam go.

— Tak sądziłam! – krzyknęła Jan z triumfem.

Była prawie gotowa do wyjścia. Teraz, gdy za chwilę miała opuścić to miejsce, nagle odechciało jej się wracać na powierzchnię. Tu w schronie było bezpiecznie, podczas gdy na powierzchni czyhały same niebezpieczeństwa. Nawet z bronią, którą Ashley dostarczyła jej ze skrytki w głównej sypialni, miała niewielkie szanse dotarcia do Niebiańskiej Wieży. Istniało też duże prawdopodobieństwo, że zostanie zarażona jakimiś wirusami lub zarodnikami chorobotwórczymi, wciąż grasującymi w mieście. Gdy wyjawiała tę swą obawę, Ashley porozumiała się z Carlem, po czym powiedziała wesoło: — Och.

przecież możesz nałożyć kombinezon antyskażeniowy.

Kolejny schowek w głównej sypialni otworzył się, ukazując rząd wiszących kombinezonów wykonanych z jakiegoś gładkiego białego materiału. Jan wyjęła jeden i obejrzała. Miał kaptur całkowicie przykrywający głowę. Tak jak stare ubrania Ashley, które nosiła teraz Jan, woląc je od śmierdzących szmat ludzi Ezechiela, kombinezon był w dobrym stanie mimo upływu wielu lat. Zapytała o to Ashley.

— Ach, to chyba ma związek z brakiem powietrza – powiedziała bez zainteresowania. – Carl usuwa całe powietrze ze schronu, gdy nie mam tu, hm, gości. Obniża również temperaturę. No, nałóż ten kombinezon.

Jan posłusznie nałożyła kombinezon antyskażeniowy i zapięła. Wyjrzała przez szybkę w hełmie. Poniżej szybki wystawał koniec rurki wprowadzającej powietrze podczas oddychania. Domyśliła się, że rurka zawiera filtr usuwający szkodliwe substancje. Ashley potwierdziła to.

— Czy to działa? – spytała Jan.

— Nie wiem. Te kombinezony miały być używane w niebezpieczeństwie. Gdyby mama i tato musieli wyjść z jakiegoś powodu na powierzchnię. Ale nigdy ich nie użyli. Zaraza dostała się tu szybciej.

— Pomimo takich samych filtrów? – spytała Jan z bólem serca.

— Tak myślę – powiedziała Ashley z niechęcią.

— Ach, więc to tylko strata czasu – rzekła Jan i odrzuciła kaptur z hełmem na plecy.

Postanowiła jednak nie zdejmować kombinezonu. Materiał, z którego był uszyty, wydawał się odpowiednio gruby i mógł ją ochronić na skażonych terenach.

Carl poradził jej, by zabrała ze sobą dwa urządzenia podobne

do karabinów. Jednym z nich, jak ją poinformował, był laser. Drugie odpalało pociski wybuchowe. Gdy cel znajdzie się w zasięgu broni, wystarczy nacisnąć spust. Obiekt zostaje zakodowany w „mózgu” kuli i nie ma potrzeby celowania. Później pocisk wybucha.

Zrobiło to na Jan duże wrażenie. Być może broń ta okaże się wystarczająca, gdyby napotkała Ezechiela.

— Naładowałem sekcję napędową obu karabinów – powiedział Carl, po czym dodał uprzejmie: – Laser z pewnością będzie działał skutecznie, natomiast nie jestem pewien, czy amunicja w tej drugiej broni nie zniszczyła się i nie jest niesprawna.

— Ach, tak – wymamrotała Jan.

Stała teraz w salonie, obciążona tymi dwoma rodzajami broni, swoim pasem z mieczami i plecakiem zawierającym żywność i wodę.

— Wszystko gotowe? – spytała Ashley wesoło. Wyglądała na podnieconą.

— Tak myślę – odparła Jan bez entuzjazmu.

— Teraz z Carlem znikniemy. Potem otworzy się ściana i uwolni konsolę komputera.

Czy Carl wyjaśnił ci, jak wyjąć oprogramowanie?

— Tak.

— Winda zostanie uruchomiona automatycznie. Carl mówi, że nie widać ani cyberoida, ani żadnego z Władców Niebios.

— To dobrze – powiedziała Jan chłodno.

— Więc w porządku. Znikamy. Och, Jan, obchodź się ostrożnie z oprogramowaniem, dobrze? Wiem, że tak naprawdę to wcale nie żyję, ale nie chcę umierać po raz drugi.

— Nie bój się, będę ostrożna. Ashley znikła. Nastąpiła cisza.

— Ashley, Carl? – powiedziała Jan.

Nie było odpowiedzi. Poczowała się nagle bardzo samotna. Wtem drgnęła, gdy ściana rozsunęła się przed nią ze zgrzytem. Dojrzała szereg świateł. Podeszła do konsoly i nacisnęła dwa przyciski, które wskazał jej wcześniej Carl. W konsolecie otwarła się mała kasetka i Jan sięgnęła do niej, by wyjąć oprogramowanie. Zdziwiła się na widok małej tulei długości około czterech cali i średnicy półtora cala. Nie mogła uwierzyć, że ten przedmiot zawiera całą pamięć Ashley, jej umysł i emocje, nie mówiąc już o Carlu. Ostrożnie włożyła oprogramowanie do plecaka i skierowała się ku windzie. Gdy podeszła, drzwi otworzyły się automatycznie. Zawahała się, ujrawszy mechaniczne ramię Ezechiela leżące wciąż na podłodze windy. Przeszła nad nim i końcem trzewika kopnęła je do salonu. Drzwi się zamknęły. Gdy otworzyły się ponownie, Jan oślepiło światło słoneczne. Musiała zasłonić nos, gdy wdarł się weń smród grzyba. Miała ochotę nałożyć kaptur, lecz obawiała się, że to ograniczy jej możliwości wzrokowe i słuchowe. Chciała być całkowicie przygotowana na ewentualny atak Ezechiela.

Aleja pomiędzy kamiennymi blokami była pusta. Jan opuściła ostrożnie windę trzymając w dłoniach laser i broń wysyłając pociski. Po pewnym czasie odnalazła drogę sprzed dziewiętnastu dni. Zawahała się przy wielkim bloku z białego kamienia, wciąż oczekując nagłego pojawienia się cyberoida. W końcu dotarła do miejsca śmierci Mila. Nie pozostało z niego nic poza kośćmi. Zwierzęta zjadły jego ciało, owady oczyściły resztki organiczne okrywające kości. Kości świeciły. Przykucnęła nad nimi. Nie były to zwykłe kości. Zdawało się, że zostały zrobione ze stopu metalu z jakimś innym materiałem. Żadna nie została uszkodzona podczas ataku Ezechiela. Nawet czaszka Mila pozostała

nietknięta. Błyszczała niebieskawo, tak jak inne kości.

Jan wyciągnęła palce i dotknęła jej. Nagle podjęła decyzję. Włożyła palec w oczodół i podniosła czaszkę. Była bardzo lekka. Jan wstała i obrzuciwszy wzrokiem okoliczne drzewa, otworzyła plecak i schowała czaszkę. Po czym zarzuciła plecak na ramię i skierowała się do miasta.

Wczesnym popołudniem dotarła na przedmieścia. Po drodze nie przydarzył się jej żaden poważny wypadek, z wyjątkiem spotkania z jakimś wielkim gadem. Wynurzył się spomiędzy drzew i zbliżył ku niej powoli, lecz wypaliła z broni laserowej i stwór runął na ziemię, rozsypując się na kawałki. Nic nie świadczyło o obecności Ezechiela, lecz Jan wciąż nie mogła się pozbyć uczucia, że znajduje się w pobliżu i podąża za nią.

Peryferie miasta stanowiły ruiny luźno rozrzuconych prywatnych domów mieszkalnych. Jan zauważyła, że grzyb nie rozrasta się tu tak obficie jak w lesie. Zatrzymała się, by odpocząć, i usiadła na resztkach kamiennego muru. Ustawiła laser obok siebie, wyjęła z plecaka jedno z naczyń i napiła się wody. Przed wyruszeniem w dalszą drogę nałożyła kaptur i zasunęła go. Może wcale jej to nie pomoże, a może jest już za późno i jakieś zarazki działają w jej ciele. Idąc, odwracała się za siebie, trzymając laser w pogotowiu. Nie chciała dać się zaskoczyć Ezechielowi czy cemukolwiek innemu. Od czasu do czasu patrzyła też w górę, lecz na czystym niebie nie było widać Władców Niebios.

Im głębiej wchodziła do miasta, tym mniej grzybów spotykała wokół. Wyglądało na to, że nawet te obrzydliwe organizmy unikają miejsca nasyconego okropną śmiercią. Zrobiło się jej gorąco w kapturze i pot zaczął spływać po twarzy, lecz postanowiła nie odsłaniać głowy. Co robi, gdy zachce się jej pić

lub będzie musiała oddać mocz? Nad tym zastanowi się później.

Mijała teraz pojazdy. Niektóre z nich miały koła, lecz większość była ich pozbawiona i Jan zastanawiała się, w jaki sposób się poruszały. Zajrzała do ich wnętrza, lecz poza paroma strzępkami odzieży nie pozostało tam nic po dawno zmarłych właścicielach. Natomiast obicie siedzeń było prawie nowe.

Budynki stawały się coraz wyższe, a zabudowa ciaśniejsza. Jan dojrzała górną część Niebiańskiej Wieży, ale odległość pomiędzy nią a wieżą zdawała się nie zmniejszać. Z przerażeniem spostrzegła, że słońce wkrótce zajdzie.

Odgłos jej kroków na dziwnej nawierzchni odbijał się echem od ścian budynków. Trzymała się środka drogi, niespokojnie obserwując ściemniałe drzwi i puste okna. Uczucie, że jest obserwowana, nasiliło się. Jan zatrzymała się i zaczęła, nasłuchiwać. Gdyby Ezechiel był blisko, dosłyszałaby z pewnością jego ciężki chód. Nie słyszała jednak niczego. Szła dalej, trzymając mocno laser, który zapewniał jej poczucie bezpieczeństwa.

Słońce znikło za wysokimi budynkami. Długie cienie wypełniły kamienny kanion ulicy. Jan żałowała, że nie ma przy niej Mila, mimo tego wszystkiego, co się z nim wiązało. Pomyślała o jego czaszce, znajdującej się w plecaku, i zastanawiała się po raz kolejny, po co ją wzięła. Może dlatego, że czuła, iż winna jest mu pamięć...

Bolała ją głowa. Czy to pierwsze objawy zarazy? Miała również pragnienie. Czuła się podle. Korciło ją, by zdjąć kaptur i napić się wody. Odparła jednak pokusę. Ciemność wkrótce zapadła i Jan zatrzymała się, by wyjąć reflektor, w który zaopatrzył ją Carl. Z trudnością trzymała reflektor i laser, lecz potężny strumień światła pomagał pokonywać drogę. Pozostało

jednak uczucie, że jest obserwowana.

Była zupełnie wyczerpana, gdy dotarła do placu, na którym stała Niebiańska Wieża. Zachwiała się na nogach, spoglądając w górę. Doprawdy, w jaki sposób zdoła wejść na jej wierzchołek? Po bokach wieży znajdowały się szklane pomieszczenia, które były z pewnością zewnętrznymi windami, lecz z braku energii nie działały.

Przemierzając plac, pokryty kolorowymi płytami z rysunkami balonów, podobnych do tych, jakimi posłużyli się Bandalanie, przerażała się widząc, że fontanna na placu wciąż działa. Przystanęła, by się jej przyjrzeć. Gdy się zastanawiała, w jaki sposób działa to urządzenie przez tak długi czas, jej pragnienie wzrosło.

Odwróciła się i skierowała ku Niebiańskiej Wieży. Podstawa Wieży, jak zobaczyła, była otwarta na wszystkie strony i opierała się na ciągu kolumn, niezwykle cienkich, jak na fundamenty tak potężnej budowli. Jan wspięła się na schody i weszła do środka. Świeciła wciąż reflektorem. Hol był pusty, z wyjątkiem okrągłej windy i prowadzących w górę schodów. Weszła na schody i usiadła na stopniu. Zamierzała przez chwilę odpocząć. Liczyła na to, że schody doprowadzą ją na sam szczyt, w przeciwnym razie nie miała pojęcia, co poczyni.

Obudziła się nagle. Nie zamierzała spać. Wstała i sięgnęła po laser i reflektor. Znalazła reflektor, lecz nie mogła znaleźć lasera. W nagłym przerażeniu omiotła schody światłem reflektora. W strumieniu światła dostrzegła jakiś duży kształt, siedzący na podłodze w odległości około dziesięciu stóp. Obok niego leżał laser. Była to czarna pantera.

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Oczy pantery świeciły żółto w strumieniu światła. Zwierzę siedziało tak jak kot domowy, z przednimi łapami wyprostowanymi. Zdawało się, że spogląda na Jan, tak jak kiedyś dawno temu. Jan wpadła w panikę. Nie mogła zrozumieć, w jaki sposób pantera znalazła się w tym miejscu, setki mil od Minervy. Bogini Matka z pewnością chce ją ukarać za grzechy, jakie popełniła. Ukarać ją...? Nie... zadrwić z niej.

Zastanawiała się, czy nie sięgnąć po broń miotającą pociski, lecz wiedziała, że pantera rzuci się na nią, zanim zdąży wycelować. Poza tym istniała możliwość, że broń już nie działa. Miała, co prawda, jeszcze miecze, lecz zanim by zdążyła je wyjąć, pantera z pewnością już by ją zaatakowała. Z żalem spojrzała na laser leżący u nóg pantery.

Pantera zerknęła nań również, po czym niedbale dotknęła broni łapą i rzekła swym zwykłym syczącym głosem: — Wsstrętna rzecz. Nie lubić. Nie dotykaj.

— Nie, nie dotknę – zapewniła ją zdenerwowana Jan. Pantera spoglądała na nią wielkimi żółtymi oczyma. Jan chciała cisnąć w nią reflektorem, lecz wiedziała, że byłoby to bezsensowne. W końcu powiedziała: — Szłaś za mną? W jaki sposób mnie znalazłaś? Pantera mruknęła: — Iść za tobą?... Nie, ja nie iść za tobą.

— Tak, szłaś – powiedziała Jan oskarżycielsko. – Cały czas, z Minervy. Zabiłaś Carlę, po tym, jak odmówiłam wpuszczenia cię

do miasta.

— Panienska mówić głupoty – rzekła pantera i parsknęła z niechęcią.

— Kpisz ze mnie – odparła Jan, przypomniawszy sobie, jak obserwowwała koty minerviańskie, znęcające się nad myszami przed ich zamordowaniem. – Dlaczego po prostu mnie nie zabijesz?

— Dlaczego ja zabić panienskę? – powiedziała pantera. – Zabić panienskę tylko wtedy, gdy mnie uderzyć. Taki kot zabijać tylko męskich ludzi. Zawsze ufać kobiecym ludziom.

Oni nigdy nie próbowali zabić kota.

Jan poczuła się zdezorientowana. Co za grę prowadzi z nią ta pantera? Wtem wpadła na pomysł skierowania strumienia światła na dolną część ciała zwierzęcia. Prawie zaśmiała się z ulgą, gdy zobaczyła, jakiej jest płci. To nie było to samo zwierzę. Miała przed sobą samicę.

Choć ulżyło jej, że jest to inna pantera, nie ta, którą spotkała przy bramie w Minervie i w dodatku samica, Jan wciąż jej nie ufała. Postanowiła się powstrzymać od wszelkich nierozważnych ruchów. Pantera powiedziała, że spostrzegła ją, gdy wkraczała na plac, i zaintrygowała ją obecność człowieka w tym „miejscu śmierci”. Jan zapytała z kolei, co ona robi w tym mieście.

— Być tu od dawna. Nie przeszkadza mi to – powiedziała pantera. – Matka ostrzegać mnie, by tu nie przychodzić. Matka matki ostrzegać ją. Aleja stary kot zmęczony. Nie polować zbyt dobrze. Tam... – Pantera obróciła głowę, by wskazać tereny dotknięte zarazą. – Postanović przyjsć tu. Spróbować. Czeakać, lecz nic się nie dziać. Woda dobra. Polowania lepiej. Zwierzęta tu przychodzą. Ludzie nie. Ty pierwsza.

Jan zastanawiała się, czy wierzyć panterze. „Od dawna” może

znaczyć wszystko w zwierzęcym pojmowaniu czasu, od paru dni do paru miesięcy. Ale nawet kilka dni wystarczyłoby zarazie na zaatakowanie pantery, a zwierzę wyglądało na zdrowe. Jan było gorąco, czuła się spragniona i musiała się załatwić. Nie mogła już wytrzymać w zapiętym kombinezonie.

— Czy widziałaś jakąś maszynę w mieście? – spytała panterę.

— Maszynę?

— Taką, która chodzi na dwóch nogach jak człowiek. Pantera pomachała swym grubym ogonem.

— Nie widzieć maszyny, która chodzi.

To już coś, pomyślała Jan. Zmieniła pozycję na schodach powoli, by nie zaniepokoić zwierzęcia. Nagle podjęła decyzję.

— Chcę odłożyć broń. Nie zamierzam ci uczynić krzywdy. Rozumiesz?

— Rozumiem.

Jan położyła reflektor na ziemi, wciąż kierując strumień światła na panterę. Powoli zdjęła broń z ramienia i przytrzymując ją za lufę, umieściła na podłodze obok reflektora, gdzie była dobrze widoczna. Odłożyła też plecak i pas z mieczami. Pantera obserwowała jej każdy ruch swymi nieprzeniknionymi żółtymi oczami.

— Chcę wydobyć coś z mojego plecaka – powiedziała Jan. – To nie broń. Tylko pojemnik z wodą.

Pantera skinęła głową. Jan wyjęła naczynie. Po czym, po długim wahaniu, otwarła zapięcie i zdjęła kaptur. Zaczepnęła powietrza. Cóż, stało się. Podniosła naczynie i zaczęła pić.

Gdy się obudziła, nad dachami miasta wstawał już świt. Pantera leżała w odległości piętnastu stóp od niej. Czuwała i obserwowała Jan. Nie zaatakowała podczas snu, lecz mogło to znaczyć, że zostawiają sobie na później... Jan podniosła się ze

swego prowizorycznego posłania, składającego się z kombinezonu antyskażeniowego i plecaka, i powiedziała: — Dzień dobry.

Z gardła pantery wydobył się głęboki pomruk. Jan postanowiła potraktować go jako odpowiedź przyjazną – może było to mruczenie? Poczua się bardzo zadowolona, szczególnie dlatego, że wciąż żyła. Pantera jej nie zjadła, a Jan jak dotychczas nie złapała zarazy. To niezły początek dnia, pomyślała.

Wstała i wyszła na plac. Pantera została na miejscu, lecz obróciła głowę, by śledzić wyjście Jan. Jan podeszła do fontanny, zaczerpnęła w dłonie wody i napiła się. Woda była smaczna, zimna i świeża. Jan rozejrzała się po placu, lecz nic się nie działo. Była przeświadczona, że Ezechiel nie mógłby się zbliżyć nie zauważony, gdyż jego brzęczenie odkryłaby pantera. Jan zdjęła ubranie Ashley – koszulę, spodnie, majtki i trzewiki, które zmarła dziewczyna nosiła przed wiekami – i weszła do fontanny. Woda wydała się jej niezwykle zimna, lecz jednocześnie wspaniale dodawała sił. Jan odwróciła się na plecy i spojrzała na Niebiańską Wieżę. Musiała teraz wspiąć się na jej szczyt, znaleźć komputer, wprowadzić do niego oprogramowanie Ashley i Carla, a następnie zawezwać Anioła Niebios z jego portu w dalekim, błękitnym niebie. Proste!

Nie udało się jej dotrzeć na szczyt wieży przed południem. Musiała wielokrotnie zatrzymywać się i odpoczywać, gdyż nogi jej pulsowały z bólu i czuła kłucie w piersiach. Pantera, która jej towarzyszyła, zatrzymywała się wraz z nią, chociaż nie zdradzała zmęczenia. Jan domyśliła się, że zwierzę mogłoby bez problemu wbiec susami na szczyt i z powrotem. Podczas jednego z odpoczynków zapytała panterę, dlaczego z nią idzie. Nabrały już do siebie zaufania – na ramieniu Jan wisiał znowu laser.

Pantera, która nazywała się Frusa, wzruszyła ramionami i rzekła: — Kot znudzony. Kot ciekawy.

Jan zaakceptowała to. W przeciwieństwie do zwierząt występujących w przyrodzie, zwierzęta zmienione genetycznie zdolne były do odczuwania takich stanów jak znudzenie. Próbowala wyjaśnić panterze cel swej misji w Niebiańskiej Wieży, lecz nie była pewna, ile z tego pantera zrozumiała.

— Dzięki Bogini Matce! – krzyknęła Jan z ulgą, gdy dotarła na szczyt schodów.

Zorientowała się jednak, że jeszcze nie jest u celu. Na tym piętrze nie było żadnych urządzeń i stanowiło ono kiedyś z pewnością platformę obserwacyjną, gdyż dookoła były okna. Centrum kontrolne Aniołów Niebios znajdowało się wyżej, lecz jak tam się dostać?

Na środku okrągłej podłogi zauważyła gruby metalowy walec, który zdawał się jedynym podparciem najwyższej części wieży. Pantera usiadła i przyglądała się, a Jan podeszła do kolumny i obejrzała ją wokół dokładnie. Dwukrotnie zdążyła ją obejść, zanim dostrzegła na błyszczącej powierzchni zarys drzwi. Był tu też bardzo wąski zamek długości dwóch cali, zamykany prawdopodobnie jakimś kluczem. Próbowala otworzyć drzwi paznokciami, lecz nadaremnie. W desperacji uderzyła w nie pięścią i zamarła, gdy jakiś głos powiedział: — Zrób to jeszcze raz, a wezwę policję.

Jan rozejrzała się, ale poza Frusą nie było tu nikogo. Znów spojrziała na drzwi. Głos zdawał się dochodzić z kolumny. Czyżby za drzwiami ktoś był?

— Kim jesteś? – spytała niepewnie.

— Jestem środkiem informacji publicznej i chcę ci powiedzieć, że nie możesz tu wejść, gdyż jesteś osobą postronną. Na szczyt

Niebiańskiej Wieży mogą wchodzić tylko osoby upoważnione. – Męski głos był rozdrażniony.

Pantera wstała i zaczęła węszyć przy drzwiach.

— Głos mężczyzny, ale to nie mężczyzna. Nikogo w środku – powiedziała do Jan.

Jan skinęła głową. Domyśliła się już, że ten głos był sztuczny, podobnie jak głos Carla czy Ashley. Wytwarzało go jakieś urządzenie znajdujące się w kolumnie.

— Proszę, wpuść mnie – rzekła. – Jestem upoważniona. Mam ważną misję.

— Naprawdę? Jaki więc jest twój szyfr? – dopytywał się głos. Brzmiał nieco sarkastycznie.

— Ach, nie mam żadnego, lecz musisz mi wierzyć. Muszę się dostać na szczyt wieży.

— Słyszę to codziennie, proszę mi wierzyć. Teraz proszę odejść. Czas przeznaczony na odwiedziny się kończy. I proszę zabrać ze sobą swoje zwierzę. Jan wpadła we wściekłość.

— Słuchaj, maszyno, czy kimkolwiek jesteś, czas przeznaczony na odwiedziny tego miejsca skończył się już dość dawno. Jakies kilkaset lat temu. Miasto wymarło. Moje „zwierzę” i ja jesteśmy jedynymi żyjącymi istotami na przestrzeni wielu mil. Instrukcje, które wydano ci dawno temu, teraz już nie obowiązują. Żądam więc, byś mnie wpuściła! Przez parę chwil głos nie odpowiadał, po czym rzekł: — Na szczyt Niebiańskiej Wieży mogą wchodzić tylko osoby upoważnione.

Jan jęknęła i znów walnęła w drzwi. Głos powiedział: — To ostatni dzwonek – muszę cię ostrzec, że wzywam policję.

— Przestań gadać – wymamrotała Jan.

Po chwili zastanowienia zdjęła laser i ostrzegłszy Frusę, by się odsunęła, skierowała go i wypaliła. Poleciały iskry i metal

zaskwierczał. Głos powiedział: — No cóż, będziesz w dużym kłopotcie, pani.

— Och, zamknij się! – krzyknęła Jan, wciąż wypalając laserem otwór.

Musiała dość długo ciąć, zanim w końcu drzwi się otworzyły, ukazując ciasne spiralne schody wykonane z jakiegoś półprzeźroczystego materiału. Głos zamilkł po paru kolejnych ostrzeżeniach i pogrózkach. Jan z triumfem weszła na schody. Wreszcie tu jest! I potrafiła tego dokonać bez Mila. Schody doprowadziły ją na mały, okrągły podest. Były tu kolejne drzwi. Westchnęła, oczekując następnej dyskusji z mechanicznym głosem, lecz gdy dotknęła świecącej klamki, drzwi otworzyły się bez trudu. Przekraczając próg, poczuła strumień świeżego powietrza. To powinno było ją zaniepokoić, ale była zbyt uradowana sukcesem, by zwracać na to uwagę.

Wtem ujrzała trzech samurajów. Siedzieli po turecku wokół pieca, na którym gotowało się jakieś jedzenie. Ich pościel i broń leżała porozrzucana dokoła, co świadczyło o tym, że przebywają w Niebiańskiej Wieży stosunkowo długo. Niczego się nie spodziewali, lecz gdy Jan otworzyła drzwi, z niewiarygodną szybkością chwycili za miecze i zerwali się na nogi.

Jan wycelowała laser i nacisnęła spust. Nic się nie stało. Domyśliła się, że wyczerpała akumulator podczas przecinania drzwi. Jeden z samurajów, znajdujący się najbliżej, ruszył na nią z wrzaskiem.

Wtem coś wielkiego i bardzo ciężkiego zbliżyło się z tyłu i odepchnęło ją na bok. Była to Frusa. Samuraj wrzasnął, gdy na niego natarła. Zdawało się, że zaledwie szturchnęła go pyskiem, lecz mężczyzna padł na ziemię ze zmiażdżoną twarzą. Frusa zrobiła to, nie zatrzymując się ani na moment. Znalazła się przy

drugim samuraju, zanim ten zdążył się zasłonić. Trzeci stał przerażony z szeroko otwartymi oczami i patrzył, jak pantera rozszarpuje gardło jego towarzyszowi. Wreszcie oprzytomniał i zamierzył się na nią mieczem.

Jan cisnęła laserem, który trafił Japończyka w ramię; samuraj zachwiał się. Jan wydobyła krótki miecz i ruszyła naprzód, lecz Frusa znów była szybsza. Jednym morderczym uderzeniem obaliła go na ziemię. Jan odwróciła głowę, gdy wielkie szczęki zwierzęcia miażdżyły miękkie ciało i kości wrzeszczącego człowieka. Gdy się obejrzała, pantera siedziała obok trupa, a krew spływała jej z pyska.

— Dzięki – powiedziała Jan niepewnie.

— To mężczyźni. Kot nie lubić mężczyzn. Zabijać mężczyzn.

— Tak, tak, rzeczywiście... – rzekła Jan. – Skąd wiedziałaś, że są tutaj?

— Poczuć ich. Gdy ty wchodzić na schody. Silny męski zapach.

Jan skinęła głową. Też go poczuła. Rozejrzała się. Pomieszczenie na szczycie Niebiańskiej Wieży podobne było do wnętrza olbrzymiego kryształu. Zakrzywione ściany i sufit wykonane były z przezroczystego szkła, dzięki któremu słońce oświetlało całą przestrzeń. Wszędzie znajdowały się jakieś urządzenia pokryte szkłem, dzięki czemu można było widzieć tajemnicze struktury ich elektronicznych systemów nerwowych. Jan dostrzegła miejsce, poprzez które samurajowie dostawali się na szczyt wieży – w suficie widniał otwór o średnicy czterech stóp. Na rusztowaniach poniżej otworu zwisały trzy zniszczone lotnie. Albo rozbiły się po drodze o kryształ, albo zniszczyły je ładunki wybuchowe. Ich obecność tutaj przygnębiła Jan. Oznaczało to, że dowódca przypomniał sobie właściwe usytuowanie centrum kontrolnego Aniołów Niebios, tak jak

obawiał się Milo. Mogło to również oznaczać, że dowódca wydał już sygnał przywołujący na Ziemię Anioła Niebios.

Słyszając odgłos rozszarpywania ciała, odwróciła się i ujrzała, że pantera zaczyna pożerać jednego z zabitych samurajów. Jan skrzywiła się.

— Co robisz? – spytała.

Pantera przełknęła duży kawał mięsa i powiedziała: — Kot głodny. Kot jeść.

— Dobrze... ale czy nie mogłabyś tego zrobić gdzie indziej? – spytała Jan, odwracając oczy.

Kot zawahał się, burknął, po czym przeciągnął ciało w kierunku drzwi. Jan zdjęła plecak i usiadła na nim. Musiała się zastanowić. Zaczęła wątpić w słuszność swych podejrzeń dotyczących obecności Japończyków w wieży. Gdyby dowódca zostawił ich tu, by przygotować zasadzkę na nią i Mila, z pewnością przeznaczylby do tego większą liczbę ludzi. Znał możliwości Mila. Trzej samurajowie nie stanowiliby dla niego żadnego zagrożenia. Nie mieli również karabinów, lecz uzbrojeni byli jedynie w miecze. Może stanowili jedną z kilku grup rozmieszczonych w różnych częściach miasta w charakterze obserwatorów? Może znaleźli się w Niebiańskiej Wieży przypadkowo? Przecież od chwili przybycia do miasta miała wrażenie, że jest śledzona! Ale dlaczego jej nie zaatakowano? Może dlatego, że szukano dwojga ludzi. Samotna kobieta nie zwróciła ich uwagi, gdyż nie mogli wiedzieć, kim jest. Poza tym ważny był dla nich Milo.

Cokolwiek zresztą było powodem obecności samurajów w Niebiańskiej Wieży, jedno było pewne: *Władca Pangloth* albo *Pachnący Wietrzyk* mogą tu powrócić.

Jan otworzyła plecak i sięgnęła po tuleję zawierającą program

Ashley i Carla. Przypadkowo dotknęła czegoś metalowego i zorientowała się, że to czaszka Mila. Wyjęła ją i położyła na podłodze obok siebie. Puste oczodoły spoglądały na nią z wyrzutem. Próbowwała zanalizować swe uczucia wobec Mila i jego śmierci, lecz mieszało się jej w głowie. Wszystko się rozstrzygnęło, zanim zdążyła się dobrze zastanowić. Jan uśmiechnęła się smutno do czaszki.

— Tak, Milo. Udało mi się. Przy małej pomocy kota.

Wyjęła z plecaka tuleję i zaczęła się rozglądać po przezroczystych urządzeniach wypełniających okrągły pokój. Ponieważ wszystko wyglądało tak niezwykle, trochę czasu zajęło jej odnalezienie tej części komputera, do której pasowało oprogramowanie. Zmarszczyła brwi widząc przez przezroczyste wieko, że komputer zawiera cały szereg podobnych tulei. Niepewnie nacisnęła guziki, usuwając wszystkie, po czym wsadziła tę, którą przyniosła z sobą. Czekala. Nic się nie działo.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Po przeciwnej stronie coś zaczęło wydawać urywany sygnał; Jan aż podskoczyła. Odwróciła się. Na konsoli świeciło czerwone światło i pojawił się ekran. Pośpieszyła doń z ulgą. Upłynęła przynajmniej minuta od czasu, gdy wprowadziła tuleję, i zaczęła się obawiać, że komputer jest niesprawny. Na ekranie dostrzegła napis:

Cześć! To ja, Ashley! Staruszek Carl o nieco przyciężkawym umyśle ma trochę kłopotu z tym urządzeniem. Nie może włączyć żadnego syntezatora głosu. Chce, byś na powrót włożyła do kasetonu tyle tutejszych tulejek z oprogramowaniami, ile się zmieści. Chce skopiować to na naszym oprogramowaniu. Pośpieszysz się? Chcę cię zobaczyć i znowu usłyszeć. Pozdrowienia, Ashley.

Nie czytając zbyt biegle, Jan musiała przez dłuższą chwilę zaznajamiać się z informacją na ekranie. Zasepiła się.

— Kasetonu? Co to takiego? – spytała.

Słowa na ekranie nie zmieniły się. Przeczytała informację jeszcze raz i zdała sobie sprawę, że Ashley jej nie słyszy. Doszła do przekonania, że określenie „kaseton” musi dotyczyć miejsca w komputerze, w którym umieszcza się tuleję. Wróciła do komputera i obejrzała wszystkie sześć tulei leżących na jego szklanej pokrywie.

W komputerze było teraz miejsce tylko na pięć. Skąd mam wiedzieć, które włożyć? Cóż, spróbuję, pomyślała, wkładając tuleje do otworów. Komputer brzęczał, pobierając po jednej

tulejce i wprowadzając je do wnętrza. Jan dostrzegła coraz więcej świateł pojawiających się w różnych częściach pokoju. Zdawało się jej, że okrągłe pomieszczenie z kryształu zaczyna ożywać.

Coś trzasnęło. Po czym jakiś głos powiedział: – Ach, teraz lepiej. Światło i dźwięki Cześć, Jan. Zrozumiałaś mnie?

To była Ashley. Głos różnił się od tego w schronie – nie był ani męski, ani kobiecy – lecz niewątpliwie należał do Ashley.

— Cześć, Ashley – powiedziała Jan, rozglądając się za źródłem głosu. – Czy widzisz mnie i słyszysz?

— Prawie. Sporo tu sensorów, w środku i na zewnątrz. Carl nie mógł ich uruchomić, póki nie otrzymał informacji z innego programu. Czy możesz włożyć tę ostatnią tuleję?

Jan zauważyła, że jedna tuleja wysuwa się z komputera. Wyjęła ją i zastąpiła szóstą tuleją. Gdy komputer ją wciągnął, Ashley krzyknęła: – Och, a cóż się tu dzieje?

Kim są ci faceci? Jan domyśliła się, że pyta o martwych Japończyków. Usiłowała nie patrzeć na trupy leżące w kałużach zakrzepłej krwi.

— To słudzy dowódcy. Oczekiwali tu.

— Jezu, czy to ty ich tak załatwiłaś?

— Oczywiście, że nie. To Frusa.

— Frusa. Kto to taki?

— To kot.

W tym momencie pantera weszła do pomieszczenia, z pewnością zwabiona odgłosami.

— Jezu – powiedziała Ashley – to ci kot.

Pantera zaczerpnęła powietrza i powiedziała do Jan: – Słyszeć głos, lecz nikt tu nie być.

— Jest tu ktoś, Frusa. Nazywa się Ashley. To moja przyjaciółka.

Ashley, powiedz coś miłego Frusie.

— Cześć, kiciu. Rzeczywiście jesteś piękna. Wiesz, miałam futro zupełnie takie samo, jak twoje. Ale nie bój się, nie było prawdziwe, lecz syntetyczne.

Pantera spojrzała na Jan.

— Tu nikt. – Po czym odwróciła się i wyszła za drzwi.

— Przepraszam – powiedziała Jan do Ashley. – Wygląda na to, że Frusa nie czuje zapachu kogoś, kto nie istnieje.

— I ma rację. Ja nie istnieję. Carl chce z tobą porozmawiać. Cześć.

— Ashley...?

— Mówi Carl. – Ten sam głos, lecz nieco zmieniony. – Połączyłem się z komputerem kontrolującym stację, w której przebywa Anioł Niebios. Zaraz nadam sygnał, który rozpocznie transport Anioła Niebios ze stacji.

— Och – powiedziała zaskoczona. – Bardzo szybko. Gdzie znalazłeś ten sygnał?

— W pamięci komputera.

— No tak, jasne. – Powinna była to wiedzieć. – A więc wszystko idzie świetnie. Czy Anioł Niebios przybędzie tu bez kłopotów? – Jan nie chciała wierzyć, że wszystko jest takie proste...

— Wszystkie systemy są sprawne. Przypuszczam, że nie będzie problemów.

— Świetnie. Kiedy tu dotrze?

— Za osiem i pół dnia.

— Osiem i pół dnia? To długo.

— Ma do przebycia długą drogę. Cztery dni zajmie mu podróż do atmosfery ziemskiej.

Znajdzie się nad Australią. Następne cztery dni przy maksymalnej prędkości trwać będzie podróż do tego miejsca.

— Co to jest Australia?

— Kontynent wyspiarski na południowej półkuli.

— Czy nie można sprawić, by Anioł Niebios pojawił się tu, a nie nad Australią, skoro to miejsce jest tak odległe? – spytała Jan.

— Proces dostawania się Anioła Niebios w atmosferę ziemską winien być przeprowadzony tak, by sterowiec nie został uszkodzony, jest więc bardzo skomplikowany i stanowi integralną część systemu. Zmiana tego systemu na tym etapie byłaby, moim zdaniem, niemądrym posunięciem. Oryginalny program może uwzględnić jakieś czynniki, których nie znam. Radziłbym wykorzystać ustalony proces.

Westchnęła.

— Skoro tak mówisz.

Osiem i pół dnia. Co będzie, gdy dowódca pojawi się w tym czasie? Albo co gorsza, inni Japończycy przybędą, by zmienić tych, którzy tu byli. Co prawda, miała do obrony panterę, zakładając, że Frusy to nie znudzi i nie odejdzie. Był też laser, ale...

— Carl, czy istnieje jakaś możliwość naładowania lasera?

— Nie. Mam energię, lecz nie znam sposobu przeniesienia jej do komórek lasera.

— Ach – powiedziała rozczarowana. Pozostawała tylko broń palna, choć Carl wątpił, czy działa. Wtem wpadła jej do głowy myśl. – Carl, skąd pochodzi twoja energia?

— Ze słońca. Z szeregu receptorów energii słonecznej znajdujących się na zewnątrz wieży.

Konwertory energii słonecznej. Jan pokiwała ze zrozumieniem głową, choć zastanawiała się, dlaczego nie zostały pokryte grzybem przez tyle lat, skoro nikt ich nie czyścił. Nagle uprzytomniła sobie, że w mieście nie widziała żadnych gatunków

grzybów.

— Czy dasz mi znać, gdy Anioł Niebios wyruszy w drogę?

— Oczywiście.

— Świetnie. Pozwól mi teraz porozmawiać z Ashley.

— Jest nieosiągalna.

— Nieosiągalna? Co masz na myśli?

— Nie rozmawia. Nie chce z tobą rozmawiać. Ani ze mną.

— Ach. Chodzi ci o to, że się dąsa. – Widocznie słowa Frusy ją dotknęły. – No dobrze, niech się dąsa.

Jan westchnęła i zmusiła się do spojrzenia na dwa ciała leżące na ziemi. Pierwszą jej myślą było pozbycie się ich. Nie miała ochoty spędzać następnych ośmiu i pół dnia w takim otoczeniu. Zeszła po schodach, by znaleźć panterę. Frusa była piętro niżej i kończyła właśnie posiłek. Żołądek Jan podjechał do góry, lecz zdołała zapanować nad tym odruchem. Pantera spojrzała na nią swymi nieprzeniknionymi oczami.

Jan powiedziała:

— Hm, nie przypuszczam, że po zjedzeniu tego zechcesz pójść na górę i zjeść tych pozostałych?...

— Kot niegłodny teraz. Pełny brzuch.

— No tak. – Jan myślała chwilę, po czym rzekła: – Słuchaj, czy możesz ich odłożyć gdzieś na później? Żeby zjeść wtedy, gdy będziesz głodna? Pantera patrzyła na nią. Rzekła: – Lubić świeże mięso. Zabić, po czym zjeść.

— No tak – powiedziała Jan. – Dobrze, wiesz co, chciałabym się ich pozbyć. Czuję się... skrepowana. A skoro mam przebywać w tym pomieszczeniu ponad tydzień, to, hm, niedługo ciała zaczną... – Urwała widząc badawcze spojrzenie Frusy. Wyraźnie poczuła, że pantera podejrzewają o pomieszanie zmysłów. – W porządku – powiedziała. – Zatrąszczę się o to sama.

Już miała wrócić na górę, lecz zatrzymała się i rzekła: – Frusa, chodzi mi o ten głos, który słyszałaś. To głos Ashley. Wiem, że może ci być trudno to zrozumieć, lecz należy on do czegoś w rodzaju prawdziwej osoby, więc następnym razem, gdy go usłyszysz, staraj się być, hm, trochę bardziej uprzejma.

— Głos był znikąd. Żadnego człowieka. Po co mówić do nikogo?

— Rezygnuję – wymamrotała Jan i wyszła. Wstępując na kryształowe schody, zastanawiała się, czy czasem słowa Ashley, że Frusa przypomina jej jedno z futer, nie były prawdziwą przyczyną nieuprzejmości pantery. Gdy weszła do pomieszczenia komputera, Carl powiedział: – Anioł Niebios, numer rejestracyjny A 810 JLX, wystartował szczęśliwie ze swej stacji orbitalnej przed trzema minutami i znajduje się w drodze na Ziemię.

— Cudownie! – wykrzyknęła Jan. – Czy kontrolujesz jego lot?

— Nie. Kontroluje go program jego własnego komputera pokładowego. Mam jednak bezpośrednie połączenie radiowe z tamtym komputerem. Otrzymuję nieprzerwany strumień informacji.

— Rozumiem.

Jan była tu, spokojnie rozmawiała z komputerem, który był połączony z innym komputerem, znajdującym się w niewyobrażalnej odległości w kosmosie. A tamten komputer kierował sterowcem o milowej długości, poruszającym się w próżni.

— Carl, Milo mówił mi kiedyś, że w przestrzeni nie ma powietrza. W jaki sposób więc Anioł Niebios porusza się naprzód? Praca śmigieł Władcy Niebios zależy przecież od powietrza.

— Anioł Niebios napędzany jest silnikami raketowymi. One nie potrzebują powietrza. Gdy Anioł Niebios wejdzie w atmosferę, silniki raketowe zostaną wyłączone.

Jan podziękowała Carlowi za tę informację i z niechęcią zajęła się nieprzyjemnym zadaniem usunięcia ciał zmarłych samurajów. Rozwiązała ten problem w ten sposób, że owinęła je w pościel i zaciągnęła pojedynczo po schodach do pomieszczenia obserwacyjnego. Stąd doniosła je do następnych schodów i tam zostawiła. Gdy wróciła na górę, ujrzała panterę zlizującą krew z podłogi. Nie była pewna, czy to ma być przysługa, lecz postanowiła o to nie pytać.

Ashley milczała przez parę godzin. Robiło się już ciemno, gdy w końcu przemówiła. Jan jadła właśnie potrawę z ciasta ziemniaczanego i syntetycznych owoców. Było to wyprodukowane przez Carla w schronie.

— Cześć, to znów ja. – Wydawała się spokojniejsza.

— Cześć, Ashley. Jak się czujesz?

— W porządku. Gdzie pantera?

— Na łowach. Szuka żywności i sprawdza, czy nie ma tu Japończyków.

— Nie podoba mi się to zwierzę.

— Ja też za nią nie przepadam – przyznała Jan. – Przypomina inną panterę, którą kiedyś spotkałam. Myślę jednak, że Prusie można zaufać.

— Mam nadzieję. Chodzi mi o ciebie. Obawiam się, że jeśli nie uda się jej znaleźć pożywienia, może cię zaatakować.

— Och, wątpię – powiedziała Jan niepewnie, czując, że Ashley wyraziła głośno jej własne skrywane obawy.

— Carl mówi, że start Anioła Niebios odbył się zgodnie z planem. Sterowiec jest już w drodze.

— Tak, cieszy mnie to bardzo. Chciałabym tylko, żeby trwało to krócej niż osiem dni.

— Ja również nie mogę się doczekać. Aż trudno uwierzyć, że znów będę latać. Carl mówi, że system sensorów Anioła Niebios jest bardzo wyrafinowany. Będę mogła czuć, jak powietrze przepływa obok kadłuba.

— To brzmi zachęcająco – powiedziała Jan wpatrując się w otwór w zakrzywionym suficie, przez który napływały mocne i coraz chłodniejsze podmuchy wiatru. Wcześniej wdrapała się tam i obejrzała otwór dokładniej. Stwierdziła, że jest zbyt duży, by można go było załatać jakimś prowizorycznym przykryciem. Zdziwiła się, że trzem samurajom udało się wylądować na lotniach na tak niepewnej płaszczyźnie.

W trakcie dalszych poszukiwań odkryła drzwi prowadzące do wąskiego, oszklonego pokładu obserwacyjnego, który otaczał pomieszczenie komputera. Spoglądała z niego na szczyty sąsiednich budynków, usiłując odkryć ślady japońskich posterunków obserwacyjnych, lecz nie dostrzegła nic podejrzanego.

Kolejne odkrycie stanowiły drzwi, które wiodły do wydłużonego pokoju. Na jego końcu znajdowało się okrągłe wejście, lecz nie mogła się tam dostać. Carl wytłumaczył jej później co to jest.

— W tym miejscu Aniołowie Niebios łączą się z Wieżą. Przegub rozszerza się i naciąga na dziób Anioła Niebios.

— Więc będę mogła tamtędy wejść na pokład sterowca?

— Tak.

— Po co zbudowano to połączenie? Po co przybywali tu Aniołowie Niebios?

— To tu właśnie oficjalnie rozpoczynały służbę. W

Niebiańskiej Wieży odbywała się też ceremonia chrztu każdego nowego Anioła Niebios.

— Ceremonia chrztu?

— Nadawano im imiona.

— Ach, rozumiem.

Odtąd zastanawiała się, jak nazwie swojego Anioła Niebios. Oczywista wydawała się nazwa Minerva, lecz również pragnęła dać mu imię zmarłej przyjaciółki i kochanki, Alsy.

Zwróciła się z tym problemem do Ashley. Ashley powiedziała: – Och, to przecież proste. Możesz go nazwać moim imieniem. Niech nazywa się Ashley Vee. Będę wtedy Aniołem Niebios. Jan nie była zachwycona tym pomysłem.

— W takim razie mogłabym nazwać go również Carlem, ponieważ on też sprawuje kontrolę nad Aniołem Niebios.

— Ależ on się nie liczy. Tylko mnie możesz brać pod uwagę.

— Tak, wiem.

Jan przypomniała sobie sytuację ze schronu. Starła się unikać wprowadzania nagłych zmian w zasadach „Carla” dotyczących osób przybywających do schronu.

Zrozumiała, że ustanowienie kontroli nad Aniołem Niebios i jej utrzymanie w komputerze sterowca dzięki programowi Ashley może być o wiele trudniejsze niż przypuszczała.

Po raz pierwszy spędziła nieprzyjemną noc w pomieszczeniu komputera. Zimno i twarda podłoga sprawiały, że nie mogła zasnąć, a gdy w końcu jej się to udało, miała złe sny. Znajdowała się znowu w domu matki w Minervie. Ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła je i ujrzała Ceri, całą i uśmiechniętą. Uszczęśliwiona Jan chciała ją objąć, lecz gdy się zbliżyła ujrzała, że twarz Ceri zaczyna się zmieniać... zrobiła się silnie pomarszczona jak twarze ludzi Ezechiela. Ceri zawołała o pomoc, lecz Jan mogła

tylko odwrócić się ze wstrętem. Wtedy zmarszczki i obwisłe ciało zaczęło odpadać z twarzy Ceri i w końcu ukazała się błyszcząca czaszka... W tym momencie Jan się obudziła. Leżała drżąc i zastanawiała się, czy ten sen może oznaczać, że Ceri nie żyje.

— Jan, obudź się!

— Co... Co? – otworzyła oczy. Przez parę chwil wszystko wyglądało obco, lecz wkrótce oprzytomniała i dotarło do niej, że znajduje się w pomieszczeniu komputera.

— Carl... co się stało?

— Anioł Niebios właśnie pojawił się nad horyzontem. Będziesz mogła go stąd dostrzec.

Nadchodzi z kierunku południowo-zachodniego.

Jan wyskoczyła spod przykrycia i wybiegła na pokład obserwacyjny. Słońce już się podniosło, a niebo było bezchmurne. Niecierpliwie wypatrywała się w horyzont. Tam! Coś błyszczącego w słonecznym świetle! To musi być on! Anioł Niebios. Nareszcie...

Cztery dni temu zdawało się, że wszystko skończy się nieszczęściem. Carl relacjonował wchodzenie Anioła Niebios w górne warstwy atmosfery.

— Wstępuje teraz w egzosferę. Rakiety wciąż działają... Prędkość spada do czterech tysięcy ośmiuset czterdziestu mil na godzinę.

— Dlaczego porusza się tak szybko? – spytała Jan. – Dlaczego nie unosi się po prostu w powietrzu?

— Ma masę kilku tysięcy ton. Zmniejszenie prędkości tak ciężkiego obiektu wiąże się ze zużyciem dużej ilości energii, jakiej rakiety nie są w stanie wytworzyć. Nie wystarczyłoby na to paliwa. Dlatego Anioł Niebios zwolni podczas przelotu przez atmosferę, która zadziała jako hamulec.

— Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego nie może szybować – dopytywała się Jan. – Jest przecież pełen powietrza?

— Nie. – rzekł Carl. – Hel znajduje się jeszcze w postaci ciekłej. Nie ma potrzeby napełniania komór gazowych do czasu, aż Anioł Niebios znajdzie się w dolnych warstwach atmosfery. Bez zgęszczonego powietrza nie ma unoszenia... Prędkość wynosi teraz cztery tysiące dwieście mil na godzinę. Rakiety wciąż działają. Anioł Niebios zacznie za chwilę wchodzić w wyższą warstwę jonosfery... Temperatura zewnętrznego kadłuba zaczyna się podnosić... Osłona termiczna działa...

— Osłona termiczna? – spytała Jan.

— Tymczasowa powłoka zewnętrznego kadłuba. Połączone płytki ceramiczne. Jak szkło. Chronią Anioła Niebios przed tarciami. Zostaną automatycznie usunięte, gdy... USZKODZENIE! USZKODZENIE!

Nagły wzrost siły głosu Carla przestraszył Jan.

— Co się stało? – krzyknęła.

— Dwa silniki rakietowe wyłączyły się przedwcześnie – rzekł Carl normalnym głosem. – Anioł Niebios wejdzie w gęstsza atmosferę ze zbyt wielką prędkością.

— Powiedziałaś jednak, że atmosfera zmniejszy jego prędkość.

— Rakiety są wciąż potrzebne na tym etapie drogi. Widocznie powstały jakieś uszkodzenia w systemie doprowadzającym paliwo.

Zablokowana linia. A może paliwo wyciekło ze zbiorników. Nie dotarła jeszcze do mnie informacja... Prędkość wciąż wynosi cztery tysiące mil na godzinę... To zbyt dużo... pozostałe działające silniki nie dadzą rady...

— Co się stanie? – spytała Jan przerażona.

— Osłona termiczna może zostać spalona... albo wzrastające

wstrząsy zniszczą kadłub i Anioł Niebios pęknie...

— O nie! – krzyknęła załamana. – Czy nie możesz czegoś zrobić?

— Nie. Program komputerowy na pokładzie sterowca próbuje zastosować manewr kompensacyjny, lecz ja nie mam wpływu na jego działanie... Anioł Niebios znajduje się obecnie na wysokości 350 mil – już w obrębie jonosfery. Temperatura kadłuba wzrasta...

Straciłem teraz kontakt z Aniołem Niebios A 810 JLX...

— Co to znaczy? Co się stało? Czy wyleciał w powietrze?

— Stan Anioła Niebios nieznany. Straciłem z nim wszelki kontakt radiowy. Przyczyną może być spowodowana tarciem silna jonizacja wokół Anioła Niebios, która zakłóca sygnały.

— Co to jest joni... Ach, nieważne... powiedz mi, co się dzieje!

— Nie mogę ci nic powiedzieć.

Minęła minuta. I następne. Jan była zrozpaczona. Dotrzeć tak daleko i nagle wszystko stracić w ostatniej chwili...

— Udało mi się odzyskać kontakt z Aniołem Niebios – oznajmił Carl, jak zwykle uprzejmie. – Osłona termiczna wciąż działa. Prędkość spadła do ośmiuset mil na godzinę. Sterowiec wchodzi w stratosferę. Nie stwierdzono żadnych poważnych uszkodzeń. Silniki rakietowe zostaną teraz wyłączone. Ciekły hel przekształcany jest w gaz. Komory gazowe napełniają się... Śmigła zostają uruchomione.

Jan wydała okrzyk radości i pożałowała, że nie ma komu rzucić się na szyję.

To wszystko miało miejsce cztery dni temu. A teraz Anioł Niebios wreszcie się ukazał. Był wyraźnie widoczny i zmierzał wprost w kierunku wieży. W przeciwieństwie do Władców Niebios nie pokrywały go żadne znaki, wzory czy olbrzymie oczy;

poza tym, że w porannym słońcu błyszcząły konwertory energii słonecznej, cały jego kadłub był biały. Lśniaco biały.

Wtem Jan dojrzała inny sterowiec. Znajdował się za Aniołem Niebios, lecz niewątpliwie podążał za nim. Władca Niebios.

Nie był zresztą sam. Za nim leciał następny.

Jan zaczęła się trząść ze strachu. Tymi dwoma Władcami Niebios mogły być jedynie *Władca Pangloth* i *Pachnący Wietrzyk*. Dowódca nadchodził.

ROZDZIAŁ

TRZYDZIESTY PIERWSZY

— Carl! – krzyknęła ogarnięta paniką, biegnąc do pomieszczenia komputera.

Odpowiedziała jej Ashley: — Cześć. Czy to nie wspaniałe? Za parę minut znajdziemy się na pokładzie Anioła Niebios.

— Gdzie jest Carl? – dopytywała się Jan. – Muszę z nim porozmawiać.

— Niestety, nie możesz – odpowiedziała rozdrażniona Ashley. – Teraz jest moja kolej.

Rozmawialiście wystarczająco długo.

— Słuchaj, ty szalony duchu, to ważna sprawa! Za Aniołem Niebios znajdują się dwaj Władcy Niebios! Powiedz Carlowi! Musi coś zrobić!

— O Jezusie, nie musisz być taka arogancka, Jan!

— Bogini Matko, pomóż mi – błagała Jan. – Dobrze, to ty porozmawiaj z Carlem.

Powiedz mu o Władcach Niebios. Nastąpiła krótka cisza, po czym Ashley rzekła: — Carl wie o Władcach Niebios. Powiedział, że Anioł Niebios pojawi się dokładnie dwanaście minut przed przybyciem pierwszego ze ścigających. Będzie mnóstwo czasu na to, by dostać się na pokład. Chodzi o nas, oczywiście!

Jan nie podzielała optymizmu Ashley i Carla. Ile czasu zajmie Aniołowi Niebios dołączenie się do Wieży? Będzie wtedy musiała jeszcze przedostać się z dziobu do pomieszczenia kontrolnego Anioła Niebios. Pobiegnęła z powrotem na pokład obserwacyjny.

Anioł Niebios był blisko, przerażający w swym ogromie. Cień sterowca zaczynał padać na przedmieścia.

Dostrzegła, że bezpośrednio za nim znajduje się *Władca Pangloth*, którym kierował dowódca. Zerknęła na trzeci sterowiec – *Pachnący Wietrzyk*. Czy na jego pokładzie przebywa Ceri? Czy żyje jeszcze? Zaczepnęła powietrza i wróciła do środka.

— Ashley, muszę porozmawiać z Carlem! – krzyknęła głośno.

— Och, no dobrze.

— Carl?

— To ja.

— Co mam robić, gdy przybędzie Anioł Niebios?

— Gdy dołączy do Wieży, wydam rozkaz jego komputerowi pokładowemu, by otworzył wejście i umożliwił ci wkroczenie na pokład sterowca. Wtedy wyjmiesz nasze oprogramowanie z tego komputera i zabierzesz je do Anioła Niebios. Potem umieścisz je w jego komputerze pokładowym.

— No tak, ale muszę zrobić to wszystko przed przybyciem dowódcy.

— To się raczej nie uda – przyznał Carl – lecz cóż może ci zrobić dowódca, gdy tu przybędzie? Anioł Niebios strzeżony jest przez automatyczny system obronny.

— Och, on może coś zrobić – powiedziała ponuro. Wyszła i zabrała wszystkie swoje rzeczy: plecak, pas z bronią, menażki, resztę jedzenia. Przeraziła się słysząc, że ktoś wchodzi po spiralnych schodach, lecz odetchnęła, ujrawszy Frusę. Pantera spojrzała na nią i powiedziała: – Ty pachnieć strachem.

— Nic dziwnego – rzekła Jan. – Słuchaj, chcę stąd wkrótce wyruszyć. Możesz udać się ze mną, jeśli masz ochotę.

— Dokąd iść?

— Do dużego, hm, urządzenia fruującego w powietrzu.

— Władcy Niebios?

— No tak. – Szelma pantera! – Dokładniej mówiąc, Anioła Niebios. Pójdiesz?

— Co kot jeść?

— Jeść? – Jan zmarszczyła brwi. To było dobre pytanie. – Hm, jestem pewna, że na pokładzie sterowca znajdują się zapasy.

— Świeże mięso? – spytała pantera.

— Och, wątpię – przyznała.

— Kot zostać tu.

Jan ucieszyła się w duchu. Mimo tego, że miała u pantery dług wdzięczności, wciąż czuła, że nie może jej całkowicie zaufać.

— Bardzo dobrze. Dzięki ci za wszystko. Uważaj na siebie, Frusa. Z gardła pantery wydobył się ryk, po czym Frusa odwróciła się i natychmiast wyszła. Dziwne zwierzę – pomyślała Jan.

— Jan, Anioł Niebios będzie się łączył z Wieżą – oznajmił Carl. – Nastąpią wibracje.

Jan czekała. Podłoga zadrżała i Jan usłyszała odgłos odległego uderzenia. Anioł Niebios przybył.

— Wydałem rozporządzenie dotyczące twojego wejścia na pokład Anioła Niebios – rzekł Carl. – Zamilknę teraz. Wyjmij oprogramowanie.

Jan podeszła do komputera. Nacisnęła przycisk wydobywający tuleje z oprogramowaniem. Pojawiały się okropnie wolno. Musiała czekać na pozostałe pięć, zanim ukazała się szósta, zawierająca programy Carla i Ashley. W pośpiechu chciała ją schwycić, gdy wysuwała się z maszyny, lecz tuleja wyslizgnęła się z jej spoconych palców i upadła z zatrważającym stukiem na ziemię. Jan spojrzała na nią załamana, pewna, że tuleja zacznie

się rozsypywać. Wyglądała jednak na nieuszkodzoną. Jan podniosła ją ostrożnie i dokładnie obejrzała. Czy to jej urojenie, czy rzeczywiście wzdłuż całej tulei biegnie pęknięcie?

Nie miała teraz czasu, by się o to martwić. Wsunęła tuleję do kieszeni i pobiegła w kierunku drzwi prowadzących do tunelu. Gdy drzwi się otwarły, zobaczyła, jak wielki jest to tunel. Zniknęły okrągłe drzwi i Jan uświadomiła sobie, że droga do Anioła Niebios stoi przed nią otworem. Pobiegła tunelem i znalazła się w okrągłym pomieszczeniu, którego środek zajmowało podium z trzema rzędami wygodnych siedzeń wokół. Słysząc było przyciszoną muzykę. Przyjemny głos, należący do nieokreślonej płci, powiedział: – Witaj! Znajdujesz się na pokładzie Anioła Niebios A 810 JLX. Dostałem polecenie przyjęcia cię, lecz nie poinformowano mnie, czy jesteś częścią delegacji, czy technikiem konserwującym sterowiec.

— Jestem tu po to, by cię ochrzcić – powiedziała Jan szybko. – Twym imieniem jest teraz *Alsa z Minervy*.

— Tak? – Głos zdziwił się. – Ale nie dopełniono rutynowej procedury. Kto cię tu polecił...?

— Nieważne – przerwała Jan. – Muszę dotrzeć do pomieszczenia kontrolnego. Jak tam dojść najszybciej?

— Dam ci eskortę – rzekł głos.

— Co? Eskortę? – powiedziała Jan zdziwiona. Była przekonana, że na pokładzie nie ma żywych istot.

Drzwi po przeciwnej stronie otwarły się i do okrągłego pomieszczenia wszedł wielki metalowy pająk, kroczący na sześciu nogach. Jan cofnęła się wyciągając długi miecz.

— Nie musisz się mnie obawiać – powiedział pająk tym samym przyjemnym głosem. – Jestem twoją eskortą. Proszę, idź za mną.

Ruszył w kierunku otwartych drzwi. Po chwilowym wahaniu

Jan podążyła za nim. Domyśliła się, że tak jak Ezechiel, był maszyną, choć miała nadzieję, że nie posiada ludzkiego mózgu. Długim korytarzem szła za pajakiem, którego ciało było świecąca metalową kulą o średnicy półtorej stopy. Weszli do windy. Gdy winda zaczęła zjeżdżać, pajak powiedział uprzejmie: – Piękny dzień jak na ceremonię chrztu, prawda? Jan spojrzała na niego i zaczęła się śmiać.

— Czy powiedziałem coś śmiesznego? – spytał pajak pewnym głosem.

Ciągle zanosząc się śmiechem Jan nie była w stanie odpowiedzieć. Drzwi windy otworzyły się na kolejny korytarz. Tu również dochodziły dźwięki muzyki. Jan nie mogła wyjść ze zdziwienia, jak niezwykle wyglądało wszystko na pokładzie Anioła Niebios. Był to zupełnie inny świat, bez tych wszelkich zmian, zniszczeń i brudu, jakie przez wieki nagromadziły się na pokładzie sterowca Władcy Niebios. Sufit w korytarzu był błękitny, ściany białe, a podłoga wyłożona grubym dywanem. Na ścianach wisiały malowidła, a światło było łagodne i przyjemne dla oczu.

— Tutaj – powiedział pajak wycofując się.

Drzwi otworzyły się i ujrzała scenerię lepiej sobie znaną. Rozpoznała pomieszczenie kontrolne, choć bardzo różniło się od analogicznego miejsca na pokładzie statku Władcy Panglotha.

— Jesteśmy na miejscu – oznajmił pajak. – Czy mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

— Nie. Poczekaj tu – odparła Jan oszołomiona. Poszła na tył pomieszczenia kontrolnego i spojrzała przez zakrzywione szkło, próbując dostrzec, jak daleko znajduje się *Władca Pangloth*, lecz olbrzymia przestrzeń pokładu Anioła Niebios zasłaniała jej widok. Spojrzała w dół i dostrzegła z przerażeniem kolejny

wielki cień padający na miasto obok cienia Anioła Niebios. *Władca Pangloth* musi być bardzo blisko. Jęknęła.

— Czy coś się stało? – spytał głos uprzejmie.

— Nie mam dobrego widoku – poskarżyła się.

— Powiedz mi, co chcesz widzieć, a pokażę ci – powiedział głos.

— Chcę widzieć wszystkie kierunki jednocześnie! Rząd ekranów monitora zabłysł. Jan odwróciła się do nich. Parę chwil zajęło jej rozeznanie się w tym, co widzi, po czym skojarzyła, że jest to obraz z różnych części kadłuba sterowca Anioła Niebios. Dostrzegła, że *Władca Pangloth* znajduje się rzeczywiście bardzo blisko. Wyżej niż Anioł Niebios, lecz obniżał się coraz bardziej. *Pachnący Wietrzyk* był nieco dalej.

— Gdzie znajduje się miejsce, w które wkłada się oprogramowanie? – spytała Jan spiesznie, rozglądając się po pomieszczeniu kontrolnym. Najbliższa konsola wydała dźwięczący odgłos i zaczęła błyskać zielonym światłem. Jan podeszła do niej, wyjmując tuleję z kieszeni. Włożyła ją do konsoli i czekała. – Carl? Ashley? – dopytywała się niecierpliwie. Nie było odpowiedzi.

— Z kim chcesz rozmawiać? – spytał głos ze sterowca.

— Z programami z tulei, którą wprowadziłam do systemu.

— To oprogramowanie jest obojętne – powiedział głos uprzejmie.

— Co to znaczy? – krzyknęła.

— Nie ma w nim aktywnych programów. Jest obojętne.

Jan jęknęła z rozpaczą. Po tym wszystkim uszkodziła oprogramowanie! Upadek tulei zniszczył Carla i Ashley! Spojrzała na ekrany. To, co ujrzała, wprawilo ją w jeszcze większą rozpacz. Na pokładach sterowców *Władcy Panglotha*

pojawiły się lotnie i wypełniły powietrze jak zarodniki grzyba w wietrzny dzień na terenach dotkniętych zarazą.

— Aniele Niebios! – krzyknęła. – Musimy natychmiast wyruszyć. Odłączyć się od Wieży i odlecieć stąd z maksymalną prędkością.

— Przykro mi – rzekł głos – lecz nie mogę wykonywać twych rozkazów bez odpowiednich kodów rozkazujących. Jan chciała wrzasnąć ze zmartwienia.

— Musisz mnie słuchać! – krzyknęła. – Za chwilę zostaniemy zaatakowani. Spójrz, spójrz na twe własne ekrany, jeśli mi nie wierzysz...! Wskazała na najbliższy ekran.

Dojrzała na nim, jak kilka lotni dosięga szczytu Niebiańskiej Wieży. Zmierzały ku pomieszczeniu komputera tym samym sposobem, jakim dotarły tamte trzy lotnie, które widziała wcześniej. Stamtąd napastnicy dostaną się do Anioła Niebios przez tunel łącznikowy. – Czy możesz przynajmniej zamknąć drzwi w zakrzywionej części? – błagała Jan.

— O tak, to mogę – rzekł głos.

— MILO HAZE! – rozległ się nad miastem głos, wzmocniony echem murów wież. – MILO HAZE! ODPOWIEDZ!

Głos pochodził ze sterowca Władcy Panglotha. To dowódca.

— MILO HAZE! JESTEŚ ZGUBIONY!

Jan przyglądała się rzędowi monitorów. Dostrzegła lotnie lądujące na górnym pokładzie. Zwróciła się do metalowego pająka.

— Czy jesteś uzbrojony? – spytała.

W odpowiedzi pająk wyciągnął ze swego kulistego ciała mechaniczne ramię.

— Mam i inne, gdyby były potrzebne – zapewnił ją.

— Myślałam o broni – powiedziała Jan. – Czy masz jakąś?

— Och, nie – odparł. – Nie mam broni.

Próbowała się uspokoić, lecz nie mogła. Przypomniała sobie, jak dowódca opisywał jej obdzieranie żywcem ze skóry.

— PODDAJ SIĘ, MILO HAZE! BĘDĘ ŁASKAWY!

— Czy jest wiele takich jak ty na pokładzie? – spytała Jan pająka.

— Tak – rzekł. – Na służbie jest pięćset do konserwacji i napraw mechanicznych oraz kolejne pięćset w zapasie.

— Słuchaj – powiedziała Jan z desperacją. – Ludzie napadają na statek. Ty, wraz z tymi innymi stworzeniami, musisz ich zatrzymać. Zaatakować i pozabijać.

— To niemożliwe – odparł pająk. – Nie możemy dobrowolnie krzywdzić jakiegokolwiek człowieka.

— Bogini Matko, dodaj mi sił... – westchnęła Jan. Spróbowała znowu. – Nie musicie ich krzywdzić, wystarczy, by ich pokonać i odebrać im broń.

— Takie akcje mogłyby doprowadzić do skaleczenia i dlatego nie można ich brać pod uwagę. Przykro mi!

— Zobaczymy – powiedziała Jan i kopnęła pająka. Cofnął się, lecz nic jej nie zrobił.

— MILO HAZE! NIE PRÓBUJ UCIEKAĆ! JEST ZA PÓŹNO!

To prawda, pomyślała gorzko Jan, gdy spojrzała na ekrany. Na górnym pokładzie kłębili się samurajowie. Szczęśliwy Milo, ominęło go to...

— Cześć! Co się dzieje!

Jan pomyślała, że ma halucynacje.

— Ashley?

— Tak, to ja! Taka jak zwykle! Jan nie mogła w to uwierzyć.

— Czujesz się dobrze? A Carl?

— Wyśmienicie!

— Myślałam, że zniszczyłam was oboje! Gdzie jesteście? Komputer powiedział, że wasze oprogramowanie jest obojętne.

— To sprawa Carla. Odkrył, że w tutejszym systemie znajdują się specjalne bariery chroniące przed wprowadzeniem nieautoryzowanych programów do Anioła Niebios. Musiał wypróbować wszelkie sposoby ich przełamania. To zajęło trochę czasu. Zrozumiałaś?

— Tak, bardzo dobrze – rzekła Jan z przekonaniem. Opowiedziała Ashley, co się dzieje.

Tamta rzekła:

— Nie ma sprawy. Carl i ja kontrolujemy teraz całkowicie system. Carl mówi, że powinniśmy odłączyć się od Niebiańskiej Wieży i wystartować.

— Tak, tak! – krzyknęła Jan. – Powiedz mu, by zrobił to, co uważa za najwłaściwsze.

— Co uważamy za najwłaściwsze – poprawiła ją Ashley.

— W porządku, co ty i Carl uważacie za najwłaściwsze. Anioł Niebios drgnął. Spojrzała w górę i dostrzegła, że szczyt Wieży zaczyna się oddalać.

— HAZE! JEST ZA PÓŹNO! NIE UCIEKNIESZ! PODDAJ SIĘ, A BĘDĘ ŁASKAWY. W PRZECIWNYM RAZIE TWOJA ŚMIERĆ STANIE SIĘ JEDNYM DŁUGIM WRZASKIEM! – zagrzemiał nad miastem głos dowódcy.

— Carl mówi, że Japończycy dostają się do Anioła Niebios – powiedziała Ashley.

— Wiem o tym. Czy on lub ty macie jakiś pomysł, by się ich pozbyć?

— Tak. Za pomocą robotów. Tych pajaków.

— Próbowałam – rzekła Jan. – Pająk odmówił jednak ranienia

ludzi.

— Carl i ja dowodzimy nimi teraz – powiedziała dumnie Ashley. – Zrobią to, co im zalecimy. Kierujemy programem centralnym.

— Więc wydajcie polecenie – rzekła Jan spiesznie. – Szybko!

— Już zostało wydane.

Jan musiała zejść z drogi, gdy pajak gwałtownie wstał i skierował się ku windzie. Zniknął w niej i drzwi się zamknęły.

— Mamy w zapasie następne pięćset, gdybyśmy potrzebowali.

— MIŁO HAZE! ZATRZYMAJ SIĘ! MOI WOJOWNICY ZNAJDUJĄ SIĘ JUŻ NA POKŁADZIE TWEGO STATKU. DALSZY OPÓR JEST DAREMNY!

Anioł Niebios znalazł się teraz nad *Władcą Panglothem*. Jan dostrzegła, że śmigła sąsiedniego sterowca obracają się szybko, usiłując zwiększyć wysokość.

— Strąćmy tego drania z nieba! – powiedziała Ashley.

— Niczego więcej nie pragnę – rzekła Jan. – Ale jak?

— Nie powiedziałam ci? Nie. Carl dostał się do systemu kontrolującego lasery. Dowodzimy teraz nimi. Co więc proponujesz? Zaczynamy strzelać?

Parę chwil zajęło jej zrozumienie tej informacji, aż wreszcie skojarzyła, że lasery mogą być wycelowane i użyte przeciwko czemukolwiek. Powiedziała szybko: – Nie, jeszcze nie. Czy jest możliwość, bym przemówiła do dowódcy?

Po chwili Ashley odparła:

— Tak, tu znajduje się amplifikacja głosu. Używa się jej do porozumiewania z ofiarami nieszczęść na Ziemi, jak mówi Carl, a dowódca dzięki niej jest słyszalny. Carl uruchamiają właśnie. Możesz mówić.

— Dowódco Horado... – zaczęła na próbę i zdziwiła się, słysząc, że jej głos huczy równie silnie, jak głos dowódcy. – Dowódco Horado, słuchaj mnie. Mówi Jan Dorvin.

Jestem sama. Milo nie żyje. Został zabity przez cyberoida parę tygodni temu. Dowódca zaśmiał się. Brzmiało to jak obrzydliwy grzmot. Po czym rzekł: – MILO HAZE NIE ŻYJE? ZABITY PRZEZ CYBEROIDA? JAKIE TO ZABAWNE... NO CÓŻ, DZIEWCZYNO, PORZUĆ TĘ ZABAWĘ I POZWÓL SIĘ ZBLIŻYĆ MOJEMU STATKOWI.

Jan spojrzała na monitory. Setki pajaków podążało na górny pokład. Dostrzegła błyski mieczy, gdy Japończycy usiłowali się bronić.

Rzekła do dowódcy:

— Mam środki mogące cię zniszczyć. Mam pełną kontrolę nad systemem laserowym.

Jeśli nie spełnisz moich żądań, otworzę ogień! Dowódca milczał przez chwilę, po czym rzekł: – KPISZ ZE MNIE DZIEWCZYNO. ZA CHWILĘ MOI SAMURAJOWIE ZNAJDĄ SIĘ W TWOIM POMIESZCZENIU KONTROLNYM.

— Twoi samurajowie właśnie ponoszą klęskę – powiedziała Jan. – Na pokładzie tego statku znajdują się roboty. Tak jak lasery, są pod moją kontrolą. Czy zechcesz teraz wysłuchać moich żądań?

Ashley powiedziała:

— Po co zawracać sobie głowę żądaniami? Po prostu strąćmy go z nieba.

— Chcę uwolnić Ceri, jeśli żyje.

— Tak, lecz zgodnie z tym, co mówiłaś, jeśli żyje, to będzie na drugim sterowcu. Więc otworzymy ogień laserowy i wodór spowoduje wybuch.

— DZIEWCZYNO ZŁOŚCISZ MNIE. MOJA ZEMSTA BĘDZIE WIECZNA.

Jan miała ochotę zrobić to, co sugerowała Ashley, ale nie mogła się zmusić do wydania rozkazu. Nie była w stanie zniszczyć sterowca Władcy Panglotha.

— Tam są kobiety i dzieci. Nie mogę ich zabić – powiedziała do Ashley. – Wolałabym, gdybyście zaczęli strzelać do śmigieł statku. Zniszczymy je wszystkie.

— Ech, to nie jest zabawne.

— Zrób, co mówię – rozkazała Jan. Po raz pierwszy zmierzyły się ze sobą. Kto naprawdę rządzi Aniołem Niebios?

Cienka linia turkusowego światła połączyła nagle jedno ze śmigieł sterowca Władcy Panglotha z niewidocznym punktem nad pomieszczeniem kontrolnym Anioła Niebios. Metalowa osłona śmigła zaczęła czernieć i zwijać się. Pojawiły się następne strumienie światła. Kolejne śmigła statku Władcy Panglotha zmarszczyły się jak kawałki jakiegoś owocu wrzucone do ognia. Dowódca wrzasnął z wściekłości. *Władca Pangloth* zaczynał się wymykać spod kontroli. Ani komputer, ani piloci nie byli w stanie zrekompensować utraty tyłu śmigieł przy lewej burcie. Sterowiec przechylił się gwałtownie, jednocześnie tracąc wysokość.

Anioł Niebios, poruszając się z prędkością i gracją, jaką Władca Niebios utracił przed wiekami, leciał obok *Władcy Panglotha*. Błękitne linie wciąż formowały się w powietrzu.

Coraz więcej śmigieł przestawało się obracać.

— DZIEWCZYNO! DZIEWCZYNO! – ryknął dowódca. – BĘDĘ Z TOBĄ ROZMAWIAĆ! ZAPRZESTAŃ OGNIA. DOGADAMY SIĘ! CZEGO CHCESZ?

— Już za późno! – powiedziała Jan zimno.

— Załatwione – poinformowała ją Ashley. – Zniszczyliśmy wszystkie śmigła. Zajmijmy się teraz sterami i urządzeniami nośnymi.

Jan dostrzegła, że strumienie światła przeniknęły jak noże przez olbrzymi tył i boczne płetwy sterowca. Gdy wykonały swe zadanie, *Władca Pangloth* był ruiną zdaną teraz na łaskę wiatrów. Z obwisłym dziobem dryfował nad miastem. Olbrzymie, namalowane oczy, które kiedyś wywoływały przerażenie Jan, teraz wydały się jej niemal komiczne.

— ODEZWIJ SIĘ, KOBIETO! WYŚLUCHAM TWYCH ŻĄDAŃ!

— Co zrobimy z samurajami? – spytała Jan.

— Ci, którzy dostali się do środka, są martwi – powiedziała Ashley. – Kilku uciekło z pokładu na lotniach. Ci, którym się to nie udało, również są martwi. Tyle ofiar – pomyślała Jan ponuro, lecz przecież nie było wyboru.

— Dobrze – powiedziała. – Teraz ruszamy. Czas się zająć *Pachnącym Wietrzykiem*.

Dowodzący *Pachnącym Wietrzykiem* na widok tego, co się stało z *Władcą Panglothem*, zawrócił statek i uciekał z maksymalną prędkością. Jednak Anioł Niebios, którego wszystkie śmigła były sprawne, bez trudności dogonił uciekający sterowiec.

Japończyk nim dowodzący nie znał angielskiego, lecz Carl wydał nakaz poddania się w języku japońskim. Dowodzący najpierw odmówił i wysłał kilka kuł w kierunku Anioła Niebios na znak oporu. Lecz gdy lasery Anioła Niebios zaatakowały pierwsze z jego śmigieł, Japończyk szybko się poddał.

Jan weszła na pokład *Pachnącego Wietrzyka* w eskorcie dziesięciu metalowych pajaków. Dowodzący i jego ludzie byli

niezwykle pokorni i gdzie tylko się udała, napotykała pochylone w ukłonie głowy samurajów. Amerykańscy jeńcy z *Władcy Panglotha* żyli w strasznych warunkach. W porównaniu z tym jej egzystencja w okresie niewolnictwa była całkiem znośna.

Gdy weszła do kolejnego śmierdzącego pomieszczenia, służącego za mieszkanie ponad trzydziestu głodującym Amerykanom, ku jej zdumieniu jakieś straszydło w ludzkiej skórze przepchnęło się naprzód i upadło przed nią na kolana.

— Moja droga dziewczyno, zabierz mnie, błagam z tego piekła. — krzyczał mężczyzna, machając rękami. — Pamiętasz, jak ci pomogłem? Jak cię karmiłem i chroniłem...?

Zaszokowana uświadomiła sobie, że jest to Mistrz Cechu Bannion. Dotknęła piętna na policzku.

— Tak, pamiętam bardzo dobrze. I w dowód wdzięczności za wszystko, co dla mnie uczyniłeś, nie wydam moim metalowym przyjaciołom rozkazu, by rozłupały cię natychmiast.

Wyszła z pomieszczenia. Jedna z jej nauczycielek powiedziała jej kiedyś, że odwet nie jest rzeczą szlachetną, lecz Jan odkryła, że to bardzo przyjemne...

Szła przez cały obszar Władcy Niebios, patrząc na wychudłe twarze, zadając bez końca to samo pytanie. W końcu, w piętnastym czy setnym, śmierdzącym, zatłoczonym pomieszczeniu wreszcie ją znalazła.

ROZDZIAŁ

TRZYDZIESTY DRUGI

Dowódca siedział w swojej sali tronowej, lecz jego myśli krążyły gdzie indziej, zagubione w zakamarkach mózgu. Podłoga w sali tronowej pochylona była do przodu i na prawo. *Władca Pangloth* znajdował się w niebezpiecznym przechyle i wciąż tracił wysokość. Najpierw skierował się na wschód, potem wiatr zmienił kierunek i teraz sterowiec dryfował nad oceanem. Gdyby dowódca był przytomny, mógłby się odwrócić na tronie i dostrzec poprzez wielkie ukośne okna szarą i lekko wzburzoną powierzchnię morza, zbliżającą się z każdą minutą.

Równie nieświadomy był główny pilot, który osunął się na podłogę, pozostawiając za sobą smugę krwi. Leżał kilka stóp od tronu, w miejscu, w którym dowódca dokonał na nim okrutnej trepanacji czaszki za pomocą długiego miecza. Pilot musiał wykonać nieprzyjemne zadanie poinformowania dowódcy, że nie istnieje szansa ocalenia sterowca Władcy Panglotha. Bez śmigieł i urządzeń nośnych nie można było zachować bezpiecznej wysokości. Siła nośna wytwarzana przez gaz w komorach nie wystarczała, głównie dlatego, że komora numer siedem nie odzyskała już pełnej sprawności.

Wszystko, co można było wyrzucić z pokładu, włączając w to na rozkaz dowódcy trzysta „zbędnych” osób, zostało wyrzucone. Od tej chwili dowódca pozostawał sam, ignorując wszelkie próby nawiązania kontaktu podejmowane przez wylęknionych oficerów i służących, którzy dali wreszcie za wygraną i czekali ze

stoickim spokojem na to, co się wydarzy. Żaden z nich nawet nie wspomniał o niehonorowej możliwości ucieczki za pomocą lotni ze skazanego na zagładę sterowca.

Zakrzywiona część statku Władcy Panglotha dotknęła w końcu powierzchni morza. Było to krótkie muśnięcie – niby przelotny pocałunek – chociaż uszkodziło okna i przedziurawiło kadłub w wielu miejscach. Następne dotknięcie trwało dłużej. Trzecie miało się okazać ostatnim. Powoli *Władca Pangloth* zanurzył swe długie ciało w oceanie. Jego dźwigary, obliczone na warunki powietrzne, zawyły pod ciężarem, którego nie mogły unieść. Woda gwałtownie napływała przez zniszczone okna i włazy, nie nawykłe do takiego naporu.

Japończycy uciekali przed nadciągającą wodą pod wewnętrzny kadłub. Woda niosła ze sobą nie tylko groźbę utonięcia, lecz również inne niebezpieczeństwa, których zapowiedzią były pierwsze potężne strumienie na korytarzu...

Powierzchnia morza powoli zbliżała się ku wielkim oknom sali tronowej. Woda zaczęła płynąć po podłodze, lecz dowódca wciąż zdawał się nieświadomy niczego. Nawet gdy jedno z okien znajdujących się za nim pękło pod naporem mas wody, nie zareagował. Tron wraz z jego ciałem popłynął naprzód.

Reakcje samozachowawcze były zbyt silne, by mógł nad nimi zapanować. Szarpał się i szamotał wśród kotłujących się czarnych odmętów. Wtem schwyciło go coś znajdującego się pod powierzchnią wody.

Jan obudziła się wcześniej i leżała z uczuciem, że przygniatają ciężar przyszłości. Ma tyle do zrobienia. Przytłaczała ją odpowiedzialność... Jej plany nie zostały jeszcze wyraźnie określone, lecz główny pomysł, który przedyskutowała z Ceri, Ashley i Carlem, polegał na tym, by podbić innych Władców

Niebios i uzależnić ich podobnie, jak uczyniła to z *Pachnącym Wietrzykiem*. Carl wytworzył kopię programów swojego i Ashley, która została wprowadzona do systemu komputerowego *Pachnącego Wietrzyka*. Doprowadził już system tego sterowca do pełnej sprawności za pomocą robotów i elektronicznych części zapasowych, zgromadzonych na pokładzie Anioła Niebios. Zarówno Amerykanie, jak i Japończycy znajdujący się na sterowcu, nie mieli możliwości przejęcia nad nim kontroli.

Jan oznajmiła obu tym grupom, że mają do wyboru: albo wspólne zgodne życie na pokładzie *Pachnącego Wietrzyka*, albo strącenie na Ziemię. Amerykanie przewyższający liczbą Japończyków, chcieli z oczywistych względów zemścić się na swych dotychczasowych ciemieżcach i Jan musiała zostawić na pokładzie sterowca kilka pajaków, by rozdzielały obie strony. Delegacja Amerykanów spytała, dlaczego nie mogą przejść na pokład Anioła Niebios, skoro jest tam tyle wolnego miejsca. Jan odparła, że zgodzi się na kilka kobiet z dziećmi, by zmniejszyć zaludnienie *Pachnącego Wietrzyka*, lecz żaden z mężczyzn nie uzyskał zgody na wejście na pokład Anioła Niebios, z wyjątkiem dwóch mężczyzn minerviańskich, których, ku swemu zdziwieniu i radości, Jan znalazła żywych na pokładzie japońskiego sterowca.

Podbijanie wszystkich sterowców Władców Niebios będzie się zapewne ciągnąć latami, toteż plan Jan stał się jeszcze mniej sprecyzowany. Miała nadzieję, że w jakiś sposób uda się jej wykorzystać siłę laserów wszystkich uzależnionych Władców Niebios do zniszczenia zarazy na terenach otaczających pozostałe społeczności ziemskie. Anioł Niebios zawierał zapasy zamrożonych nasion i embrionów zwierzęcych, które mogły być wykorzystane przy współpracy niebiańskich ludzi i

mieszkańców Ziemi. Jan przy pomocy nieocenionej Ceri chciała na nowo uprawiać duże tereny odzyskane po zwalczeniu zarazy.

Kolejnym jej pomysłem było odtworzenie społeczeństwa minerviańskiego. Należało przecież przechować i przekazać drogocenne geny minerviańskie. Mogłaby mieć dziecko z jednym z dwóch mężczyzn minerviańskich, ale co dalej? Czy mężczyźni mieliby się krzyżować ze zwykłymi kobietami? To „rozzredziłoby” minervniańską mieszaną genetyczną, lecz może to lepsze niż nic? Geny minerviańskie rozpowszechnią się w ten sposób.

Nagle poczuła mdłości. By nie przeszkadzać Ceri, która wyskoczyła z łóżka i poszła do łazienki, Jan wymiotowała do miednicy. Przeplukała usta i spryskała twarz wodą. W lustrze obok siebie ujrzała Ceri z wyrazem troski na pięknej twarzy. Ceri wracała powoli do swej poprzedniej postaci, przynajmniej pod względem fizycznym, chociaż częste nocne koszmary i gwałtowna nienawiść do wszystkich mężczyzn wskazywały na to, że ślady krzywd, jakich doznała od Japończyków, pozostaną jeszcze przez dłuższy czas.

Ceri objęła Jan ramionami.

— Już trzeci raz dzisiaj wymiotujesz – powiedziała z wielkim niepokojem.

Jan uśmiechnęła się do niej uspokajająco.

— Nie szkodzi. Czuję się na ogół dobrze. Myślę, że to po prostu reakcja na wszystkie moje zmartwienia i problemy.

— Jeśli nawet tak jest, powinnaś dać się zbadać jednemu z tych urządzeń medycznych.

— Zrobię to, gdy będę miała czas.

— Zrób to teraz, proszę cię – domagała się Ceri. Jan odwróciła się i pocałowała ją w usta.

— Dla ciebie wszystko!

Spoglądała na ekran z niedowierzaniem. – Nie mogę być w ciąży! To niemożliwe! Mój czas rozrodu minął prawie rok temu!

Carl powiedział:

— To nie jest pomyłka. Urządzenie działa doskonale.

Jan odwróciła się z niepokojem.

— W jaki sposób mogę być w ciąży? To szalony pomysł! Nawet gdybym mogła zajść w ciążę, to przecież nie współżyłam z żadnym mężczyzną po księciu Casparze... a według tego urządzenia zapłodnienie nastąpiło dokładnie siedem tygodni temu...

Przerwała. Przypomniała sobie, co zrobił z nią Milo tej potwornej nocy na terenach dotkniętych zarazą. To było jego dziecko. Wiedziała o tym.

— Milo – powiedziała oszołomiona. – To on. Nie był człowiekiem. Kto wie, w jaki sposób inżynierowie genetycy przekształcili jego nasienie i jakie może ono wyrządzić szkody mojemu układowi rozrodczemu. – Chwyciła się kurczowo Ceri z paniką w oczach.

— Co mam zrobić?

Po chwili Ceri powiedziała chłodno: – Zabij je.

Jan potrząsnęła głową.

— Nie. Nie mogę tego zrobić. Muszę je urodzić. Bogini Matko, niech to będzie dziewczynka!

Godzinę później Jan się znacznie już uspokoiła. Była sama w pomieszczeniu kontrolnym. Gdy Carl i Ashley dowodzili Aniołem Niebios, nie była potrzebna załoga. Spoglądała poprzez pustynny krajobraz w kierunku dziwnych, płaskich wzgórz na horyzoncie. Anioł Niebios poszukiwał *Władcy Matamorosa*, Władcy Niebios rządzącego na obszarze położonym bezpośrednio na południe od

terenów Władcy Panglotha. Carl oczekiwał, że to spotkanie nastąpi w ciągu najbliższych dni, i Jan chciała być w formie, gdy ten dzień nadejdzie.

Przyzwyczała się do myśli o tym, czyje dziecko w sobie nosi. Nawet gdyby się okazało, że będzie płci męskiej, to jej misja nie jest jeszcze stracona. Będzie miało również jej geny, nie tylko Mila. To oznaczało, że dziecko niekoniecznie musi być całkiem takie jak Milo.

Pomyślała o czasce Mila, którą przechowywała w szafce w swym pokoju, o wysuniętej szczęce, która była wyrazem arogancji, jaką okazywał Milo nawet po śmierci, i to sprawiło, że poczuła się jeszcze pewniejsza.

Zamierzała go pokonać.

Musiała, dla Minervy.